

ALEKSANDER ABRAMOW
SIERGIEJ ABRAMOW

WSZYSTKO DOZWOLONE

PRZEŁOŻYŁ SŁAWOMIR KĘDZIERSKI
TYTUŁ ORYGINAŁU ROSYJSKIEGO: WSIO DOZWOLENO

CZEŚĆ PIERWSZA
ZIELONE SŁOŃCE

ROZDZIAŁ I

NA PLANECIE NIE MA ŻYCIA. A MOŻE JEST?

Podświetlony kosmolot wszedł na kurs zbliżenia z Hedoną już po wygaszeniu prędkości. Teraz miało nastąpić wielokrotne, długie i nudne okrążanie planety, aż do chwili, kiedy w obserwacyjnym iluminatorze będzie można dostrzec czarne szkliwo zaimprovizowanego kosmodromu i maszt sąsiadującej z nim stacji kosmicznej, na którym powiewa flaga Narodów Zjednoczonych. Na razie jednak w owalu iluminatora, w tuszu obcej przestrzeni kosmicznej płynął jedynie srebrny dysk, na którym w odbłasku poświaty niewyraźnie majaczyła plama kontynentu, obwiedziona wijącą się linią oceanu.

Trzech członków załogi stało koło okna zwróconego na ten odległy od Ziemi zakątek kosmosu: Kapitan, którego obowiązkiem było wszystko wiedzieć i wszystko przewidywać, konektor Alik utrzymujący laserową łączność z Ziemią i stacją kosmiczną na Hedonie, Bibl, specjalista omnibus, który w jednej osobie łączył mnóstwo zawodów niezbędnych dla kosmonauty — od biologii i cybernetyki poczynając, a na medycynie kosmicznej kończąc. Nawet porozumiewanie się z przedstawicielami obcego rozumu — specjalność do tej pory przez nikogo jeszcze nie wykorzystana, również znajdowała się na liście jego umiejętności. Bibllem przezywano go z powodu zamiłowania do starych ksiąg — paczek cienkiego, nietrwałego plastiku, nazywanego nie wiadomo czemu papierem, na którym kodem typograficznym wydrukowane były całe słowa i zdania. Tylko Kapitan znał ten kod. Natomiast Mały, inżynier, oraz Alik, pilot, odpowiedzialni za elektroniczne wyposażenie statku, do zdobywania informacji używali, tak jak wszyscy na Ziemi, filmoksiążek. Po co męczyć się nad rozszyfrowywaniem kodu, kiedy ekran przedstawi wszystko jak należy.

— Jeszcze chwila i całkiem zniknie — powiedział Bibl, mając na myśli dysk planety. Kosmolot już zawracał na swej orbicie.

W oczy uderzył nieznośny, oślepiający blask.

— Filtr! — rozkazał Kapitan.

Ciemna, przezroczysta błonka zasnuła owal iluminatora. Teraz, już nie narażając się na ból oczu, można było zobaczyć pięć sąsiadujących ze sobą słońc umiejscowionych na wierzchołkach kątów zygzakowatej linii. Pięć błyszczących, o identycznych rozmiarach kul, połyskujących rozmaitymi odcieniami widma. W centrum lśniło rażącym, ostrym blaskiem pomarańczowe słońce, dokładnie takie, jakie można zobaczyć na Ziemi letnim, wietrznym wieczorem; obok dziwnie zieleniało drugie, trzecie wisiało jak wielka granatowa lampa, umiejętnie dobrana pod kolor bladego błękitu nieba, a po brzegach całość zamykały jeszcze dwie matowe kule: liliowa, martwo mętna, która z powodzeniem mogłaby wisieć nad cmentarzem albo więziennym dziedzińcem, i błękitna, podświetlona od wewnątrz, wyglądająca jak niebieski klosz żyrandola na tle bladoniebieskich tapet.

— No, taak — powiedział bez komentarzy Bibl.

— Cztery pozorne — dorzucił Alik. — Efekt optyczny. Odbicie.

— Ale z ciebie erudyta — uśmiechnął się Kapitan. — My również znamy instrukcję „Odbicie”! Ale w jakim ośrodku?

— Nie wiem — przyznał się uczciwie Alik. — Może załamanie w odpowiednio zabarwionych warstwach atmosfery?

Bibl zaoponował, nie odrywając wzroku od iluminatora.

— Zbyt wysoko, żeby mówić o atmosferze. Na „Hedonie 2” przypuszczają, że mogą to być kolorowe mgławice pyłowe.

— Dlaczego na drugiej? A gdzie pierwsza?

— Skończcie tę gadaninę! — skrzywił się Kapitan.

W instrukcji, w której mówiono o pracy stacji kosmicznej „Hedona 2”, rzeczywiście ani słowem nie wspomniano o „Hedonie 1”. Autorzy instrukcji zapewne nie uważali za konieczne

informować o ekspedycji, która nawet nie zaczęła pracy. Kapitan, jak wszyscy doświadczeni kosmonauci, dobrze wiedział, co się stało. Obsada stacji po prostu zniknęła razem ze statkiem kosmicznym. Dotarła do planety, ale nie wylądowała. Ostatnia wiadomość przekazana za pośrednictwem łączności laserowej na Ziemię komunikowała, że ekspedycja, już po wejściu na orbitę wokół planety, nagle zmieniła kurs i ruszyła w kierunku jednego z kolorowych słońc pozornych. Nie podano celu tego przedsięwzięcia: i bez tego było jasne, że ekspedycja podjęła bezpośrednie badania zagadkowego fenomenu optycznego. Proste i kuszące.

Kapitan westchnął: cóż może być prostszego, niż pójść na zbliżenie ze zwykłą iluzją optyczną. Można podejść blisko, być może wskoczyć do środka świetlnej kulki i... zniknąć. Wysłana na poszukiwania następna ekspedycja nie znalazła na planecie żadnych śladów lądowania ani też oznak katastrofy.

Kapitan wiedział, że lekkomyślność poprzedników „Hedony 2” była jaskrawym naruszeniem instrukcji. Ekspedycja miała wylądować na planecie, jak najszybciej zmontować stację badawczą i przesłać krótką informację, czy na planecie istnieją jakieś formy życia. Hedona została odkryta zupełnie niedawno, zaledwie dwa lata przed opisywanymi wydarzeniami. Kosmonautów, którzy przypadkowo na niej wylądowali i wykryli tlen w atmosferze, zaintrygowała nie tyle sama planeta, co otaczające ją pięć słońc o przedziwnych barwach. Na planecie natomiast, mimo że skład atmosfery był prawie identyczny z ziemskim, nie odnaleziono najmniejszych oznak życia — ani fauny, ani flory. Martwa pustynia. Bardzo trafne określenie: „martwa” — nawet nie piasek, lecz kamień, jakby nadtopiony, zeszkliwiony od żaru, ale nie słonecznego. Nie, słońce było zupełnie znośne, nie gorętsze niż na Ziemi w strefie równikowej. Wyglądało to tak, jakby fala termiczna jakiejś kosmicznej eksplozji przewaliła się z gigantyczną siłą przez cały obszar otoczonego oceanem kontynentu. Ocean też nie odznaczał się bogactwem form życia: flora i fauna wczesnego paleozoiku, wodorosty i trylobity, początek ewolucji, która na Ziemi trwała przez miliony lat, zanim życie nie wyszło z oceanu na ląd. „Nie wykryliśmy oznak życia” — przekazał lakonicznie na Ziemię promień lasera. Kilka godzin później nadeszła następna informacja, obszerniejsza i niepokojąca: „O zachodzie, kiedy zaczęliśmy przygotowywać raketę do startu, odkryliśmy nie wyjaśnione chwilowo zjawisko — błędzące miraże: budynki nieznanego kształtu, oazy i drogi, widmowi ludzie, ubrani i nadzy. Być może jest to miraż historyczny — przeszłość, odbita w teraźniejszości, być może są to ślady życia, którego na razie nie zauważyliśmy. Co robić?”

Ziemia nakazała powrót. Na planetę, nazwaną ironicznie Hedona, wysłano załogę przyszłej stacji kosmicznej do badań specjalnych, ale ta nie dotarła do celu. Następna ekspedycja cel osiągnęła, zmontowała i wyposażała stację „Hedona 2” i od czasu do czasu posyłała na Ziemię krótkie informacje.

„Ocean syluryjski. Kontynent pojedynczy, pustynny, płaski, w kilku zaledwie miejscach wznoszący się nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów nad poziom morza. Kamieniste podłoże nadtopione uderzeniem fali termicznej o bardzo wysokiej temperaturze. Śladów działalności wulkanicznej nie stwierdzono; w podłożu i w wodzie brak radioaktywności. Wiercenia w różnych częściach kontynentu wykazały podobieństwo tutejszych minerałów i rud do występujących na Ziemi. Wykryto związki krzemowe, siarkowe, sole kwasowęglowe, są ślady obecności rud żelaza i kolorowych, jednakże w mniejszej różnorodności niż na Ziemi”.

„Miraże widoczne są zazwyczaj o wschodzie i zachodzie czterech pozornych różnie zabarwionych słońc planety. Obserwuje się je niezbyt często i nieregularnie, wyłącznie przy jakichś, do tej pory przez nas wyjaśnionych, przekształceniach tutejszej atmosfery. Zazwyczaj są to warianty tych samych obrazów: budowle o dziwnej architekturze, ruchome drogi, spiralopodobne konstrukcje rurowe zbliżone do gigantycznych synchrofazotronów, linie automatyczne przypominające modele fabryk, i ludzie, którzy zazwyczaj nigdzie się nie spieszą, niczym się nie zajmują, czasami są całkiem nadzy. Obrazy są zamglone, widmowe i przezroczyste, czasem zniekształcone jak odbicie w wodzie. Przy próbie zbliżenia miraże

odsuwają się, a jeśli mimo wszystko uda się do nich podjechać znikają, rozplywają się w zielonkawej, pyłopodobnej mgławicy”.

„Życie u nas toczy się jak na każdej pozaziemskiej stacji kosmicznej. Syntetyczna żywność, gimnastyka, sen, praca, krótki odpoczynek — piwo, szachy albo filmoksiążki. Czasami bezpłodne wycieczki na brzeg i w głąb oceanu, czasami obserwacje astronomiczne, również bezpłodne, i przede wszystkim polowanie na miraż o wschodzie i zachodzie każdego kolorowego słońca. Wydaje się, że jest jakaś prawidłowość w zabarwieniu mirażu”.

„Wczoraj po raz pierwszy zbliżając się do mirażu wyróżniliśmy w siłowe pole obronne. Miraż był wyjątkowo wyraźny, a pojawił się, podobnie jak poprzednio, z kolorowego kłęбка pyłu toczącego się po czarnym lodowisku. Był podobny do przyplaszczonej małej trąby powietrznej. Ten wir powietrzny otworzył się, a może pękł i zobaczyliśmy, jak czarny, nadtopiony kamień przechodził bezpośrednio w taśmę — eskalator, przesuwającą się wzdłuż konsoli komputerów o nieznanym przeznaczeniu. Mechanik od razu włączył szósty bieg i rzucił maszynę na miraż. Ale zapomniał włączyć przy tym deflektor. Zwyczajna pomyłka, nie naciśnięty na czas przycisk, nie włączona lampka, jakiś kontakt, który nie zaskoczył w mózgu. Miraż odpowiedział uderzeniem na uderzenie: z taką samą siłą odrzuciło nas wstecz. Mechanik i geolog zginęli na miejscu. Doktor ma złamane obie nogi — leży w gipsie. Tylko ja wyszedłem bez szwanku, w związku z czym jestem zmuszony przejąć wszystkie sprawy związane z ekspedycją”.

W następnym komunikacie zabrzmiały nuty poważnego zaniepokojenia:

„Musiałem zrezygnować z samotnych badań planety. Nie mogę ryzykować i zostawiać Doka bez pomocy. Złamania zrastają się źle. W dodatku przez cały czas trzeba się bronić. Miraż obecnie nie uciekają przed człowiekiem, lecz atakują i prześladują. Spotkałem zielone tornado w odległości zaledwie kilku metrów od stacji. Szło w moim kierunku i najprawdopodobniej by mnie dopadło, gdybym nie zdążył dobiec do drzwi. Innym razem zobaczyliśmy przez okno, jak tuż obok pojawił się tropikalny las. Wyszedłem, wtedy las przysunął się bliżej. Gdyby nie promiennik, gałąź gigantycznej paproci ugodziłaby we mnie, ale zdążyłem ją odciąć wiązką płomienia. I wszystko zniknęło”.

Ostatni komunikat był zupełnie krótki:

„Mój promiennik to wierna i jedyna broń w walce z atakującym nieprzyjacielem. Czasem muszę go używać kilka razy dziennie. Już nie wychodzę poza obręb stacji. Przysyłajcie zmianę, dopóki nie jest za późno”.

Na tym wiadomości się urwały. Próba nawiązania wideołączości bez udziału nadawczo—odbiorczej aparatury stacji kosmicznej nie przyniosła rezultatu: wyładowania atmosferyczne zniekształcały obraz. Wydawało się, że cała przestrzeń w tym rejonie nasycona jest elektrycznością.

Z komunikatami „Hedony 2” Kapitan zapoznał się w archiwum Służby Kontaktów. W instrukcji były one tylko streszczone. Instrukcja nie przytaczała również rozmowy, którą Kapitan przeprowadził z dyrektorem Służby:

- Wyślesz ekspedycję?
- Oczywiście.
- Uwzględnij kandydaturę ziomka. Leningradczyk nie zawiedzie.
- Uważasz, że tamci zawiedli?
- Oczywiście, że nie. Po prostu mieli pecha. W pierwszym starciu z Nieznanym stracili trzech ludzi.
- Sądzisz, że wy będziecie mieli więcej szczęścia?
- Postaramy się wykorzystać doświadczenie poprzedników. Coś niecoś już wiemy. A poza tym moja załoga jest obecnie wolna.
- . — Co ona sobą przedstawia?
- Sam Bibl wart jest tyle, co dziesięciu specjalistów.

- Nie macie geologa.
- Zagadki planety nie będą rozwiązywać geolodzy, lecz psychologowie. I specjaliści do spraw kontaktu.
- Myślisz, że się przydadzą?
- Jestem pewien.

Teraz musiał swoje przekonanie wesprzeć dowodami. Kazał załodze przerwać gadaninę o Hedonie. Należy wziąć się w garść, nie dekoncentrować się. Któż wie, co ich oczekuje w trakcie najbliższego kwadransu? Kogo znajdą na stacji — żywych czy martwych?

— Schodzimy do lądowania — oznajmił Alik.

Pięć kolorowych słońc przesunęło się poza obrzeże iluminatora, znów ustępując miejsca przymglonemu, srebrzystemu dyskowi planety. Bibl nacisnął przełącznik i usunął filtr. Wyraźnie było widać ciemnoszarą plamę kontynentu, przypominającego odwróconą do góry nogami Afrykę, płynącego swobodnie w otaczającym go oceanie, jak tratwa zmierzająca po jakimś swoim niezauważalnym i nie dającym się obliczyć kursie.

W miarę zbliżania się plama ciemniała, rozmyty tusz gęstniał, a zniekształcona Afryka zmieniała się w czarne wieko fortepianu. Rakieta zniżała się, pozwalając dojrzeć i obwiedzione białą linią granice naturalne go kosmodromu, i wieżyczkę stacji kosmicznej, wetkniętą jak cieniutki igiełka w czarny, nadtopiony kamień.

— Flaga opuszczona — zauważył Alik.

Opuszcza się ją, gdy zaistnieje niebezpieczeństwo; to sygnał, ostrzeże nie dla kosmolotów. Może oznaczać radiację lub epidemię. I jedno, i drugie było wykluczone. Wszyscy trzej o tym wiedzieli i zagadkowość co miało nastąpić, niepokoila i zaostrzała uwagę. Gdy rakieta wreszcie wylądowała w odległości około kilometra od masywnego budynku stacji, milczenie czarnej pustyni stało się jeszcze bardziej zatrważające. Nikt nie podniósł plastikowych żaluzji w oknach, nie wybiegł na spotkanie.

— Co z nimi? Powymierali wszyscy, czy co? — zapytał po rosyjski Mały, dwumetrowy, rudowłosy dryblas w wieku trzydziestu, trzydziestu paru lat.

Na pierwszy rzut oka przypominał Skandynawa lub Irlandczyka, choć urodził się i wychował w Leningradzie, podobnie jak i dowódca. Szesnaście lat spędzonych w kosmosie nie przygarbiło jego postaci, a raczej wyprostowało go jeszcze bardziej i jednocześnie rozwinęło jego barki i tors. Wprawdzie algol był na Ziemi pod koniec dwudziestego pierwszego wieku ku językiem międzynarodowym, dublującym język maszynowy, jednak że Mały, podobnie jak reszta uczestników ekspedycji, najchętniej posługiwał się językiem swego dzieciństwa. Pierwszy sprzeciwił się „algolizacji” Bibl, który zmusił Alikę do uczenia się na pamięć całych stron Puszkina i Majakowskiego. „Algol, algol — mrucał — ale Puszkina mimo wszystko pisał po rosyjsku... Kocham cię, Grodzie mój Piotrowy; twych zwartych kształtów kocham ład... No, teraz ty”. I Alik obdarzony pamięcią jak komputer recytował dalej do wskazanego wersu. Ale jego gusta nie ograniczały się do klasyki. Z takim samym zapalem cytował również matematyka Merle’a, który odkrył prawo wielofazowości przestrzeni i współczesnego poetę Ejsmonta, genialnie łączącego lirykę i algol.

— Czarna, pustynna planeta — wygłosił z patosem odszukawszy w pamięci odpowiednie rymy — pod nogą dźwięczy jak metal...

Kapitan skrzywił się, nie lubił patosu.

— Daj spokój — uciszył Alikę. — Zleż z koturnów. Patrz i słuchaj. Dźwięczy? Nic nie dźwięczy. I to wcale nie metal, ale nadtopiony kwarc. — Jeszcze raz uważnie rozejrzał się wokoło i dodał: — Widzicie pył? I żadnych śladów — ani pojazdu, ani człowieka.

— A jeżeli mają poduszkowiec?

— Przecież gdzieś musiałby się zatrzymywać. Nawet przy drzwiach nie ma śladów. Może już nie wychodzą na zewnątrz?

Cała czwórka w milczeniu przypatrywała się kopulastemu budynkowi stacji. Dzieliło ich od niego nie więcej niż dziesięć kroków. Wszystkie żaluzje w oknach były opuszczone, ciężkie drzwi zamknięte na głucho. Ich powierzchnia z nierdzewnej stali odbijała słońce niczym zwierciadło.

— Hej, hej, jest tam kto? — zawołał Kapitan. Milczenie.

Zawołali jeszcze raz. Nikt nie odpowiedział.

— No i jak, wejdziemy? — zapytał Mały.

— Mam klucz — poinformował Kapitan. — Dostałem go w Służbie Kontaktów.

Stalowe drzwi otworzyły się lekko, prawie bezszelestnie. Szeroki korytarz, zagracony opakowaniami z drewna i płyt wiórowych oraz zwojami kolorowych przewodów, był cichy i bezludny. Gdy stanęli na jego środkowym pasie, gdzieś włączył się mechanizm i samobieżna ścieżka ruszyła unosząc ich w głąb stacji.

I ani jednego dźwięku. Tylko monotonne mruczenie chodnika i ciężkie oddechy przygotowanych na wszystko gości.

ROZDZIAŁ II

DWAJ W STALOWYM „BESCIE”. OPOWIEŚĆ DOKTORA.

Stacja badawcza na planecie zmontowana była z plastikowych płyt zbrojonych nierdzewną stalą. Inżynier nazwałby ją wycinkiem płasko-wypukłej soczewki; po jej łuku przesuwała się taśma chodnika korytarza. Na korytarz wychodziły stalowe drzwi, niejednokrotnie umieszczone daleko od siebie. Na ich lśniących jak lustro płycinach widniały lakoniczne napisy: „Lodówka”, „Kuchnia”, „Magazyny”, „Laboratoria”, „Konnektor”, „Komputery”. W drugiej połowie korytarza mieściły się kabiny specjalistów: „Drugi pilot”, „Cybernetyk”, „Geolog”, „Szef”. Dojechali na miejsce. Kapitan dotknął ręką drzwi i chodnik zatrzymał się. Klamkę zastępował przycisk sygnalizacyjny, ale albo nie działał, albo jego działanie zostało zablokowane przez inny mechanizm, drzwi bowiem nie otworzyły się. Spróbowali najstarszego sposobu: Mały grzmotnął obcasem w metalową płytę. I znów bez rezultatu.

— Otwieraj! — huknął. — Swoi!

W odpowiedzi cienki i zwężający się jak klinga rapiera, oślepijająco niebieski promień przebił stalowe drzwi, tylko cudem nie zahaczając Małego, który odskoczył do tyłu i przywarł do ściany. Stojący nie opodal Kapitan krzyknął zduszonym głosem: „Spokój! Do tyłu!” — i słownie odrzucił Bibla i Alikę od drzwi. Teraz niebieska klinga nie mogła już nikogo dosięgnąć.

Rozcięta na ukos drzwi i piętrzącą się pod przeciwną ścianą piramidę skrzynek z syntetycznymi befsztykami, jeszcze raz przejechała na krzyż i zniknęła za drzwiami. Na ich stalowej powierzchni widniał tylko równe, nadtopione szwy. Zapachniało palonymi syntetykami i wiórami. Później drzwi uchyliły się odrobinę i w szczelinie pojawiła się dokładnie wygolona, szczupła twarz z uważnie patrzącymi oczyma snajpera. Mądre, przenikliwe spojrzenie odnalazło siedzącego w kucki Małego skupiony, jak przy celowaniu, wzrok złagodniał nagle i cienkie wargi rozchyliły się w uśmiechu. Człowiek w brudnej, zamazanej kurtce, z licznymi zamkami błyskawicznymi, zrobił krok do przodu i przyjacielskim tonem zapytał w algolu:

— Mały?

— Idiota — odparł Mały, wstając. — Przecież wołałem, że swoi.

— Wołałeś po rosyjsku — powiedział Kapitan, podchodząc bliżej. — Przyjmij zmianę, gospodarzu. Drugi Pilot, jeżeli się nie mylę?

Drugi Pilot „Hedony 2” był podobny do pojawiających się niekiedy na ekranach telewizorów kowbojów ze starych filmów. Zaciśnięte usta, zimne spojrzenie i dwie głębokie bruzdy koło ust, jak dwie kreski nakreślone przez artystę grafika na rysunku twarzy mężczyzny ogarniętego pragnieniem, aby złamać, zabić, przeżyć, wytrzymać. Teraz oczy płonęły ciepłem przydrożnego zajazdu, otwartego w niepogodę na spotkanie gości.

— Fajnie, że jednak przybyliście! Zmiana! To brzmi jak dzwon na jarmarku.

— A co, masz pietra?

— Nieee. Bać, to się nie boję. O siebie, oczywiście. Ale z Dokiem marnie. Kości się nie zrastają. Czegoś brak w organizmie.

— No, a kontakty?

— Widziałeś moje kontakty. O mały włos nie wyprawilem was tamten świat.

— Nerwy wysiadły?

— Wysiąć nie wysiadły, ale przyzwyczailem się do trzymania palca na spuście. Wy też zakosztujecie tego, bądźcie spokojni.

— Po to przyjechaliśmy.

— Rakietę w porządku?

— Caluteńka.

— A automatyka?

— Również.

— A wy w ogóle tu zostajecie? — zapytał nagle.

— Oczywiście. My na zmianę, a wy do domu. Siadaj za pulpit sterowniczy i wio.

Kowboj–Pilot wykonał coś w rodzaju szamańskiego tańca wśród rozdeptanych niedopalków, pustych butelek, otwartych puszek i rozgniecionych tubek ze skoncentrowanym bulionem i serem. Można było tylko podziwiać, jakim cudem nie potknął się i nie złamał nogi na tym śmietniku. Być może ten przestronny pokój bez okna, ale z czystym sztucznym powietrzem dawniej nadawał się do mieszkania, teraz jednak wyglądał jak po rewizji albo po bójce pijanych gości. Odrapane stalowe ściany tu i ówdzie przecinały wypalone promiennikiem szramy.

— Po co niszczyliście ściany? — zainteresował się Bibl.

Z wygolonej twarzy pilota zniknął uśmiech. Uważnie rozejrzał się wokół. Gest był odruchowy, bezwiedny.

— Przenikają i tutaj... — szepnął, powoli wycofując się w kierunku wewnętrznych drzwi, przez które widać było wąziutkie, spiralne schody prowadzące na wyższe piętro. — Chodźmy. Tam jest bezpieczniej. Inny horyzont, inny poziom.

Kapitan i Mały popatrzyli po sobie. Nie miało sensu prosić o wyjaśnienia.

— Brudnawo tu — powiedział Kapitan.

— Nie ma komu sprzątać. Na górze jest czyściej.

— A kto jest na górze?

— Ja i Dok. Tam jemy i śpimy.

— Dlaczego nie nawiązywaliście łączności?

— Nie ma sensu. Oszczędzaliśmy energię dla was.

— Można obejrzeć urządzenia? — zapytał Alik.

Drugi Pilot gościnnie wskazał na drzwi.

— Czemu nie? Dziesiąte drzwi po prawej. Przyciśnij guzik i wchodź. Tam jest czysto. Pyłu nie ma: wentylator działa, pyłochłon w porządku.

— A nie wleżę na promiennik? Może macie automatyczne.

— O tym nie pomyślałem — roześmiał się Pilot.

Alik spojrzął pytająco na Kapitana i wyszedł. Pozostali ruszyli za Pilotem. Po kręconych schodach wspięli się do pokoju, który różnił się od tamtego tylko oknem umieszczonym ukośnie i zaciągniętym na wpół przezroczystą storą. Nie przepuszczała ona ciepła promieni słonecznych, ale pozwalała widzieć wszystko wokół. Inna rzecz, że nie było specjalnie na co patrzeć, jeżeli nie brać pod uwagę przygnębiającej czerni pustyni.

W pokoju było czysto i schludnie — żadnych niedopalków, butelek, puszek. Jedno z wysuwanych łóżek było starannie zasłane, a na drugim leżał niemłody już, szpakowaty mężczyzna w rozpiętym mundurze z dystynkcjami. Był gładko ogolony, jak jego towarzysz, za wyjątkiem charakterystycznej, donkiszotowskiej bródki. Nie poruszył się i nie otworzył oczu.

— Obudź się, Dok — powiedział Pilot. — Zmiana. Nareszcie długo wyczekiwana zmiana.

— Co, co? — zawołał leżący na łóżku i otworzył duże oczy o dobrym i wcale niesmutnym spojrzeniu.

— Nie poznaje pan? — zapytał Kapitan.

Doktor przycisnął guzik u wezłowia. Stora uniosła się i w pokoju zrobiło się jaśniej.

— Teraz poznaję — powiedział. — A więc jest was tylko trzech? Niedużo.

— Czwarty sprawdza łączność.

— Nas też było czterech — mówił w zamyśleniu Doktor. — Czterech Dwóch żyje, dwóch pochowano przy stacji. Zamiast łopaty użyto promiennika, a ołowiu z odkrywki zamiast nagrobka. Jak się to odbywało nie wiem, nie widziałem.

— Nie sprawia pan wrażenia człowieka przybitego nieszczęściem — : zauważył Kapitan.

— Nie umiem rozpaczać. I nie warto, moim zdaniem. Nie poszczęściła się, no to trudno. My

zaczęliśmy, wy zakończycie, a jeżeli nie wy, to inni. Naszych błędów nie powtórzycie, wykorzystacie doświadczenia, no, a nas do archiwum Służby Kosmicznej.

Pilot kaszlnął znacząco. Doktor roześmiał się.

— Wybacz, mówię o sobie. A jeżeli mnie wylatają, to myślę, że też się przydam. Pilot to skarb. W każdy rejs się nada, choćby od zaraz. Nawet mi żal, że musi lecieć ze mną. Przydałby się i wam: mądry, zdecydowany, z wyobraźnią. — Znowu uśmiechnął się i zwrócił do Pilota: — Przecież mówię prawdę, co? Laserogramy muszą być krótkie, a było spore takich spraw, że człowiekowi o słabych nerwach ręce zadrzą. Miraże to rzecz dziwna i złożona i nie zawsze należy z nimi walczyć promiennikiem. A zresztą, sami zobaczycie. — Doktor zmęczonym ruchem wskazał na załamaną w ukośnej szybie okna panoramę czterech kolorowych słońc. — Wkrótce będzie zachód. Najpierw zachodzi zielone. Może coś zobaczycie, nie wiem.

— Nie powtarzacie prób zbliżenia?

— Nie. Chowamy się przed nimi w stalowym bescie.

— Gdzie, gdzie? — nie zrozumiał Mały. Bibl uprzejmie uprzedził odpowiedź Doktora:

— Pamięć Doktora, podobnie jak moja, przechowuje pojęcia już zapomniane przez ludzkość. Doktor jest Irańczykiem, a w dawnym Iranie tak nazywano schronienia, azyle dla prześladowanych... Tylko dlaczego nawet tu macie ściany poprute promiennikiem?

— Z nadmiaru ostrożności — powiedział Doktor. — Pilot nie lubił podejrzanym dźwięków.

— A promiennik pomaga?

— Teoretycznie nie powinien. Materialny promień przeciwko fantomom? Oczywiście nonsens. Ale wyobraźcie sobie, mimo wszystko spalił cały skraj lasu, który „wyrósł” bezpośrednio koło stacji. Jakiś dziwny był ten las — syluryjskie mchy i archaiczne paprotniki.

— Miraż?

— A jak pan myśli? Pilot pociągnął promiennikiem raz i drugi i wszystko zniknęło. Ale zwęglone kawałki zostały. I pomarszczone liście rozsypujące się przy dotyku. I popiół!

Rozmowa urwała się. Informacja Doktora była zaskakująco bezsensowna. A może to już mania prześladowcza? Ale dlaczego u obu?

— Próbowaliście jakoś to wyjaśnić? — zapytał Kapitan.

— A wy? — Doktor wybuchnął. — Cztery słońca wschodzą i zachodzą i nikt do tej pory nie potrafi wyjaśnić, gdzie, jak i dlaczego! Zmęczyły mnie już te cuda i hipotezy.

Uniósł się na łóżku i napił się wody z sokiem. Albo Kapitan nie potrafił ukryć jakiejś nutki niedowierzania, albo konieczność przekonywania o rzeczach dla niego oczywistych zdenerwowały Doktora. Ze zmęczonym wyrazem twarzy spojrzął w okno i zawołał z nieoczekiwaną radością:

— Patrzcie! Macie szansę.

Wysunięte na zewnątrz okno nie zniekształcało widoku. Wzrok sięgał daleko, pustynia była widoczna jak z otwartego balkonu. Linia horyzontu przecinała tarczę zielonego słońca, z którego pozostał już tylko wąski, świecący łuk z trawiastozłocistym odbłaskiem. Tuż obok, ale bez zachowania symetrii, jakby po innej orbicie, spełzało ku horyzontowi jeszcze jedno słońce — błękitny, płonący strzęp nieba.

Pomiędzy horyzontem i stacją pośrodku czarnej pustyni, wyrastało nagle coś trudnego do opisanego i prawie niepojętego. Wyglądało to jakby niewidzialny Guliwer bawił się kolorowym dziecięcym zestawem konstrukcyjnym. Brał kule i cegielki, piętrzył z nich rozcięte piramidy i kopuły, przekrzywione sinusoidy i zgniecione sześciany, albo nagle znanego, podobnego do wieży w Pizie, pochylonej nad przewróconym góry dnem stadionem. Białe taśmy wiły się jak węże, znikwały, to znów pojawiały się w tej architektonicznej malignie. Ludzki rozum nie był jej twórcą, nie było w niej głównej cechy ludzkiego dzieła — celowości.

— Macie wątpliwości, czy ten kolorowy koszmar może być stworzony przez człowieka, służyć mu, cieszyć go lub radować — powiedział Doktor, jakby odgadując myśli swoich współmówców. — Mylicie przyjaciele. Widzicie te przesuwające się po białych taśmach

punkt To żywe istoty, zewnętrznie niczym nie różniące się od nas, Ziemian. Widzieliśmy ich blisko: są trójwymiarowymi i humanoidalni.

— Cóż oni robią w tym chaosie? — zapytał Bibl.

— Nie mogę odpowiedzieć, bo nie dysponuję odpowiednimi obserwacjami. Ale mam pewne przypuszczenia. Żyją. To jest miasto. Z innego świata, może z innego wymiaru. Nie należy do czarnej pustyni. To, co widzimy, to miraż. Widzicie, już się rozplywa.

Niebieskie słońce schowało się za horyzontem. Zgasły również mętne odbłaski. Bezmyślny zamęt tęczowych konstrukcji również blaknął, tracił zarysy i barwę.

— A gdy zachodzi inne słońce, miraż powtarza się? — ponownie spytał Bibl.

— Rzadko. Nie ustaliłem prawidłowości ich pojawiania się. Ale każde zbliżenie jest niebezpieczne.

Ledwo słyszalne poskrzypywanie kręconych schodów przerwało słowa Doktora. Pilot błyskawicznie znalazł się przy łóżku, na którym zostawił swój promiennik.

— Nie przesadzaj — ciężka ręka Małego spoczęła na jego ramieniu i przygniotła go do podłogi — to przecież Alik.

Alik wszedł do pokoju z tak promienną twarzą, że nieomal widać było aureolę nad jego głową.

— Aparatura w porządku — meldował z uniesieniem — chociaż zasilanie jest słabe i dłuższy seans łączności z Ziemią jest wykluczony. Na razie wysłałem tylko króciutki meldunek o naszym przybyciu.

— A jutro zameldujecie o naszym wylocie — powiedział Doktor.

— Niech się pan nie spieszy, Dok — zaprotestował Pilot — trzeba jeszcze przeżyć świt.

W odpowiedzi rozległ się cichy śmiech Doktora.

— Ja, syneczku, nie wierzę w uroki. Zmiana jest na miejscu, i to zmiana na poziomie. Tylko nie powtarzajcie jeszcze jednego naszego błędu: wyjeżdżajcie na rekonesans we dwóch, a dwóch niech zawsze zostaje na stacji. W szczególności nie będę się wdawać. Po co niepotrzebnie straszyć i niepokoić.

Kapitan pomyślał, że prościej i chyba rozsądniej byłoby podzielić się doświadczeniami swojej półrocznej pracy na stacji i że żaden szczegół nie byłby zbędny. Ale Doktor i Pilot wyraźnie unikali wyjaśnień. Dlaczego? Być może powodowali się współczuciem dla zmienników—skazańców albo zawiścią do przyszłych odkrywców Nieznanego? Namawianie ich do szczerości nie miało sensu i Kapitan nie powiedział ani słowa.

— Przypomnę jeszcze tylko jedno — ciągnął dalej Doktor, zamknąwszy oczy. — Nie zbliżajcie się do mirażu. Unikajcie spotkań z jadowitymi zmijami. Nie ruszajcie ich, jeżeli nie napadają. I lepiej uciekajcie, jeżeli jest czas i możliwość ucieczki.

— A jeżeli takiej możliwości nie ma?

— Brońcie się. W magazynie są promienniki i granaty tworzące trwałą zasłonę dymną — swego rodzaju „smog”. Jest również taktyczna broń jądrowa, ale w tutejszych warunkach jest ona praktycznie bezużyteczna, a radiacja szczątkowa jest bardziej niebezpieczna dla nas niż dla wędrownych, niematerialnych fantomów. Jest wreszcie przenośny deflektor wyładowań elektrycznych, skonstruowany przez mego kolegę. To chyba najbardziej skuteczna broń przy spotkaniu z mirażem: ustawiamy go w czasie porannych i wieczornych wycieczek. — Teraz się wam nie przyda. Noc jest porą właściwie bezpieczną.

Zaledwie skończył zdanie, już spał, podobny do woskowej figury z panoptikum. Pilot popatrzył na niego i powiedział z zawiścią:

— Śpi. A ja, choć nauganiam się cały dzień, nie mogę zasnąć. Chyba macie rację, nerwy mi nawalają.

Doktor nie był zapewne zbyt elokwentny i Pilot jak dziecko cieszył się z rozmówców.

— Pewnie macie ochotę na kolację? Niestety, nie oczekiwaliśmy was i nie przygotowaliśmy się, jemy podgrzane świństwo z tubek. Ale w soboty i niedziele urządzamy sobie ucztę.

Przeistaczam się w kucharza i serwuję dania — palce lizać. Zresztą jedzenie możecie przygotować w kuchni nawet teraz. Wszystko tam jest — i żywność syntetyczna, i konserwy. W ogóle rozgośćcie się. Pokoi jest do woli, trzeba je tylko przewietrzyć i posprzątać. Klimatyzatory włącza się na tym samym pulpicie co i światło. O świcie żaluzji nie podnoście, nie radzę. A promienniki są w magazynie, zaopatrzenie się zawczasu. Sprawdźcie je na zewnątrz, teraz to bezpiecznie.

— A co tu jest niebezpieczne? — huknął Mały.

— Wszystko. Zachody i świty. Powietrze, którym oddychasz. Pył chrzęści w zębach, kiedy się idzie pod wiatr, i unosi się nagle mętnymi, przezroczystymi kłębami. A czasami zielenieje jak rzęsa na bagnie albo połyskuje niebiesko, albo gęstnieje jak atrament. Sunie taki kłąb pyłu, błądzi jak ślepy, i jeżeli jesteś na piechotę, to uciekaj, pókiś cały, a jeżeli jedziesz na kołach albo na poduszkowcu, to wrzucaj szósty włączaj deflektor i kieruj maszynę na ten wir! Deflektor na pewno przełamie pole ochronne. Nie wątpię w to i chętnie zaryzykowałbym raz, nawet sam, ale rozumiecie, że nie mogłem ryzykować, przecież Dok nie może się ruszyć z miejsca. — Pilot zauważył, że Mały przeciąga się zmęczony, więc zmienił temat. — Nie zatrzymuję was, chłopcy, pora spać, a noce na Hedonie są krótkie. I nie zapomnijcie o promiennikach.

— Myślę, że promienniki nie są potrzebne, a z jedzeniem sami damy sobie jakoś radę — oświadczył Kapitan. Kiedy schodził po schodach, szepnął cicho do Małego: — A mimo wszystko szkoda pozbywać się takiego chłopaka, przydałby się nam.

— Może namówić go, żeby się wstrzymał z odlotem? — zapytał Mały.

— To bezcelowe. Instrukcja wyraźnie mówi, żeby niezwłocznie odesłać drugą ekspedycję na Ziemię. To nie przypadek, że złamania Doka się nie zrastają. No, idziemy!

ROZDZIAŁ III

ZNACZENIE POZORNÝCH SŁOŃC. BRODATE NIEMOWLAKI.

Na Hedonie doba jest o cztery godziny krótsza, a i zmęczenie zrobiło swoje. Pierwszy świt na planecie Kapitan i Mały przesпали. Nie słyszał nawet, jak znowu dokładnie ogolony Pilot z nieodłącznym promiennikiem wtargnął do pokoju razem ze słońcem.

— Wstawać, staruszkowie! Śniadanie gotowe. Nie śniadanie, lecz uczta! rakiетkę już zdążyłem zbadać. Cudo!

Dla Doktora wybrano kombinezon gigantycznych rozmiarów, w którym można było zmieścić jego zagipsowane nogi. Uszczęśliwiony Doktor oświadczył:

— Na pożegnanie mogę podzielić się przypuszczeniem. Wszystkie pozorne słońca to przestrzenne odbicia jednego, prawdziwego. Optyczny wyraz wielowymiarowości przestrzeni. Na Hedonie te przestrzenne krawędzie okazały się w istocie innymi niż na Ziemi. Ale Pilot mi nie wierzy.

— Bzdura — powiedział Pilot. — Nie uznaję geometrii nie podporządkowanej wzrokowi.

— Matematyka już dawno opracowała geometrię wielowymiarowej przestrzeni — zaprotestował Kapitan.

— A życie mnie jak dotąd nie przekonało, że równoległe się przecinają, a rozdzielne punkty się pokrywają. Niech mi to fizyka potwierdzi.

— Optyka to też fizyka — powiedział Alik, ale Pilot tylko machnął ręką.

— Być może rozwiązanie sens tych przymglonych latarni na niebie, ale mój czas już minął — westchnął i wyszedł.

Rakiетkę przygotowywali do startu wszyscy oprócz Bibla, który grał w szachy z Doktorem. Wszystkie trzy partie Bibl wygrał bez trudu, chociaż Doktor myślał nad każdym ruchem po pół godziny.

— Dobry jesteś — powiedział Dok. — Jeżeli z równym skutkiem zagracie z gospodarzami Hedony, to im nie zazdroścę.

— A tak szczerze, wierzy pan w tych gospodarzy?

Dok uśmiechnął się:

— Szczerze? Wierzę. I bardzo żałuję, że mieliśmy pecha z tym wypadkiem. Rozwiązalibyśmy to zadanie przed wami.

Na czarnym lustrze pustyni rakietka była już gotowa do startu. Mały, który już od dawna nie miał nic do roboty, szepnął Kapitanowi:

— Wy ich tu sobie odprowadzajcie, pomachajcie chusteczkami, a my z Alikiem pokręcimy się „Portosem” po okolicy. Taka kontrola nie zaszkodzi. — Mały wsunął się do kabiny zwiadowczego pojazdu terenowego, popularnie zwanego „Portosem”.

Alika mdliło od pyłu, jaki wzbily sprawdzane silniki rakiety, drapało go w gardle. Swobodniej odetchnąć można było dopiero w momencie, gdy Mały włączył klimatyzację i „Portos” pomknął nad czarną pustynią. Pojazd płynnie sunął na poduszce powietrznej, utrzymując wciąż jednakową wysokość. Ale ta monotonia drażniła. Po co pętać się po jednolitej Płycie, na której ani jedna trawka nie rośnie? Nie ma tu żadnego życia, tylko wiatr i kurz. Alik w końcu zapytał Małego, dokąd właściwie jadą?

Mały wskazał na dwumetrowy kłęb zielonkawego pyłu wirującego jak bąk w promieniach bladezielonego słońca.

— Interesuje mnie to tornadko.

— Zwykły pył — obojętnie stwierdził Alik.

— Niepodobne do ziemskich. Stożki stykają się podstawami, a nie wierzchołkami.

Mały włączył ekranizację, która chroniła korpus pojazdu przed wszelkimi promieniowaniami i radiacjami. „Na wszelki wypadek” — wyjaśnił, kierując „Portosa” wprost na pyłowy kłęb. Z

bliska był on mętnie przezroczysty, jak dawno nie myta szyba. Pojazd wszedł weń nie drgnąwszy. Zwykły pył. Ale pył ten nie zniknął, trąba powietrzna otaczająca pojazd posuwała się teraz wraz z nimi, zasłaniając widoczność. Mały wrzucił szósty bieg, „Portosem” szarpnęło, nawet zielone słońce zostało z tyłu, ale tornadko nie dawało się zgubić, oblepiając ich zwartą, pyłową otoczką. Alikowi wydało się, że jej zieleń zaczyna być coraz intensywniejsza „Jak rzęsa na bagnie” — przypomniał sobie.

— A może by zawrócić?

Mały roześmiał się, nawet nie spojrzawszy na Aliką.

— Wszyscy tu mają fioła. Nie małpuj ich. Czego się bać? Chyba nie wyładowań elektrycznych, kadłub jest ekranowany. Przepaść? Przeskoczmy. Miraż? Tego nam właśnie trzeba. Przecież polujemy na miraż Safari na czarnej pustyni. Raz, dwa!... Co to?

Zielona trąba powietrzna nagle rozłamała się i zniknęła ukazując gruntową drogę, a właściwie raczej aleję, która biegła pomiędzy szeregami drzew; w górze widniały ich duże, wąskie liście zwrócone krawędzią k słońcu. Alik poznał je od razu: eukaliptusy, i to rosnące tak równo, jakby je specjalnie posadzono. Zupełnie ziemski dwudziesty pierwszy wiek gdzieś pod Melbourne. Czerwone, duże kwiaty na przyszyżonych krzewach również świadczyły nie o syluryjskiej pierwotności, ale o zupełnie współczesnej, zadbanej kulturze parkowej.

Nie zdążył jednak podzielić się swym spostrzeżeniem z Małym, który nie zastanawiając się długo skierował maszynę w aleję, zredukował biegi do jedyńki i zahamował. Pustyni już nie było. Ani czarnego, połyskliwego lodowiska, ani pięciu słońc rozbiegających się po niebie. Świeciły dwa: jedno bladozielone, pozorne i nie grzejące; drugie normalne, gorące jak w lecie, na Ziemi. Eukaliptusowa aleja z Melbourne zakręcała dalej w stronę zwartej ściany wysokich drzew, przypominających akacje. Od kwiatów na krzewach płynął odurzający, korzenny zapach.

— No i masz miraż — powiedział Mały.

Alik nie odpowiedział, tylko otworzył drzwiczki i wyskoczył na drogę.

— Ostrożnie! — uprzedził Mały.

Alik: zdążył już jednak klepnąć wspinający się ku niebu pień. Potem schylił się, dotknął trawy i podniósłszy kamyczek cisnął nim w krzaki. Jakieś pstre, zupełnie ziemskie motyle zerwały się i zaczęły krążyć na krzewami.

— A gdzie ten paleozoik? — zapytał Alik.

Nie chciało mu się nigdzie iść. Cudowna oaza, jaka powstała na czarnych kamieniach, przykuwała go do miejsca odległym wspomnieniem Ziemi.

— Zbikowałeś — odezwał się Mały i splunął przez otwarte drzwi na drogę. — Kwiatki, trawki. Może jeszcze zatańczysz na łączce. A jak będziemy wracać?

Alik spojrzał na miejsce, przez które „Portos” dostał się na tę drogę, pyłowa trąba powietrzna otaczająca ich pojazd zniknęła razem z pustynią. Furteczka do rajy otworzyła się i zamknęła.

— Jak myślisz, gdzie jesteśmy? — zapytał.

— W mirażu. Ale to nie miraż, tylko coś innego — odparł Mały unikając wysuwania jakichś hipotez.

— Zrozumiałem, dlaczego jest pięć słońc. Każde z nich ma swoją przestrzeń i swój czas. Swoją świat. Teraz jesteśmy w świecie zielonego słońca.

— Z fizyką to się trochę nie zgadza — stwierdził Mały z powątpiewaniem. — Lepiej pojedźmy szukać wyjścia.

Zwiększył ciąg poduszki powietrznej, „Portos” łatwo przeskoczył przydrożne zarośla i spokojnie popłynął nad czerwonymi kępkami kwiatów rozsypanymi na wyraźnie przyciętych gałęziach. Drogę przegradzał lasek ciągnący się w prawo, jak się zdawało, bez końca. Inna sprawa, że słowo „lasek” wyraźnie tu nie pasowało: z bliska okazało się, że są to zarośla owych gigantycznych paprotników, o których tak wiele mówili Pilot i Doktor. Grube, wielometrowe

pnie, chylące się pod swym własnym ciężarem, obsypane były liśćmi podobnymi do kawałków grubej blachy. Zahaczając o siebie nie szemrały, lecz zgrzytały z obrzydliwym, metalicznym skrzypieniem.

— No, tych nie przeskoczmy — powiedział Mały zakręcając i lecąc wzdłuż paproci nad szarymi, półmetrowej wysokości mchami.

To był rzeczywiście paleozoik — las z otchłani ziemskiej prehistorii Alik widział taki sam, ożywiony za pośrednictwem cudów optyki bez — soczewkowej, na wideoekranach muzeów ewolucji biologicznej na Ziemi. Paprocie podobne do palm, z kudłatą, nie rozgałęziającą się koroną, skrzypy krzewiące się jak gigantycznie rozrośnięta babka, albo ścielące się po ziemi, przebijające grubymi, kłującymi liśćmi potężny pokład mchów. Pachniało błotem i zgnilizną, jak w wilgotnych, zarośniętych wąwozach ziemskich rezerwatów. Nieprzypadkowo Alikowi wpadło do głowy takie właśnie porównanie — w tym dekoracyjno-paleozoicznym lesie było coś z rezerwatu. Zupełnie jakby ktoś obciął go, odgrodził podciętą taśmą mchów i umieścił tuż obok białych akacji i szeregu troskliwie piętnowanych eukaliptusów. Paleozoik obok współczesnych subtropików, odległość setek milionów lat, a Mały pokonał ją „Portosem” w ćwierć minuty.

Jechali w milczeniu, z napiętą uwagą i nurtującym uczuciem niepokoju. Co to za świat? Gdzie jest władający nim rozum, który tasuje epoki geologiczne i ukrywa je w kłębach zielonego pyłu? I najważniejsze — czy można wrócić z powrotem, do cząstki Ziemi zawartej w zagraconych pokojach stacji obserwacyjnej. Odległość nie była czymś strasznym: pozytronowy silnik ich pojazdu nie wymagał „tankowania”, energię uzupełniało promieniowanie słoneczne; syntetyki spożywcze w zapasowych pojemnikach starczyłyby na wielodniowy wariant podróży. A co dalej?

— Dziwne — powiedział Alik.

Mały nie zainteresował się, cóż szczególnie dziwnego jest w tym i tak dziwnym świecie, i Alik musiał wyjaśnić.

— Spójrz, nie ma ani ptaków, ani zwierząt. Tylko motyle. Zatrzymaj się na chwilkę.

Stanęli. Odbiegający w bok paleozoiczny las był ciemny, głuchy i bezszelestny. Eukaliptusowa aleja biegła dalej wijąc się poprzez zagajnik. Po bokach krzewiły się całkiem nieznanne rośliny — ni to dereń, ni to; głóg z długimi, czerwonymi jagodami. I tu również ani jedno zwierzątko nie przebiegało przez drogę, ani jeden ptak nie przeleciał z gałęzi na gałąź.

— Wielka cisza lasu — powiedział Alik.

— Daj spokój — przerwał mu Mały i zaczął nadśluchować.

Spoza dalekich krzewów dobiegało ich ni to kwakanie, ni to pisk. Im bardziej natężali słuch, tym wyraźniej rozróżniali dźwięki. Chwilami dawał się słyszeć skowyt, coś chlupało czy też bulgotało i znowu przeraźliwie skowyczało.

— Koty — pomyślał głośno Alik.

— Nie, to nie koty. Byłeś kiedyś w żłobku? Dla takich dwu-, trzymiesięcznych?

— Nie.

— Zupełnie to samo, tylko głośniej.

— Skąd tu żłobek?

— A bo ja wiem? Może małpy?

— Podejźmy?

— Możemy podejść, to niedaleko — zastanawiał się Mały. — Trzeba będzie zostawić „Portosa”. Tylko włączę osłonę.

Pobiegli. Coś niewidzialnego odrzuciło ich, gdy znaleźli się koło dwumetrowych krzaków. Zupełnie jakby wpadli na przezroczystą, silnie napiętą polimerową błonę. Obeszli krzewy z prawej strony, znaleźli jakieś przejście. Dalej błona znowu zagradała drogę, ale można było zobaczyć wszystko, co znajdowało się za nią.

Mały i Alik nie powiedzieli ani słowa, zaskoczeni widokiem, który tak bardzo odbiegał od

tego, co spodziewali się ujrzeć. W przestrzeni o wymiarach zbliżonych do boiska koszykówki, swobodnie unosili się w powietrzu, leżeli i pełzali ludzie zewnętrznie niczym nie różniący się od Ziemiaków. Wydawało się, że ludzie ci są w stanie nieważkości, przy czym ani nie spadali, ani nie wlatywali, a z całkowitą swobodą utrzymywali się na jednym i tym samym poziomie. Byli to sami młodzi mężczyźni w wieku lat około trzydziestu, zarośnięci jak wczesnochrześcijańscy mnisi, od lat młodzieńczych nie znający ni brzytwy, ni nożyc. Budową swoją przypominali Małego, ale muskulatura ich wydawała się być bardziej równomierna i harmonijna. Jakaż to dziwna, wyłącznie potencjalna harmonia, pomyślał Alik. Ani nie służy ciału, ani też nim nie kieruje. Zbudowani jak antyczni bogowie, brodaczy mężczyźni byli bezradni jak niemowlęta: leżeli na plecach i machali nogami, ślina bąbelkami ciekła z ich ust; nie chodzili, lecz pełzali — być może dlatego, że chodzić nie umieli. Poruszali palcami i wydawali dźwięki, które nawet w przybliżeniu nie przypominały mowy ludzkiej. Gruchanie, skowyt, pisk, świst albo bulgotanie co chwila przechodziły w przeraźliwy krzyk, tak silny, jak tylko pozwalały im na to płuca. Raczujący dorośli nie porozumiewali się między sobą, zgiełk, jaki robili, był bezmyślny. Byli rzeczywiście niemowlakami, choć z wyglądu każdy z nich mógłby być championem. Gdy taki „champion” wydawał swój przeraźliwy, donośny krzyk, natychmiast pojawiała się nad nim jaskrawozielona rurka czy świstek, a właściwie smoczek, który natychmiast chwytają chciwe dziecięce wargi. Nie materializował się z powietrza, nie powstawał z niczego, a po prostu przybierał barwę, do tej pory prawie niezauważalną w niezbyt ostrym świetle zielonego słońca. Takie smoczki w niezliczonej ilości kołysały się nad całym placem na takich samych, prawie niewidocznych rurkach. Płynęły z nich cieniutkie strużki prawdopodobnie smacznej i odżywczej cieczy, gdyż brodate niemowlaki po chwili przewracały się nasycone na wznak, mruczając z zadowoleniem.

— No i masz żłobek — splunął Mały.

— Ale dlaczego wiszą w powietrzu?

— Jakaś grawitacyjna sztuczka. Taka powietrzna kołyska chroni przed niebezpieczeństwem.

— Przecież to dorośli. Może to dom wariatów?

— A bo ja wiem? — rozszłościł się Mały. — Spotkaliśmy obcy rozum. Hurra! Rozbieraj się, bracie, i bulgocz, wspaniały kontakt.

Nie ukończył zdania: coś błysnęło w powietrzu i prześlizgnęło się po jego ramieniu — ni to stalowy drut, ni to srebrzysty promyk, który natychmiast zniknął. Poczul straszliwy ból. Trudno mu było nawet oddychać. Jednakże przypuszczalnie kurtka osłabiła cios, wprawdzie lewe ramię i ręka zdrętwiały, ale nie utraciły zdolności wykonywania ruchów.

W tej samej sekundzie również Alik krzyknął z bólu. Po jego nodze także przemknęła srebrzysta żmijka, i tylko dzięki ubraniu, które częściowo zneutralizowało uderzenie, utrzymał równowagę i nie upadł.

Dwa metry za nimi, w przejściu pomiędzy krzewami, którym dostali się na plac, widniała postać nagiego brodacza, podobnego do tych, którzy znajdowali się za błoną, ale pewnie stojącego na nogach i sprawnie poruszającego rękami. W prawej dłoni miał zaciśniętą czy to metalową zapalniczkę, czy też latarkę, w każdym razie coś podobnego do tych przedmiotów. Z tyłu tłoczyli się również kudłaci mężczyźni o myślących i rozumnych oczach. Inna rzecz, że epitet „rozumne” można było zastosować wyłącznie w zestawieniu z ich sobowtórmi pełzającymi za błoną. Trudno nazwać przejawem rozumu płonące w tych oczach ślepe okrucieństwo, bezmyślną, chłopięcą złość.

— Stój! — krzyknął Mały i skoczył na brodacza.

Ten ledwo zdążył machnąć ręką, a to metalowe „coś” zaciśnięte między jego palcami znalazło się w ręku Małego. Teraz srebrzysta żmij przejechała po nagim ciele brodacza, który cieniutko chlipnął i upadł na worek. Ale ci z tyłu nie odstępowali. Ich promyki skoczyły w kierunku Małego, który zdążył jednak zrobić unik i rzucić się pod nogi atakujących i tym samym elektropejcem przeciągnąć po nich od dołu. Czterech, krzyknawszy z bólu, zważyło się

jak zbite kęgle. Pozostali skryli się za wałem krzewów.

— Wwwwwybacz... — jęczał, jękając się Alik, pomagając towarzyszowi wstać.

— Za co?

— To nie ze strachu. Po prostu nie miałem tej zabawki.

— A o granatach zapomniałeś? Dawaj je tu. Jeden dla mnie — i do wozu. Kiedy wyskoczysz z przejścia, rzuć swój, nie oglądaj się. Ja osłaniam. No!

Alik posłuchał Małego. Wybiegł, skoczył, cisnął przez ramię granat i zniknął za krzewami. Z tyłu wyrosła wielka, czarna kula, która zaczęła wydłużać się na kształt kielbasy, ciągle rozplaszczając się i rozszerzając. „Już czas” — zdecydował Mały i również skoczył naprzód. Poprzez gęstą jak olej zasłonę niczego nie było widać, tylko w odległości jakichś dwu, trzech metrów powłoka dymu wybrzuszała się, jakby ktoś próbował przebić się przez jej tłustą czerń. Zasłona ciągnęła się na jakie cztery metry. „Nie przejdą” — uznał Mały i uspokoił się. Dopędził szybko nogiego Alik, usiadł za pulpitem i ruszył „Portosem” nad samymi krzewami w kierunku pamiętnej eukaliptusowej alei.

— Stchórzyłeś jednak — stwierdził Mały. — Tylko nie bujaj.

— Wcale nie bujam. Sam widziałeś. Dom wariatów sub-Hedony.

— Dlaczego „sub”? I nie sądzę, żeby to był dom wariatów. Nie wiem.

— A co to za żmijka?

Mały wyjął z kieszeni matową, metalową rękojeść, bardzo wygodną, z wgłębieniami na palce, białym przyciskiem i zakończeniem w kształcie kropki. Alik nie dotknął przycisku, musnął go zaledwie, a na końcu kropelki zaświecił się punkcik, tak maleńki, że wymiary jego dałoby się określić tylko w mikronach. Alik cofnął palec z przycisku i kropka zgasła.

— Elektroniczny bicz — powiedział Mały — a ja myślałem, że to stalowy drut. Broń zadająca ból i paraliżująca. Najprawdopodobniej nie zabija. Okrutna zabawka dla okrutnych dzieci.

— Czyich dzieci?

— A może byś chciał wiedzieć coś jeszcze? — odciął się Mały. — Na przykład: gdzie znajduje się ten twój świat zielonego słońca? Na ziemi? Pod ziemią? Fantom z pyłu? Przecież eukaliptusy są prawdziwe, a gdzie rosły godzinę temu?

— Pamiętasz równania Merle’a? — zapytał Alik.

— Nie jestem fizykiem przestrzeniowcem. Do niczego mi to nie jest potrzebne.

— I niesłusznie. Wtedy byś nie pytał, gdzie rosły eukaliptusy. Rosły i rosną. W tej samej przestrzeni, ale w innej fazie. Ona na minutę albo może nawet zaledwie na jakiś kwant uciekła naprzód albo opóźniła się w stosunku do naszego czasu, ale przestrzeń jest już zorganizowana inaczej.

— Dobry jesteś — powiedział Mały — nie na próżno tak cię szkolili w Cambridge. No, a jak wyjdziemy z tej fazy, profesorze?

— Tak jak weszliśmy. A to co?

Z daleka na ich spotkanie posuwał się, opływając korynckie kolumny eukaliptusów kształt dziwnie przypominający stóg dopiero co skoszonej matowozielonej trawy. Gigantyczny kłęb z każdą chwilą rósł, mętniał, nabierał niebieskiego odcienia, to znowu rozpląwał się po brzegach odnózkami o białych rdzeniach.

— To chyba znowu miraż — wysunął przypuszczenie Mały.

Alik wpatrywał się długo, a potem odparł z nutką triumfu w głosie:

— Przypatrz się lepiej, nawigatorze. — I dodał, wyjaśniając: — środek, środek!

A w środku zmieniającego kształt obłoku czerniała plama. Powiększała się, ale zachowywała barwę, pobłyskiwała jak fortepian, odbijający słońce, które ukazywało się za oknem pokoju.

— Zrozumiałem pana! — zawołał Mały i rzucił maszynę prosto w wieko „fortepianu”.

Jednoczesny szok, który na ułamek chwili wyłączył i znowu włączył świadomość, ciemność i światło, normalne dzienne światło, ale jakby padające poprzez bladozielone szkło. A przed

naszymi wędrowcami w panoramicznej szybie pojazdu, aż do samego horyzontu rozciągała się już nie wyłożona słońcem, strzelista eukaliptusowa aleja, lecz przyprószony pyłem, czarny kamień kontynentu. Wydał się on im nagle niezmiernie drogi, swojski, nawet kochany.

— Zdaje się, że się wydostaliśmy — westchnął z ulgą Mały. Alik obejrzał się i zobaczył ażurowy maszt stacji obserwacyjnej.

— Zawracaj — powiedział. — Przyjechaliśmy.

ROZDZIAŁ IV

POŻEGNANIE TYCH, KTÓRZY PRZEGRALI. „HEDONA 3” WCIĄGA FLAGĘ NA MASZT

Wszystko było już gotowe do odlotu. Pozostało kilka minut. Doktorowi zrobiono zastrzyk ze spontyfinu, który reguluje przeciążenia w trakcie przyspieszania, i z wczesną przeniesiono do kosmolotu: wymagane było przynajmniej piętnaście minut ciszy i spokoju w celu stabilizacji systemu nerwowego. Nawet Pilot wyszedł z kabiny, żeby trochę rozprostować kości przed startem, chociaż stać można było tylko w cieniu wysokiej rakiety. Pomarańczowożółte słońce piekło nawet tuż przed zachodem. Ciekawe, że w jego promieniach gasły wszystkie odcienie światła jego sąsiadów i nic w otoczeniu nie nabierało niebieskich czy zielonych barw. Kolorowe słońca nie świeciły, lecz odbijały światło, podobne do błyszczących krążków pomalowanych różnokolorowymi farbami. Można było patrzeć na nie bez ciemnych okularów.

Ale nawet przy jednym słońcu żar był wystarczająco wielki na tych czarnych, rozpalonych kamieniach bez skrawka cienia. W pobliżu kosa lotu dreptało kilka osób. Bibl co chwila zlizywał z warg spływające twarzy słone krople potu. Z trudem wytrzymywał to piekło. Męczący upał nie potrafił jednak stłumić radości, która przenikała Pilota. Podskakiwał i ani na sekundę nie przestawał mówić:

— Piekło? Piekło. Będzie jeszcze lepiej. Nie zazdrozczę wam, słowo daję. A ja i Dok, jak tylko wrócimy, natychmiast prosimy o zwolnienie ze służby kosmicznej. Dok ze względu na stan zdrowia, a ja na własne żądanie. Mam dosyć nie planowanych poszukiwań obcego rozumu w kosmosie! Polatam sobie teraz na ziemskich trasach: spokojnie, na poduszku, z prędkością dźwięku. Jakiś tramping po Morzu Czarnym po Arktyce. Powiecie, że chłodno? Nie szkodzi.

Mały popatrzył na niego ze współczuciem. Ale go wzięło. Miele językiem jak wentylator. Mówi, że nam nie zazdrości. A może zazdrościć: przesiedział tu pół roku i nic. A oni we dwóch z Alikiem rozwiązali zagadkę zielonego mirażu w ciągu jednego dnia, jak zadanko z mechaniki, trzask — i gotowe!

Alik myślał o tym samym. Nie zdążył jednak opowiedzieć wszystkiego Kapitanowi. Okazuje się, ich spotkanie z pyłową trąbą powietrzną mimo wszystko udało się uchwycić obiektywem wideoskopu. Na stacji zarejestrowano, jak zderzyli się, jak połknął ich zielony kłęb i jak później rozplątał się na czarnych kamieniach. Oczywiście wzbudziło to niepokój. Zniknął pojazd i dwóch ludzi. Pilot już ich pochował. Zawyrokował: „Nawet nie czekajcie. Koniec. Szukaj Jonasza w brzuchu wieloryba”. Tylko Dok miał nadzieję: „Znajdą dziurę w przestrzeni i wrócą”. Uważał, że trąby pyłowe czy mgławice to efekty przesunięcia faz czasowych inaczej zorganizowanych przestrzeni. I miał rację.

Gdy rakieta ognistym grotem wbiła się w skraj nieba i zniknęła za jego błękitnym brzegiem, milczeli długo, zatopieni w myślach. Teraz Hedona stała się ich domem, ich ziemią. Powrót do rodzinnych pieleszy nastąpi nie wcześniej niż za rok albo za kilka miesięcy, jeżeli będą musieli wezwać zmianę. Ale Kapitan to nie Dok, to człowiek wykuty z super twardej stali, nie gnę się, nie łamie i nie histeryzuje. Nie da się zastraszyć, nie podda się i nie cofnie; żeby go wstrzymać, trzeba by go zabić, a to nie jest łatwe. Nawet we śnie jest gotów do obrony. Mały ulepiony jest z tej samej gliny, brak mu tylko tej ilości informacji, jaką w ciągu swego życia Kapitan nagromadził.

Bibl był mniej odporny psychicznie, ale ciekawość i pragnienie poznania nowego sprawiała, że bez trudu przełamywał naturalny lęk przed niebezpieczeństwem. Alik nie mógł tego powiedzieć o sobie. Pod wpływem strachu obrzydliwie pociły mu się ręce, czuł drżenie kolan. Tak właśnie stało się w chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył rozbłyskującą nad głową

srebrzystą zmijkę. Jego reakcja na niebezpieczeństwo była, jak to swego czasu wykazały badania, nieco zbyt opóźniona i nie mieściła się w normach przyjętych dla kosmonautów. W komisji atestacyjnej Służby Medycznej powstał nawet spór, czy Alik w ogóle może pracować w kosmosie. Dopiero powtórna próba usunęła wątpliwości: Opóźnienie reakcji było całkowicie rekompensowane odpornością organizmu. Tutaj wskaźnik Alika był nawet wyższy niż jego kolegów z ekspedycji.

Ale teraz niepokoiło go nie niebezpieczeństwo, lecz nieznanne. Prawdę powiedziawszy, „niepokoiło” nie było odpowiednim określeniem. Było to uczucie pobudzające, upajające, takie, jakie niekiedy ogarnia artystę albo uczonego na progu ledwo uświadamianego odkrycia. Kapitan spojrzął na niego i uśmiechnął się: zrozumiał. Później popatrzył na splezające niebieskozielony horyzont mętnie świecące kolorowe kręgi i powiedział w zamyśleniu, nie zwracając się do nikogo konkretnie:

— A przecież jest to zjawisko spotykane czasem i na Ziemi. Powietrze, jak pryzmat, rozszczepia światło i obserwujemy nie jedną białą tarczę, lecz kilka kolorowych, nałożonych na siebie. O zachodzie ich brzegi zazwyczaj dają odbłask, zabarwiając niebo. Najczęściej na czerwono, a czasami, gdzieś na morzu albo w pustyni, można zaobserwować dokładnie taki sam, niebieskozielony horyzont.

— Horyzonty są różne, ale słońce jedno — powiedział Bibl.

— Tutaj też jest tylko jedno. Jedyne na Hedonie warunki atmosferyczne pozwalają obserwować i rozszczepienia widmowe, i fazowe przesunięcie tarcz.

— Może już pojedziemy, co? — ziewnął Mały. — Czas do domu, noce na Hedonie są krótkie.

Wszyscy roześmieli się. Mały uważał jeszcze nie zamieszkaną stację za dom. A przecież dopiero należało zrobić z niej dom, napełnić tę zagraconą szopę ciepłem, atmosferą domową, którą zazwyczaj nazywamy przytulnością. Czterej ludzie znowu obeszli w milczeniu wszystkie koryta i pokoje, w których czuć było kurz i zapach brudnej bielizny, i zdecydowali odłożyć sprawę przytulności do jutra: „Wszystko jedno, przed nocą i tak nie zdążymy. A jutro rozdzielimy się. Dwóch pojedzie «Portosem» dwaj zostaną porządkować stację”. Wszyscy wiedzieli, że pozostaną Alik i Mały, nikt nie protestował i nie sprzeciwiał się.

Po kolacji, przed snem, przeprowadzili krótką naradę — pierwszą na tej planecie. Alik powtórzył opowieść o brodatych niemowlakach; starając się przypomnieć sobie każdy drobiazg. „Jak najwięcej szczegółów! — domagał się Kapitan. — Kolor, kształt, przyczyny, skutki, wszystko, co dało się zapamiętać”. Słuchał nie przerywając, tylko chwilami wtrącał korygujące uwagi albo dawał wyraz niezadowoleniu. „Nie zaobserwowaliście, skąd prowadzą węże z odżywką do tego dziecięcego źłobka? Nie? Szkoda?” Obejrawszy „bicz”, wypuścił promyk aż pod sufit, podstawił rękę, skrzywił się i orzekł: „Broń. Należy przypuszczać, że nie jest śmiertelna, inaczej nie dawaliby jej dzieciom”. Na replikę Bibla: „Dlaczego dzieciom?” Kapitan odpowiedział, uprzedzając Alika: „Dlatego, że dorosłych nie widzieli”. Bardzo się zdziwił, że Mały i Alik przedzierając się do „Portosa”, użyli granatów. „A pasy? Jeden skok i wasze świece dymne nie byłyby potrzebne”. Mały i Alik milczeli, zmieszani: zapomnieli „pasów” na stacji. Te odrzutowe „pasy”, bez których obecnie nie mógł się obejść żaden sportowiec czy turysta, były wynalezione na Ziemi jeszcze w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Wyposażone w dość ciężki silnik turboodrzutowy pozwalały wykonywać skoki na odległość od pięćdziesięciu do dwustu metrów. Przez sto lat udoskonalano je. Silnik turboodrzutowy zastąpiono grawitacyjnym, zmniejszonym do rozmiarów niewielkiej klamry na plecach. Dzięki temu skoki przekształciły się w swobodny lot. Jednym ruchem ciała można było zmienić kierunek, ale to właśnie spowodowało, że „pasy” nie znalazły zastosowania jako masowy środek transportu. Na początku dwudziestego pierwszego wieku były one równie popularne jak motocykle sto lat wcześniej.

Umiejętność posługiwania się „pasami” była dla każdego kosmonauty sprawą elementarną, i

Alik doskonale rozumiał, że korzystając z „pasów” zobaczyliby i dowiedzieliby się o wiele więcej. Kapitan i Bibl znajdowali się w lepszym położeniu: ich podróż można było zaplanować i zdecydować, co wziąć, co zostawić, jakie przyrządy, jakie narzędzia, jaką broń.

— Promienniki bierzemy — zdecydował Kapitan — ale będziemy ich używać tylko w wypadku skrajnej konieczności. I nigdy przeciwko dzieciom..

— A jeżeli trafiliśmy do kosmicznego Brobdingnag — zauważył Alik. — Jeżeli tak właśnie wyglądają tu niemowlęta, to — dorastając zamieniają się w wielkoludy?

— Nawet wtedy promiennik to ostateczność: Tylko w przypadku, kiedy w żaden inny sposób nie da się uniknąć niebezpieczeństwa. Sądzę, że wystarczą nam „pasy”, granaty dymne i pneumoosłony.

— Prawdę powiedziawszy jeszcze ani razu nie miałem w ręku tego cudeńka — przyznał Bibl.

— Spróbuj. Trzymaj środkowy palec na spuście i to wszystko. Fałą spotkaniową odbija wszystko, od kamienia poczynając a na pocisku kończąc. Każde zwierzę połamie nogi skacząc na ciebie.

Mały nie omieszkiał przypomnieć Kapitanowi:

— Nie zapomnij bransolety z przyborami zewnętrznego włączania i wyłączania osłony wozu. To zasada numer jeden: opuszczony pojazd zostaje zabezpieczony przed jakąkolwiek działalnością z zewnątrz. Pamiętasz, jak zginęła druga ekspedycja na Prokli?

Kapitan skrzywił się:

— Nie kracz. Jesteśmy uzbrojeni i możemy się niczego nie obawiać, człowieka, ani przyrody. Ani zera absolutnego, ani absolutnej próżni, ani plazmy. Niebezpieczne jest co innego — przesunięcie faz. Wejścia i wyjścia. Nie wiemy, kiedy się otwierają, jak się otwierają, po co i dlaczego.

W czarną pochyloną taflę okna — siedzieli w pokoju Doka — wbiła się nagle wąska klinga światła. Nie błyskawica, która rozpala się przecinając niebo, ani ślad meteoru powoli rozplywający się w czerni gwiazdnej kopuły. Gdzieś daleko, chyba pod horyzontem, jakby rozchyliła się przesłona nocy wpuszczając pasmo zorzy. W jej białym, prawie dziennym świetle widniało coś przypominającego jakby przymglone kontury nieznanej planety.

Obraz ten trwał chyba minutę, nie dłużej, i rozplynął się w nocy, ja zalany tuszem rysunek.

— Miraż? — zdziwił się Mały. — Ale dlaczego w nocy? Przecież teraz wszystkie pięć słońc są po drugiej stronie planety.

— Może odbłask?

— Czego?

Alik zmieszał się, ukradkiem spojrzał na Kapitana. Ale ten milczał. Bibl ciągle gryzł słomkę do koktajlu.

— Najprawdopodobniej przemieszczenie faz ma miejsce również w nocy — zasugerował. — A jeżeli uwzględnić różnicę w czasie, która być może dość znaczna, to u nas jest noc, a u nich dzień.

— Gdzie „u nich” i co za „oni”?

— Możliwe, że tu jest kilka cywilizacji. W każdej fazie inna.

— Kończyć rozmówki — uciął Kapitan. — Spać! Dość na dziś!

— Nie, nie dość! — Alik zawołał to po chłopięcemu dzwiecznym głosem. — Nie wciągnęliśmy flagi na maszt stacji — zakończył patrząc na Kapitana.

Kapitan nawet się nie uśmiechnął, tylko po prostu powiedział:

— Zuch z ciebie.

— Na dworze ciemno — wyraził wątpliwość Mały.

— To rozpalimy ognisko!

— Z czego? Z plastiku?

— Znajdziemy jakieś kawałki drewna. Człowiek nawet w kosmos taszczy ze sobą coś

drewnianego.

Zaimprovizowane ognisko zapłonęło, odbijając się w czarnym zwierciadle kamieni. Jego płomień spotęgowany odbiciem oświetlił znajomą wszystkim Ziemiom flagę ONZ, flagę już od dawna naprawdę zjednoczonych narodów.

— To wszystko — powiedział Kapitan. — „Hedona 3” wywiesiła flagę.

ROZDZIAŁ V

GRA „GRANATOWYCH” I „BŁĘKITNYCH”. KATASTROFA.

Tym razem miraż uciekał, przechodząc w nicość. Najpierw zniknął do połowy, potem widać było tylko wąski, zielony sierp, aż wreszcie „Portos” przelatujący przez zwyczajną już przestrzeń pustyni, nie napotykał niczego zielonego — ani krzaczka, ani trawki. Bo i cóż zresztą mogło wyrosnąć na stopionym czarnym kamieniu?

— Nie szczęści się nam — zauważył Bibl. — I zupełnie nie rozumiem, dlaczego czasami miraż posuwa się do przodu, a kiedy indziej ucieka?

— To chyba jest niezależne od nas. „Wejścia” i „wyjścia” w mirażach są podporządkowane jakimś ich prawom. A nasz „Portos”, szczególnie przy większej prędkości, niesie z sobą część naszej czasoprzestrzeni, jakąś przylegającą mikrowarstwę. Kiedy warstwa ta różni się strukturą od międzyfazowych łącz, „wejście” zamyka się. A może jest jakieś inne wyjaśnienie — westchnął Kapitan.

Rzeczywiście, jakie inne wyjaśnienia można było zaproponować w tym królestwie niezwykłości! Pięć różnokolorowych słońc na niebie, pięć różnych światów na planecie. Wędrujące stogi z furtką — szczeliną do jakiegoś kraju Po-Drugiej-Stronie-Lustra. Brodate niemowlaki o stopkach wielkoluda i ssące mleczko z węży strażackich.

— Jeżeli niemowlę ma dwa metry wzrostu — przypomniał Kapitan hipotezę Alika — to w wieku dojrzałym dojdzie do dziesięciu metrów. A więc to jednak jest jakieś swiftowskie Brobdingnag w kosmosie.

— Wątpię — nie zgadzał się Bibl. — We wszystkich fazach jest jednakowa grawitacja, zbliżona do ziemskiej. Gigantyczny wzrost i waga byłyby dla humanoidów wyjątkowo uciążliwe. Możliwe, że tutejsza bio-ewolucja nie jest odbiciem ziemskiej, ale nie sądzę, żeby zbyt różniła się od niej. Problem polega na czymś innym.

— Zaraz się dowiemy.

Rozłożysta fontanna czystego, zielonego płomienia to wznosząc się, to opadając tryskała bezpośrednio z czarnych kamieni w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów przed pojazdem, nie zdradzając najmniejszej ochoty zgasnąć lub zmniejszyć się. Fontanna nie sięgała wyżej niż do wysokości jednopiętrowego domu, ale też nie opadała niżej parteru, pozwalając „Portosowi” swobodnie przejść przez szczelinę. Mętnowoszara, zasłaniała jak kurtyna tajemnice kryjącego się za nią świata. Ani Kapitan, ani Bibl nie byli w stanie odpowiedzieć, czy była to ściana, czy obłok, czy też mgła zalegająca w kotlinie, ale, co najważniejsze, szczelina nie zniknęła przy zbliżeniu pojazdu. I Kapitan zdecydował się. Włączył detektor, który w przypadku zderzenia z przeszkodą nie do przebycia odrzuciłby maszynę wstecz, i podobny do zółwia „Portos” ruszył taranem w sam środek dziwnej mgły.

Przeszedł przez nią jak nóż przez masło, bez najmniejszego oporu. Pole siłowe deflektora działało z siłą wybuchu kumulacyjnego. Szara masa, a była to niewątpliwie masa o nie znanym jak na razie składzie i pochodzeniu, rozstępowała się przed wędrowcami. Ale nie przepuszczała światła i przez kilka sekund „Portos” sunął w całkowitej ciemności, zanim nie wyrwał się na zalaną słońcem łękę przypominającą płytę boiska do piłki nożnej.

Kapitan zatrzymał wóz i przyjrzał się okolicy przez okrężny, oszklony wizjer. Z tyłu rozpościerała się równa i płaska powierzchnia ni to zarośli, ni to wysokiej trawy rosnącej tak gęstą i zwartą ścianą, że nawet z bliska przypominała dwumetrowej grubości szary dywan, który przy samym horyzoncie łączył się z bardzo ciemnym, nieznanego pochodzenia lasem.

— No i przeszliśmy tę szarość — odezwał się Kapitan. — Ciekawe, co to w gruncie rzeczy było?

— Szare mchy — powiedział Bibl. — Paleozoiczna dekoracja. A ta łączka to część wyrębu porośnięta już całkowicie trawą i opasująca wyraźnie syluryjski rezerwat. Pewnie znajdujemy się

w tym samym miejscu, w którym byli już Mały i Alik. W każdym razie w tym samym świecie. A teraz przekształcimy się w Livingstone'a i Stanleya i ruszmy w dżungle kosmicznej Afryki.

Pozostawiwszy „Portosa” zabezpieczonego osłoną siłową, Kapitan i Bibl zabrali całą broń ręczną i ruszyli na rekonesans w głąb sympatycznej dżungli nieznanych, ale sprawiających wrażenie pielęgnowanych przez kogoś zarośli, które znajdowały się za trawnikową polanką. Zapewne Livingstone i Stanley byli zbyt archaicznym wzorcem podróżników, ale obaj kosmonauci w swych kremowych szortach i siatkach, chroniących piersi i plecy przed słońcem, w zmodernizowanych hełmach tropikalnych z wmontowanymi w nie miniaturowymi aparatami nadawczo–odbiorczymi rzeczywiście przypominali uczestników safari z przygodowych filmów dwudziestego wieku. Zapadnięte policzki, zmarszczki na czole Kapitana i szalenie malownicza holenderska bródka Bibla, okalająca jego brązową od opalenizny twarz, dopełniały ogólnego obrazu.

— Idziemy razem, czy się rozdzielimy? — zapytał Bibl.

— Razem — zdecydował Kapitan.

Rozsuwając gibkie, o wielkich liściach gałęzie, przeciskając się przez sidła wieczniezielonych krzewów, za którymi sterczały opisane już przez Małego i Alika podniebne maszty eukaliptusów, Kapitan i Bibl przedostali się wreszcie do zarośli otaczających drugą polankę i zaczęli nasłuchiwać. Zza krzaków dobiegały nie dźwięki jakiejś artykułowanej mowy, lecz po prostu okrzyki, wrzaski, chrypienie, świst i śmiech. Nasi podróżnicy ostrożnie rozchyliłi gałęzie dwumetrowego krzewu, który zagradzał im drogę, i zamarli bez ruchu w miejscu. Przed nimi pojawił się wreszcie zamieszany fragment humanoidalnego świata Hedony.

Było tam mniej więcej dziesięciu młodych ludzi o wyglądzie sportowców, prawie nagich i opalonych na brązowo jak mieszkańcy tropików. Ubrani byli tylko w sandały bez wiązań, z nie wiadomo jak trzymającą się stopy podeszwą i w całkiem ziemskie jasnobłękitne kąpielówki. Tylko dwóch miało ciemnogrnatowe i być może to właśnie wywołało konflikt z jasnobłękitnymi. „Granatowi” stali mocno oparci plecami o siebie i bronili się przed zawziętymi atakami przeciwników. Walczyli „biczami”, których srebrzyste żmijki to wydłużały się, to skracały, w zależności od tego, skąd i gdzie zadany był cios. Ciekawe, że ciosy te nie — pozostawiały na skórze wyraźnych śladów, ale każde celne „chłaśnięcie” wywoływało grymas bólu albo zdławiony okrzyk, a czasami któryś z atakujących odskakiwał na bok i z twarzą skrzywioną cierpieniem rozcierał trafione miejsce. Kapitan zauważył, że promieniste szpady spotykając się w powietrzu rozszczepiały się, i wtedy ciosy nie docierały do celu. Jednak nikt z uczestników walki nie stosował — tego wybiegu — każdy starał się przede wszystkim uderzyć przeciwnika. W odróżnieniu od kudłatych „niemowlaków” wszyscy byli równo podstrzyżeni i gładko wygoleni, ale ich pozorna ogląda nie przesłaniała emanującego z nich okrucieństwa.

— Zwierzęta! — mruknął przez zaciśnięte zęby Kapitan, z trudnością powstrzymując narastający w nim gniew.

Młodzieńcy rzeczywiście walczyli w milczeniu, zaciekle jak wilki w rezerwach na Ziemi i tylko wycie i śmiech towarzyszyły masakrze broniących się.

Wreszcie jeden z nich upadł i natychmiast dwie srebrne błyskawice nakryły plecy drugiego. Ten jednak utrzymał się na nogach, odpowiedział ciosem na cios i sam z kolei zbił z nóg dwumetrowego giganta w błękitnych kąpielówkach. „Błękitni” zawyli i zaczęli jeszcze szybciej zadawać uderzenia.

— Bestie — powtórzył Kapitan gotowy wmieszać się w walkę.

— Dzieci — powstrzymał go Bibl. — Niech się pan nie wtrąca, to nie nasza gra.

— Jaka gra? — zdziwił się Kapitan.

Na to pytanie nie odpowiedział Bibl, lecz starszy spośród „błękitnych”, najwidoczniej przywódca grupy — i to po rosyjsku.

— Dość. Dwa tuziny uderzeń. Policzyłem.

„Błękitni” zatrzymali się. Któryś krzyknął:

— On i po trzech tuzinach nie zdechnie!

— Niezgodne z przepisami — powiedział przywódca. — Przepuście go.

„Błękitni” rozstąpili się, przepuszczając siłacza w granatowych kapielówkach. Jego kroki, początkowo niepewne i wolne, stawały się stopniowo coraz szybsze. W końcu skoczył i zniknął za krzewami.

Dwóch spośród pozostałych ruszyło za nim, ale przywódca znowu i powstrzymał:

— Według zasad gry należy go dogonić inną drogą i znowu spotkać się z nim twarzą w twarz. Jeżeli go dopędzicie, możecie dobić. Czekam tutaj.

Gdy został sam, podszedł po kolei do leżących bez zmysłów młodych ludzi i odwrócił każdego z nich twarzą ku słońcu. Wszyscy oni wydawali się dziwnie podobni do siebie, tak jak dla Europejczyka jednakowymi wydają się twarze mongoidalne. W tych jednak nie było niczego azjatyckiego — niebieskie oczy, prosty nos i owal twarzy przypominały raczej typ skandynawski czy anglosaski. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się można było zauważyć różnice, niezbyt wyraziste i nie rzucające się w oczy i właściwie potwierdzające początkową myśl o podobieństwie. I Kapitan, i Bibl prawie jednocześnie znaleźli wytłumaczenie: mieli przed sobą wyselekcjonowany, pełnowartościowy fizycznie i genetycznie, najdoskonalszy gatunek hedońskiego humanoida.

— Może się mylę — niezbyt pewnie powiedział Kapitan — ale wydawało mi się, że oni mówili po rosyjsku. Kompletna bzdura.

— Oni w ogóle nie mówili — stwierdził Bibl.

Kapitan uśmiechnął się:

— A więc bezpośredni kontakt myślowy. Dałem się złapać, stary dureń, na haczyk znajomych słów.

— Po prostu tłumaczyliśmy ich myśli na znane nam słowa — wyjaśnił Bibl. — Początkowo wydawało mi się, że słyszę, ale potem zwróciłem uwagę, że nie ruszają wargami. Być może oni w ogóle nie używają mowy jako środka porozumiewania się.

— A krzyki?

— Zwierzęta też krzyczą.

— Ale nie myślą.

— Mogliśmy się przekonać, jak głębokie są te myśli.

— Sprawdźmy sami. Mamy szansę — powiedział Kapitan i rozsunał krzewy, wyszedł na pole walki.

Z błyskawicznym refleksem „błękitny” odwrócił się i przeciął „biczem” powietrze. Korkowe hełmy i szorty nieznajomych wprawiły go jednak w takie zdumienie, że całkiem jak dziecko otworzył szeroko usta. — Kim... jesteście? — „usłyszał” Kapitan i odparł wymijająco:

— Z daleka.

— Dlaczego prowadzisz ze sobą dziecko? — krzyknął na widok Bibla Hedończyk.

— To nie dziecko.

— Czy w waszej szkole można chodzić nie ogolonym?

— Można — Kapitan kontynuował grę.

— Ale przecież on traci jednostki.

— Co?!

— Głupi jesteś, czy co? Bity. Nie rozumiesz?

— Według mnie powiedział „bity” — przez zęby wycedził Kapitan nie patrząc na Bibla.

— Tak, bity — powiedział Bibl. — Rzeczywiście, miał na myśli właśnie bity — my nie mamy na to innych określeń. Umowne jednostki informacji. Początkowo właśnie tak powiedział: jednostki.

— Ileż on ma lat? I co ma do tego informacja?

Bibl wzruszył ramionami.

— Dlaczego wy obaj brzęczycie? — zapytał Hedończyk.
— My nie brzęczymy, rozmawiamy.
— Co?
— Nie znają takiego słowa — szepnął Bibl. — Trzeba użyć innego.
— Porozumiewamy się. Nie słyszysz?
— Kiedy się porozumiewają, to myślą. I nie słyszą, lecz rozumieją. A ja słyszę: bu-be-be, ta-ti-tu... — przedrzeźniał Hedończyk. — Brzęczenie.
— Ile masz lat?
— Półtora roku.
Tym razem zdumieli się Bibl i Kapitan.
— Kłamię? A może mają inny system mierzenia czasu?
— Skoro usłyszeliśmy „rok”, to znaczy, że miał na myśli właśnie rok. A może ich rok jest inny.
— Sądząc z gęby ma co najmniej dwudziestkę.
— Znowu brzęczycie.
— Dawno jesteś w szkole? — zapytał Kapitan, dyplomatycznie pomijając milczeniem niebezpieczne pytanie o brzęczenie.
— Od żłobka. Wkrótce półkrąg. A ty?
— Tak samo.
— A co wy macie na głowach?
— Umundurowanie — wymyślił na poczekaniu Kapitan. — Dają wycieczkowiczom. Wiesz, co to takiego wycieczka?
— Wiem, wozili nas do Aory.
Kapitan usłyszał „Aora”, Bibl „Aera”, ale nie komentowali tego, co „usłyszeli”. Być może to jakiś rezerwat albo miasto.
— Niechże pan pyta, zadaje pytania. Nie można pozwolić, żeby przejął inicjatywę — szepnął Bibl i włączył się w rozmowę, uprzedzając Kapitana.
— A ty lubisz się uczyć?
— Kto lubi? Ty lubisz?
— Zależy o czym. Byłeś dziś w szkole?
— Byłem. Dwie godziny przesiedziałem przy komputerze. Łeb mi pęka, że zdechnąć można.
I Kapitanowi, i Biblowi wydało się, że Hedończyk powiedział „dwie godziny”, ale „usłyszeli” to niezbyt wyraźnie i upierać się przy „godzinach” nie mogli. Termin „komputer” zadźwięczał jednak w ich świat mości wystarczająco wyraźnie.
— Usłyszał pan: komputer, prawda? — szepnął Bibl nie patrząc Kapitana.
— Właśnie. Nieprawdopodobne.
— Pomyślałeś o komputerze? — kontynuował Bibl, zwracając się chłopaka w błękitnych kąpielówkach, który zaczynał już spoglądać na nich podejrzliwie. — W naszej szkole to się nazywa inaczej. Maszyna, która za ciebie myśli, podpowiada ci, włazi ci do głowy i układa na półeczkach rozmaite głupstwa. A ty budzisz się i już wiesz wszystko. Tak?
Hedończyk zarżał jak koń. A Bibl, nie dając mu się opamiętać, dalej:
— Czego się dziś uczyliście?
— Liczenia — niechętnie odpowiadał Hedończyk. Ten przeciągający się egzamin wyraźnie zaczynał go już nudzić. — A potem gry w „tro”.
Kapitan usłyszał „taro” i poprosił, żeby powtórzył.
— Warcaby — wydało się im obu. — Dwanaście kwadracików poziomo, dwanaście pionowo. Pomnożysz?
— A ty?
— Nawet lepiej potrafię. Dwadzieścia siedem razy dwanaście i podzielić przez jedną dwunastą. No?

„Mają dwunastkowy system liczenia” — pomyślał Bibl i powiedział głośno:

— W myśli nie potrafię. Bez maszyny liczącej się nie uda.

— Na maszynie każdy dureń potrafi. A ja w myśli. Dorzucili mi za to dwa tuziny jednostek. A za wyobraźnię minus.

— Dlaczego?

— Nie rozwiązałem testu. Sześć prób, a na tablicy zera.

— Na jakiej tablicy?

— Świetlnej.

— Poddaję się — szepnął Bibl do Kapitana. — Mam dość. Jeszcze trochę i wpadniemy. — Ale mimo to zadał swoje ostatnie pytanie: — A po co wam te umowne jednostki?

— Nie uzbierasz normy, to koniec z tobą. Chłepcz znowu tę babelającą z rurki do lewatywy.

Kapitan usłyszał: z „gumowej kiszki”. Ale sensu obaj nie uchwycili i co najważniejsze, „błękitny” to zrozumiał.

— Nie jesteście ze szkoły. A skąd, nie wiem. Biorę do niewoli — oznajmił i chlasnął srebrzystą żmijką.

Kapitan rzucił mu się pod nogi i przewrócił na ziemię. Obaj natychmiast zerwali się, ale Kapitan uprzedził go o sekundę i bolesnym chwytem zmusił młodego człowieka do wypuszczenia „bicza”.

— Bibl, proszę podnieść tę jego zabawkę — powiedział nie odwracając się. — A ty już teraz wiesz, kogo można, a kogo nie można brać do niewoli.

Hedończyk nie był tchórzem. Ale i trzeci jego skok — widać miał zamiar ugryźć Kapitana — przyniósł równie oplakany skutek. Nawet nie ruszając się z miejsca Kapitan lewą ręką przerzucił go przez głowę. Dla kosmonauty, wyszkolonego we wszystkich rodzajach samoobrony, hedoński uczeń, nawet o figurze kulturysty, był niewiele groźniejszy od ziemskiego chłopaczka. To ostatnie niepowodzenie załamało Hedończyka. Nie oglądając się, nie próbując wstawać, na czworakach poczołgał się w krzaki.

— No i po wszystkim — powiedział ze smutkiem Kapitan. — Kontakt zakończony.

— Nie mieliśmy innego wyjścia, Kep — powiedział Bibl. — Co mieliśmy robić? Podstawiać plecy pod ich „bicz”?

— Ale mimo wszystko żal mi chłopaka.

— Mordercy? Przecież to mordercy. I nie miej wyrzutów sumienia. — Bibl wskazał na martwe, obrócone ku słońcu twarze: — Obawiam się, że tu panują inne zasady moralne, Kep, i że to nie z nimi musimy szukać kontaktu.

Kapitan zamyślił się.

— Wracamy? A może zaryzykujemy mały spacer? Koło tych eukaliptusów. Nic nie będzie utrudniać obserwacji. Dostrzeżemy każde niebezpieczeństwo.

— Ten chłopak może sprowadzić pomoc.

— Przy naszym uzbrojeniu, Bibl, możemy się niczego nie obawiać na wet w dżunglach Prokli. „Bicze” to dziecinne zabawki w porównaniu z pneumoodrzutnikami. A przecież mamy jeszcze i granaty, i „pasy”. Niech się tylko pokażą.

„Nawet najbardziej doświadczony i mający szczęście zwiadowca czasami się myli” — pomyślał Bibl, ale nie sprzeciwił się Kapitanowi. Alejka była przyjemna i jasna. Gigantyczne maszty eukaliptusów z ich liśćmi — nożami zwróconymi krawędzią ku słońcu nie zatrzymywały ani jednego promyka. Piasek, trawnik, kamyki. Dziesięć minut... dwa dwadzieścia... pół godziny. Nic się nie zmieniało w otaczającym krajobrazie.

— Chciałoby się przelecieć po takiej alejce na poduszeczce powietrznej — westchnął w rozmarzeniu Kapitan. — Czuję się jak w uzdrowisku!

Ale Bibl milczał, nie odrywając oczu od linii rosnących za eukaliptusami wieczniezielonych krzewów z grubymi, jakby kartonowymi liśćmi. Ciągnęły się równolegle do alejki, zwarte i gęste jak przyszyżony żywopłot.

— Coś pana niepokoi, Bibl?

— Krzewy. Z każdej strony można do nas podpełznąć.

Kapitan zatrzymał się i powiedział:

— Czegoś nas jednak uczyli w służbie kosmicznej.

Z otchłani jednej ze swoich niezliczonych kieszeni wydobył miniaturowe słupolazy, przyczepił je do butów i z małpią zręcznością błyskawicznie wspiał się do góry po wyłożonym słońcem pniu. Osiągnął wysokość jakichś dziesięciu metrów, rozejrzał się wokoło i równie szybko zsunął się na ziemię. Twarz miał skupioną i poważną.

— Zgadł pan, Bibl, a ja znowu się pomyliłem. Pełzną dwoma kolumnami z prawej i z lewej strony.

— W błękitnych kąpielówkach?

— Nie zwróciłem uwagi. Czy to nie wszystko jedno?

— Przyszli mi do głowy „granatowi”. Pomyślałem, że może znowu spotkają się dwa wrogie obozy?

— Nie, Bibl. To na nas polują.

— A więc włączamy „pasy”, Kapitanie?

— Ty pierwszy.

„Pas” nie unosił od razu. Przez moment człowiek powoli wzbijał na wysokość około pół metra, a potem, rozcinając ze świstem powietrze, leciał łukiem jakieś dwieście, trzysta metrów. Bibl przeleciał jak torpeda i wylądował miękko i cicho. Po krótkiej chwili dogonił go Kapitan.

— Powtórzymy?

Powtórzyli. Jeszcze trzysta metrów i jeszcze trzysta. Gdzieś tutaj trzeba zakręcić w lewo. W oddali widniało już pasmo szarych mchów. Kapitan spojrział na kompas i ustalił kierunek.

„Portosa” znaleźli dokładnie w tym samym miejscu, w którym go opuścili, ale teraz nie było ono już puste. Około dwudziestu młodzieńców w granatowych kąpielówkach tłoczyło się wokół maszyny, nie będąc w stanie zbliżyć się do niej bezpośrednio; pole ochronne niweczyło ich próby. Skok Kapitana zauważono i gdy lądował, nie dano mu nawet schwycić za broń: zabrakło dosłownie ułamków sekundy. Coś niezauważalnego i bezdźwięcznego ukłuło go w policzek i natychmiast runął w ciemność.

Bibl widział to wszystko z powietrza. Mógł przedłużyć skok, przejść w lot swobodny, ale gdzie ma lądować? Jeżeli opuści się na ziemię za „Portosem”, nie będzie w stanie pomóc koledze. Gdy zatrzyma się przy Kępie, nie zdąży nic zrobić: mają jakąś zagadkową, bardzo celną broń. Musi więc atakować w locie. Przeleciał nad „Portosem”, odczepił granat gazowy, zawrócił i na dużej szybkości, zniżając się do czterech, pięciu metrów, cisnął granat gdzieś między pojazd a grupę szalejących nagusów w granatowych kąpielówkach. Natychmiast niewysoki obłok dymu okrył ich lepką i tłustą ciemnością. Kapitan leżał nieprzytomny w odległości trzech metrów od wozu. Teraz można było wylądować, schwycić kolegę pod ramiona, dowlec do „Portosa” i wyłączyć pole ochronne. Bibl tak właśnie zrobił. Nic mu nie przeszkadzało: obłok czarnego dymu zagradzał drogę Hedończykom. Ale jeden, niezauważony przez zajętego Kapitanem Bibla, przedostał się mimo wszystko. „Granatowy” machnął czymś podobnym do klucza francuskiego. I właściwie nic się nie stało: nic nie zagrzmiało, nie błysnęło, nie zaświstało. Bibl, który zdążył już podciągnąć Kapitana do „Portosa”, poczuł tylko lekkie, prawie niezauważalne, jak użądlenie komara, ukłucie. I stracił przytomność nie zdążywszy wyłączyć pola ochronnego.

ROZDZIAŁ VI

NA SZCZUPAKA ROZKAZANIE. ZA PROGIEM BAJKI.

Ocknął się w całkowicie przezroczystym pokoju, którego brzegi były ledwo zaznaczone. Matowy sufit osłaniał przed blaskiem słońca, a ścian w ogóle nie było widać. Wokoło, aż po horyzont, ciągnęło się sztucznie Wyhodowane albo specjalnie przystrzyżone pole — trawnik. Ani krzaczek, ani drzewko nie zakłócały jego harmonijnej jednobarwności, która sięgała do niebieskiego skraju nieba. Nic nie odwracało uwagi, nie rozpraszało, nie przeszkadzało. W tej żółtawozielonej próżni dobrze się myślało, kojarzyło. Nawet mebli nie było i leżeli obaj z Kapitanem po prostu na poduszce powietrznej w odległości trzech, czterech metrów jeden od drugiego, w tych samych ubraniach, z tym samym wyposażeniem, przy czym ani promienniki, ani granaty nie obciążały sprężynującej przezroczystej błonki podwieszanej pod nimi, jak jakiś niewidzialny hamak. Bibl dotknął jej — rzeczywiście sprężynowała i ugiwała się jak napięta guma. Z daleka wydawało się, że Kapitan po prostu zawisł w powietrzu milczący i nieruchomy. Martwy? Bibl zaczął nadśluchiwać. Równy oddech kolegi uspokoił go, śpi.

Bibl usiadł w swoim hamaku i hamak natychmiast przekształcił w fotel — dawały się nawet wyczuć bardziej twarde poręcze. Zerwał się i sprężystym, energicznym krokiem podszedł do Kapitana.

— Cudeńka, Kep — zawołał, trąciwszy śpiącego w ramię. — Niech się pan obudzi!

Kapitan otworzył oczy i błyskawicznie, jak cyrkowiec, stanął na równe nogi, gotów do obrony. Uczynił to instynktownie.

— Bibl? — zdziwił się nie wiadomo czemu. — Co się stało? Ach, tak! Przecież nas stracili.

Bibl natychmiast przypomniał sobie wszystko. Ich ostatni skok do „Portosa”. Kapitan pada. Czerwonoskórzy w niebieskich kąpielówkach spowici tłustym dymem granatu. Ciągnie Kapitana do pola ochronnego terenówki. Ukłucie. Wszystko znika. Ciemność.

— Najprawdopodobniej przeniesiono nas do tej kolby z błonki powietrznej. Jeżeli zrobili to ludożercy, to pewnie chcą nas podtuczyć. A może po prostu do zbadania, nie wiem.

— Jaka kolba? — nie rozumiał Kapitan.

— Niech się pan lepiej rozejrzy.

Kapitan obejrzał niewidzialne ściany, zielone morze trawnika, spróbował nogą sprężynującej podłogi, podszedł do tego, co wydawało być ścianą, oparł się o nią pięścią — pięść weszła na ćwierć metra w cienką, jak w bańce mydlanej, zlewającą się z powietrzem błonkę i odskoczyła do tyłu.

— Nie puszcza — powiedział Kapitan. — A skąd płynie powietrze?

— Może jest gdzieś niewidzialne okienko albo wentylator — zasugerował Bibl.

Kapitan w milczeniu obszedł domniemaną przestrzeń „kolby”, wszędzie próbując wytrzymałości ścian i wszędzie ściana ugiwała się i znowu napinała.

— Dobrze nas zamknęli.

— Może pociągniemy promiennikiem? Wydaje się, że to odpowiedni moment.

— Nie sędzę. Lepiej poczekajmy. — Kapitan jeszcze raz rozejrzał się po przezroczystej klatce. — Rzeczywiście przypominało to laboratoryjną kolbę. Ciekawe, na czym spaliśmy? Na tych powietrznych poduszczkach?

Łóżka, które stały się już fotelami, w dalszym ciągu były ledwo widoczne. Bibl nie omieszkiał zauważyć:

— Dlaczego ignorują barwę? Gdyby fotele były, powiedzmy, niebieskie, ściany różowe, sufit zbiałał, a podłoga...

Przerwał w pół zdania. Dosłownie oniemiał, zaskoczony; Ściany błyskawicznie nabrały różowego odcienia, wiszące w powietrzu fotele jakby wymalowano ultramaryną, a zaciniający sufit obłoczek stał się mleczno-biały. Tylko podłoga „nie domalowana” przez Bibla pozostała

tym, czym była — przezroczystą, zieloną błonką.

— No, taaak — powiedział Kapitan.

Bibl usiadł w milczeniu w niebieskim fotelu bez nóżek, podskoczył na nim, pomacał, utonął w jego objęciach.

— Nie najgorzej. Ciekawe, jak to się dzieje?

— Zwyczajnie. Na szczupaka rozkazanie, niech się wola moja stanie. — Kapitan równie wygodnie usiadł naprzeciwko. — Tylko stołu brak.

I natychmiast pojawił się stolik. Szklistomatowy, prostokątny, ale bez nóżek, tak jak fotele. Po prostu w powietrzu przed nim zawisła deska.

— Skoro trafiliśmy do bajki, to należy zachowywać się jak w bajce — powiedział Kapitan. — Osobiście wypiłbym coś rozgrzewającego.

— Ja też.

Na stole, bezpośrednio z powietrza, zmaterializowały się dwa dziwne puchary z wklęsnięciami na palce, napełnione gęstym, różowawym płynem.

Bibl spróbował: smaczne. Wypili. I natychmiast myśli nabrały szczególnej precyzji, ruchy lekkości, a wzrok ostrości.

— Dobrze! — zawołał Kapitan. — A może jeszcze sobie czegoś zażyczymy?

— Życzyłbym sobie zobaczyć czarodzieja. Nikt się nie zjawił.

— Może w ich słownictwie nie ma pojęcia „czarodziej”? — zauważył Kapitan. — Może powiemy tak: kogoś, spośród tych, którzy umieścili nas tutaj i wypełniają nasze życzenia.

— Jestem — odezwało się w ich umysłach.

Telepatyczne wezwanie dobiegło z drugiej strony i gdy obrócili się, zobaczyli smągłokórego Hedończyka w granatowych kąpielówkach i siatkowej koszuli, o ile tę nicianą konstrukcję można by nazwać koszulą. Nici ściśle przylegały do ciała i niczym nie były połączone. Do czego służyły? Oslaniały od słońca i spiekoty? Przecież nie mogły ochronić ani przed wahaniami temperatury, ani przed promieniowaniem słonecznym.

— Mylicie się, tworzą cieniutką warstwę powietrzną o żądanej temperaturze. Teraz jest ona o wiele niższa od temperatury otaczającego powietrza.

— Ale wielu z was chodzi nago — powiedział Kapitan.

— Tylko dzieci.

Mówiący, a właściwie przekazujący swe myśli Hedończyk był równie młody, wysoki, atletycznie zbudowany i przystojny, jak jego współplemieńcy w samych kąpielówkach. Tylko oczy jego były bardziej myślące, a usta, jak się wydawało Biblowi, układały się jakby w uśmiechu.

— A ile ty masz lat? — zapytał.

— Trzy lata.

Nawet w myśli starając się nie okazać zdziwienia Bibl zadał jeszcze jedno pytanie:

— Kiedy u was stają się dorosłymi?

— Ja jestem już dorosły.

— Ale dzieci wyglądają u was tak samo.

— U nas wszystkie dzieci wyglądają tak samo.

— Starcy też?

— U nas nie ma starców.

— Nikt nie dożywa starości?

— U nas nie ma starości.

— Wszyscy umierają młodo?

— Nikt nie umiera.

— Na własne oczy widzieliśmy martwych.

— To nie martwi. To podlegający regeneracji.

— Ale przecież regeneracja to odrodzenie. Chcesz powiedzieć, że zwyciężyliście śmierć?

— Niczego nie zwyciężyliśmy. Mówię wyłącznie o przejściu z jednego stanu w drugi.

— Z jakiego?

— To jest podobne do snu. Świadomość śpi, a potem budzi się.

— Przeżyłeś to?

— Nie.

— Znasz kogoś, kto przeżył?

— Nie. Nikt z tych, którzy przeżyli, nie zachowuje starej pamięci. Regeneracja początkuje nowy cykl.

— Mętnie się tłumaczysz, braciszku — powiedział Kapitan.

— Nie rozumiem zwrotu.

— Przyjaciół, towarzyszy, chłopak.

— Luka pojęciowa. Pierwszych dwu pojęć nie znam. Ostatnie oznacza młodzieńca. Ale ja już nie jestem młodzieńcem. Zakończyłem pełny krąg szkoły.

— A bywa niepełny?

— Oczywiście. „Błękitni” to pierwszy półkrąg, „granatowi” drugi. Łączenie następuje dopiero po zdaniu pierwszego testu.

— W ten sposób pogubimy się — Bibl powstrzymał Kapitana. — Już odbiegliśmy od głównej sprawy... Jak się nazywa wasza planeta? — zwrócił się do Hedończyka.

W odpowiedzi „usłyszeli” coś nieokreślonego, niejasnego, nie dającego się powtórzyć.

— Zrozumiał pan coś, Kapitanie?

— Jakieś kwakanie. Najprawdopodobniej w naszym języku nie ma ani analogicznych pojęć, ani podobnych dźwięków.

— Dlaczego brzęczycie? — zapytał Hedończyk.

— Pytali nas już o to wasi współplemieńcy — powiedział Bibl i zawahał się: czy dotrze do jego rozmówcy pojęcie „współplemieńcy”, ale nie „usłyszawszy” pytania, ciągnął dalej: — Przekazujemy myśli głosem. Dźwięki tworzą słowa, słowa układają się w zdania, które dokładnie oddają myśli. Ten system porozumiewania się nazywamy mową.

— Nasz system porozumiewania się jest prostszy i bardziej komunikatywny.

— Zgoda. Ale mowa posiada dodatkowe walory: bogactwo intonacji, podteksty, tonalność.

Biblowi wydało się, że oczy Hedończyka jakby się powiększyły, wargi zacisnęły. Najwyraźniej czegoś nie rozumiał.

— Nie pojmuję — odezwał się. — Być może mój „I.Q” jest niższy od waszego.

— Słyszał pan, on powiedział „I.Q”? — szepnął Kapitan do Bibla. — Przecież to specyficznie amerykański termin i na dodatek używany sto lat temu.

Bibl uśmiechnął się:

— On niczego nie powiedział, Kep. To nasze tłumaczenie jego myśli. Należy przypuszczać, że chodziło mu o współczynnik rozwoju umysłowego. Z przyzwyczajenia wciąż jeszcze nazywamy go „I.Q”.

— O to mi chodziło — odebrali replikę Hedończyka.

— Rozumiesz wszystko, o czym myślimy, mimo że nie zwracamy się bezpośrednio do ciebie? — nie wytrzymał Bibl.

— Nie wszystko. Jeżeli waszej myśli nie towarzyszy chęć ukrycia jej przede mną, mogę ją odczytać. To samo jest przecież i u nas. Myśl odbierana jest tylko przez tego, do kogo jest skierowana. Otwarcie i zamknięcie jej przed kimś innym zależy tylko od myślącego.

Hedończyk, który do tej pory trwał nieruchomo jak kamień, przestąpił z nogi na nogę. „Przecież to człowiek, zwykły człowiek, i zmęczył się jak człowiek” — pomyślał Kapitan.

— Dlaczego stoisz? — zapytał. — Nie masz gdzie usiąść?

Hedończyk wydał nieokreślony dźwięk, coś w rodzaju mruknięcia czy stłumionego śmiechu i natychmiast spoczął na takim samym — wiszącym, przezroczystym siedzisku, które nie wiadomo w jaki sposób pojawiło się i zbłękitniało.

— Jak to robicie? — zainteresował się Kapitan i w tej samej chwili „usłyszał” obojętną odpowiedź Hedończyka.

— Nie wiem.

— I nie ciekawi cię to?

— Po co?

— Według mnie ciekawość jest bodźcem do podniesienia „I.Q”. A ty na przykład do tej pory nie zainteresowałeś się tym, skąd się wzięliśmy i kim jesteśmy.

— Po co? Dokładna wiedza to tylko jedna odpowiedź. A wyobraźnia podpowie kilka.

— Jaki sens ma zastępowanie dokładnej wiedzy imaginacją?

— To jedna z nauk półkregu. Silniejsza wyobraźnia daje więcej jednostek informacji.

Kapitan chciał już zadać pytanie, o jakiej informacji mowa, ale Bibl powstrzymał go przykładając palec do ust:

— Znowu się zapłaczący. Półkregi... Informacja... Jednostki. Zapytajmy, po co trzymają nas w tej zakorkowanej przezroczystej kolbie.

Odpowiedź nastąpiła, zanim jeszcze padło pytanie: Bibl nie „zamknął swojej myśli.

— Nie jest zakorkowana. Wchodzimy i wychodzimy, kiedy chcemy.

— A my?

— Wy też. Spróbujcie.

Kapitan podniósł się, ale Hedończyk powstrzymał go podniesieniem dłoni.

— Nie odpowiedziałem jeszcze na wasze drugie pytanie. Jesteście po to, aby dowiedzieć się, czego i jak się uczy my. My natomiast jesteśmy tu po to, aby poznać wasze reakcje.

— Jakie?

— Nie wszystko naraz. Wyjdziecie dwa ina po mnie.

— Ina czy ima? — Bibl zapytał Kapitana.

— A może una? — Kapitan miał wątpliwości. — Znowu niezgodność dźwięków.

Hedończyk uśmiechnął się i wskazał ścianę:

— Zegar.

Na różowej, teraz już nieprzezroczystej ścianie pojawił się żółty krąg, w którym zamigotały zmieniające się czarne znaczki o dziwnym kształcie.

— Cyfry — podpowiedział Hedończyk.

„Mamy wspólne pojęcia: zegar i cyfry. Ale nie znamy ich pomiaru czasu i znaczenia symboli cyfrowych” — pomyślał Bibl.

— A więc poczekajcie na mnie. Wrócę po was — natychmiast odparł atleta w wiszącym fotelu i zniknął w różowości ściany.

— Cuda trwają nadal — zauważył, nie dziwiący się już niczemu, Kapitan.

— Wątpię, czy to dla nich jest cud. Materializacja myśli. Najwidoczniej błona rozstępuje się na życzenie.

— Będziemy czekać?

— Po co? Tak czy owak nas znajdą. A my tymczasem sprawdzimy siłę naszych ziemskich myśli... Sezamie, otwórz się! — wesoło zawołał Bibl i przeszedł przez ścianę.

„A jeżeli to nie trawka aż po horyzont, lecz jakiś rezerwat żmij z prehistorycznymi koszmarami?” — błysnęła myśl i niezmierzone pole traw, które z „kolby” sprawiało wrażenie równego i jednobarwnego, nagle stromym zboczem opadło w dół i pożółkło jak wypalona słońcem trawa. Ale z bliska trawa okazała się wcale nie trawą, lecz gęstą, żółtozieloną gładzią oceanu. Oceanu niemezozoicznego i niepaleozoicznego i w ogóle niezemskiego. Bibl obejrzał się zmieszany. Kapitan podążył za nim powoli i spokojnie.

— Podobne do równikowego morza Prokli — zawołał Bibl — taki sam śmierdzący jajeczny kisiel.

Kapitan nie wiadomo dlaczego nie odpowiedział; przyłożywszy dłoń do czoła wpatrywał się w pagórki koloru ochry, które przesuwwały się szybko po żółtawej powierzchni. „Mglaki” —

pomyślał Bibl i natychmiast poczuł, jak obrzydliwie ugięły się pod nim nogi. „Mglaki”. Nie można ich było zniszczyć: eksplozja jądrowa sprawiała, że zaczynały się powiększać; rozcięte promiennikiem dzieliły się jak ameba i wtedy atakowały dwa, a nawet trzy razy większą grupą. Nie można ich było złapać do żadnych pułapek, jakie wymyślali uczestnicy ekspedycji, i do tej pory niczego konkretnego o nich nie wiadomo. Ale otoczony ich oleistą mgłą człowiek natychmiast zniknął bez śladu. „Mglaki” rozpuszczały go całkowicie nie pozostawiając ani włosów, ani kości.

Od najbliższego ochrowatego pagórka ślizgającego się w kierunku brzegu oddzielił się taki sam, mętny, kłębiący się jak skrzep mgły, bąbel i pomknął na spotkanie Bibla.

— Kapitanie, osłona! — krzyknął nie oglądając się, w nadziei, że Kapitan sam zrozumie, że tylko osłona może powstrzymać „mglaki”.

Dzięki sugestii Małego jeszcze rano ustawili promień działania osłony na dwa metry. A więc w granicach czterech metrów „mglaki” były niegroźne. Mogą skakać, dzielić się, rozdawać — każdego atakującego osłona pali jak maczugą. Bibl zdążył odczepić emitor i przycisnąć spust w chwili, gdy ochrowy kłęb rzucił się na niego. W tym samym momencie „mglaka” spłaszczyło jak naleśnik i cisnęło z powrotem w oleistą, jajeczną ciecz.

Bibl nawet nie zdążył porozumieć się z Kapitanem, gdy zaatakował drugi kłęb, a po nim trzeci. Obydwa spotkał ten sam los — osłona działała bez zarzutu. „Mglak”-matka nawet odsunął się dalej, żeby samemu nie oberwać. Teraz można było odetchnąć i porozmawiać z Kapitanem. Bibl odwrócił się i zamarł.

Kapitana już nie było. Od stóp do głowy otoczyła go brązowożółta, kłębiąca się i wzdymająca pęcherzami mgła. Koniec. Bibl opuścił bezużyteczny emitor. Zakrył oczy dłonią i... wszystko zniknęło. I „mglaki”, i Kapitan.

A Kapitan cały i zdrow stał pośrodku zielonego pola i rozglądał się zdezorientowany. Żadnych śladów Bibla i „kolby”. Może wrócić? Ale nie miał dokąd wracać: mimo że przyglądał się uważnie, próbował patrzeć pod innym kątem, nie mógł dojrzeć przezroczystej błonki ściany. Najwidoczniej Bibl rozmyślił się w ostatniej chwili, ostrożność wzięła górę. A błonki z zewnątrz nie widać. Kapitan zrobił krok wstecz, przebiegł wzdłuż i w poprzek kwadrat, w którym mogła znajdować się „kolba”, ale jej nie znalazł. No cóż, trudno. Tak czy owak ich znajdują, gospodarze tego świata wszystko widzą, wszystkie miejsca są dla nich dostępne i nie boją się figli czasoprzestrzeni. A więc nie ma powodu do niepokoju, można się troszeczkę poopalać. Kapitan dotknął ręką trawy: sucha. Wyciągnął się na niej: miękko. Szerokie i sztywne źdźbła nieznanej trawy rosły blisko siebie, gęsto, jak włos dywanu. I Kapitan, umościwszy się jak najwygodniej, zamyślił się.

Co już wiedzą o tym świecie? Pięć słońc, pięć faz, „wejścia” i „wyjścia” otwarte dla pojazdu otoczonego polem ochronnym, i niedostępne dla człowieka, bo grozi mu tam śmiertelny cios energetyczny. To chyba nie wyładowanie elektryczne, o którym mówił Doktor. Coś bardziej skomplikowanego. I jeszcze jedno — dlaczego Doktor jest sparaliżowany? Ledwo chodzi. Wspominał o uderzeniu „bicza”. A więc znalazł się na linii oddzielającej takie „wejście” od czarnej pustyni. „Bicz” dosięgnął go już z drugiej fazy. Ale czy to coś wyjaśnia, czy dostarcza nowych danych o cywilizacji Hedończyków? Nie.

I jakże skryte, przypadkowe i nierozszyfrowane są te dane! Fizycznie Hedończycy nie zmieniają się od niemowlęctwa do końca życia. Starości nie ma. Śmierci nie ma. Jest jednak regeneracja, czyli przywrócenie do życia. Od czego rozpoczyna się to życie, jak długo trwa i jak się kończy? Jest szkoła, ale czego w niej uczą? Sądząc z ukrytej, ale widocznie wysoko rozwiniętej techniki tej cywilizacji, tutejsza szkoła przekazuje wyjątkowo bogaty i głęboki zasób wiedzy w zakresie nauk ścisłych. Ale czy tak jest w istocie? Wyobraźnia jako dyscyplina naukowa. Zastąpienie wiedzy iluzją. Nie ma takiego bodźca, jakim jest ciekawość. Czym więc spowodowany jest postęp? Może gromadzeniem jednostek informacji? Ale jakich jednostek i jakich informacji? Kontakt telepatyczny zamiast mowy. I związane z tym pytanie: czy jest to

bogactwo intelektualne, czy ograniczenie duchowe? A po każdym pytaniu pojawiają się tysiące innych. Co to za Aora czy Aera, o której wspomniał przywódca „błękitnych”? Instytut czy miasto? Jeszcze jeden „półkrąg” tego świata? Znowu pojawiają się pytania bez odpowiedzi, dlaczego półkrąg i czy ten świat porozumiewa się z innymi światami, czy też rozumne formy życia występują tylko w zielonym? Kim są i gdzie się znajdują gospodarze tej formy życia i jakie zasady leżą u jej podstaw?

Kapitan zamknął oczy i zasnął.

ROZDZIAŁ VII

W SZKOLE NIEZAINTERESOWANYCH. SUPERMAN CZY SUPERROBOT?

Obudził się w znanej sobie „kolbie”, w tym samym przezroczystym fotelu. Obok rozglądał się wokoło zdziwiony Bibl. Oprócz nich po bokach rozmieściło się półkolem czworo Hedończyków — trzech mężczyzn i jedna kobieta. Wśród mężczyzn, mimo ich pozornej identyczności, nasi podróżnicy dzięki jakimś niejasnym oznakom natychmiast rozpoznali swego poprzedniego rozmówcę, równie jak pozostali niedostępnego i surowego. Tym jedynie różnił się od innych, że jego oczy uśmiechały się. W oczach pozostałych Hedończyków nie było uśmiechu. Jeden z nich miał nieco jaśniejsze włosy i mniej smagłą skórę. Kobieta, identycznie ostrzyżona, w takiej samej siatkowej koszuli, niewiele różniła się od Mężczyzn. Dwumetrowa koszykarka z prawie męskim torsem, chuda i płaska, według ziemskich kryteriów nie była piękna. Tego, że jest to kobieta, Kapitan i Bibl domyślili się wyłącznie na podstawie jakiejś różniącej ją od innych charakterystycznej gracji ruchów. Upuściwszy coś, nie oglądając się wygięła plecy do tyłu z łatwością cyrkowej akrobatki, dziwnie nie po człowieczemu wykręciła rękę i podniosła to, co jej upadło — przybór toaletowy czy może część miniaturowego mechanizmu

— Coś was niepokoi? — jednocześnie „usłyszeli” Kapitan i Bibl. — Może brak barw, do których jesteście przyzwyczajeni?

I natychmiast fotele stały się błękitne, ściany różowe, a sufit biały.

— Dziękujemy — powiedział Bibl — ale chcielibyśmy wiedzieć, co to wszystko znaczy?

— Co?

— Wyjście, które okazało się pułapką. Zniknięcie zielonego pola. Halucynacja. I znowu spotkanie już w rozszerzonym towarzystwie.

Nikt z Hedończyków nie wymienił spojrzeń, nikt nie decydował, kto z nich ma pierwszy odpowiadać na pytania, ale któryś z nich odpowiedział. Kto, trudno było zgadnąć: Hedończy nie poruszali wargami, a myśl nie ma „głosu”. Odezwała się w świadomości Ziemian bezdźwięcznie, bez żadnej intonacji i wyrazu.

— Wyszliście, ponieważ zapragnęliście tego. Ściana jest nie zamknięta. Żadnego zielonego pola nie ma, to dekoracja. Halucynacja to plód twojej wyobraźni. Nawiasem mówiąc określiliśmy jej wskaźnik.

— Jaki?

— Czwórka. Powyżej granicy, ale poniżej normy. A u tego bez brody zero. Woli dokładną wiedzę.

Kapitan nie obraził się. Nie cenił wyobraźni zbyt wysoko. Zapytał tylko:

— A kto stawiał stopnie?

— Koordynator.

— Kto?

Wyjaśnienia nie było. Hedończy nie reagowali. Po prostu siedzieli jak cztery posągi. Ale Kapitan nie ustępował:

— Człowiek czy maszyna?

— Nie wiadomo. Ale jest związany z wszystkimi mechanizmami obsługującymi. Wyznacza współczynniki. Ustala zasady gry.

— Jakiej?

— Każdej. W każdym kręgu życia.

— Czy życie to gra?

— Oczywiście. I jak każda gra jest podporządkowane zasadom. W kręgu dzieciństwa są inne. W kręgu szkolnym również. Krąg dojrzałości jeszcze nie nastąpił.

Kapitan popatrzył na Bibla: zrozumiałeś coś z tego?

Bibl roześmiał się:

— Bawimy się ni to w durnia, ni to w chowanego. I walka „biczami” na śmierć i życie jest grą, i działania na wieloznakowych liczbach w myśli — również. Jedni rozwijają wyobraźnię, inni gryzą. Pamiętasz, jak błękitny, nawet padając, jeszcze próbował ugryźć. A dwanaście, nawiasem mówiąc, podnosił w pamięci do czwartej, czy do piątej potęgi. I jak się tu mamy zorientować, kiedy plotą trzy po trzy, a kiedy mówią o rzeczach istotnych.

— Nie zamknęliście swoich myśli — natychmiast padła bezosobowa odpowiedź. — Możemy wyjaśnić. Istotne jest wszystko. Czasami za celne uderzenie „biczem” dolicza się więcej jednostek niż za nieudolne zestawienie barw na tablicy, a w krytycznej sytuacji, gdy liczba uzyskanych jednostek nie osiąga normy, oryginalna receptura obiadu łatwiej może uchronić przed regeneracją niż szablonowy wariant wyobraźni.

— Niczego nie rozumiem — skrzywił się Kapitan. — Wszystko na bakier.

Tym razem Hedończycy popatrzyli po sobie. Bez pośpiechu, uważnie, jakby pytali się nawzajem lub naradzali.

— Nie rozumiemy reakcji — padła odpowiedź.

— Wy nie rozumiecie, my nie rozumiemy — warknął Kapitan, z trudnością hamując gniew. — W ten sposób do niczego się nie dojdzie! Może zaczęlibyśmy od tego, że opowiecie nam o waszej planecie, o świecie, który was otacza, o waszym społeczeństwie, o jego strukturze społecznej...

Bibl trącił Kapitana łokciem: Hedończycy już nie „słuchali”. Znowu długo i bezdźwięcznie rozmawiali spojrzeniami. Dziwny to był widok: zupełnie jak scena z epoki niemego kina bez napisów. Wreszcie zredagowano odpowiedź. Teraz Kapitan i Bibl wiedzieli, że udzieli jej Hedończyk z jaśniejszymi włosami.

— Nie możemy spełnić waszego życzenia. Żadnych dokładnych wiadomości o otaczającym nas świecie nie ma. Każdy może tworzyć swoje własne wyobrażenia o planecie i społeczeństwie nie odwołując się do realnej rzeczywistości. Osobiście mogę zaproponować zaledwie osiem wyobraźalnych wariantów konstrukcji naszego świata, wszystkie ze wskaźnikiem dodatnim.

— A ja dwanaście — wtrąciła się kobieta.

Bibl domyślił się tego po jej gwałtownym ruchu ku przodowi.

— Dziękuję — podziękował ironicznie — ale ja również wolę ściśle wiadomości. — I już nie szeptem, lecz pełnym głosem, nie ukrywając rozczarowania i niezadowolenia, powiedział do Kapitana: — Pudło, Kep. Albo świadomie nas mistyfikują, albo zetknęliśmy się tu zupełnie z nową wartością społeczno-biologiczną, całkowitym brakiem zainteresowania w stosunku do wszystkiego, obojętne co by to nie było. I w jednym, i w drugim wypadku niczego nie uzyskamy. Nie ma wspólnych zainteresowań, nie ma kontaktu.

— Spokojnie, Bibl — przerwał mu Kapitan. Patrzył wyłącznie na Bibla, ignorując Hedończyków. — Zdaje się, że zapomniał pan o tym, co jest najważniejszą cechą badacza kosmicznego. Wynika z tego, że będziemy musieli zbierać te tak tu niepopularne ściśle informacje po troszeczkę. Mimo wszystko są i takie. Czego, na przykład, uczą ich w szkole?

— Bójek, gier i tworzenia mitów — roześmiał się sarkastycznie Bibl.

Hedończycy milczeli.

— Dlaczego nam nie przerywacie? — zapytał Kapitan.

— Przecież porozumiewacie się między sobą. Myśl jest zamknięta

— Mówimy o ściślej wiedzy. Uważam, że taka jednak u was istnieje — powtórzył Kapitan.

— Czym nas obezwładniliście?

Jasnokóry Hedończyk machnął ręką — Bibl gotów był przysiąc, że wykonując ten ruch nie miał on niczego w dłoni — i pokazał Kapitanowi coś w rodzaju klucza francuskiego z bladoniebieskiego metalu.

— Paralizator. Strzela molekułami gazu usypiającego. Możesz sobie wziąć.

Rzucił Kapitanowi błękitny pseudoklucz i natychmiast podał oszołomionemu Biblowi drugi taki sam.

— Widziałeś cudzeńka? — roześmiał się Kapitan i zapytał: — A dlaczego „granatowy”, którego okładano „biczami”, nie użył paralizatora?

Nieoczekiwanie odpowiedział atleta siedzący obok:

— Bo takie są zasady gry. Tym „granatowym” byłem ja. W tych samych warunkach co „błękitni”. Nawet bez koszuli ochronnej. — Dotknął jednego z jej sznureczków.

— A pan wątpił, że posiadają oni jakieś ściśle informacje — powiedział Kapitan — Widać, że o niektórych sprawach są dobrze poinformowani. Ciekawe, jak się do siebie zwracają? Mam nadzieję, że nie jednym z dwunastu wymyślonych wariantów?

Odpowiedź otrzymali od razu. Znowu odpowiadał jasnoskóry, najwidoczniej cieszący się wśród Hedończyków największym autorytetem. I co ciekawe, mimo braku intonacji myśli nie zawsze były anonimowe! Czasami ich natężenie pozwalało odgadnąć autora.

— Imiona nasze są ustalone, choć niestałe — wyjaśnił. — W kręgu niemowlęcym obchodzą się bez nich, „błękitni” wybierają je opierając się na wskazówkach maszyn liczących. Najczęściej są to nazwy przedmiotów i zjawisk otaczającego świata, czasem oddzielnych pojęć. „Granatowi” mogą zmienić imię: ich horyzonty są szersze, a w związku z tym większa możliwość wyboru. Ja zachowałem poprzednie — Grom.

Hedończyka, którego kosmonauci poznali podczas pierwszej rozmowy w „kolbie” nazywano Biczem. Imię atlety, który wytrzymał walkę z „błękitnymi”, zabrzmiało różnie. Kapitan „usłyszał” Mężny, a Bibl — Wytrwały. Przyjęli Wytrwałego. Imię kobiety dawało jeszcze większą możliwość wyboru: Drzazga, Igiełka, Szpilka. Wybrali Igiełkę.

— A czego uczą was w szkole oprócz gier i wyobraźni? — zapytał Bibl.

— Dlaczego „i”? Wyobraźnia to także gra.

— No, a nauki ściśle? Matematyka, fizyka, chemia?

Odpowiedź nie padła od razu. Hedończycy znowu popatrzyli po sobie.

— Ostatnie dwa pojęcia są u nas w ogóle nie znane. Uczymy się tylko matematyki.

— Podstawowej czy wyższej?

— Rozumiemy wasze pytanie następująco: podstawowa to liczenie na tablicy za pomocą cyfr, wyższa to działania na dowolnych liczbach w pamięci.

— A geometria, algebra, analiza matematyczna?

— Pewne elementy o wyższym stopniu trudności matematycznej są nauczane już w kręgu dojrzałości. Ale również jako gra czy też hobby.

— To nawet zabawne, że nasze myślowe tłumaczenie zaczyna zahaczać o żargon — szepnął Bibl do Kapitana.

— Nie zabawne, lecz straszne. Wynikałoby z tego, że nie znają ani wytrzymałości materiałów, ani mechaniki budowlanej. Jak więc budują?

— My nie budujemy.

— Ale ktoś buduje.

— Nikt nie buduje. Wszystko zostało zbudowane dawno i na zawsze.

Kapitan i Bibl tylko popatrzyli po sobie: już im brakowało słów.

— Może chodziło wam o budownictwo logiczne? — padło tak samo anonimowe, jak zresztą większość w całym tym dialogu, pytanie.

— A co to takiego budownictwo logiczne?

Na różowej ścianie pojawił się nagle prostokątny, podświetlony od wewnątrz biały ekran, a w jego środku żółty kwadrat. Natychmiast przykleił się do niego czarny krąg, a z boku czerwony wielokąt. Z wierzchołków popęzły w różne strony łańcuchy nasuwających się jeden na drugi sześcianów i sześcianików, kolejno zmieniających barwę. Trójgromiaste linie przesyły je jak bagnety i owinęły się spiralą wokół kwadratu — ojca.

— Abstrakcyjne malarstwo filmowe — mruknął Bibl — wczesny kubizm. Ale nawet dla

takiej bzdury konieczna jest znajomość geometrii, choćby w obrębie dwóch pierwszych lat. Obawiam się, że czegoś tu nie zrozumieliśmy.

— Zaczynam rozumieć — odezwał się Kapitan. — Patrz!

W wolnym, nie zakreślonym kącie ekranu od czarnego kręgu popęzła w górę cieniutka linia, utworzyła ściętą ażurową piramidę z wysuniętym z boku ramieniem. Rysunek dźwigu budowlanego w konwencji sprzed stu lat — pomyślał Bibl. — Ciekawe, kto jest autorem tego arcydzieła? Hedończycy również okazali zupełnie nieoczekiwane zainteresowanie. Popatrzyli po sobie, pomrugali, ich źrenice rozszerzały się i zwęzły i nagle wszyscy, jak jeden mąż, odwrócili się w kierunku Kapitana.

— To ty?

— Narysowałem im schemat dźwigu budowlanego, tak, jak robiłem: w dzieciństwie — wyjaśnił Biblowi Kapitan.

— Tak właśnie pomyślałem — odezwał się Bibl. — Ciężki realizm w ich malarskich abstrakcjach. Myślowym malarstwie — poprawił się. — Jeszcze jeden przykład ich oderwania się od realnego życia. Ciekawe, komu i po co było to potrzebne.

„Zamknięta” replika Bibla nie doszła chyba do Hedończyków. Milcząco, ale z bardzo dużym ożywieniem rozmawiali między sobą. Bibl natychmiast to zauważył: wyraz ich oczu zmieniał się gwałtownie. Nagle kobieta wstała i zauważywszy, z jak napiętą uwagą Bibl się im przygląda, uśmiechnęła się, podobnie jak jej współplemieńcy, wyłącznie kącikami ust. Ale jej myśl odpowiedź adresowana była najwyraźniej do wszystkich.

— Zanim spotkaliśmy się tutaj, brakowało mi ośmiu jednostek. Teraz będę miała więcej. Do zobaczenia w Aorze.

— Daleko? — zainteresował się Bibl.

— Moja szkoła znajduje się po tamtej stronie równika. Ale ciebie interesują środki transportu? Nie mamy ich. Wychodzę stąd i wchodzę do siebie.

— Błyskawiczne przemieszczenie w przestrzeni?

— Tak. U nas nie ma odległości. Wszystko to jest bardzo proste — znowu uśmiechnęła się, odebrawszy niewypowiedzianą myśl Bibla. — Musimy tylko pomyśleć o tym, gdzie powinniśmy być i zaraz się tam znajdujemy.

Z tymi słowami roztopiła się w różowej mgiełce ściany.

— Jeszcze jeden test i rozdzielicie się — powiedział Grom.

Kapitan odpowiedział zdziwionym spojrzeniem: wyjaśnij! Hedończyk milczał.

— Co to znaczy „rozdzielicie się”? — podniósł głos Kapitan.

— Chwileczkę — skrzywił się Hedończyk. Najwidoczniej drażnił go podniesiony głos ludzkiego głosu. — Przecież powiedziałem: jeszcze jeden test.

Pośrodku pokoju zawisnął między nimi w powietrzu półmetrowy sześcian podzielony na czarne i żółte sześcianiki — dwanaście w każdym rzędzie. W przezroczyściej, mimo zabarwienia, przestrzeni sześcianików widniały podświetlone od wewnątrz szare i żółte figurki.

— Kłast — powiedział Hedończyk. — Gra.

— Rozumiem — Bibl nie okazał zdziwienia. — Coś w rodzaju szachów o wyższym stopniu trudności. Mamy coś podobnego, tylko rozmieszczone na płaszczyźnie, a u was zaś jest to w przestrzeni. W naszej grze są sześćdziesiąt cztery pola, a u was tysiąc siedemset dwadzieścia osiem. Każda figura najprawdopodobniej porusza się inaczej, z prawem usunięcia z gry zbitych figur przeciwnika i zajęcia odpowiedniego gniazda w przestrzeni sześcianu.

— Będiesz grać w kłast — zauważył Hedończyk. — Bez maszyny uczącej.

— Dobrze trafiliście — uśmiechnęła się Kapitan. — Przecież on zdobył pierwszą kategorię w szachach. Prawie mistrz. A ja dziękuję. Nie gram.

Hedończyk albo nie zrozumiał, albo nie miał ochoty komentować jego wypowiedzi. Uważnie popatrzył Kapitanowi w oczy i posłał myślową replikę:

— A więc rozdzielimy się. Twój towarzysz, po tym, jak zapozna się z grą, wróci do siebie

do stacji, a ty zostaniesz z nami.

— Po co?

— Żeby się spotkać z Nauczycielem.

— Tej szkoły?

— Nie, planety. Całego rozumnego świata.

— Dlaczego ja? Przecież możemy pójść we dwóch.

— Koordynator wzywa tylko ciebie. Informacja nie podlega korekcji.

— A jeżeli się nie podporządkujemy?

— Macie prawo. Wróćcie obaj. Ale z Nauczycielem już się nie zobaczysz. Nigdy.

Kapitan zamyślił się. Zdaje się, że nadarza się sposobność rozszyfrowania tej do tego momentu dokładnie zaszyfrowanej cywilizacji. Ten Nauczyciel na pewno wie więcej, ma większe możliwości niż jego „granatowi” podopieczni. Westchnął i rzekł:

— Chyba warto zaryzykować, Bibl. To ma sens.

— To nie ma sensu. Odpowiada pan przed całą załogą, Kep. Zgodnie z regulaminem panu nawet zabrania się podejmować takie ryzyko.

— Narazamy życie w czasie każdej minuty każdego spaceru po kosmosie. Życie! Przecież mogliby nas dziesięć razy go pozbawić jeszcze przed tym spotkaniem, a nie zabawiać nas szachowymi sześcianami. Nie, Bibl, zaryzykujemy. Znajdzie pan „Portosa” za pomocą kompasu, wyjście z fazy zostanie otwarte, no a do stacji jakoś się pan dostanie. Mnie zaś chyba dostarczą.

Hedończycy odparli bezdźwięcznie:

— W imieniu Nauczyciela.

— Tylko wyjaśnijcie nam, na litość boską, kto to jest ten Nauczyciel? Naczelnny władca? Kapłan? Uczony?

— Nie wiemy.

— Czy ktoś z was go widział?

— Nie, nigdy.

— Może macie portrety, rzeźby, fotografie?

— Nie rozumiemy. Nieznane pojęcia.

— Któż to więc jest, superman czy superrobot?

— Mózg.

ROZDZIAŁ VIII

BIBL POWRACA. MIASTO BŁĘKITNEGO SŁOŃCA.

Bibl nie musiał szukać „Portosa”. Po prostu przeszedł przez różową błonkę powietrzną i znalazł się obok pojazdu. „Portos” stał podobny do żółwia, unosząc się tuż nad ziemią z wysuniętą do przodu główką emitora osłony siłowej. Gdy na drodze trafiała się trudna do pokonania przeszkoda, całe urządzenie natychmiast chowało się do środka korpusu, a pole ochronne osłabiało uderzenie, — odrzucając pojazd do tyłu. Przy postoju emitor wysyłał wiązkę pola ochronnego w stronę każdego zbliżającego się obiektu, obracając się jak żywy w jego kierunku. Bibl przestawił dysk na bransolecie: główka natychmiast schowała się, drzwi wejściowie cofnęły się na zawiasach i „żółw”, nie zmieniając wyglądu, przygotował się do skoku.

Bibl zrobił to wszystko, co zrobiliby w takich przypadkach Kapitan i Mały: zamknął luk wejściowy, usiadł za pulpitem sterowniczym, znowu włączył emitor osłony i nastawiwszy na skali odpowiednią cyfrę przycisnął włącznik z literami „P P” — prędkość początkowa. „Portos” skoczył i unosząc się nad krzewami ruszył płynnie w kierunku znajomy alei eukaliptusowej. Bibl nie wybierał drogi, leciał po prostej, wiedząc, że wcześniej czy później zielona trąba powietrzna wyprowadzi go na czarną pustynię, z której tu przybył. Tak poradzili mu chłopcy w niebieskich koszulkach siatkowych. Bibl zamyślił się. W gruncie rzeczy ja mało na Ziemi wiedzę o formach rozumnego życia w kosmosie. Nie zdają sobie sprawy, jak wielopostaciowe jest to życie i jakie zagadki nie do odgadnienia stawia czasami przed badaczami. Teorię wielofazowości świata do tej pory wyśmiewają oponenti Merle’a z ziemskich akademii, a na Hedonie każdy niedowiarek może bez żadnego kłopotu sprawdzić ją doświadczalnie. Dlaczego? Jakie warunki powstają tu podczas przesunięcia faz? Kiedy otwierają się „wejścia” i „wyjścia”? W jaki sposób można sobie wyobrazić cywilizację na Hedonie, jeżeli niezrozumiała jest sam jej sens? Co Hedończycy osiągnęli? Nieśmiertelność? Przecież Bibl i Kapitan widzieli martwych. Gdzie się więc zaczyna i gdzie kończy życie, które modeluje wszystkie szczeble drabiny wzrostu według jednego wzoru? Jaki jest socjalny kształt tego społeczeństwa, jeżeli jego technosfera osiągnęła poziom niewyobrażalny dla Ziemianina? A poziom ten osiąga się, jak się okazuje, poprzez zabawę w klocki, liczenie w pamięci i dziecięce fantazjowanie. Jakże może istnieć społeczeństwo, które nie przejawia zainteresowania nowym, poznanie świata sprowadza do tworzenia mitów. No i po co ono istnieje, jeżeli otrzymując wszystko, nie oddaje niczego w zamian? I w gruncie rzeczy, od kogo otrzymuje, komu nie oddaje niczego?

Bibl przypomniał sobie koniec rozmowy w „kolbie”, kiedy to Hedończyk oznajmił Kapitanowi, że Nauczyciel, który się nim zainteresował, to tylko mózg.

— Elektroniczny czy żywy? — zapytał Kapitan i otrzymał odpowiedź, że żywy.

— Gdzie się znajduje?

— W specjalnym płynie odżywczym.

— Ale gdzie, w jakim miejscu?

— Nie wiemy.

— To jak mnie do niego zaprowadzą?

— Nikt cię nie będzie prowadzić. Wyjdiesz stąd i znajdziesz się od razu w Wiecznym Skarbcu.

— Razem z wami?

— Nie. Nauczyciel wzywa tylko ciebie.

— Coraz lepiej! Cóż to takiego, sanktuarium? Świątynia? Kolumbarium?

— Nie wiemy.

— Co wy w ogóle wiecie?

— Że jest.

- Bez ciała?
- Tak.
- Bóg?
- Nie. Nie oddajemy mu czci.
- Informatorium?
- Nie. Informację zbiera i wykorzystuje Koordynator.
- Rozumie pan coś z tego, Bibl?

Bibl odparł, że nie tyle rozumie, co przypuszcza. Mózg to programista, a Koordynator to maszyna licząca, komputer cybernetyczny, który w jakiś sposób organizuje i reguluje życie planety.

Następnie Kapitan zniknął w zielonej mgiełce za błonką, a Bibl wrócił do „Portosa”. Zdziwiająco wygodna rzecz to błyskawiczne przemieszczenie w przestrzeni. Nie potrzeba żadnych samolotów, śmigłowców, nawet „pasów”. Pomyślałeś, krok i już jesteś w innym miejscu; jakby ktoś złożył kartkę papieru i dwa punkty na jednej linii połączyły się w jeden. Taka rzecz się nie śniła żadnemu specowi od przestrzeni. A z jaką prędkością to się odbywa: po prostu z prędkością światła, czy „nad”? Bibl nie był fizykiem i jego stosunek do wygod, jakie dostarczało tutejsze życie, niewiele odbiegał od postawy Hedończyków. Ciesz się, bracie; i tyle.

Jak mu wyjaśnili „tubylcy” o śmiesznych imionach, Bibl mógł natychmiast się znaleźć w rejonie stacji albo nawet wewnątrz niej, przynajmniej w obrębie korytarza parteru — nieprzypadkowo Dok i Pilot „Hedony 2” woleli siedzieć na piętrze: na tym poziomie miraż się nie pojawiały — ale Bibla nie skusiła możliwość takiej materializacji w kręgu towarzyszy. Trzeba było nie tylko wrócić do domu, ale również przyprowadzić „Portosa”, którego zabezpieczeń nie mogła pokonać nawet hedońska technika. Musiał więc skorzystać z zielonego wiru powietrznego, który wreszcie pojawił się zza drzew, i który natychmiast przeniósł pojazd na czarne przedpole wokół stacji. Wychodząc z wozu Bibl zauważył biegnące na spotkanie figurki — barczystą i wysoką, a obok niższą i szczupłą — przypominające długopis i nieproporcjonalny do jego rozmiarów, dwa razy większy futerał. A po minucie Mały i Alik już obejmowali kolegę, zaglądając mu przez ramię do wnętrza kabiny.

— A gdzie Kapitan? — zapytali obaj z niepokojem.

Bibl rozwiał ich obawy. Ale Mały zasepił się.

— Nie powinienesz być się zgodzić. Nie należało się rozdzielać.

— Kep nalegał. I, jak sądzę, miał podstawy. Kontakt wymagał rozdzielenia się.

— Jaki tam kontakt? Bzdura. Najpierw was postrzelili jak kaczkę nad bagnem, potem wpakowali do klatki, położyli spać na powietrznych łóżeczkach, tlenowym winkiem napoili. A kiedy zaczęli rozmowę, to czego się dowiedzieliście? Czego uczą, na czym siedzą, co piją, w co grają. A jak się przemieszczają w przestrzeni, jak przez ściany przechodzą, jak spirytus z powietrza pędzą, tego nawet oni sami nie wiedzą. Może to wcale nie jest szkoła, tylko małpi rezerwat.

— Mały ma rację — wtrącił się Alik. — Bardzo trafne określenie.

Czego się wymaga od małpy w niewoli? Przede wszystkim, żeby uwierzyła w swoją swobodę i szczęście, żeby ciut-ciut kombinowała i przedrzeźniała człowieka. Na przykładzie jej zachowania ktoś prowadzi sobie tylko zrozumiałe doświadczenia, robi jemu tylko potrzebne obserwacje i wyprowadza wypływające z tych obserwacji wnioski. Dowiedzieliście się, kto? Nie!

To rozgorączkowanie Alika było jakieś dziwne. Zupełnie, jakby wiedział o czymś nowym, zaskakującym. Domyśleć się tego nie było wcale trudno: to, o czym Alik wiedział, dosłownie wypisane było na jego twarzy, Mały nawet zwrócił mu uwagę:

— Nie pleć.

— Rozrabiacie, chłopaczki — powiedział Bibl. — Co ukrywacie? Mały odpowiedział ociągając się i niechętnie ważąc każde słowo:

— Nie lubię gadaniny. Tutaj, zanim się zacznie mówić, trzeba dużo przemyśleć. A my nie zdążyliśmy. Jesteśmy tu zaledwie od godziny.

Rozmowa toczyła się przy obiedzie, który Alik przygotował naprędce, ale zgodnie z zasadą „ani grama syntetyki”. Wrócili rzeczywiście godzinę temu z wyprawy pojazdem, pozostałym w spadku po ekspedycji, która wróciła na Ziemię. Mały wyregulował ochronny deflektor i zwołał Aliką: „Dość tego grzebania się w rupieciach korytarza. Przejdziemy się na ocean”. Alika, oczywiście, nie trzeba było długo namawiać. Bez przygód dojechali do wody, niebieskawej z wyglądu, zupełnie jakby zabarwionej farbą; była błękitna nawet tuż przy brzegu. „Wykapiemy się?” — zaproponował Alik. „E tam — machnął ręką Mały — jeszcze jakąś cholere złapiemy”. Otoczenie również nie zapowiadało żadnych przygód — obtopiony czarny brzeg, stromo spadający do wody, lekka bryza od oceanu i błękitne słońce w zenicie. Wcale nie grzało, żar lał się z drugiego, zniżającego się ku zachodowi, a błękitne tylko rzucało wokół ultramarynowe odbłaski. „Nie podoba mi się to wszystko” — powiedział Mały i szybkim krokiem ruszył w kierunku „Portosa”. Speszony Alik również poszedł za nim. Nie było tu nic ciekawego, nie mógł zrozumieć nagłego niepokoju kolegi. Lecz Małego wyraźnie coś zaalarmowało.

— Dlaczego? — zainteresował się Bibl.

— Przeczucie. Wydawało mi się, że coś się nagle powinno zdarzyć. I zdarzyło się.

W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od nich — widzieli to już przez szkła wizjera pojazdu — na czarnym kamieniu wyrósł nagle olbrzymi, pąsowy wachlarz, podobny do drżących na wietrze gigantycznych płatków tulipana. Porównanie wymyślił Alik. Nie przepadający za „artystycznymi” wizjami Mały poprawił: „Takie same strzępy mgły, tyle że czerwonej”. W tych strzępach ciemniało jądro, podobne do kineskopu z zamglonym obrazem telewizyjnym. Mały włączył pole ochronny i gwałtownie ruszył w tym kierunku. Szok trwał tylko jedno mgnienie zupełnie jakby ktoś przekreślił kontakt: jasno–ciemno — znowu jasno tylko krajobraz inny.

Jechali przez miasto: nie po mieście, a właśnie przez, przesywają ulice, domy, wieże, wiadukty, dziwne budowle, przepelnione ludzi i przypominające dworce albo puste jak hale fabryczne, w których skończono już pracę. Podobieństwo do hal fabrycznych narzucały quasi-taśmy transporterów, przenoszące bez widocznych podpór jakieś przedmioty o nieznanym kształcie i przeznaczeniu. Obejrzeć je było trudno, prawie niemożliwe: pojazd poruszał się bardzo szybko, sytuacja zmieniała się co sekundę. Ale bodaj najciekawsze było to, że ruch pojazdu nie powodował żadnych zmian w otaczającym go życiu, że fizycznie nie wchodził on w skład jego przestrzeni, a przenikał je niematerialny Latający Holender.

— Dziwne — powiedział Bibl, zaskoczony — przeszliście „wejście” ale nie weszliście do fazy.

— Podobnie jak Mały nie zna pan równań Merle’a — odparł Alik — a Merle dopuszcza istnienie ruchu okołoprzestrzennego, międzyfazowego. W taki właśnie sposób poruszaliśmy się również my, obserwując ich fazę z boku, jak program telewizyjny. Czy program telewizyjny może zapewnić takie przenikanie w jego teleświecie? Może. Tak to właśnie objaśniałem Małemu, a ten tylko rękami macha.

Mały nie machał rękami. Zasepiony przypomniał sobie to, co widział. Co za różnica, z jakiego miejsca oglądało się obraz, którego nie jest się w stanie objaśnić. Był on zupełnie niepodobny do zielonej idylli brodatych niemowlaków i wygolonych uczniaków. W błękitnym świecie — a wyglądał on właśnie tak, jakby patrzyło się na niego przez okulary z błękitnymi szklami — wszystko pracowało; i ludzie, i przedmioty. Przedmioty latały, właśnie latały, a nie były przenoszone czy przewożone — ledwo widoczne w pędzących prostych lub spiralnych potokach, pojawiające się, to znów znikające, materializujące się, to znów rozpadające się w nicłość. Ludzie nie poruszali się bezcelowo: wykonywali swe czynności bez odpoczynku, bez rozglądania się na boki. Nawet nie próbując określić, co robią, śmiało można było stwierdzić, że są oni zajęci pracą, która bez reszty pochłania ich uwagę.

— Ludzie? — przerwał pytaniem Bibl. — Takie same dwumetrowe nagusy?

— Nie — odparł Alik — tamci to coś w rodzaju Małego, a ci sięgają nam najwyżej do ramienia. Ale obserwując z przestrzeni międzyfazowej widzieliśmy wszystko w innych proporcjach, albo zetknęliśmy się tu z całkiem inną rasą.

— A twarze, odzież?

— Według mnie byli ogoleni. Kurteczki noszą króciutkie, jednokolorowe. Coś w rodzaju niebieskich dzwoneczków. Dokładnie nie mogę określić: zbyt szybko zmieniało się wszystko. Niech pan spróbuje u nas na Ziemi puścić przez Paryż czy Londyn szklaną torpedę na wysokości półtora, dwóch metrów i z prędkością ponad dwieście kilometrów na godzinę. Dużo pan zauważy ze środka tej torpedy?

Pewne obserwacje zdążyli jednak poczynić. W mieście tym zupełnie nie stosowano kół — ani na ulicach, ani w maszynach — tylko przeguby i macki manipulatorów. Tablice świetlne zamiast pulpity. Hale maszynowe o gigantycznych rozmiarach, z maszynami przezroczystymi jak kryształ. Niezwykłe zwierciadła, wielkie jak jeziora — ni to pochłaniacze energii słonecznej, ni to kondensatory jakichś innych rodzajów promieniowania świetlnego. Fantastyczne, topologicznie powyginane powierzchnie budynków. Nieruchoma, matowa kopuła nieba. Jadowity lazur jezdnii i podłóg. Wszystko to przemknęło przed nimi w trakcie półgodzinnego seansu malarskich i graficznych abstrakcji.

Alik skończył opowieść i filuternie popatrzył na Bibla.

— No i co pan, panie profesorze, powie o społecznej strukturze cywilizacji Hedony?

— Nie pleć — znowu upomniał go Mały.

— Po pierwsze — zagiął palec Bibl — nie widziałem tego, co wy widzieliście. Po drugie, widzieliście wszystko niewyraźnie i krótko. Po trzecie, wasza opowieść o tym, co widzieliście, jest delikatnie mówiąc niezbyt spójna i dokładna.

— Słusznie — przerwał mu Mały. — Zupełnie niedokładna. Same cuda. A może jest tu pięć cywilizacji, po sztuce na słońce?

— Pustynia jest martwa.

— No to cztery. Jakimi faktami dysponujemy, żeby wyciągnąć określone wnioski?

— A próbowałeś zestawić te wnioski? — nie poddawał się Alik. — A ja zestawiłem. I wyciągnąłem wnioski. Tu są nie cztery cywilizacje, lecz jedna. Technokratyczna. Mózg, jak powiedział Bibl, to programista, a Koordynator jest urządzeniem, które wprowadza program w życie. A przy nich, powiedzmy, działa rada złożona z pięciu, sześciu mędrców, którzy nadzorują program i jego wykonanie. Ludzie w mieście to uczeni i pracownicy, ludzie w zielonym rezerwacie to morskie świnki, które są karmione, pojone, uczone zgodnie z programem jakichś badań albo po prostu dla rozrywki. Inna rasa, być może nawet sztucznie wyhodowana. Humanoterrarium Zoo.

— Zimno, zimno — powiedział Kapitan, wchodząc do pokoju — jesteś teraz jeszcze dalej od rozwiązania zagadki tej planety. A rozwiązanie, zapewniam was, będzie całkiem nieoczekiwane.

ROZDZIAŁ IX

OPOWIADANIE KAPITANA. A JEDNAK NIE ROZWIĄZANIE.

Byliście kiedyś u wirusologów w Nowych Czeremuskach? Mówię o nowym szpitalu otwartym pięć czy sześć lat temu. Jak okiem sięgnąć biało, białutko, błyszcząco śnieżna i bezkresna przestrzeń. Nawet ściany nie są widoczne, ponieważ nie mają wyraźnie zaznaczonych granic. Wszystko zaokrąglone, wygładzone jak lodowisko hokejowe w Pałacu Sportu. Najmniejszy mikroorganizm, który Bóg wie, jakim cudem mógłby się tu dostać, natychmiast zginie w tej sterylnej białości. Nawet okien nie widać, szkła są jakby zaproszone połyskliwym szronem, a wokół nich, oczywiście, nie ma ani ram, ani występów, ani parapetów. Zdrowy człowiek w tym pałacu Królowej Śniegu natychmiast traci humor.

Taki właśnie widok zobaczyłem po wyjściu z „kolby” pod sklepienia Wiecznego Skarbcza Mądrości. Prawdę powiedziawszy, sklepienia nie było. Na nieokreślonej wysokości wisiało nad głową klujące, brylantowe niebo, niepostrzeżenie przechodzące w ściany i podłogę. Podłoga stawała się coraz twardsza, błyszczący połysk coraz bardziej matowieł, a światło padało wokół nie wiadomo skąd — czyste, jasne, nie drażniące.

Wreszcie oczy, przywykłe już do białości, zauważyły w środku tego śnieżnego palazzo coś w rodzaju bardzo dużego akwarium, utrzymującego się nad podłogą bez żadnej widocznej podpory. Woda w nim była przezroczysta, niczym nie zmacona, ale widocznie spoista i gęsta; najprawdopodobniej wcale nie była to woda, a jakiś koloid, ponieważ zanurzony w tę quasi — wodę przedmiot nie wywoływał żadnych zmian w otaczającym go ośrodku — ani fal, ani pęcherzyków. Przedmiot ten duży, szary, podobny do jądra orzecha włoskiego powiększonego do metra w średnicy. Nie znajdował się w jednym miejscu, lecz pływał, pulsując nieco, obracając się lekko, to zniżał się, to unosił się ku górze w granicach centymetra. Nie był jednorodny; nierównomiernie, ale bez przerwy mienił się to jaskrawymi, to wyblakłymi plamami. Od razili domyśliłem się, że jest to właśnie mózg — niewiarygodnie powiększony i prawie całkowicie pozbawiony cech, które charakteryzują go w atlasach anatomicznych. W każdym razie nie odnalazłem ani granic półkul, ani płatów czołowych, ani skroniowych, ani potylicy, ani mózdzku. I mimo wszystko właśnie to było Nauczycielem, skupiskiem mądrości chronionej w Wiecznym Skarbcu, źródłem oczekujących nas, Ziemiaków, kontaktów.

Odczuwałem już przedsmak ich początku, pytając sam siebie: cóż dzieje się w tym prawie bezkształtnym skrzepie — skrzepie życia albo dokładniej, wyższej formy materii. Jakie procesy tam zachodzą, jakie fale, sygnały elektryczne, błyskawiczne zmiany struktury komórek? Ile miliardów neuronów kieruje nieskończonym potokiem obrazów, wspomnień, myśli wydobywanych z martwego archiwum pamięci? Pulsuje, zmienia barwę, a więc żyje, może za pośrednictwem jakichś czujników widzi i ocenia mnie. Może jego potencjał umysłowy tysiąckrotnie przekracza ludzki, ale przecież i my, jak to się mówi, nie jesteśmy od macochy. Zaczniemy.

I kontakt się rozpoczął, bezdźwięczny i bezosobowy jak kolokwium albo egzamin. Pamiętacie pytania na tablicy świetlnej i nasze odpowiedzi na karteczkach oznaczonej tym samym numerem? Nikt nie palił, nie kaszłał, nie podnosił głosu, nie pił herbaty z cytryną. Pytano nas — i odpowiadaliśmy. Tutaj procedura ta odbywała się w jeszcze bardziej prostej formie. Ktoś w moim mózgu w tak samo bezdźwięczny i bezosobowy sposób zadawał pytanie, a ja, zastanowiwszy się nad odpowiedzią, powtarzałem ją w myśli. Nawet tablicy świetlnej nie było i nic nigdzie nie było drukowane.

— Skąd jesteście? — padło pierwsze pytanie.

Odpowiedziałem.

— Możesz wyobrazić sobie mapę Galaktyki i położenie na niej waszego Systemu Gwiazdowego?

Spróbowałem to zrobić, przypomniał sobie szkoleniowe mapy gwiazdne. Nie wiem, udało mi się to czy nie, mój bezkształtny rozmówca, pływający w przezroczystym syropie, widać doskonale wszystko zrozumiał, ponieważ odzew był dokładny i natychmiastowy.

— Znamy ten system. Nawet próbowaliśmy się z nim skontaktować, ale bez skutku.

— Dawno?

— Wyjaśnij mi wasz system pomiaru czasu.

Znowu, uciekając się do map, wyjaśniłem, jak umiałem, zasady ruchu Ziemi po jej orbicie i odpowiadające im wykresy, pojęcia roku, miesiąca, doby, godzin i minut, istotę systemu dziesiętnego, prędkość światła i związaną z nią kosmiczną skalę pomiaru. Myślałem długo i nieskładnie: nie wiadomo czemu pchały się na myśl obrazki z życia szkolnego. Starłem uwolnić się od natrętnych skojarzeń, takich na przykład jak błąd, który zrobiłem w egzaminacyjnym zaliczeniu równań Maxwella, jakałem i płątałem w myślach, ale wreszcie zdołałem wydusić z siebie coś sensownego. Natychmiast, bez żadnej pauzy, jak błysk światła odezwała się w mojej świadomości odpowiedź na moje pytanie „czy dawno; próbowali skontaktować się z planetami Systemu Słonecznego”.

— Dwa i pół tysiąca lat temu według waszego systemu pomiaru czasu.

Nie zdążyłem nawet przemyśleć „usłyszanego”, kiedy w mojej świadomości dosłownie eksploatowało następne pytanie. Energia tych pytań była tak wielka, że działała jak nakaz hipnotyzera. Z Hedończykami w siatkowych koszulkach rozmawialiśmy jak dyplomaci za okrągłym stołem, a tu stałem jak żołnierz i składałem raporty w odpowiedzi wybuchające w mych myślach pytania Nauczyciela. Przecież ten szary, prawie nieruchomy kawałek biomasy w nieznanym koloidalnym roztworze, był właśnie tym, co pozostało z żywego kiedyś Nauczyciela, i kontynuowało obecnie jego długowieczną egzystencję na tej planecie. I nie pytań, lecz rozkazów Nauczyciela „wysłuchiwałem” jak posłuszny uczeń, niezbyt przekonany o tym, że jestem dobrze przygotowany do odpowiedzi.

— Myśl tylko o tym, co pozostawiłeś u siebie na Ziemi. Twój dom,; twoje miasto, twój zakątek planety. Chcę znać wygląd waszego świata. Nie martw się o właściwą kolejność i nie bój się luźnych skojarzeń.

— Na to potrzeba czasu — powiedziałem.

— Dla mnie czas nie istnieje, dla ciebie jest on ograniczony tylko przez proces przypominania.

Nagle, z niesłychaną precyzją uzmysłowiłem sobie, że mogę odtworzyć w pamięci wszystko, co zechcę. Nagle zobaczyłem ulicę Gorkiego, Prospekt Kalinina, granitowe nadbrzeża rzeki Moskwy i Bzowy Bulwar, na którym stare lipy szumiały pod naszymi oknami. Zobaczyłem cichą ulicę, po której bezdźwięcznie płynęły na poduszce powietrznej różnokolorowe pudełka samochodów, szerokie, niezbyt zatłoczone trotuary, gdzie przechodzień, który zatrzymał się przy lustrzanej witrynie sklepu, mógł usłyszeć tylko odgłos kroków po asfalcie, drobny stukot obcasów, miarowy tętent ruchomych chodników i urywki rozmów, przypominającej szuranie żwiru przemywanego na brzegu morską falą. W skojarzeniach przypomniałem sobie Picundę i bułgarski Słoneczny Brzeg, ciepło nagrzaną słońcem plażę, smak słonej wody.

— Przełącz się — przerwała mi obca myśl. — Chcę znać poziom waszej nauki, waszego wyposażenia technicznego, waszych więzi społecznych.

Zdołaliśmy już poznać charakter tutejszego telepatycznego sposobu porozumiewania się, wszyscy wiemy, jak wdziera się w świadomość myśl z zewnątrz, jak się ją odbiera i tłumaczy na język naszych pojęć i obrazów. Jeżeli się przyzwyczaić, taki sposób porozumiewania niewiele się różni od słownego, nie przytłacza, nie męczy. Ale tu, w tym białobrylantowym chrampie, rozmowa przebiega inaczej. Energia koncentratu myśli zanurzonego w płynny kryształ akwarium nie tylko przytłaczała i obezwładniała, ale również jak gwałtowny prąd powietrza przedmuchiwała mózg, oczyszczając go od wszystkiego co zbędne, mylące, utrudniające skoncentrowanie się i przeanalizowanie spraw podstawowych. Faktycznie nie należałem już do

siebie. „Przełącz się” — mówiono mi, i przełączałem się bez protestu. Ale to tylko łatwo powiedzieć: współczesny poziom nauki i techniki. Spróbujcie to określić w rozmowie, do której się nie przygotowaliście. A przecież miałem od razu wybrać i uogólnić główne problemy spośród tych, które ludzkość rozwiązała na współczesnym poziomie wiedzy. Jak mi się udało, sam nie wiem, ale widocznie udało się, ponieważ bezdźwięczny „głos” zatrzymał mnie:

— Dosyć. Już wiem, że za wami jest już okres niemowlęstwa i dzieciństwa cywilizacji. Podbiwszy kosmos zbliżyliście się do okresu młodości. Ale wiek dojrzały jest jeszcze daleko przed wami. Wasza myśl nie uzyskała władzy nad materią, nie opanowała dróg wszechświata. Rozumiem teraz, dlaczego nasze sygnały nie zostały odebrane.

Ja też rozumiałem. Cóż mogli odpowiedzieć na sygnały Hedończyków nasi przodkowie w Babilonie i Tebach? Uśmiechnąłem się nawet, przypuszczając, że mój współmówca nie dostrzeże nietaktu. I nie omyliłem się. Mózg posłał w odpowiedzi nieoczekiwaną replikę:

— To nie byli wcale Hedończycy. Nasza tutejsza cywilizacja jest młoda. Ma nie więcej niż tysiąc lat.

Bez słowa otworzyłem i zamknąłem usta — nawet nie pamiętam pytania, które miałem na końcu języka. Po prostu zgłupiałem z zaskoczenia. Jeżeli to mistyfikacja, to po co, w jakim celu? Jeżeli nie, jeżeli właściwie zrozumiałem odpowiedź mego milczącego współmówcy, to od razu rodziły się dalsze pytania. Jakaż więc cywilizacja próbowała się skontaktować z Ziemią dwa tysiące lat temu? Gdzie się podziała? Skąd wzięła się tutejsza? Dlaczego Mózg mówi w imieniu ich obu?

Odpowiedzi nie było, chociaż wszystkie te pytania Mózg na pewno odczytał w mych myślach, jak w otwartej księdze. Teraz nie poruszał się, tylko dwa równoległe fragmenty, zapewne płyty skroniowe, jaśniały, jakby podświetlone od wewnątrz. A więc jakieś jego nerwowe centra znajdowały się w stanie napięcia. Najwidoczniej oczekiwał mojego podsumowania. Ale tych pytań miałem zbyt wiele.

— Teraz zobaczysz, jak to było — „usłyszałem” wreszcie. — Wy nazywacie to historią. Mógłbym przekazać ją, nie uciekając się do obrazów wzrokowych, ale twoje zdolności bezpośredniego odbioru są nierozwinięte. Nie masz receptorów. Dlatego usiądź tak, żeby było ci wygodnie i patrz.

Usiadłem na tym, co wydawało mi się fotelem, znajomym przezroczystym fotelem z „kolby” i w śnieżnej białości sali zobaczyłem dziwną grę światła. Jak w ruchomym obrazie abstrakcyjnym barwy przesuwały się, napływały jedna na drugą, skręcały spiralnymi taśmami, to Nabierając intensywnego koloru, to blednąc, zupełnie jakby ktoś próbował wyregulować ostrość obrazu, starając się, aby projekcja była maksymalnie jasna i sensowna. Zobaczyłem budynki bez okien odbijające słońce, wieże i kopuły, ażurowe mosty, estakady i schody, fantastyczny pejzaż miasta, marzenia artysty — urbanisty, bajeczne tło dla poruszających się mechanizmów i tłumów ludzi.

Rozumiałem, że „mowa była” o cywilizacji, która zrodziła obecną, to jest o cywilizacji, która być może dawno zginęła; a my jeszcze z ławy szkolnej wiemy, że tysiąclecia istnienia każdej cywilizacji to kropla w morzu wszechświata. Być może, zginęła dlatego, że minęła apogeum swojego rozwoju, wynaturzyła się, straciwszy zainteresowanie do nauki i techniki. I czy obecna jest jej dziecięciem, jej następcą na tej planecie?

— Nie na tej, na innej — „usłyszałem” i mieszanina żywych obrazów w oślepiającej białości sali zniknęła.

Nie zadając pytania, które dopiero formowało się w świadomości, które jeszcze nie stało się myślą, natychmiast otrzymałem na nie odpowiedź:

— Zmniejszyłem prędkość moich wspomnień do minimum, ale twój mózg nie jest w stanie przystosować się nawet do tej prędkości. Dlatego nie mogę pokazać ci, jak rodziła się cywilizacja.

— Która?

— Ta, którą chcecie poznać i zrozumieć.

— Ale ty znalazłeś i inną, której zarysy dopiero co widziałem.

— Byłem jednym z jej rady starszych. Słusznie domyśliłeś się, że zginęła, choć nie byłem obecny przy jej śmierci. Ale przewidziałem ją. Osiągnęliśmy wszystko, co może sobie życzyć człowiek, nawet nieśmiertelność, i tym samym naruszyliśmy biologiczną równowagę w przyrodzie. Śmierć to prawidłowy etap biologicznej ewolucji. Wszystko umiera i rodzi się, nawet gwiazdy. I dlatego nieśmiertelni ludzie stracili zainteresowanie życiem. Rozumieliśmy, że niemożliwy jest ratunek ginącej cywilizacji, ale można było stworzyć nową, która odziedziczyłaby całą informację pramaterii.

— Kim byli ci „my”?

— Ja i moi pomocnicy, wszyscy, którzy pracowali nad problemem cykli genetycznych. Po odnalezieniu planety z takimi samymi komponentami biosfery, przetrzymaliśmy tu dwanaście do szóstej potęgi, czyli według waszego systemu liczenia około trzech milionów fizycznie pełnowartościowych dwudziestoczteroletnich osobników w wieku optymalnym dla wieczności.

Zdziwiłem się, dlaczego dla wieczności? Było to sprzeczne z tym, co wyjaśniono mi przed chwilą. Nauczyciel wyjaśnił:

— Określamy w ten sposób bardzo długi, kosmiczny w swej skali wycinek czasu, wiek gwiazd i planet. Ale z innym współczynnikiem nieśmiertelności. — Nie nadszedł wyrazić swego zdziwienia, mój rozmówca już je odebrał i kontynuował, tak samo bezdźwięcznie i monotonicznie: — Nie rozumiesz? Nieśmiertelność to prosta prowadząca w nieskończoność. My przekształciliśmy ją w sinusoidę, periodyczne powtarzanie krótkotrwałych cykli życiowych. Właśnie krótkotrwałość zapewniała niewygasające zainteresowanie życiem i gwałtowne gromadzenia informacji. Dwa lata trwa dzieciństwo, dwa młodość, cztery wiek dojrzały i cztery stan niezmaconego spokoju. Następnie cała nagromadzona informacja, oprócz dziedzicznego minimum, zostaje starta i cykl życiowy zaczyna się od nowa. Nowa osobowość nie jest powtórzeniem poprzedniej, ale rozwój jej podporządkowany jest temu samemu prawu: wszystko jest dozwolone, wszystko służy rozkoszy, a ukoronowaniem rozkoszy jest spokój.

Mózg „zamilkł”, najwidoczniej oczekując mojej reakcji. A ja również milczałem, zastanawiając się, ale nie adresując swych myśli bezpośrednio do niego. Myślałem o jego zarozumiałości i naiwności. Władca milionów żywotów, wprawdzie nie kierujący nimi, ale który stworzył aparaturę do kierowania, stosuje anarchiczny system „łap — trzymaj” zakończony czymś w rodzaju buddyjskiej „nirwany”, był w gruncie rzeczy niewiele mądrzejszy od swych wychowanków, zastępujących wiedzę wyobraźnią. No i najprawdopodobniej jest przekonany, że stworzył optymalny wariant szczęśliwości.

— A czy na Ziemi nie myślą o szczęśliwości mieszkańców? — usłyszałem znowu. Nie ociągałem się z odpowiedzią:

— Owszem, myślą. I robią. Tylko według zasady: od każdego według zdolności, każdemu według jego pracy.

Wydało mi się, że Mózg się uśmiechnął. Oczywiście było to złudzenie. Obca myśl odezwała się w świadomości, tak jak poprzednio bezbarwnie i bezosobowo. Nawet nie mogę wyjaśnić, dlaczego „usłyszałem” w niej coś w rodzaju intonacji.

— To niewiele. Praca niszczy rozkosz, męczy myśl, ogranicza wolność. My dajemy więcej.

Ogarnęła mnie złość: zawsze złościsz się, gdy ktoś mówi głupstwa.

Praca już dawno nie męczy, nawet na Ziemi, tym bardziej u was, przy waszej technice. Męczy nieróbstwo. Praca zgodna z zainteresowaniami to twórczość, a twórczość nie daje rozkoszy tylko głupcowi. Talent to praca, powiedział jeden z geniuszy naszej przeszłości. A czy wam praca nad problemem cykli genetycznych nie dawała czegoś podobnego do rozkoszy.

— Jestem zrodzony przez inną cywilizację. Mniej doskonałą. Nasi przodkowie doprowadzili do wygasania życia. My je stabilizujemy.

Wierzył, że stabilność stanowi optimum radości życia. Dziwak. Czy warto było tworzyć

Wieczny Skarbiec Mądrości, jeżeli mądrość tę mogą u nas wyśmiać nawet najbardziej niezdolni uczniowie? Nie mogę się równać z Biblęm, ale czułem się na siłach podjąć dyskusję. I starając się być uprzejmym, wyjaśniłem:

— Stabilność sama przez się nie może dać radości życia. Radość to pokonywanie trudności. Wyśmiałeś naszą zasadę, ale przecież pokonując trudności, w wiecznym poszukiwaniu nowego nie stoimy w miejscu, lecz posuwamy życie do przodu.

— Jak?

Zamyśliłem się. Jak w kilku zdaniach opowiedzieć o zmianie form społecznych, które otworzyły człowiekowi drogę do komunizmu? Nie jestem historykiem ani filozofem i moje wiadomości nie wykraczają poza zakres szkolnych skryptów z socjologii. A może po prostu ograniczyć się do semantycznego wyjaśnienia słowa „komunizm”? Od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb.

Tak właśnie zrobiłem.

— Pierwsza połowa jest niepotrzebna. Po co łączyć pojęcie rozkoszy: ze współczynnikiem zdolności? Potrzeby to jedyne rozsądne kryterium. Każdemu według potrzeb to sprawiedliwe i słuszne. To również i nasza zasada.

W tym miejscu porwała mnie złość.

— Przecież to pasożytnictwo. Widziałem wasz program w działaniu, jest niezbyt pociągający. Tworzycie społeczeństwo egoistycznych szkodników, którym pozwala się na wszystko, byle tylko mieli tę swoją rozkosz. Widzieliśmy waszych „wiecznych” Dwudziestoczteroletnich, którzy zaczynają życie jak robaki w nawozie: mogą ssać ze smoczka tę waszą babelają i to wszystko. A potem szkoła, która nie pozwala przekroczyć umysłowego poziomu człowieka pierwotnego. Elektroniczny „bat” zamiast zabawki, bójki zamiast koleżeńskości, idiotyczne mity zamiast dokładnego poznania. Nie znam ich dojrzałości, ale dzieciństwo i młodość mogłem podpatrzeć, wasz ideał to okaleczone moralnie i umysłowo upośledzone podobieństwo człowieka.

Rozdrażniony nie zdałem sobie sprawy, że stopniowo podnosiłem głos i ostatnie zdanie zapewne wykrzychałem. Mózg nie odbierał tego obojętnie. Plamy jaśniejące na jego powierzchni, przesuwające się od płatów skroniowych do potylicznych, stawały się coraz jaskrawsze, jak żaróweczki, kiedy zwiększa się napięcie prądu.

— Dlaczego twoim myślom towarzyszą fale dźwiękowe, których moc coraz bardziej wzrasta — „usłyszałem”. — To utrudnia porozumienie. Odczuwam dawno już zapomniany ból w skroniach i w potylicy. Przerrywam kontakt. Zasób informacji jest niewspółmierny do jej krótkotrwałości. Mało zobaczyłeś, ale wiele powiedziałaś. Potrzebuję czasu do oceny i korelacji, a ty powinienes zobaczyć całe nasze życie, we wszystkich jego fazach. Jeżeli w dalszym ciągu będziesz nie przekonany, wtedy wznowimy naszą dyskusję. Od tej chwili wszystkie „wejścia” i „wyjścia”, jak nazywacie łącza międzyfazowe, będą dla was otwarte. Zaczynajcie od Aory — granatowego słońca, zakończcie na Nirwanie — liliowym. A potem znowu spotkamy się, jeżeli będzie trzeba.

Nie odpowiedziałem, zupełnie jakby ktoś knebłował mi usta, co tam usta, myśli, zamknął je, zatrzymał ich tok, ich normalny bieg. Działalem jak somnambulik: zdecydowanie, ale bezwiednie wstałem z przezroczystego fotela, który natychmiast zniknął, ruszyłem do przodu i zanurzyłem się w śnieżnej mgławicy kopuły. To właśnie zdarzyło się ze mną na progu Wiecznego Skarbca, który nie wiadomo gdzie się znajduje. I natychmiast ocknąłem się w zagraconym korytarzu stacji. Przede mną były schodki na górę, a przez otwarte drzwi dobiegały wasze głosy, spierające się na temat tego, coście przeżyli i zobaczyli. Zatrzymałem się na chwilę, posłuchałem i uśmiechnąłem się. Jakże jesteśmy jeszcze dalecy od zrozumienia tego wszystkiego, co dzieje się na planecie. Można skonstruować dziesiątki hipotez i każda z nich będzie fałszywa. Dowiedziałem się więcej niż wy, no i co z tego mam? Duży zakres informacji, jak lubią tu mówić, ale mimo wszystko to nie jest rozwiązanie!

CZĘŚĆ DRUGA
GRANATOWE SŁOŃCE

ROZDZIAŁ I

OBSERWACJE I ROZWAŻANIA. SPOTKANIE Z AORĄ.

Kapitanowi było gorąco. Wytarł spocone czoło i zmrużywszy oczy, patrzył na słońce. Wisiało nieruchomo w zenicie — równy, pomarańczowy placek na niebieskim prześcieradle nieba. Jedno słońce.

— Na razie jedno — machinalnie zauważył Kapitan.

Za godzinę, półtorej — któż to może wiedzieć dokładnie — zza horyzontu wynurzy się drugie, granatowe albo zielone i po czarnej pustyni zaczną tańczyć miraże, a w każdym z nich znajdują się drzwi do innego świata albo, gwoli dokładności, do innej fazy czasoprzestrzeni.

Nauczyliśmy się otwierać drzwi, myślał Kapitan, ale nic poza tym. Działamy po omacku, na ślepo. Metodą prób i błędów. Ile prób, tyle błędów. Bibl uznał, że to naturalne, przecież dopiero zaczynamy. Nieśmiały początek.

Umiejętność czekania to wielka zaleta eksperymentatora. Ta umiejętność nie zawsze cechowała Kapitana. — Musimy patrzeć i analizować, na razie — powiedział Bibl. Kapitan starał się uważnie obserwować, ale: przeprowadzona analiza okazała się powierzchowna i zbyt ostrożna. Nawet krótka, pełna półaluzji rozmowa z Nauczycielem nie zbliżyła go do rozwiązania zagadek hedońskich cywilizacji. Inna rzecz, że jeszcze nie; widzieli wszystkiego. Pozostało miasto Aora, czy Aera.

— No cóż, musimy obserwować — westchnął Kapitan — albo, właściwie podpatrywać. Co mają dla nas na dziś w programie? Pasjonująca wycieczka po mieście! Życie i obyczaje Hedonczyków przez okno „Portosa”! Serdecznie prosimy!

Wyszedł z pokoju i skierował się do warsztatu, w którym Mały i Alik przygotowywali „Portosa” do wyjazdu.

Mały siedział okrakiem na taborecie i ciskał mutrami w pojazd. Nakrętki uderzały o pole ochronne w odległości metra od nadwozia i dzwoniąc, padały na metalową podłogę. Zauważywszy w drzwiach Kapitana, Mały wyprężył się w całej swej prawie dwumetrowej okazałości.

— Melduję posłusznie: sprawdzanie pola ochronnego pojazdu w pełnym toku, dziurek i szparek nie wykryto.

— Nie pajacuj — uciał Kapitan, — Gdzie Alik?

Mały skinął w kierunku „Portosa”.

— Rozpacza. Chce do Aory.

— Weźmiesz go jutro. Jeżeli będzie trzeba.

Alik wylazł z luku, wyłączył pole i zeskoczył na dół.

— Możecie jechać — powiedział ponuro. — Wszystko w porządku.

— Nie martw się, przyjacielu — roześmiał się Mały. — Przyjdzie i na ciebie kolej. Jeżeli będzie trzeba — dodał złośliwie i wlaź do kabiny. — Jedziemy, Kep.

Kapitan patrzył na niebo poprzez przezroczystą ścianę hangaru. Zza linii horyzontu, jakby nakreślonej czarnym tuszem, wypływało granatowe słońce przypominające ciemny kleks na błękitnym brystolu. Można było patrzeć na nie bez bólu w oczach.

— Patrzeć i analizować — głośno pomyślał Kapitan. — Pora miraży to pora niepokoju. Jedziemy! — Wszedł do luku i pomachał Alikowi na pożegnanie.

„Portos” zakolysał się, jak kot skoczył do przodu i wypłynął poprzez rozsunięte skrzydła wrót hangaru.

— Gdzie będziemy szukać tego piekielnego mirażu? — zapytał Mały.

— Sam nas znajdzie. Trzymaj kurs na słońce.

— Znowu mgła albo tornado: tej planetce nie można odmówić fantazji, ma jej do licha i trochę.

— Puszczałeś w dzieciństwie bańki mydlane? — spytał go w odpowiedzi Kapitan.

— Zdarzało się, bo co?

— Kiedy dwie bańki zlepiają się ze sobą w powietrzu, to jak wygląda miejsce połączenia?

Mały zamilkł, starając się przypomnieć.

— Jakaś plama, nie pamiętam dokładnie.

— A szkoda. Powstaje soczewka, rozszczepiająca promienie świetlne na części składowe widma. Barwny kleks, tak jak i tutaj.

— Ależ tu to nie jest bańka mydlana. Kapitan wzruszył ramionami.

— Nie upieram się przy słuszności hipotezy. Po prostu tak mi się to skojarzyło.

— A oto masz zjawę. — Mały wskazał na przednią szybę.

Przed nimi, jak olbrzymi, kolczasty jeź płynęła granatowa kula. W jej wnętrzu zapalały się i gasły srebrzyste, często rozbłyskujące iskry, jak gdyby ktoś niewidzialny z zewnątrz bawił się sztucznymi ognikami. — Choinkowa ozdóbka — ze złością mruknął Mały, kierując „Portosa” w stronę kuli.

Jej rozmiary rosły w oczach. Stawała się ona coraz jaśniejsza, kontury rozmywały się po brzegach, a w środku, jak na papierze fotograficznym zanurzonej w kuwecie z wywoływaczem, pojawiały się nie ostre jeszcze sylwetki konstrukcji geometrycznych: labirynt ze złotego drutu, podświetlony od wewnątrz.

— Leć w środeczek — rzekł Kapitan.

— Wiem — burknął Mały i skierował pojazd prosto w przemysłne sploty labiryntu.

Sekundę, a może nawet ułamek sekundy trwał szok — bezbolesny i nieodczuwalny. Mały nacisnął biały klawisz na pulpicie sterowania pojazdem i „Portos” zatrzymał się, natychmiast wysuwając emitor pola.

— Serdecznie witamy w Aorze — powiedział Mały. — Fajne miasteczko, co?

Miasteczko rzeczywiście było niezwykle. „Portos” stał na placu, który ze wszystkich stron otoczony był domami. Właściwie to specyficzne ziemskie słowo „dom” nie bardzo pasowało do dziwacznych budowli zamykających tę płaszczyznę. Proszę sobie wyobrazić pudełko bez dna i pokrywki, którego ścianki uniesione są nad ziemią; wielkie pudełko, które ma w poprzek jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów i wisi w powietrzu na przekór prawu grawitacji. Ani kolumn, ani podpór. Normalny cud, jak określiłby to Alik.

Mały otworzył luk, wyłączył pole i zeskoczył na błyszczącą, jakby wypolerowaną, niebieską nawierzchnię placu. Ni to szkło, ni to plastik.

— Jak parkiet w Ermitażu — zażartował — tylko bez deseni. No i nie trzeba pastować, froterować.

Starając się utrzymać równowagę na tej śliskiej powierzchni, zrobił kilka kroków rozglądając się dokoła.

— Antygravitacja — stwierdził z głębokim przekonaniem. — A ścianki to wcale nie ścianki, lecz jakieś tunele. Szeroka... — przeszedł pod „ścianą” — chyba jakieś dziesięć metrów. — Potem nacisnął włącznik na klamrze i wzbil się do góry zawisając nad placem.

Kapitan, siedząc na dachu „Portosa”, obserwował go z niepokojem.

— Ostrożniej! — zawołał. — Łąduj szybciej.

Mały powoli, wyraźnie popisując się swą umiejętnością poruszania się w powietrzu, opuścił się koło pojazdu.

— Chyba to właśnie jest Aora — oznajmił. — Tylko mam wrażenie, że trafiliśmy na peryferie. Na północy niebieska łysina — ani domów, ani ludzi, na południu i na zachodzie plastry.

— Jakie plastry? — nie zrozumiał Kapitan.

— Właśnie takie. — Mały wskazał mlecznomatowe ściany pudełek. — Rozciągają się aż po horyzont, końca nie widać. Są mniejsze i większe. Przecież mówię — plastry. Zupełnie jakby je wyjęli z uli i zawiesili w powietrzu.

— A ludzie?

— Ludzi jest dużo. Na dachach. A co robią, nie mogłem zobaczyć, za daleko.

Ciekawe, co kryje się w tych tunelach, pomyślał Kapitan i zamarł z wrażenia: biała matowość ścian zniknęła stopniowo i za przezroczystą, ledwo dostrzegalną błonką pojawiło się długie, jasne pomieszczenie od podłogi po sufit zastawione dużymi, czarnymi skrzynkami. Stały trzema warstwami, jedne nad drugimi — szafy czy półki? — a przed nimi, patrząc gdzieś w przestrzeń, siedział w kucki jasnowłosy Hedończyk w jaskrawoniebieskim, obcisłym trykocie. Charakterystycznym gestem fakira rozłożył ręce i pudełka za jego plecami nagle zmieniły kształt. Teraz były to kule i we wnętrzu każdej z nich coraz silniej rozpalało się światło, jakby ktoś bez pośpiechu przesuwiał dźwignię po zwojach opornicy.

Nagle Hedończyk zauważył, że jest obserwowany. Wstał, machnął ręką i kule zniknęły. Zamiast nich w tunelu znowu stały czarne skrzynki. Hedończyk uważnie przyjrzał się kosmonautom. Jego wiek, budowa, układ twarzy przypominały tych uczniów, których Kapitan widział w świetle zielonego słońca. Taki sam atleta o zimnym, ostrym spojrzeniu. Jediną rzeczą, która odróżniała go od wcześniej poznanych Hedończyków był chabrowy trykot.

Jego cienkie wargi wykrzywiło coś na kształt uśmiechu. Skrzyżował ręce na piersi i... zniknął. Po prostu rozpląnął się w powietrzu.

— Mistyka — orzekł Mały.

— Raczej fizyka — zaproponował Kapitan. — Myślę, że teraz jest gdzieś w centrum miasta.

— Zero przejście?

— Coś w tym rodzaju. Zmiana kadrów jak w kinie.

— A jak się to robi?

— Nie wiem. Tyle zrozumiałem, że dzieje się to jak w porzekadle: na szczupaka rozkazanie, niech się moja wola stanie. Spróbujemy?

— Chyba tak. Przecież nie będziemy szli na piechotę po takim skwarze.

Przekręcił bransoletę na przegubie. Emitter pola na dachu „Portosa” zamigotał i rozjarzył się równym, czerwonym światłem.

— W porządku — stwierdził Mały. — Możemy iść.

— Dokąd?

— Najpierw zorientujemy się w sytuacji i określimy kierunek. Wlecimy do najbliższego tunelu powietrznego i zobaczymy, dokąd prowadzi.

Mały powiedział to i nacisnąwszy przycisk na pasku, wzniosł się na górną płaszczyznę tunelu, który jak autostrada biegł w stronę horyzontu wielokrotnie krzyżując się z identycznymi drogami.

— Rzeczywiście plastry — zauważył Kapitan, który powtórzył manewr Małego i stał teraz przy nim. Tylko komórki nie są sześciokątne, lecz kwadratowe. A oto i pszczoły...

Daleko przed nimi, najwidoczniej w centrum miasta, widać było ludzi. Trudno było dokładniej zobaczyć, co robią: czarne kropki, mróweczki na błękitnym tle nieba, które jakby żyłką nadcięte było cienką strzałką — anteną, wieżą? — wznoszącą się wysoko nad tunelami — plastrami. — Mamy i punkt orientacyjny — powiedział Mały. — Trzymamy kurs na tę wieżę, nie zgubimy się. Powiedziałaś: niech się wola moja stanie? Kapitan skinął głową.

W gruncie rzeczy żadnej specjalnej „woli” nie trzeba było. Po prostu zrobił krok do przodu, jakby w mrok, i natychmiast wyszedł z niego koło strzały, srebrzystobiałej, może tytanowej kolumny, ginącej gdzieś w niebie, takiej cienkiej i lekkiej, że mimo woli zdawało się, że wystarczy silniejszy podmuch wiatru, aby runęła. Ale wiatru nie było. Cisza, senna, naprężona, nierozzerwalna, zawisała nad miastem. Bez szmeru, jak w niemym filmie, ludzie poruszali się po dachach–drogach, wszyscy w zielonych albo niebieskich trykotach, takich, jakie miał na sobie Hedończyk w tunelu, w pstrych chitonach albo togach, w szortach i koszulkach siatkowych, jakie nosili uczniowie ostatniego cyklu nauczania, albo nawet po prostu półnaczy — silni i opaleni, o torsach świetnie wytrenowanych akrobatów.

Podobnie jak tam, na peryferiach, Mały i Kapitan stali na dole, na takiej samej, pustynnej

niebieskiej płaszczyźnie otoczonej tunelami–plastrami zawieszonymi w niebieskim, rozgrzanym powietrzu. Tylko ściany tych tuneli były inne: kolorowe, migoczące wszystkimi barwami tęczy. Kombinacje barw co chwila ulegały zmianie — na niebieską płaszczyznę napływał nagle czerwony klin, z rozmachem rozlewała się na nim nierówna żółta plama, zbiegała się i znów rozrastała, skrząc się i mieniając. Jak taśmy dalekopisów pełzały po ścianie białe pasy ze złotymi punkcikami–iskrami. Punkty zmieniały położenie, przesuwały się i znów znikwały, pojawiały się z niczego, rozmazywały się i spełzały ze ściany, a na ich miejsce gdzieś z głębi tego kolorowego chaosu ukazywały się ogniste koła i obracały się, rozrzucając iskry we wszystkich odcieniach widma. Potem ten szalony korowód barw zaczynał blednąć, blaknąć, jakby artysta niezadowolony ze swej pracy zmywał go, wylewając na płótno wiadra brudnej wody i wszystko zaczynało się od nowa: upajająca kakofonia kolorów i zmywający ją deszcz.

Kapitanowi wydało się, że słyszy muzykę, to cichą i rozlewną, to ognistą, narastającą, to smętnie zawodzącą, to omdlewająco ciężką jak upał nad miastem. Potrząsnął głową — muzyka ucichła. Czyżby kolor pobudzał skojarzenia słuchowe?

Popatrzył na Małego. Stał sprawiając wrażenie, że przysłuchuje się czemuś.

— Słyszysz? — zapytał. — Muzyka. Ale wydaje mi się, że tylko my ją słyszymy. Ci kulturyści nie zwracają uwagi.

Rzeczywiście, naokoło nich życie biegło swoim torem, spokojne, obojętne, nie zakłócone nawet na sekundę ani pojawieniem się Ziemiań, ani olśniewającą zawieruchą kolorów na ścianach tuneli. Ludzie stali grupkami po dwóch, trzech albo leniwie kroczyli gdzieś, albo siedzieli, czy nawet leżeli, po prostu na drodze. Omijano ich, przechodzono nad nimi, nie oburzając się, ani nie protestując.

— „Niczemu się nie dziwić!” zawołał kiedyś Pitagoras — uśmiechnął się Kapitan. — Może słyszał o Hedończykach. Tylko ich samych nie słychać. Kraina niemych.

I zupełnie, jakby na przekór temu stwierdzeniu gdzieś w świadomości rozbrzmiało nagle obce pytanie:

— Kim jesteście?

Kapitan odwrócił się. Z tyłu, patrząc na kosmonautów nieruchomymi, jakby zastygłymi oczyma, stał Hedończyk w długiej białej opończy bez rękawów.

— Kim jesteście? — powtórzył, tak samo bezdźwięcznie przekazując swą myśl.

— Ze szkoły — błyskawicznie zorientował się Kapitan. — Drugi cykl nauki.

— Po raz pierwszy w Aorze?

— Po raz pierwszy.

— Idźcie do gerto.

Kapitan usłyszał do „gerto”, a Mały zapytał na głos:

— Do gaorto? Gdzie?

— Nie mów — powstrzymał go Kapitan. — To wywołuje niepotrzebne pytania. Po prostu myśl, zrozumiej ją.

— Dlaczego brzęczycie?

— Przyzwyczajenie — odparł Kapitan i szybko, żeby jak najprędzej zmienić niebezpieczny temat, zapytał: — A co to takiego „gerto”?

— Sprawdzian poziomu. Tam, gdzie określają grupę. Nie byliście?

— Byliśmy — zdecydowanie skłamał Kapitan. Sprawdzian jakiegoś tam poziomu zupełnie nie mieścił się w ich planach, któż mógł wiedzieć, co tam robią z byłymi uczniami.

— Wolni? — spytał Hedończyk.

— Właśnie — wymijająco potwierdził Kapitan bezskutecznie starając się zmienić niebezpieczny temat rozmowy.

— Boicie się czegoś, wykręcacie się, robicie uniki — przekazał myśl Hedończyk. — Mnie się boicie?

— A kto ty jesteś? — zadał pytanie Kapitan.

— Ja? Sirg. Kołysacz.

— Kto?!

— Sirg — cierpliwie powtórzył Hedończyk. Widać zgodnie z tutejszymi zasadami wczorajsi uczniowie mieli prawo nie rozumieć wielu rzeczy. — Kołyszę przestrzeń. — Leniwie machnął ręką. — Możecie iść. Milea jest o dwa przejścia stąd.

Mały popatrzył ogłupiały na Kapitana, ale ten nie zdążył zapytać, co to takiego „milea” i o jakie „dwa przejścia” stąd się znajduje, ponieważ Hedończyk tymczasem zniknął.

— Zrozumiałeś coś z tego? — Mały ze zdziwienia aż się zająknął.

— Tyle co ty: milea jest o dwa przejścia stąd i musimy tam bezapelacyjnie trafić.

— Co za milea?

— A łatwiejszych pytań nie masz?

— Gdzie on się podział?

— Pewnie poszedł kołysać przestrzeń.

— Czym kołysać?

— Rękami! — wybuchnął Kapitan. — Albo głową. Skąd mam wiedzieć?

Mały uśmiechnął się przepaszająco:

— Nie złość się. Zgłupiałem od tych bzdur. Co będziemy robić?

— Patrzyć i analizować — ze złością powiedział Kapitan. Zamilkł na chwilę. — Chodźmy tam, gdzie wszyscy. Przecież dokąś muszą iść?

— Pójdziemy po dachu?

— W powietrzu — zrobił krok do przodu i znalazł się na drugim poziomie, nawet już nie dziwiąc się temu bajkowemu sposobowi poruszania się w przestrzeni.

„Jak w starej anegdotce — myślał — o dziwaku, który skakał z dzwonnicy i nic mu się nigdy nie stało, przyzwyczaił się...”

Przed nimi widniały opięte w żółtą siatkę o dużych oczkach atletyczne plecy dwóch potężnych Hedończyków. Atleci maszerowali szybko, lawirując pomiędzy siedzącymi i leżącymi na drodze, i nasi kosmonauci ruszyli ich śladem, starając się nie zostać w tyle i nie zgubić się w tłumie.

„Jakie spokojne miasto i jakże niepodobne do szkolnego świątka z biczami, walkami, zwierzącą nienawiścią. A przecież to są ci sami ludzie, wczorajsi uczniowie. Cóż ich tak odmienia? Albo kto? Może po to właśnie istnieją tajemnicze »gerto«, o których mówił sirg”.

Kapitan rzeczywiście tak uważał, nawet nie przypuszczając, że wkrótce zrozumie, jak strasznie się mylił. Ale na razie z pełnym przekonaniem rozkoszował się spokojną idyllą: prawie sješta w jakimś cichym hiszpańskim miasteczku. Ludzi na dachach niewielu, cisza i upał — lepki jak zdjęty z ognia syrop.

Nagle zatrzymał się. Mały, który szedł z tyłu i rozglądał we wszystkie strony, omal nie wpadł na niego.

— Co się stało? — spytał i aż gwizdnął ze zdziwienia. — Gdzie się tamci podziali?

— Kto?

— No ci w żółtych siatkach.

Kapitan, którego zainteresował jakiś ruch na sąsiednim dachu, gdzie grupa wałkoni nagle nie wiadomo czemu zmniejszyła się, dopiero teraz zauważył, że zniknęli również znajdujący się przed nimi atleci w żółtych siatkach.

— Może weszli do domu? — zasugerował Mały.

— A gdzie tu widzisz domy?

— Gdzie? Pod nami w tunelach — plastrach.

Kapitan zamyślił się... Czemu nie? Ryzyko niewielkie. Można popatrzeć i na plastry.

— Zaryzykujemy?

— Zaryzykujemy!

Życzenia spełniane były w tym świecie dokładnie i natychmiast. Jedna chwila — i już

kroczyli wzdłuż szerokiego i widnego korytarza. Nie było to światło dzienne, ale chłodne, sztuczne, jakby wewnątrz matowo — białych ścian znajdowały się niewidzialne świetlówki. Korytarz był pusty, a jego koniec ginął gdzieś daleko w białawej mgiełce. Nie było widać ani ludzi, ani rzeczy, ani charakterystycznych ziemskich tabliczek informacyjnych, które dawno już zastąpiły nić Ariadny.

Chłodna pustka, bezmyślna pustka, jak w porzuconym przez mieszkańców mieście na Prokli. Kapitan sam kiedyś wałęsał się po tym mieście, odkrytym przez ekspedycję Karłowa. Ale przecież Hedona jest zamieszkała i ludzie powinni gdzieś tu być. Drgnął zaskoczony — któryś już raz w tym pełnym wydarzeń dniu: dwa kroki przed nimi wyrosła ściana i za nimi druga, taka sama, tak samo głucha — bez drzwi i okien, po prostu matowa i świecąca się, jak ściana korytarza.

— No i masz pokoik — podsumował Mały. — Prosto i miło, tylko nie ma na czym usiąść.

I jakby spełniając jego życzenie przed kosmonautami pojawiły się dwa fotele, przezroczyste, ledwo widoczne w nienaturalnym, białawym świetle. Takie same były w domu-błonce w Zielonym Lesie.

— Niech będą czerwone — zdecydował Kapitan.

Fotele zabarwiały się stopniowo, przyjmując po kolei wszystkie odcienie, od blad różowego do płomienistej purpurowej — dwa ogniste kwiatki na białej podłodze.

— Bardzo dobrze — rzekł Mały. Usiadł wygodnie w jednym z foteli. — Przydałby się tu jeszcze stolik i klimatyzator.

Stolik pojawił się z niczego, tak jak fotele.

— A gdzie klimatyzator?

— Wyobraź go sobie — poradził Kapitan. Mały natężył się, ale nie pomogło.

— Beznadziejne — podsumował Kapitan. — Miejscowy przemysł nie produkuje klimatyzatorów.

— No to jak się ratują przed taką potworną spiekotą?

Skądś z góry powiał nagle wietrzyk, chłodny i lekki. Nawet z efektem akustycznym: szum fal na brzegu a może szmer liści. Kapitan zamknął oczy i wyobraził sobie, że to Ziemia. Tuż obok Oka. Jeszcze rano, dopiero wstaje świt. Chłodek przedświt bezceremonialnie wpełza za kołnierz koszuli. A przy brzegu łódka. W niej wędki i wiaderko, i puszka z przynętą. Mały woła z namiotu: „Robi się chłodno. Przydałby się sweterek”.

Kapitan otworzył oczy i wzdrygnął się.

— A ty pytasz, jak ratują się przed upałem. Pamiętaj, trafiliśmy do kraju, w którym życzenie spełnia się natychmiast. Czego byś jeszcze chciał?

— Wszystko mnie interesuje — odparł Mały. — Proponuję iść dalej.

— Zgoda — skinął głową Kapitan. — Idziemy.

— Przez ścianę?

— Ścianę usuniemy. Zapomniałeś o spełnianiu życzeń?

Ale ściana, mimo kategorycznego nakazu Kapitana, nie chciała się usunąć.

— Zacięło się. Zdaje się, że nas zamknęli.

Kapitan powoli poszedł wzdłuż ściany: „Co to takiego? Niedośkonność systemu, czy przemyślane działanie gościnnych gospodarzy? Konkretnie czyje, Koordynatora? Nie sądzę, żeby w ogóle wiedział o naszej obecności. Hedończyków? Ale po co im to? Na co?”

Po przejściu jeszcze paru kroków, Kapitan odwrócił się w kierunku idącego za nim Małego:

— Spróbuj ty.

— Już próbowałem. Ten sam rezultat.

— A więc nas zamknęli. Ciekawe, czy na długo?

— Nie — Mały patrzył na ścianę: rozplywała się jak obraz na ekranie wyłączanego telewizora.

W białej pustce korytarza stał Hedończyk — rosły, nieporuszony. Olimpijczyk, a nie

człowiek. I tylko dziwna czarna taśma opasująca czoło odróżniała go od tych, których widzieli na górze.

— Kim jesteś? — zachrypniętym głosem spytał Kapitan.

Hedończyk nie odpowiedział. W milczeniu dalej przyglądał się posłańcom Ziemi. I znowu Kapitan zauważył, że oczy Hedończyka pozostawały nieruchome — dwie niebieskie bryłki lodu pod jasnymi pasemkami brwi.

— Kim jesteś? — powtórzył pytanie i usłyszał:

— Ksor.

ROZDZIAŁ II

ZAMKNIĘCI. CZEGO POTRZEBA DO SZCZĘŚCIA.

Obydwaj usłyszeli to samo: „Ksor”.

No cóż, ksor to ksor. Nie gorzej ani nie lepiej niż sirg. Nazwa równie niezrozumiała i trudna do wyjaśnienia. A prosić o wyjaśnienia nie ma sensu: tutaj tłumaczyć nie lubią i nie umieją. Jeszcze jedna zagadka. Ile ich się nabiera?

Ksor podszedł bliżej i ściana znowu wyrosła za jego plecami — biała i świecąca.

— Dlaczego się nie otwierała? — spytał Kapitan.

— Nałożenie rozkazów. — Ksor odpowiedział machinalnie, uważnie lustrując kosmonautów. Przyglądał się im beznamiętnie i zimno jak pierwotniakom pod mikroskopem.

— Czyich rozkazów?

— Twoich i moich. Odłączyliście się i otworzyłem ścianę. — Położył dłoń na ramieniu Kapitana: — Musicie iść do milea.

„I ten też wysłał nas do milea” — Kapitan przypomniał sobie radę sirga. Wiedział tylko to, że ta zagadkowa (albo może zagadkowe?) milea znajduje się (lub znajdowało się) „dwa przejścia stąd” (skąd?). Nie zaryzykował zadać kSORowi pytanie, co to takiego i tylko zainteresował się ostrożnie:

— Dlaczego?

— Źle ubrani. Nudno. Z jakiego klanu?

Kapitan wymienił spojrzenie z Małym. Ten spytał, oszołomiony:

— O jakim oddziale on mówi?

— Nie oddziale, lecz klanie.

— A ja usłyszałem oddział.

Jak wybrnąć z tej sytuacji, kiedy każde nieostrożnie wypowiedziane słowo grozi niebezpieczeństwem? Kapitan przez chwilę poruszał wargami, zanim odpowiedział:

— Nie jesteśmy z klanu.

— Wolni?

— Tak.

— A dlaczego metal? — Ksor przesunął palcem po zamku błyskawicznym na kurtce Kapitana.

Ten zasunął zamek i otworzył, ale kSORa to nie zaciekawilo.

— Zbyteczne — orzekł. — Idźcie za mną — i przeszedł przez zewnętrzną ścianę tunelu nie usuwając jej ani nie rozdzielając.

Kapitan i Mały przywykli już do nadzwyczajnych umiejętności Hedończyków, ale mimo wszystko byli zdetonowani tym cudem superprzenikania.

A kSOR znowu wyłonił się ze ściany.

— Co z wami? Czekam. — Machnął ręką. — Szybko, obok! Oczywiście, nie był to żaden cud, lecz znowu to samo, wielokrotnie wypróbowane zero przejście. Skoczyli w nicość i po chwili znaleźli się w jak zwykle pustej sali, z jakimiś szafami wzdłuż pseudościan. Szafy przypominały tablice rozdzielcze w ziemskich laboratoriach z tą tylko różnicą, że w przednią ściankę każdej z nich wmontowany był ekran, podobny do telewizyjnego. Przez ekran co chwila przepływały z góry na dół ciemniejsze pasma.

— Wejdziecie i zrzućcie swoją odzież do luku. Potem pomyślcie. — Usiadł w kucki, objął głowę ramionami i zamarł w takiej, niezbyt wygodnej, pozycji.

— Co mu się stało? — zdziwił się Mały. — Głowa go boli?

— Nie sądzę. Widać, tak trzeba. — Kapitan uzbroił się w pitagorejską maksymę: nie dziwić się niczemu. — Chodź pomyśleć.

Podszedł do szafy ściągając po drodze kurtkę. Pasma na ekranie zaczęły przesuwac się coraz

wolniej, aż wreszcie zatrzymały się drżąc lekko.

— O czym mamy myśleć? — Mały nie chciał podporządkować się wyraźnej nielogiczności tego, co się działo.

Kapitan nie odpowiedział, widocznie ciekawość zwyciężyła. Szarpnął drzwi ku sobie i wszedł do szafy. W szafie było ciemno i pusto.

Gdzie jest ten luk, do którego trzeba coś wrzucić? Kapitan macał przez chwilę po ścianie i znalazł otwór. — Nie miał ani ścianek, ani dna. Co tu trzeba wrzucić? Najprawdopodobniej ich ziemskie, zbytnio odbiegające od tutejszych gustów, kurtki. No cóż, można spróbować.

Włożył kurtkę do luku i zaczął cierpliwie czekać. Nic się nie działo. Ciągłe ta sama niema ciemność. „Idiotyzm! — rozzłościł się. — Wpakowali mnie do pustej szafy, zmusili, żebym rozstał się z kurtką, do której się przyzwyczailem, i kazali myśleć. O czym? I w czym, ciekawe, będę tu paradować. Żeby choć taką hedońską koszulkę dostać”.

Na wewnętrznej ścianie szafy rozjarzył się ekran — taki sam jak na zewnątrz. Z tą tylko różnicą, że zamiast przebiegających po nim pasów Kapitan zobaczył siebie w szortach, których jednak nie zdjął mimo rady ksora, i w białej siatkowej koszulce.

„Lustro? — pomyślał. — Chyba nie. To raczej coś w rodzaju monitora telewizyjnego”.

Przesunął ręką po ciele: siatka była prawdziwa. Odzież na zamówienie. Pomyślał, że jednak bardziej przydatna byłaby koszulka tenisowa. Poczekał chwilę, ale siatka nie zniknęła. „Luk” — domyślił się, ściągnął przez głowę siatkę i cisnął do luku. Teraz jego ciało opinała koszulka z krótkimi rękawami i okrągłym kołnierzykiem, również biała, bez kolorowych kół i trójkątów, jakie widział u Hedończyków.

„Niech będzie zielona, tak jak szorty”.

Koszulka natychmiast przybrała trawiaściezielony kolor.

Kapitan wesoło przymrużył oko i jego sobowtór na ekranie zrobił to samo. Ten telesobowtór prawie nie różnił się od przeciętnego, statystycznego Hedończyka — ani odzieżą, ani wzrostem, ani nawet rysami twarzy. Tylko oczy były inne: nie zimne, nieruchome i kłujące, lecz żywe, ciepłe oczy Ziemianina.

„Koloru oczu mogę nie zmieniać — co za dużo to niezdrowo” — zdecydował Kapitan i wyszedł z powrotem do sali. Ksor, jak poprzednio, siedział w kucki, objąwszy głowę ramionami, a obok stał Mały w niebieskim trykocie i hedońskich sandałach, które nie wiadomo jak trzymają się na nodze.

— Dawno uciekłeś z cyrku? — zapytał Kapitan.

— A bo co? — obruszył się Mały. — Mnie się podoba.

»No i jeszcze jedna zagadka rozwiązana — pomyślał Kapitan. — Milea to po prostu salon odzieżowy, taki, powiedzmy, dom towarowy o nieograniczonym asortymencie”.

— Długo przymierzałeś? — spytał Małego.

— Początkowo zamówiłem frak, żeby było śmieszniej. Ale nie dali. Kapitan roześmiał się: frak! Przecież teraz chyba i na Ziemi nigdzie by go nie uszyto, poza teatralnymi pracowniami krawieckimi, a tym bardziej na Hedonie, przy jej automatycznej, scentralizowanej produkcji. Do pamięci Koordynatora czy kogoś, kto się tymi sprawami zajmuje, wprowadzono określony spis przedmiotów, taki katalog. Najprawdopodobniej jest on obszerny i zróżnicowany, ale mimo wszystko zestaw ten ograniczają moce produkcyjne, koncepcje i poczucie fantazji twórcy i na dodatek tradycje planety — matki. Fraka się tu nie dostanie: o niczym takim nie słyszeli. Tracił w ramię siedzącego w kucki ksora.

— Jesteśmy gotowi.

Ksor opuścił ręce i wstał. Jeszcze przez krótką chwilę miał przymknięte oczy — był w transie, czy co? — potem otworzył je i krytycznym wzrokiem przyjrzał się kosmonautom.

— Teraz lepiej. Wolni. Sprawdzian wyobraźni. Koordynator odliczy. Niewiele, ale odliczy.

— Co odliczy?

— Jednostki info za wyobraźnię. Informacja.

- Ale po co?
- Żeby żyć. Potem będzie dobrze.
- Kiedy?
- Po życiu.
- Po śmierci — poprawił go Kapitan.
- Nie, po życiu — nie zgodził się ksor. — Śmierci nie ma.
- A co jest?
- Regeneracja.

Kapitan słyszał już to określenie. Ktoś użył go w czasie rozmowy w Zielonym Lesie, a jego znaczenie wyjaśnił Nauczyciel: jest to metoda zmiany osobowości w nieśmiertelnym ciele. Kapitan również widział pierwsze owoce tej metody — brodate niemowlaki ssące odżywczy płyn z rurek. Ale teraz chciał się dowiedzieć, co myślą o tym dojrzały Hedończycy.

— Przekształcenie — wyjaśnił ksor. — Zniknie twoje „ja”, a zamiast niego pojawi się drugie. Ty, ale nie ty. Inna matryca.

Mały z zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie, w której słycać było tylko pytania i odpowiedzi Kapitana. Myśli ksora bezdźwięcznie rozlegały się w świadomości Małego. Można się było do tej rozmowy dołączyć. I zrobił to.

— Wierzą w wędrówkę dusz? — spytał Kapitana.

— Coś takiego rzeczywiście jest tu praktykowane — wyjaśnił Kapitan — Bez cudów i mistyki.

W oczach ksora błysnęło coś w rodzaju zdziwienia.

— Wy jesteście tymi, którzy brzęczą. Słyszałem o was.

— Od kogo? — spytał Mały.

— Wspólna informacja.

— Buja?

— Nie sędzę. Oni nie kłamią i najwidoczniej kłamać nie umieją. Musi jednak istnieć jakiś system ogólnej informacji. Ciekawe, kto i co jest jej źródłem.

— Bez wątpienia Koordynator.

— Nie będziemy zgadywać.

Ksor uważnie przysłuchiwał się ich słowom, potem zamknął oczy i przekazał myśl:

— Informacja jest ogólnodostępna. Każda informacja.

— Skąd ją otrzymujecie?

— Ona jest wszędzie. Należy ją gromadzić.

— Dla kogo?

— Dla siebie. Jak w szkole. A potem sprawdzać jej poziom. Jeżeli uzyskałeś normę, to dobrze.

— A jeżeli przekroczy się normę?

— Na zapas dla Nirwany.

Tak właśnie odebrali to pojęcie — nirwana. Stare, prawie zapomniane na Ziemi słowo. Wieczna szczęśliwość jako nagroda za przykładowy żywot. Ale jakie są normy tej przykładowości? Biblijne? Wątpliwe. Wszak zestarzały się one również i na Ziemi. Na Hedonie przykładowość żywota mierzy się w bitach — czy może mają jakieś inne jednostki informacji? „Kretyni” — tak ich określił Mały. Chłopak się pomylił. Raczej niewolnicy. Przecież są zadłużeni stale w sposób niewypłacalny w stosunku do tych, którzy dali im życie. A jakież jest to ich życie? Aora niewątpliwie różni się od świata zielonego słońca. Wysterylizowana egzystencja, której celem jest zdobywanie okrucich informacji, czy raczej tego, co oni tu nazywają informacją: chaos jakiejś półwiedzy, półwrażeń łapanych w pośpiechu, w biegu. Posiedział w kucki, podumał, wymyślił coś — masz pieniążek do skarbonki; wykombinował jakieś wymyślniejsze od innych ubranko — masz jeszcze jeden. I tak ciulając grosz do grosza może uda się uzbierać na Nirwanę.

— Co znaczy „nirwana”? — zapytał Kapitan.

— Spokój. Szczęśliwość. Radość.

— A dokładniej?

— Nie wiem. Z Nirwany się nie wraca.

— Kto wie?

— Nauczyciel.

— „Znowu Nauczyciel. Wielki mit Hedończyków. Wszystko wie, wszystko widzi. Żywy, myślący bóg, który nie wtrąca się do życia, ale tworzy je. Brzmi to paradoksalnie, ale obserwacje potwierdzają taki stan rzeczy.; W każdym razie jak do tej pory”.

Kapitan już się nie bał zadawać pytań.

— Dlaczego siebie nazywasz ksorem, a nas wolnymi?

— Czy tak nie jest?

— Tak. Ale na czym polega różnica?

— Wy żyjecie w chaosie, a my jesteśmy zamknięci.

— Gdzie zamknięci?

— Nie gdzie, ale w czym. Zamknięci w sobie. Cykliczność informacji. Tworzysz ją w sobie, ona zaś przekształca się, tworzy nową.

— Łańcuch skojarzeń?

— Nie łańcuch, lecz pierścień. Powinniście wiedzieć.

„Powinniśmy wiedzieć, ale nie wiemy. Szczegółik, który nasz mało mówiący, a raczej mało myślący rozmówca może niewłaściwie pojąć! Nie należy kusić złego”.

— Na mnie już czas — bezdźwięcznie oznajmił ksor.

— Weźmiesz nas? — spytał Mały.

— Chodźcie. Idę do lepo.

— Skoro do lepo, to do lepo — zgodził się Mały. — Chodźmy, Kep. Podeszli do ściany i odczekali jakiś ułamek sekundy, zanim nie zniknęła. Ale nie zobaczyli za nią znajomego białego korytarza. Podłoga tunelu tworzyła długą, karbowaną pochylnię, a na górze, pod dachem widać było równy prostokąt otworu: skrawek błękitnego nieba, wpisany w ramkę świecącego sufitu.

— Dlaczego szliśmy na piechotę, a nie skorzystaliśmy z bezpośredniego przejścia? — spytał Kapitan.

— Poruszanie się za pomocą mięśni jest konieczne. Nie można tracić sprawności — odparł ksor i wmieszał się w tłum, raczej przeszedł przezeń, obchodząc siedzących i przestępując leżących.

Kapitan chyba miał rację: przybyli do Aory w porze, kiedy Hedończycy chowali się przed palącym słońcem w swych domach — plastrach, które na życzenie gospodarzy przekształcały się w wygodne pokoje. Teraz jednak w mieście wrzało życie. Wielu ludzi w pstrych, dziwnie skrojonych i wielobarwnych strojach czekało na coś na dachu, na placach, tak jak przepełniona widownia czeka na podniesienie się kurtyny. Ale może wrażenie było mylne i tłum ten był po prostu biernym, nudzącym się zbiorowiskiem, oczekującym na krótki moment rozrywki?

Tym razem tłum nie był milczący: urywane okrzyki niezadowolenia albo radości, jakieś dalekie wrzaski, czasami ostry, przenikliwy gwizd. Wszystko to wyraźnie przeczyło słowom ksora o tym, że dźwięki nie mają znaczenia w świecie myślowego przekazu informacji.

Kosmonauci przyzwyczaili się już do urywanych myśli Hedończyka i nauczyli się łączyć je w spójne, chociaż chwilami mało zrozumiałe zdania. Ale w ostatnim wyjaśnieniu ksora nie było niczego niezrozumiałego: człowiek, który według tutejszych kryteriów jest rozumny, nie będzie wyrażać swoich uczuć za pośrednictwem okrzyków. Stare ziemskie powiedzonko: „milczenie jest złotem” uzyskało na Hedonie zupełnie inny sens.

Ksor niespodziewanie zatrzymał się i zrobił krok do tyłu. Wyrosło przed nim trzech atletów

w jednakowych białych szortach, jednakowych niebieskich siatkowych koszulkach, odsłaniających jednakowo opalone bycze karki. Na biodrze każdego z nich, na złotych kółeczkach, wisiały jednakowe czarne pałki, podobne do ziemskich policyjnych.

Kapitan i Mały nie mogli usłyszeć, o czym mówili z ksorem: wymiana myśli Hedończyków była zablokowana. Ale nagle jeden z nich, jak zwykły ziemski chuligan, uderzył ksora w twarz, uderzył bez pośpiechu, jakby wykonywał jakiś zwyczajny i nudny obowiązek.

— Zwariował — powiedział Mały i zacisnął pięści, zrobił krok do przodu.

Kapitan powstrzymał go:

— Nie wtrącaj się.

Rzeczywiście nie należało się wtrącać. Obrażony nie oddał ciosu. Stał, jak poprzednio, patrząc obojętnie na napastników, zupełnie jakby policzek ten był dziecinnym, zabawnym żartem.

A „żartowniś” w niebieskiej koszulce odczepił pałkę i z rozmachem uderzył ksora w ramię. Mały aż przymknął oczy: taki cios łamie kość, odbiera władzę w rękę. Ale ksor prawie niezauważalnie poruszył ramieniem i pałka ześlizgnęła się w dół.

Rosły Hedończyk z dziwnie znajomą pałką rozłożył się. Pałka znowu wleciała w górę jak czarne przedłużenie ręki, ksor znowu niedostrzegalnie poruszył ramieniem i superman nie utrzymał się na nogach.

Nikt nie zwrócił uwagi na tę scenę. Inni Hedończycy nawet nie spojrzeli w ich stronę — nie okazywali ani zaciekawienia, ani współczucia. Nawet kumple supermana z pałką tylko patrzyli, nie wtrącając się, nie pomagając i nie próbując powstrzymać swego kompana. Ten zerwał się lekko, zręcznie jak stalowa sprężyna, a nie człowiek, i znów zamachnął się pałką. Ksor w dalszym ciągu patrzył na niego z ukrytym, jak się wydawało Kapitanowi, uśmiechem: jeden atak więcej, jeden mniej, nie robi różnicy, jeżeli pałka znowu ześlizgnie się wzdłuż ciała nie zostawiając ani siniaka, ani zadrapania. Tak się też stało: atakujący znowu chybił, pokonany zadziwiająco sztuką obrony, jaką władał przewodnik Kapitana i Małego.

Kapitanowi znudziło się czekać. Szarpnął za ramię osobnika w niebieskiej koszulce i uderzył go kantem dłoni. Napastnik natychmiast bezwładnie runął na drogę upuszczając pałkę. Kapitan podniósł ją — może się jeszcze przydać — przeszedł nad leżącym i krzyknął do Małego wskazując stojącego wciąż nieruchomego ksora:

— Bierz tego ghandystę i ruszamy dalej, bo będzie tu tak przez pół dnia sterczeć.

Mały złapał Hedończyka pod ramię i przyłączył się do Kapitana. Szli w milczeniu minutę, dwie, trzy, aż wreszcie ksor zapytał:

— Dlaczego go uderzyłeś? To naśladownik, sam nic nie potrafi. Niski współczynnik zasobu informacyjnego.

— Kogo naśladuje?

— Gatrów.

— A co to za jedni?

— Nadludzie. Bardzo niebezpieczni. — Ksor aż się wzdrygnął. — Z takimi nie dałbym sobie rady. Znają jugo.

— Nie zrozumiałem.

— Zespół siłowy.

— A jaką informacją dysponują. Też o niskim współczynniku?

— Nie, często powyżej normy.

— A więc ty jesteś słabszy?

— Nie, mój współczynnik chyba nie jest niższy.

— Ale się ich boisz.

— Tylko dlatego, że znają jugo.

— I będą napadać?

— Tak.

— Dlaczego?

— Informacja. Uderzyć, zabić, wysłać do przeróbki.

— A więc zabójstwo nie jest karalne? — zdziwił się Mały. :

— Za co karać? Zabity otrzymuje nową osobowość, a zabójca nowy poziom informacji. Tylko naśladownik jest tańszy od ksora.

— Na pewno już się ocknął — zauważył Kapitan — i żadnej informacji nie zdobyłem.

Wydało mu się, że w oczach ksora mignęła satysfakcja. Ten ma już gwarantowany nowy poziom informacji. Stawił czoło napaści i przetrwał nie kiwnąwszy nawet palcem. Zresztą lichy wie, czy jest zadowolony: za naśladownika chyba dostaje się niewiele jednostek info. A w ogóle, czy oni umieją się cieszyć, a jeżeli umieją, to jak? O ileż mimo wszystko bogatszy jest ziemski człowiek od tych manekinów, zabijających się nawzajem za dodatkową dziesiątkę wątpliwych jednostek informacyjnych!

Oto idzie obok taki statystyczny Hedończyk, idzie i milczy, i trudno pojąć, o czym właściwie myśli. Może: co to za dwaj dziwacy się do mnie przyczepili? Nie znają elementarnych rzeczy, nie zależy im na zdobyciu informacji. Dziwne, może nawet niebezpieczne istoty. A może wcale o tym nie myśli, lecz po prostu przeżuwa informację zdobytą w kretyńskim pojedynku z naśladownikiem. Z tamtych też, na dobrą sprawę, niezłe typki. Łażą z policyjnymi pałkami, tłuką bez żadnego powodu, mogą zatłuc na śmierć i wszystko to nie budzi sprzeciwu. Nawet nie wywołuje zdziwienia. I pokonanemu na pewno nikt nie pomógł — inni po prostu minęli go i poszli dalej, za współczucie jednostek info się nie dolicza.

Ciekawe, co by teraz powiedział Bibl? Patrzyć i analizować? W porządku. Popatrzyliśmy. Ale z analizą marnie: dane wyjściowe nie dają się opracować.

Co wiemy o naszym towarzyszu? Niezbyt rozmowny, skoncentrowany, najprawdopodobniej niegłupi, zręczny, samym tylko napięciem mięśni umie odparować każde uderzenie. Co więcej? Należy do jakiegoś klanu kSORÓW albo zamkniętych. Zresztą jaka różnica, tak czy owak niezrozumiałe.

Chociaż, prawdę mówiąc, pewne rzeczy się wyjaśniły: w mieście istnieją rozmaite grupy. Dzielą się one w zależności od metody gromadzenia zasobów informacji. Wolni, kSOROWIE, naśladownicy, gatrowie, sirgowie — ile jeszcze i po co? A co się tu uważa za informację? Widać wszystko to, co robią: od wyboru odzieży po umiejętność zabijania. Mierzą ją jakimiś jednostkami info i panicznie boją się nieuzyskania minimum. Jaka jest norma? Jednakowa dla wszystkich? A może dla kSORÓW inna, a dla wolnych inna? Zadam jeszcze jedno pytanie.

Pytanie zostało zadane i Kapitan otrzymał odpowiedź:

— Nikt nie wie, jaka jest norma. Jeśli uzyskałeś, wtedy zapala się zielony sygnał.

— Gdzie?

— W bloku Koordynatora. Sprawdzian poziomu przeprowadzany jest w każdym cyklu.

— A jeżeli się nie uzyskało minimum?

— Biały sygnał — ostrzeżenie. Trzy sygnały — przeróbka.

Niezłe. Zdobywasz informacje, starasz się, a tu bęc! — biały sygnał. Wszystko na nic. Życie na nic, śmierć na nic. Chociaż śmierci nie ma: jest przeróbka, zmiana osobowości. A potem?

— Nowa osobowość, nowy stan — wyjaśnił kSOR.

Jaki jest mechanizm tej przeróbki? Ścieranie pamięci, czy zmiany kodu genetycznego? Pytanie nie ma sensu, i tak odpowiedzi nie będzie.

— Gdzie się to odbywa?

— Nie wiem.

A kto wie? Koordynator. Gdzie się znajduje? Znowu nie wiem. I tak w nieskończoność. Ale dokąd idziemy, wie. Idziemy do lepo. Po co?

— Czekają — nadeszła odpowiedź kSOR.

— Kto?

— KSOROWIE. Pokażę was.

Wspaniale! Niech sobie pokazuje. Przy okazji i my sobie popatrzymy. Nie wiem, jak to wygląda według hedońskich kryteriów, ale według ziemskich — uzyskaliśmy morze informacji. Zdecydowanie powyżej normy. A więc nas nie wyślą do przeróbki.

— Przyszliśmy — powiedział ksor.

Stali koło prostokątnego wyjścia na dach, od którego zbiegała w dół świecąca pochylnia.

— Idźcie. — Ksor popchnął ich w stronę zejścia. — Na dół. Prosto.

ROZDZIAŁ III

LEPO. WSZECHMOCNI I BEZSILNI.

Na ich spotkanie wyszło nie wiadomo skąd czterech Hedończyków z takimi samymi czarnymi taśmami mocno opasującymi czoło. Ksor przekazywał im coś w myślach, ale Kapitan tego nie „usłyszał”: ich myśli były zablokowane. Wszyscy czterej, jak na rozkaz, w milczeniu zaczęli wpatrywać się w gości z innego świata. Dziwne, trochę straszne spojrzenie: patrzyli przez człowieka jak przez szkło.

Ksor nie wymieniał żadnych imion, nie uczynił żadnego gestu, który można by uznać za rytuał przedstawienia. Ale jego myśl nie była, najwidoczniej, ani wroga, ani obojętna. Jeden z czterech podszedł do Kapitana i przyjaznym gestem dotknął jego ramienia.

— Będiesz z nami — powiedział myślą. — Krąg zamknięty i myśli spokojne... — I zaraz powtórzył tę niezrozumiałą formułę powitania kierując ją do Małego.

Ten spojrział pytająco na Kapitana: co mam odpowiedzieć? Spojrzenie Kapitana było wystarczająco wymowne: skąd mam wiedzieć? Może oni wcale nie czekają na odpowiedź.

Rzeczywiście, nie oczekiwali odpowiedzi. Uważając najwidoczniej znajomość za zawartą, Hedończycy kolejno znikali bezgłośnie w mlecznobiałej ścianie i kosmonauci podążyli w ich ślady. Znaleźli się w długiej sali podobnej do restauracji. Najwidoczniej była to właśnie restauracja, kawiarnia czy stołówka określana przez ksora mianem lepo. A zresztą, czy ważna jest nazwa, jeżeli hedońskie lepo prawie nie różniło się od ziemskich odpowiedników. Zadziwiał tylko stół bez nóżek wiszący w powietrzu na przekór prawu ciężenia, a także niezwykła, prawie złowieszcza cisza.

„Kiedy jemy, jestem głuchy i niemy” — przypomniał sobie Kapitan.

— Z trawieniem na pewno nie mają kłopotów — zauważył złośliwie Mały — rozmowy im nie przeszkadzają, hałasu nie ma.

Nie zdążył zacząć nowego zdania, kiedy materializując się, zawisnął przed nim stół — brytfanka, a właściwie po prostu lekka, różowa płytką z nierównymi, jakby rozmytymi brzegami.

Kapitan podszedł bliżej i stół zmienił kształt: wydłużył się i zwęził, jakby poczuł, że zbliża się jeszcze jeden człowiek.

— Siadajcie — zaprosił ich jeden z Hedończyków.

Kapitan nie zdążył zapytać, na czym ma usiąść. Obok stołu natychmiast wyrosły blad różowe krzeselka, podobne do kielichów nieznanych, egzotycznych kwiatów bez łodygi i liści. Wygięły się miękko, przyjmując kształt fotela z oparciem.

— Co chcecie? — spytał ksor.

— Nie wiem — odparł Kapitan. — To samo, co wy.

Na różowej powierzchni stołu pojawiło się siedem piramidek.

— Koro — wyjaśnił ksor. — Trzeba liniać.

— Komu liniać? — zdziwił się Mały.

— Nie komu, ale co — poprawił go ksor. — Zito i stopniowo.

Mały popatrzył na Kapitana osłupiałym wzrokiem.

— Dlaczego się dziwisz? — Kapitan uśmiechnął się. — Przecież powiedział: od razu nie liniaj tylko stopniowo, bez pośpiechu.

Piramidki na stole trzasnęły i pękły, a na różową płytę wypląnęło z nich coś brązowego, podobnego do kisielu. Ale dziwna rzecz: brunatna masa nie rozpląwała się, ale bulgocąc i musując, przybierała kształt bochna z przyrumienioną skórką. Sprawiało to wrażenie, że ktoś za chwilę postawi na nim solniczkę, ustawi wszystko na wyszywanym ręczniku i powita ich chlebem i solą.

— Liniajcie — powiedział ksor i pochylił się nad bochnem zamykając ekstatycznie oczy.

Pozostali Hedończycy poszli za jego przykładem.

Mały ostrożnie dotknął brązowej masy.

— Miękkie — ocenił. — Może spróbować?

— Poczekaj — powstrzymał go Kapitan. — Po co ryzykować? A poza tym oni tego nie jedzą.

Powąchał bochen i poczuł lekki, ledwo wyczuwalny zapach. Było w nim wszystko: płynąca nad polem upajająca słodycz kwitnącej koniczyny, delikatny aromat krzewów róż, gorycz błękitnego dymku z ogniska w tajdze. Zapach ten tłumiał świadomość, otaczał ciepłem wspomnień dzieciństwa i młodości, unosił gdzieś daleko w baśń — jawę.

Kapitan szarpnął kołnierz koszuli — gorąco! — i popatrzył w niebo. Biała wata kłębiastych obłoków w błękitnie nieba wydawała się tak nisko, że starczy ręką sięgnąć. Spojrzał w bok: tuż przy twarzy kołysało się źdźbło trawy, po którym wspina się mrówka. „Gdzie jestem?” — myśl płynęła leniwie. Nie dziwił się niczemu. Polana w lesie, trawa jeszcze mokra. Rosa, czy może deszcz padał? I nagle, jak błyskawica, prze — — mknęła myśl: przecież to Ziemia! Zerwał się, pobiegł po zroszonej trawie w kierunku pstrych, żółtych od rumianku wzgórz, za którymi pobłyskiwało w słońcu lustro rzeki. Woda po kolana przyjemnie chłodzi nogi! Miałki piasek na dnie, srebrzyste rybki rozpryskujące się na wszystkie strony. Kapitan zaczerpnął dłońmi wodę, wypił łyk, zimna aż zęby bolały. Padł na kolana, szorty natychmiast namokły, i pił, pił, pił tę wodę o posmaku traw, piołunowej goryczy, pił nie mogąc się oderwać, aż do chwili, gdy ktoś szarpnął go za ramię.

— Obudź się!

Zniknęło wszystko: i rzeka, i trawa, i obłoki nad polem. Znowu siedział przy różowym stole, rozglądając się ze zdziwieniem.

— Co to było?

— Narkotyki — odparł Mały.

— Koro. — Ksor popatrzył na Kapitana i wargi jego wykrzywiło coś na kształt uśmiechu. — Pierwszy raz?

Kapitan skinął przytakująco głową, stopniowo przychodząc do siebie. Czuł w całym ciele lekkość, świeżość i rzeźkość, jak po jonowym natrysku.

— Wypij! — ksor machnął ręką i postawił przed Kapitanem puchar z mętnoniebieskim płynem.

— Co to?

— Pij. Ty też pij. — Przed Małym pojawił się taki sam puchar. — To neutralizator.

Płyn był kwaskowaty i gęsty jak kisiel. Kapitan natychmiast przypomniał sobie odżywkę, którą karmiono tryskające zdrowiem dzieciaki w Zielonym Lesie, wziął puchar, powąchał — napój nie miał żadnego zapachu — i wypił wszystko do dna. Mały poszedł w jego ślady, krzywiąc się nieco: nie lubił kwaśnego.

— Czułeś coś? — spytał Kapitan.

— Nic. To była natychmiastowa i całkowita utrata świadomości, czarna studnia bez dźwięków, bez światła. Obudziłem się jak po dobrym śnie.

— Koro regeneruje siły — wtrącił się ksor — ale działa w różny sposób: u jednych wywołuje halucynacje, u innych powoduje szok. Rezultat ten sam: pobudzenie organizmu. Stymulator.

— A jedzenie?

— Kilka minów związków chemicznych, koniecznych dla utrzymania funkcji życiowych organizmu otrzymujecie zawsze w każdym wariacie pokarmu. Pozostałe składniki to elementy smakowe i nasycające. Można wymyślić wszystko. Popatrzcie uważnie. — Wskazał ręką salę.

Na różnokolorowych stołach rozrzuconych chaotycznie po całej sali pojawiały się puchary o różnych kształtach i kolorach: sześciokąty, pryzmaty, kule. Jedni pochylali się nad „bochnami” koro, inni podrzucali do góry błyszczące kulki, które zawisnąwszy nad stołem rosły i pękały, a

w podstawione naczynia lał się złocisty płyn. Ktoś wyciągał bezpośrednio z powietrza zielone nici, zwijał je w kłębek i wkładał do ust, popijając tę potrawę znajomym mętoniebieskim płynem.

Widowisko to przypominało raczej próbę cyrkowych iluzjonistów niż normalną, ziemską restaurację czy kawiarnię z ich szumem i gwarem, w której nad zopotniałymi kielichami z lodowatym szampanem rozbrzmiewają toasty, słychać rozmowy prowadzone przy filiżance kawy czy lodach. „Głupotą jest to dopasowywanie wszystkiego do ziemskich schematów — pomyślał Kapitan. — Przecież lepo tylko powierzchownie swoją ogólną scenerią może skojarzyć się z ziemskimi restauracjami. W świecie, w którym istnieją takie przedmioty codziennego użytku jak stół i krzesła, sceneria taka jest najlogiczniejsza. Ale tylko ona, nie oszukujmy się! Hedończycy także przecież z wyglądu podobni są do ludzi. Ale ich psychika, sposób postępowania?”

— Popatrz — Mały szarpnął Kapitana za rękaw koszulki.

Kapitan odwrócił się. Pomiedzy stołami pełzło na czworakach wysunawszy po psiemu języki czterech Hedończyków, nagich do pasa, o ogolonych lub może przedwcześnie wyłysiałych głowach. Duże krople potu błyszczały na ich opalonych plecach, z daleka słychać było ciężkie oddechy. Potężni mężczyźni, o dłoniach jak łopaty, pełzli bezradnie, popędzani gardłowymi krzykami, dziwnie nie pasującymi do senniejszy lepo.

Poganiaczy z pałkami w rękach było dwóch. Kapitan kątem oka popatrzył na swoją, wiszącą przy pasie, taka sama. Te czarne pałki świstały groźnie w powietrzu, a siedzący za stołami opuszczali głowy albo odwracali się plecami, aby tylko nie spotkać się wzrokiem z intruzami. Kiedy oczy poganiaczy kierowały się w ich stronę zamierali i nie mogli się odwrócić.

Kapitan czekał, żeby któryś z właścicieli czarnych pałek spojrzął na niego. Właściwie nie wiedział dlaczego: była to jakaś chłopięca chęć popatrzenia, nie mrugając, w oczy — kto dłużej wytrzyma. Ale do takiej próby nie doszło. Hedończyk mimochodem prześlizgnął się wzrokiem po Kapitanie, przez chwilę wpatrywał się w niego zimnymi, niebieskimi (co u licha, wszyscy mają niebieskie?) oczyma i coś przekazał w myśli swemu towarzyszkowi. Ten nie zareagował, nawet nie popatrzył na „mówiącego”, po prostu poszedł dalej, popędzając swoje „czworonogi” pełznące bezmyślnie i bez sprzeciwu w kierunku wolnego miejsca przy świecącej ścianie.

— Kim oni są? — zapytał Kapitan ze zdziwieniem i dopiero teraz zauważył, że ich przyjaciel ksor wyciera dłonią spocone czoło, że sąsiadowi: cieknie krew z przygryzionej wargi, a dwaj pozostali oddychają ciężko, starając się nie patrzeć na to, co dzieje się obok. — Kim oni są? — zmuszony był powtórzyć pytanie.

— Magowie — odparł ksor, nie unosząc głowy znad stołu. — Władcy.

— Władcy? — zdziwił się Mały. — Przecież to Koordynator kieruje: Aorą?

— Magowie panują nad tymi, którzy się im podporządkują.

— A jeżeli ktoś się nie podporządkuje?

— Tego zmuszą, żeby się czołgał, pełzał, drżał albo nawet utracił pamięć.

— Nie rozumiem. Co to znaczy utracił pamięć?

— Przecież my nie umieramy. Tych, którzy pozbawieni są pamięci, świadomości, osobowości, po prostu kieruje się do przeróbki.

— W jaki sposób uzyskali taką władzę? Za pomocą pałki?

— Wzrokiem.

Kapitan uśmiechnął się, dziecięca naiwność przy dojrzałości technicznej. Paradoks? Raczej małe błędne w niesłuchanie skomplikowanym mechanizmie cywilizacji Hedony. Ktoś czegoś nie dopatrzył i proszę: olimpijczycy-półbogowie boją się „magicznych” spojrzeń, wyraźnie boją się, nawet nie próbując ukryć strachu.

— Dlaczego jesteście źli? — spytał ksor.

— Źli? — odpowiedział w myśli Kapitan. — Raczej się dziwimy. Ale w jaki sposób to zauważyłeś?

— Wasze źrenice rozszerzają się i zwązają. I twarz drga.

Kapitan natychmiast zrozumiał, dlaczego ich twarze zainteresowały ksora. Hedończycy nie mogli poszczycić się zdolnościami mimicznymi. Nawet w chwilach wzburzenia emocjonalnego ich twarze były zupełnie nieruchome. Dlatego właśnie ksor pomylił zdziwienie z gniewem. Kapitan kątem oka spojrział na usadowionych nie opodal magów, przy których stole zastygli, siedząc w kucki, „zniewoleni wzrokiem”. Ksor ma rację: nie należy się dziwić, ale krzyżeć, kiedy garstka skończonych łajdaków może zastraszyć całe miasto, znęcać się i awanturować tylko dlatego, że im wszystko wolno, a skoro ich sposób informacji jest większy, to znaczy, że mogą działać bezkarnie. A gdyby im samym dać nauczkę, pokazać „wyższą szkołę” hipnosterowania? Niech sami spróbują, jak to smakuje. I żeby wszyscy to widzieli, na czym ta tak zwana wszechmoc się trzyma: wystarczy dmuchnąć i rozsypie się jak domek z kart.

— Dałbyś im nauczkę — szepnął Mały. — Przypomnij sobie praktykę psychologiczną w instytucie. Spróbuj, na pewno nie przegrasz.

Krzesło–płatek odsunęło się powoli, uwalniając wstającego już Kapitana. Nie wiadomo, czy była to natychmiastowa psychoinformacja, czy nieprawdopodobne lokacyjne umiejętności Hedończyków — ale twarze wszystkich znajdujących się w lepo zwróciły się w jego stronę. Zatrzymał się przed magami zasiadającymi za takim samym stołem–amebą. Ich czerwone trykoty przyciągały wzrok swą jaskrawą, wyzywającą barwą nawet w panującej tu ogólnej pstrokaciznie. Ale Kapitana nie interesowały stroje przeciwników. Ironicznie zmrużywszy oczy, zupełnie jak chłopczyk prowokujący bójkę, szukał ich lodowatych spojrzeń: no, kto kogo?

Niebieskooki mag nie był psychologiem i nie przewidział podstępu. W ogóle problem „kto kogo” dla niego nie istniał. To on jest najsilniejszy, najmądrzejszy.

— Siądź — polecił Kapitanowi, kiwnąwszy w stronę pojawiającego się natychmiast krzesła.

Przekazana przezeń myśl nie była rozkazem, a raczej propozycją, którą podyktował nie gniew, ale zaniepokojenie osobą śmiałka. Kapitan usiadł, śmiejąc się w duchu z tej sytuacji: jego wysokość raczył zwrócić uwagę na zuchwałego ciurę. No cóż, niech wszechmocny zmierzy się ze zwykłym śmiertelnikiem.

— Czego chcesz? — przekazał swe pytanie mag.

Kapitan milczał.

— Chcesz się pęcherzyć?

— Niedawno skończyłem szkołę — odparł Kapitan. — Jeszcze nie wiem wszystkiego. Co to znaczy „pęcherzyć się?”

— Popatrz na nich — uśmiechnął się mag, wskazując na zastygłych w kucki Hedończyków. — To pęcherze. Wszyscy, którzy nam służą, to pęcherze.

— Sami zechcieli służyć? — z udaną naiwnością zapytał Kapitan. Magowie spojrzeli po sobie zablokowawszy wymianę myśli, ale Kapitan doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej wzięli go za kompletnego idiotę.

— Jesteś głupi, uczniu — „usłyszał” wreszcie. — Po prostu zabraliśmy im wolę i osobowość.

— I nie sprzeciwiali się? — Kapitan wciąż kontynuował zabawę w głupiego Jasia.

— Któż może się nam sprzeciwić?

— Nie wiem. — Kapitan popatrzył po sali. — Może ten?

Wskazał na siłacza o różowych policzkach, rozwalonego w fotelu przy sąsiednim stole. Ten jasnowłosy osiłek sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go to, co dzieje się wokół niego i tylko trwożliwe spojrzenia, jakie rzucał ukradkiem w stronę magów, zdradzały stan jego ducha.

— On? — Mag pogardliwie wykrzywił usta. — To wolny. Chcesz, zamienię go w pęcherz? Najpierw jego, a potem ciebie.

W oczach maga rozbłysnął niedobry blask. Kapitan nie słyszał rozkazu, zobaczył tylko, jak zdrzały ręce siłacza o różowych policzkach, jak pochylił się bezwolnie i powoli opuścił puchar

z nie dopitym niebieskim, płynem.

„Już czas” — zdecydował Kapitan i myślą rozkazał zamienionemu w „pęcherz”: „Jesteś sam, wokoło nikogo nie ma. Pij!”

Oswiałe spojrzenie wolnego natychmiast odzyskało rozumny wyraz. Wyprostował się, bez pośpiechu uniósł nie dopity puchar i wychylił go do dna, jakby nikt nigdy nie czynił zamachu na jego wolną wolę.

„Jeden zero” — pogratulował sobie w myśli Kapitan.

Mag zwrócił ku niemu zbielełą z wściekłości twarz:

— Ktoś mi przeszkadzał.

— Ja — odparł Kapitan.

Mag podniósł się gwałtownie i krzesło–płatek nie zdążywszy się odsunąć rozpląnęło się w powietrzu.

— Wstań! — rozkazał mag.

— Po co? — spytał Kapitan. — Dobrze mi tak.

— Wstań! — powtórzył mag, zwiększając natężenie myśli. Jego twarz nabiegła krwią.

— Jesteś pewnym siebie kretyńcem — posłał mu odpowiedź Kapitan, nie troszcząc się o to, czy jego terminologia będzie dla maga zrozumiała. — Myślisz, że jesteś najsilniejszy w tym waszym śmierdzącym mieście, a w gruncie rzeczy mięczak z ciebie. I niczego nie potrafisz, jedynie żreć i rozkazywać. Ale jak trafisz na kogoś silniejszego, to sam za nim popełniesz na brzuchu. Chcesz spróbować?

— Nie odważysz się! — Oczy maga zwięzły się.

Kapitan poczuł, jak ktoś silny i władczy wdziera się w jego mózg. Nieprzyjemne uczucie. Potrząsnął głową, wrażenie zniknęło.

— Odważę się — powiedział i rzucił krótko: — Padnij!

Nogi pod magiem ugięły się, jakby ktoś wyrzwał go pod kolana. Runął ciężko na podłogę zakrywając dłońmi potylicę.

— Pełnij! I ty z nim! — popatrzył uporczywie na drugiego maga. Ten nawet nie próbował stawiać oporu, upadł na brzuch i popełnił do wyjścia za swoim kompanem, kręcąc tłustym kuprem opiętym w czerwony trykot. Pełzli koło bezkształtnych stolików, obok Hedończyków pospiesznie usuwających się na bok — niezwykle, nieprawdopodobne widowisko. Magowie w roli zniewolonych! Teraz spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę zwycięzcy. Co w nich zobaczył? Służalczość? Strach? Tak, właśnie strach pomieszany ze zdziwieniem na widok cudu: uczeń, obcy — i władcy, zamienieni w „pęcherze”. „Ciekawe, ile jednostek info otrzymałem według hedońskich normatywów?” — Kapitan uśmiechnął się w myśli. Dopiero teraz poczuł, jak straszliwie jest zmęczony. Napięcie nerwowe osiągnęło maksimum. Trzeba się rozluźnić.

Czterej wolni w dalszym ciągu siedzieli w kucki, bezmyślnie patrząc w jeden punkt, choć magów już dawno nie było. „Zniewoleni wzrokiem” nawet nie zauważyli, że ci, którzy zmienili ich w niewolników, tchórzliwie uciekli, pozostawiając ich nowemu panu. A pan tylko machnął ręką:

— Wstawajcie i idźcie, gdzie chcecie. Jesteście wolni.

I odrętwienie minęło, ludzie znowu stali się ludźmi, zresztą w hedońskim sensie tego słowa: wstali, otrząsnęli się i poszli, nawet się nie obejrzawszy. Kto ich wyzwolił, czyje spojrzenie okazało się potężniejsze — co za różnica? Tu się nie dziękuje. Tutaj panuje inny kodeks moralny, jeżeli w ogóle jakiś istnieje.

Kapitan ledwo dowlókl się do swojego fotela i usiadł dysząc ciężko; otoczenie wirowało mu przed oczyma jak natrętnie pstrokata karuzela.

— Wypij — powiedział Mały, podsuwając mu puchar, tym razem nie z niebieskim, lecz ciemnogrnatowym, koloru atramentu, płynem. — Nowy rodzaj hedońskiej lury. Odświeża nie gorzej niż koro.

Lura okazała się niezłym stymulatorem. Zmęczenie mijało, ustępując miejsca jakiejś przedziwnej lekkości. Z tego błogostanu wyprowadził Kapitana milczący do tej pory ksor:

— Okłamywałeś nas. Po co? Jesteś magiem, a nie wolnym. Koordynator się nie myli.

— Co ma do tego Koordynator?

— Ustala linię życia. Na kontrolnym sprawdzianie.

— On wcale nie mówił, że zostanę wolnym.

— A więc będziesz magiem?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Kapitan. — Pomyślę.

— Najwyższy czas — przekazał swą myśl ktoś z tyłu, a było to tak nieoczekiwane, że Kapitan wzdrygnął się i odwrócił.

Dwaj — wysocy, czarnowłosi i niebieskoocy, w niebieskich koszulkach siatkowych, wyglądający jakby dopiero co wyszli ze szkolnego, zielonego świata — stali przy stole. Kapitanowi wydawało się, że poznaje coś nieuchwytnie znajomego w twarzy jednego z nich — w przymrużeniu oczu w łuku ust, w czymś zbliżonym do uśmiechu.

— Witaj, Wytrwały — powiedział Kapitan i zapominając, że nie jest na Ziemi, radośnie wyciągnął rękę.

ROZDZIAŁ IV

NADLUDZIE. WALKA NA PLACU.

Tak, to był właśnie on, rozmówca Kapitana ze świata zielonego słońca, W niczym się nie zmienił, nawet ubranie miał to samo: niebieska siatka i kąpielówki — niezbyt wymyślny szkolny standard.

— A gdzie Grom, Bicz? Gdzie Igiełka? — spytał Kapitan. Nietrudno zrozumieć radość człowieka, który spotkał w obcym mieście swego znajomego, nawet niezbyt bliskiego. Można go przyjaźnie klepnąć po ramieniu, uznać się gorzko na samotność w obojętnym tłumie Aory i nawet zawołać: „A pamiętasz?”

Ale tym razem „sezam” się nie otworzył. Na pytanie Kapitana Wytrwały odpowiedział obojętnie i krótko:

— Nie wiem. Pewnie w Aorze. — I siadając na wyrastającym tuż obok fotelu-płatku zapytał, wskazując kSORÓW: — Oni są z tobą?

— To my jesteśmy z nimi — odparł Kapitan. — Zapoznają nas z miastem.

— A gdzie brodaty?

— Został w domu. Dziś ze mną jest Mały.

Wytrwały popatrzył badawczo na giganta Małego, a ten ze swej strony z niekłamaną ciekawością oglądał jednego z tych, o których opowiadali mu Kapitan i Bibl po powrocie z ekspedycji po świecie zielonego słońca.

— Ty jesteś Mały? — zapytał Wytrwały.

Jak zawsze jego myśl pozbawiona była jakiegokolwiek emocji, ale Kapitan gotów był przysiąc, że Hedończyk jest zdziwiony. Przewisko kosmonauty w żaden sposób nie odpowiadało jego wyglądowi zewnętrznemu, a taka rozbieżność była trudna do zrozumienia dla pozbawionego poczucia humoru Hedończyka.

— Ano tak — uśmiechnął się Mały — większy nie urosłem.

— Nie rozumiem — obojętnie stwierdził Wytrwały — wygląd zewnętrzny przeczy imieniu.

— I nie zrozumiesz — przekazał Kapitan swoją myśl — nawet nie znasz takich słów jak ironia, żart. Powiedz, kim jesteś w Aorze, wolnym czy naśladownikiem?

Wytrwały uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, a może Kapitanowi tylko się to wydawało.

— Zapytaj swoich towarzyszy. Oni wiedzą.

Mały popatrzył pytająco na ksora i ten, jak zwykle lakonicznie i jak zwykle nie bardzo zrozumiale, odpowiedział:

— Nadludzie, pierwszy stopień.

A więc tak wyglądają ci nadludzie! Kapitan z ciekawością przyglądał się wczorajszym uczniom. Nie odznaczali się niczym szczególnym — ani wyglądem zewnętrznym, ani sposobem bycia nie różnili się od innych. Nawet odzież mieli tę samą co w Zielonym Lesie. A więc wynika z tego, że swoją informację gromadzą przy użyciu innych środków i najprawdopodobniej nie zagrażają nikomu. Przecież w głosie ksora nie było strachu. Nikt też nie zwracał uwagi na ich stolik, nikt nie próbował wysłizgnąć się niepostrzeżenie, tak jak to miało miejsce pół godziny wcześniej, kiedy w lepo panoszyli się magowie.

Kapitan znowu popatrzył uważnie na Wytrwałego, próbując go rozszyfrować. Hedończyk siedział, skłoniwszy głowę, z półprzymkniętymi oczyma, zupełnie jakby słuchał jakiegoś głosu, niesłyszalnego ani dla Kapitana, ani jego rozmówców. Potem wstał, wyraźnie zaniepokojony:

— Chodźmy — rozkazał. — W trzecim porządku są jakieś kłopoty. Nie będziemy tracić czasu. — Popatrzył na ksora: — Ty również pójdziesz z nami, będziesz potrzebny. — I dodał pospiesznie: — Sam, sam, bez asysty. I tak jest nas dużo.

Kapitan znowu spostrzegł, że nikt nie zwrócił uwagi na ich odejście: przyszli, posiedzieli i poszli. No i co w tym dziwnego?

— Nie zostawać w tyle. — Wytrwały złapał Kapitana pod rękę, a jego towarzysz wyciągnął dłoń do Małego:

— Z nami. Szybciej.

Weszli w znaną już pustkę, poczuli skurcz serca i znowu znaleźli się w mieście, w jakimś „trzecim porządku”, który niczym nie różnił się od innych „porządków”, które widzieli w Aorze. Była to taka sama równia, lekko połyskująca ulica–dach, z taką samą skomplikowaną grą barw na ścianach domów — tuneli, takimi samymi niebieskimi placami w dole. Nie było tylko ciszy, do której zdążyli już w Aorze przywyknąć, ciszy, nasyconej szelestem kobiecych sukien, miękkim odgłosem spokojnych kroków przechodniów, ledwo słyszalnym oddechem sąsiada — ciszy dzwoniącej lekko jak latem w południe nad polem koniczyny.

Tym razem na placu huczał tłum złożony z czterdziestu — pięćdziesięciu ludzi — huczał groźnie i gniewnie jak potężny ul pszczeli. Przypatrzwszy się uważnie, można było dostrzec, że tłum nie jest jednolity, lecz dzieli się na dwie stojące naprzeciw siebie grupy. W zaciśniętych pięściach można było dostrzec matowe rękojeści „biczów”, francuskie klucze „paralizatorów” i czarne, elastyczne pałki — emitory, niczym nie różniące się od tej, która wisiała przy pasie Kapitana. Wszyscy byli podobni do siebie jak bliźnięta, różnili się tylko odzieżą. Kobiety były nieco szczuplejsze, zbudowane nie tak atletycznie jak mężczyźni.

— Zdążyliśmy — bezdźwięcznie powiedział Wytrwały. Nie wiadomo skąd wyszarpnął czarny „ogórek” z lejkiem na końcu i wydał szybki rozkaz: — Nie traćcie nas z oczu.

— Co to jest? — Mały zainteresował się „ogórkiem”.

— Dist. Macie broń?

— Tak. Ale inną.

— Wystarczy. Chodźcie.

— Jak? Na dół?

Wytrwały zniknął i natychmiast pojawił się na dole. Zero przejście zajęło mu zaledwie jakiś ułamek sekundy. Za nim podążyli wszyscy, również i Ziemianie, którzy zdążyli się już przyzwyczaić do tego niecodziennego sposobu poruszania się. Było ich pięciu przeciwko pięćdziesięciu, ale tamci nawet nie zauważyli pojawienia się obcych.

— O co im poszło? — spytał Kapitan.

— Nie wiem — odparł Wytrwały. — Może o plac.

— Czyżby tu był tylko jeden taki plac?

— Oczywiście, że nie. Ale ci tu nie myślą.

— Po co tu przyszliśmy? Mamy zapobiec bójce?

Wytrwały ze zdziwieniem popatrzył na Kapitana:

— Zapobiec? Dlaczego? Niech się biją. Dodatkowa informacja.

— Dla kogo?

— Dla wszystkich. A my jesteśmy tu po to, żeby zapobiec gwałtowi nad naturą.

Kapitan nie zrozumiał.

— Zabójstwu?

— Zabójstwo to tylko zniszczenie jednego „ja” osobnika, powód do przeróbki. Gwałt nad naturą to naruszenie cyklicznej równowagi, takie uszkodzenie obiektu, że już nie nadaje się do przerobienia z powodu naruszenia struktury.

— Co on ma na myśli? — zapytał Mały.

— Uszkodzenie ciała — rzucił Kapitan. — Jeżeli urwą ci rękę albo utną głowę, to struktura ulegnie naruszeniu. Czy to się zdarza? — spytał Wytrwałego.

— Rzadko. I nie powinno się zdarzać. — Przesunął dźwigienkę na czarnej powierzchni „ogórka” i lejkowate płatki zaświeciły się niebiesko. — Odczep pałkę i bądź w pogotowiu. Kiedy będzie trzeba, powiem.

Tymczasem obie grupy zbliżały się do siebie z narastającą wściekłością — bezmyślną i ślepa. Ktoś powinien był zacząć, zręcznie uderzyć „biczem” albo sparaliżować pierwszego z

brzegu przeciwnika i uruchomić w ten sposób mechanizm ogólnej, dobrze zorganizowanej i niczym nie zakłóconej bójki. Bić się tu, jak widać, umieli i lubili.

I ktoś odważny się znalazł. Nagle wzbil się promyk „bicza”, przejechał po kimś w tłumie i zapoczątkował taniec błękitnych błyskawic, podobnych do długich kling. Potem do „biczów” przyłączyły się paralizatory. Walczący zaczęli padać jak ołowiane żołnierzyki, wszystko przemieszało się i skłębiło — i zwycięzcy i zwyciężeni, jeżeli taki podział miał tu jakikolwiek sens.

Wytrwały trzymał się na uboczu. Bawił się świecącym „ogórkiem” i patrzył na walczących — leniwy, obojętny widz. Nagle jednak napiął się jak sprężyna i skoczył w tłum. Przebijał się przezeń, nie zwracając uwagi na uderzenia „biczów”, zręcznymi unikami omijając promienie paralizatorów zdecydowanie sunął w stronę wysokiego Hedończyka z czarną piracką opaską na oku i rudą „sztabką” w ręku. Najwidoczniej ta właśnie „sztabka” mogła spowodować gwałt nad naturą, któremu Wytrwały miał obowiązek zapobiec. Mogła, ale nie spowodowała. Z otwartego leja „ogórka” strzelił strumień niebieskawego gazu i Hedończyk natychmiast osunął się na ziemię. Wytrwały złapał go, wyniósł z tłumy, rzucił pod kolorową ścianką tunelu i potarł swój policzek, na którym nabrzmiewała purpurowa pręga.

— Boli? — zapytał ze współczuciem Mały.

Wytrwały machnął pogardliwie ręką.

— Drobiazg. Struktura nie naruszona. — Podrzucił na dłoni podłużną rudawą „sztabkę”. — Nóż elektronowy. Bez trudu przecina każdą tkankę. Ciekawe, skąd go zdobył?

— Sirgowie — przekazał myśl towarzysz Wytrwałego. — To ich robota. Dają je każdemu bez zastanowienia. Tutaj jeszcze jeden ma taki nóż.

— Skąd wiesz? — nie uwierzył mu Mały.

— My powinniśmy wiedzieć.

— Mistyka — wycedził przez zęby Mały i wpatrzył się w tłum. — Który z nich ma nóż?

— Wolny w czarnej koszuli. Szósty sektor.

Mały nie zrozumiał, co oznacza dla Hedończyka szósty sektor i dlaczego szósty, a nie piąty, ale wolnego zobaczył. Zręcznie manewrował „biczem”, zaciśniętym w prawym ręku, a lewą dłoń wsunął za pazuchę czarnej koszuli.

— Trzeba go obezwładnić — przekazał myśl Wytrwały. — Kto pójdzie?

— Ja — odparł Mały. — Dawaj pałkę.

— Zwariował! — krzyknął Kapitan. — Przecież załatwię cię w mgnieniu oka.

Ale Mały już wdarł się w tłum. Zręcznie posługując się pałką, robiąc uniki przed spadającymi na niego ciosami, uderzył kogoś „bykiem” w brzuch, na czas zauważył rękę z „biczem”, skierowaną w jego stronę, uderzył kantem dłoni w tę rękę, zdążył schwycić rękojeść „bicza” i smagnął nim po zbliżających się twarzach, rękach, szyjach. Ktoś zawył z bólu, ktoś upadł i Mały przesunął się o dalsze pięć metrów. Mógł już dosięgnąć „biczem” wolnego w czerni, ale nie spieszył się: cios pałką będzie skuteczniejszy, a w razie czego gołymi rękami też da sobie radę. Nagle coś połyskliwego oparzyło mu plecy. Zachwiał się z bólu, przed oczyma popłynęły ogniste koła: trafili mnie, dranie!

Zacisnął zęby i ruszył na oślep w stronę, gdzie majaczyła czarna plama. I kiedy nagle ta plama wyrosła przed nim, przekształcając się w siatkową koszulę, bez zastanowienia wyrzucił w obciążone nią barki: z rozmachem, z całej siły. Hedończyk stęknął i zaczął osuwać się na ziemię, a Mały zarzucił go sobie na ramiona i zataczając się, poszedł z powrotem — tak samo jak Wytrwały zasłaniając się bezwładnym ciałem przed uderzeniami. Wydostał się z tłumy, rzucił zwiotczałe ciało na wypolerowany plastik placu i wyciągnął zza pazuchy leżącego Hedończyka prostokątną, różową sztabkę.

— Trzymaj — rzucił Wytrwałemu, a ten chwytając nóż w locie, pochwalił go:

— Nieźle. Ta informacja pomoże ci przejść do nas.

— Do kogo?

— Do nadludzi.

Mały wytarł spocone czoło.

— Dziękuję. Jakoś nie mam ochoty. — Ostrożnie poruszył ramionami plecy niemiłosiernie piekły, osmalone nożem wolnego.

— Kto im dał te noże? — spytał Kapitan.

— Sirgowie. Któż inny?!

— Ale skąd sirgowie mają noże?

— Z przestrzeni.

Kapitan nie zrozumiał, ale nie zadawał dodatkowych pytań — i tak nie otrzyma bardziej sensownej odpowiedzi. Nierozgarniętych i ciekawskich tu nie lubią.

— Dlaczego dają wolnym broń? Czy nie rozumieją, że to niebezpieczne?

— Wiedzą o tym, ale sirgowie są przeciwko stabilizacji. To buntownicy.

Kapitan zamyślił się. Któż może się buntować w tym idealnie dopasowanym mechanizmie społecznym? Wygląda na to, że nie jest on tak idealnie dopasowany. Komuś coś się nie podoba, ktoś próbuje coś naprawić. Albo zniszczyć. Sirgowie. Ten człowiek, który nazywał się kołysaczem przestrzeni był jednym z nich?

— Czy w Aorze jest ich wielu?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Wytrwały — ale utrudniają stabilizację.

— To powstrzymajcie ich.

— Nie można. Są nieuchwytni.

— Nawet dla was?

— My nie władamy przestrzenią, a oni są władcami kołysań. Bawią się mirażami. Nie rozumiesz tego.

Dlaczego? — miał ochotę spytać Kapitan. O mirażach wiedział na pewno więcej niż Wytrwały, ale na wszelki wypadek przezornie zamilkł.

— A można się gdzieś spotkać z sirgami? — zapytał Mały.

— Spotkasz się. — Wytrwały nadśluchiwał czegoś. — Nawet, być może, bardzo prędko.

Powiedział coś swemu towarzyszkowi, ale Kapitan nie „usłyszał” tej myśli, była zablokowana.

— Chodźmy stąd, już nie jesteśmy tu potrzebni. — Wytrwały wziął Kapitana pod rękę. — Bójka wkrótce się skończy, a poza tymi dwoma nikt więcej nie miał noży.

— Co się z nimi stanie? — Kapitan wskazał ruchem głowy bezwładne ciała Hedończyków.

— Pójdą do przeróbki.

— Kiedy?

— W nocy.

— Kto ich stąd weźmie?

— Nie wiem. Rano ich już nie będzie. Tak jest zawsze.

Kapitan ruszył w ślad za gatrami. Ksor dawno już zniknął w tłumie: wolał nie pozostawać w towarzystwie nadludzi, a Mały z jakiegoś powodu zatrzymał się na placu, uważnie go obejrzał, jakby próbował coś zapamiętać i omal nie zgubił swoich towarzyszy, którzy maszerowali w kierunku centrum miasta, rezygnując z bajkowej teleportacji.

Tymczasem zaciekłość bójki już wygasła, Hedończycy rozchodzili znudzeni, obojętnie mijając tych, którzy nie mogli wstać.

ROZDZIAŁ V

POLOWANIE NA WIEDZMY. SIRGOWIE.

„Kto tu może się buntować? — myślał Kapitan. — I jak? I po co? I przeciwko komu? Same znaki zapytania. Okazuje się, że logiczny aż do znudzenia system Nauczyciela jest nielogiczny w samych swoich założeniach. Wszystko jest kontrolowane, tymczasem Aorę niepokoją niekontrolowani sirgowie.” Wytrwały sam to przyznał. Mimo to trudno uwierzyć w rewolucyjny charakter buntu sirgów. Jaki mieliby powód, czyżby system im się nie podobał? Bzdura, niemożliwe: przywykli do niego w ciągu tysiącleci. Przecież ten system to oni sami, i zniszczyć go — oznacza zniszczenie samych siebie. A takie samopoświęcenie jest raczej wątpliwe. Najprawdopodobniej bunt jest celem samym w sobie, buntem z nudów, z «wszystkodozwoloności», buntem dla buntu. Któż to wie? Może za te buntownicze wysoki doliczają im hojną rączką jednostki info? Dlatego też ich bunt nie wywołuje protestu i sankcji karnych, a jeżeli chodzi o zakres informacji, to najprawdopodobniej jest on nawet większy niż u nadludzi. Zresztą, to wszystko są domysły”.

— Dokąd idziemy? — spytał, nie wiadomo dlaczego szeptem, Mały. Kapitan wzruszył ramionami. Wytrwały, przejąwszy myśl, odwrócił się:

— Chcieliście spotkać się z sirgami. Idziemy do nich. Wiedzą, że przyjdziemy.

— Skąd?

— Zawsze przychodzimy, kiedy urządzają polowanie na wiedźmy.

— Tkvimy w niewoli ziemskich skojarzeń — mrucał do siebie rozdrażniony Kapitan — a dopóki nie uda się nam od nich uwolnić, ni czorta nie zrozumiemy. Może sirgowie to miejscowa inkwizycja? Nawet na Ziemi jednakowo brzmiące słowa mogą mieć w różnych językach różne znaczenia. Wyzwolić się od ziemskiego sposobu myślenia, nie porównywać, nie szukać analogii, może wtedy rozgryziemy ten twardy orzeszek.

Milczący do tej pory ksor, który, jak się okazało, podążał za nimi, jakiś wyciszony w obecności nadludzi, ale który wbrew przypuszczeniom Kapitana nie próbował zniknąć w tłumie, nagle dał o sobie znać:

— Nie pójdę dalej.

— Dlaczego? — zdziwił się Mały.

— Nie chcę.

Ksor stał na skraju tunelu, nastroszony jak ptak, skurczony, z opuszczoną głową, patrzył gdzieś w bok i wydawało się, że stał się jakby niższy. Najwidoczniej, czegoś się zląkł. Ale czego? Wokoło nie było nic strasznego, nic, co odróżniałoby ten właśnie pejzaż Aory od innych, już widzianych. Ale ksor jeszcze raz stwierdził stanowczo, że nie chce im towarzyszyć i zniknął nagle, tak jak zniknęły stoły, krzesła, wszystko co żywe i nieżywe, któremu rozkazano zniknąć. Kapitan nawet się nad tym nie zastanawiał.

— Dlaczego właściwie uciekł? — Mały w żaden sposób nie chciał pogodzić się z nagłym zniknięciem ksora.

— Boi się — wyjaśnił Wytrwały.

— Czego?

— Sirgów.

— Tacy są straszni?

— Sam zobaczysz.

— A wy się ich nie boicie?

— Nie.

Ale w zaprzeczeniu Wytrwałego był moment wahania i Kapitan wyczuwając, czy też raczej podejrzewając w tym jakąś niepewność, zadał jeszcze jedno, podchwytliwe pytanie:

— Kto z was jest silniejszy, wy czy sirgowie?

Wytrwały odpowiedział nie od razu i na dobrą sprawę nie była to odpowiedź. Przesłana przez niego myśl była lakoniczna i miała formę rozkazu:

— Tracimy czas. Sirgowie czekają.

Rzeczywiście czekali. Było ich czterech — wszyscy w jednakowych białych chitonach, z jednakowymi przepaskami na czołach, ich usta były tak mocno zaciśnięte, że wargi tworzyły tylko wąską linię — bracia-bliźniacy, których nie sposób rozróżnić. Siedzieli w kucki oparci dłońmi o ziemię każdy w innym rogu dużego kwadratu. Być może, któryś z nich był owym pierwszym Hedończykiem, którego Ziemianie spotkali w Aorze.

Wokoło nie było nikogo — ani ciekawskich widzów, ani przypadkowych przechodniów. Tylko pośrodku placu, w którego rogach zamarli nieruchomi, jak posągi sirgowie, stała niewielka grupa pięciu czy sześciu kobiet. Kapitan nie mógł ich dokładnie policzyć: coś mu przeszkadzało, najprawdopodobniej to samo, co nie pozwalało im uciec, ukryć się przed niespodziewanym niebezpieczeństwem. Hipnoza? Nie, coś materialnego, kołyszająca się mgiełka, rozwodniona mgła, owijająca kobiety przezroczystym kokonem. Wcale nie próbowały się wyrwać, pogodzone z nieuniknionym losem, sparaliżowane czymś jak narkoza.

Wytrwały i jego towarzysz usiedli bezpośrednio na dachu, nad zagadkowym placem, na którym miał się odbyć ni to sąd przejmujący wszystkich wokoło strachem, ni to tajemniczy obrzęd rytualny. Niemniej jednak nadludzie przyszli, wzgardziwszy niebezpieczeństwem, o którym najwidoczniej wiedzieli i z którym się liczyli. Cóż ich tu sprowadziło? Prawa gościnności w stosunku do Ziemian, chęć pokazania im wszystkiego, co w mieście zasługuje na uwagę? Chyba nie, doszedł do wniosku Kapitan. Kosmonauci nie spotkali tu altruistów, a oprócz tego Ziemianie byli dla przedstawicieli wyższych klanów Aory tylko wolnymi, niewykształconymi ludzikami ze znikomym zapasem tak wysoko cenionej tu informacji. Nie, zapewne to właśnie strach ściągnął tutaj nadludzi. Człowiek obdarzony wolną wolą zawsze stara się przełamać swą słabość i Hedończycy nie byli tu wyjątkiem.

Wszyscy trwali w bezruchu: kobiety bezwolnie, widzowie z wyczerpaną uwagą, sirgowie beznamyślnie, jak kapłani, którzy zastygli przed obrzędem w takich samych, hieratycznych pozach. A obrzęd właśnie się zaczął.

Mgiełka wokół kobiet stała się wyraźniejsza, szklana kolba czy też plastikowy worek. Rósł powoli, rozdymał się, jego ścianki rozpełzały się na boki i kobiety również popłynęły w powietrzu, pozbawione jakiegokolwiek opory.

— Cyrk — szepnął Mały, trąciwszy Kapitana łokciem. Ale ten spojrzał na niego surowo: jeżeli nie rozumiesz, to nie gadaj głupstw. Lecz trudno było zrozumieć to, co się działo. Kobiety przerwały lot, zamarty, powstrzymane jakimś niewidzialnym ogrodzeniem areny i nagle coś jakby pękło w otaczającej je przestrzeni, a może to sama przestrzeń przełamała się na dwoje tworząc szklany cylinder przecięty po przekątnej. Widok był do tego stopnia straszny i nieprawdopodobny, że Kapitan na chwilę zamknął oczy — maligna czy halucynacja? Ale to nie była maligna. Razem z przestrzenią „przełamały się” i kobiety: coś niewidzialnego obcięło je od dołu, pozostawiając tylko górne połowy ciał zawieszony w powietrzu. Dolne wyparowały bez śladu, zniknęły. Może to efekt optyczny? Kapitan popatrzył na siedzących obok nadludzi: w ich zahipnotyzowanym spojrzeniu nie można było odczytać żadnej myśli. Ale milczące pytanie Kapitana zostało „usłyszane”.

— One, te kobiety, już nie żyją. Prosto stąd poszły do sal regeneracyjnych.

— Dlaczego?

— Nikt nie może wytrzymać zakrzywienia przestrzeni.

Kapitan aż gwizdnął ze zdziwienia:

— Zakrzywienie przestrzeni! Bez hipergeneratorów? Bzdura, psiakrew! Psów na Hedonie nie było i określenia „psiakrew” Hedończyk nie zrozumiał. Nawet oczyma zamrugał, zaskoczony, ale nie zablokował myśli.

— Bzdura to rozumiałe, ale nieprawdziwe. Zejdź na dół i sprawdź, jeżeli się nie boisz.

— Czego mam się bać?

I ruszył w stronę krawędzi dachu. Mały poderwał się również, ale Kapitan go powstrzymał:

— Zostań, bohaterze. Pomożesz, jeśli zajdzie potrzeba.

Był już na dole i szedł skrajem, starając się trzymać tuż przy ścianie tunelu i jak najdalej od przezroczystej błonki hiperpola, w której — widniały już tylko kobiece głowy. Nie odczuwał żadnego współczucia w stosunku do skazanych na zagładę. Gdyby go spytano, skąd w nim takie okrucieństwo, zdziwiłby się. Dawno już doszedł do wniosku, że nie uważa Hedończyków za ludzi. Ludzi nie w biologicznym, ale moralnym aspekcie tego słowa. Myśl ta nie była jeszcze sprecyzowana, nie uzyskała należytego kształtu i chwilowo wywoływała tylko dziwną obojętność, jakby przejętą od Wytrwałego i jego współpracowników.

Teraz bardziej zainteresowała go techniczna strona zagadnienia: hiperpole wytworzone przez sirgów nie wiadomo w jaki sposób. Orientował się, że takie zakrzywienie przestrzeni wymagało kolosalnej ilości energii. Jakiej energii i skąd przekazywanej, także nie wiadomo. Może otrzymywali ją skądś z zewnątrz, ze zdalnie sterowanego źródła? Sirgów jest czterech, a więc hiperpole ma cztery punkty oparcia. Ciekawe, co by się stało, gdybym usunął jeden z nich?

Kapitan podszedł bezszelestnie do jednego z sirgów i przykucnął za nim. „Dlaczego uważani są za nieuchwytnych? — pomyślał. — Przecież można podejść i wziąć ich gołymi rękami”.

I nagle usłyszał cudzą, bezdźwięczną myśl:

— Nie radzę. Możesz siedzieć z tyłu, ale nie przeszkadzaj.

Kapitan aż się wzdrygnął, zaskoczony. Przecież zablokował myśl.

— Blokada nie jest dla mnie przeszkodą — znowu „usłyszał” — uprzedzam jeszcze raz: nie przeszkadzaj, bo będzie źle. Kiedy doświadczenie się skończy, odpowiem na wszystkie pytania.

— A więc to jest doświadczenie?

— Oczywiście.

— Ludzie w charakterze królików doświadczalnych.

— Nie wiem, co to znaczy „królik”, ale to nie są ludzie.

— A kto?

— Wiedzmy. Skazane. Tak czy owak trafiłyby do sal regeneracyjnych.

— Dlaczego?

— Nie zgromadziły koniecznego zasobu informacji.

— Ale dlaczego „wiedzmy”?

— Nie przeszkadzaj.

Kapitan zastanowił się, skąd tu wiedzmy? Dlaczego sens, który nadają temu pojęciu Hedończycy, nabiera w świadomości Ziemianina takiego właśnie znaczenia? Wiedzma to upostaciowanie siły nieczystej i, być może, jest to po prostu nazwa złej, niegodnej przebywania wśród ludzi kobiety. Może tak właśnie rozumieją to Hedończycy? Śmieszne. Chcemy przez jedną dobę poznać cały ten świat, a przecież nawet przez rok nie będziemy w stanie odkryć wszystkich zagadek, określających zasady jego funkcjonowania. Nie chodzi tu o zagadki techniczne, ich rozwiązanie zależy tylko od poziomu ziemskiej wiedzy, ale społeczne, których my, zadowoleni z siebie, nawet nie traktujemy poważnie. Przecież pozornie wszystko widoczne jest jak na dłoni, dostępne dla każdego. Lecz dłoń nagle zaciska się w pięść i nie można rozprostować jej palców, nawet jeżeli gospodarze sami wyciągają do ciebie ręce.

Tymczasem zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Towarzysz Wytrwałego skoczył w dół. Nie zrobił tego bynajmniej ze współczucia dla skazanych, ani ze strachu przed tym, co działo się na placu. Takich emocji jak żal czy współczucie Hedończycy w ogóle nie znali, a bali się tylko o siebie, o swe prawo do nieograniczonych i niezakłóconych żądań. Dlaczego więc towarzysz Wytrwałego schwycił nóż elektronowy? Może po prostu chciał spróbować swych sił w walce z godnym tego przeciwnikiem?

Cięnięty celnie nóż nawet nie zdołał dolecieć do sirga. Przezroczysta błonka hiperpola rozciągnęła się, ugięła jak batut pod uderzeniem ciała, napięła się, zawinęła wokół atakującego

Hedończyka jak kokon i wróciła z powrotem do sirga, „punktu oparcia”, ale już pusta. Ciało towarzyszącego Wytrwałemu gatra zniknęło bez śladu.

— Co z nim zrobiłeś? — Kapitan chwycił sirga za ramię.

— Puść mnie i poczekaj chwilę: doświadczenie zaraz się skończy. A gdzie jest tamten, nie wiem. Gdzieś daleko.

— Żyje?

— Oczywiście, że nie. Człowiek nie może wytrzymać uderzeń hiperpola.

Kapitan spojrział ku górze. Wytrwałego już nie było, a Mały siedział na krawędzi dachu, zwiesiwszy w dół nogi, jak chłopak na moście nad rzeką. Brakowało mu tylko wędki w rękę.

— Gdzie jest Wytrwały?! — zawołał Kapitan.

— Poszedł sobie. Nawet adresu nie zostawił.

Tutaj nikt nie zostawia adresu — skrzywił się Kapitan — i nie chodzą w goście, to nie jest przyjęte. Spotkaliście się, rozstaliście się i cześć. Przypadkowi towarzysze podróży w przypadkowym świecie”.

Zakończono doświadczenie. Hiperpole zniknęło. Zniknęły i kobiety przerzucone poprzez zero przejście do sali regeneracji. Sirg podniósł się gestem przywołał pozostałych współuczestników. Podeszli i zaczęli wpatrywać się w Kapitana nieruchomymi, podobnymi do bryłek lodu, oczyma. „Ryby — pomyślał Kapitan — zimnokrwiste, drapieżne. Rekiny Aory”.

— Czego się gapiacie — zapytał grubiańsko. — Nie widzieliście takich?

— Nie widzieliśmy — przekazał odpowiedź sirg. — Tylko słyszeliśmy.

— Co słyszeliście? — zainteresował się Mały, który tymczasem zszedł na dół.

— Jesteście w Aorze obcy, ale jesteście też nietykalni. To rozkaz Nauczyciela.

— Kto wie o tym rozkazie?

— Tylko my, sirgowie.

— A inni?

— Inni? A po co mają wiedzieć? Nie mogą wam zaszkodzić. Jesteście silniejsi.

— Wiecie, skąd jesteśmy?

— Z zewnątrz. Pójdziecie sobie, kiedy się wam znudzi.

— Co się ma nam znudzić?

— Aora. Przyszliście poznać miasto, ale wszystko jest dla was niepojęte. To normalne. Nikt nie jest w stanie pojąć systemu, jeżeli nie zna zasady, na której system ten został oparty.

— A wy znacie tę zasadę?

— Nie.

— Ale szczegóły można chyba jakoś wyjaśnić.

— Na to macie zbyt mało czasu. Do nocnego cyklu.

— Nie rozumiemy.

— Zaraz się zacznie ściemniać. W nocy miasto śpi i nikt nie wychodzi na ulicę.

— Dlaczego?

— Nie wiemy. Tak było zawsze.

Czterej sirgowie zniknęli niespodziewanie. Mały aż się wzdrygnął. Ciągłe jeszcze nie mógł się przyzwycząić do sposobu poruszania się w Aorz człowiek stał, rozmawiał z tobą — i nagle go nie ma, wyparował. — Co będziemy teraz robić?

— Pójdziemy do „Portosa” — zdecydował Kapitan — mam wrażenie, że ekspedycja się skończyła.

— A rezultat? Żaden?

— Co zrobić? To nie na nasz rozum, żeby pojąć tę maszynę.

— Dlaczego maszynę?

— A cóż to może być innego według ciebie? Mechanizm, dokładny i niezawodny. Nakręcili go i funkcjonuje, kręci się, zgrzyta, nawet nie trzeba go oliwić.

— Perpetuum mobile?

— Według koncepcji Nauczyciela — tak. Ale wiesz, choćby ze szkoły, że perpetuum mobile nie ma i być nie może. Kiedyś musi się zatrzymać.

— Ciekawe, z jakiego powodu?

— Spytaj o coś łatwiejszego. — Kapitan zasepił się. — Popatrz, ściemnia się. Pospieszmy się.

— Boisz się ciemności?

— Boję się. Licho wie, co tu się dzieje w nocy.

Ruszyli po dźwięczącym plastiku niebieskiego placu, myśląc każdy o swoim. Kapitan, niezadowolony z ich bezowocnej wyprawy; milczał, nie patrząc na towarzysza. Mały chwilami pochrząkiwał, jakby chciał coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować.

— Jakież jednak człowiek jest ograniczony — gniewnie burknął Kapitan. — Ukoronowanie wszystkiego, pan życia, a gdy postawi się go przed czymś niepojętym, ugrzęźnie na mur.

— Ciągłe filozofujesz — zauważył sceptycznie Mały — a cała ta twoja filozofia wynika z bezradności. Trzeba działać, a nie wdawać się w rozważania.

— No to dlaczego nie działasz, tytanie myśli?

— Gorączkować się, rzecz jasna, nie warto, ale mam jeden maleńki umysł.

Słowa te zaniepokoiły Kapitana: zbyt dobrze znał swego towarzysza, jego skłonność do nierozważnych poczynań, których później sam często żałował.

— Co wykombinowałeś? — spytał surowo.

Mały zmieszał się:

— Niczego nie wykombinowałem. Czas do domu. Lulać.

„Portos” w dalszym ciągu stał tam, gdzie go pozostawili, otoczony mętną błonką osłony siłowej. Kapitan przekręcił wyłącznik na bransolecie i błonka zniknęła w gęstniejącym zmroku, a emitor drgnął i skrył się pod dachem.

— Właż — rozkazał Kapitan.

Mały znowu jakby się zmieszał.

— Poczekaj — powiedział — zostawiłem promiennik. Rzuciłem go, kiedy wmieszałem się w tę bójkę.

— No to co, niech sobie leży — wzruszył ramionami Kapitan — w stacji mamy tego dobrego pod dostatkiem.

— Nie, nie, lepiej polecę. Wrócę szybciotko... Raz, dwa i z powrotem.

Przebiegł kilka metrów, zniknął, i w tej samej sekundzie zjawił się na placu, na którym wraz z Wytrwałym współzawodniczyli w zręczności, likwidując bezmyślną bijatykę.

ROZDZIAŁ VI

NA TRANSPORTERZE MARTWYCH.

CO GROZIŁO MALEMU W SALACH REGENERACJI?

Zero przejście natychmiast przeniosło go na plac, który, bezludny, cichy, tonął w niebieskim półmroku wieczoru. Pod tunelem leżały pokotem martwe ciała zostawione na pastwę losu. Mały pragnął wyjaśnić, co się z nimi stanie. „Ciekawe, jak długo trzeba będzie czekać? — pomyślał z obawą. — Po kwadransie Kapitan zaniepokoi się i cały mój pomysł diabli wezmą. Ale może coś się przydarzy, zanim tu przyjdzie? Czy warto było ryzykować? Warto. Czegoś się dowiem, jeżeli, oczywiście, przeżyję”.

Ułożył się jak najwygodniej na ciepłym plastiku nawierzchni kładąc dłonie pod głowę i znowu się zamyślił. Podświadomie ogarnęło go pragnienie, aby Kapitan zjawił się, zanim rozpoczną się tajemnicze wydarzenia, które rozgrywają się nocą w mieście. Dostanie nagane, parę dni aresztu, ale nie będzie się narażał na żadne niebezpieczeństwo, bo, znajdzie dzięki temu wymówkę: chciałem, ale mi przeszkadzono. „Wymówka tchórzy — westchnął Mały. — Jak się, bracie, zdecydowałeś, to doprowadź rzecz do końca”.

...Pojawili się na placu po jakichś pięciu, sześciu minutach — niespodziewanie i w sposób typowy dla Aory — znikąd, z niczego. Na placu panowała ciemność, pusta i senna, aż nagle zmaterializowały się w niej niewyraźne figurki w ubraniach niewiele jaśniejszych od otaczającej nocy. Mały nie mógł się im przyjrzeć jak należy: wiedział, że każdy ruch zaradzi jego obecność. Wreszcie udało mu się dokładnie obejrzeć grupkę, może nie karzełków, ale po prostu niskich ludzi w krótkich kurteczkach o nieokreślonej barwie. Nieśli oni długie, prostokątne ramy, podobne do ziemskich noszy.

Mały zacisnął powieki i natychmiast czyjeś ręce uniosły go, położyły na czymś miękkim, uginającym się pod jego ciałem i owo „coś”, kołysząc się miarowo, popłynęło w nieznaną.

Potem kołysanie ustało. Nosze, czy co tam to było, zamarły na chwili i znowu ruszyły, ale tym razem równo i płynnie, jakby na elastyczne taśmie transportera. Mały uchylił lekko powiek i znowu je zacisnął: tak gwałtowne było przejście z gęstej ciemności nieoświetlonego miasta w jaskrawo błyszczącą biel jakiejś ogromnej sali.

Zresztą nie była to sala, a raczej szeroki korytarz o oślepiająco białych ścianach i suficie, bez jakichkolwiek mebli. Tylko nagie ściany i naga podłoga, nad którą, niczym nie podtrzymywane, płynęły prostokątne ramy — nosze z ułożonymi na nich zebranymi na placu ciałami Hedończyków. Mały leżał pomiędzy nimi i jego również unosiła gdzieś taśma cementarnego transportera. Nad tym, dokąd tak płynęli i jak, Mały się nie zastanawiał: w świetle zero przejść i sterowanej przestrzeni antygravitacja wydawała się dziecinną zabawką.

Ludzie w niebieskich kurtkach, teraz można było wyraźnie rozróżnić ich kolor, szli obok, towarzysząc w milczeniu temu nie zatrzymującemu się nigdzie konduktowi. Teraz Mały mógł się dobrze przyjrzeć zagadkowym konwojentom: półtorametrowi, szczuplutcy — gdzież im do rosnących gospodarzy Aory — o czarnych, sztywnych włosach, zapadniętych policzkach i orlich nosach, bladoniebieskiej skórze. „Pewnie mają błękitną krew — pomyślał Mały. — Jak ośmiornice. My mamy we krwi żelazo, a oni, najwidoczniej, miedź”. Zresztą, czy warto było zgadywać? To była zupełnie inna rasa, niepodobna do ziemskiej, choć humanoidalna. Szli nie patrząc na siebie, i Mały mimo wysiłków nie mógł pochwycić żadnej ich myśli. A może to roboty? Nie — jednak ludzie. Dlaczego więc Nauczyciel nic o nich nie powiedział? I odnosi się wrażenie, że nawet w Aorze o nich nie wiedzą.

Nagle transporter zatrzymał się. Niemi konwojenci stanęli obok, jaj posągi. „Po jakie licha wplątałem się w tę awanturę — pomyślał smętnie Mały. — Siedziałbym sobie teraz w stacji razem z chłopakami. A może uciec?” Ale natychmiast zawstydził się swoich myśli. Chwilowo

nic straszego jeszcze się nie dzieje, a w ogóle to dokąd uciekać, jeżeli założymy, zero przejście tu nie działa? No bo, w gruncie rzeczy, po ci zero przejście w salach regeneracji? Umarłaki nigdzie nie wyskoczą”.

Nagle, rozsunięły się ściany, w uszy wwiercił się dźwięk, podobny do odgłosu, jaki wydaje świder elektrycznymi pojawiły się ciemne skrzykki — wypisz, wymaluj pamiętne „szafy” w milea. Korytarz zniknął a „szafy” stały pod mlecznobiałą ścianą, z której jeden za drugim wychodzili tacy sami niscy chłopcy czy dziewczynki w niebieskich kurtkach. Podeszli bliżej i Mały poczuł, że „nosze” powoli zaczynają przybierać pionową pozycję.

Instynktownie wczepił się w ich ramę, a najbliższa „szafa” ruszyła na niego, ukazując czarną pustkę za rozplywającymi się drzwiami. Mignęła myśl o ucieczce. „Za późno!” — zdusiła ją następna. Pustka już go pochłonęła, opłotła jakby mocnym kokonem, ale nie obezwładniła: mógł się poruszać, choć z trudem. Skądś z góry powiał wietrzyk, chłodny, pachnący ozonem, po ciele przebiegło mrowienie i zakłuło w piersi. Coś jeszcze silniej spętało jego ciało: bezskutecznie spróbował unieść rękę, mógł zaledwie poruszać palcami: Oddychanie stawało się coraz bardziej utrudnione, a po twarzy popłynęły lepkie strumyki potu: temperatura wzrastała.

— Uduśzę się — powiedział na głos.

Ale krzyknąć nie mógł. Zamiast swego głosu usłyszał jakieś chrypienie, bolało go gardło, język spuchł. Myśli utraciły kształt, rozplynęły się, pojawiły się halucynacje. Nagle Mały zupełnie wyraźnie zobaczył okno z szybami, o które uderzały kropelki ukosem padającego deszczu. Przez zasłonę deszczu ujrzał kiście podwójnego bzu w ogrodzie. Miał ochotę zasnąć przy akompaniamencie tego szmeru kropli!

I nagle, znowu nieoczekiwanie — jak wszystko tutaj — świadomość się rozjaśniła, myśli ożywiły się i nabrały precyzji. „Sprawdzali — natychmiast stwierdził Mały — sprawdzali, czy rzeczywiście wyciągnęliśmy kopyta. Może kogoś nie trzeba będzie przerabiać, ale tylko troszeczkę podreperować po tej bójce. Wszystko przecież może się zdarzyć”. I rzeczywiście: powietrze stało się nagle czyste, jakby nie było lepkiej duszności i ciężaru, ciemność zaczęła ustępować, przesycona różową mgiełką podobną do takiej, jaką widzi się letnim przedświtem gdzieś na Ziemi. Ale nie zdążył się nawet ucieszyć, kiedy pojawiające się nie wiadomo skąd zaciski miękko ułożyły go na czymś płaskim i twardym — może szafocie, może stole operacyjnym. Z góry opuścił się hełm, podobny do suszarki, jaką widzi się u fryzjerów, wionął na Małego gorącym powietrzem i przez całe ciało przebiegł jakby prąd elektryczny.

Szarpnął ręce, były zaciśnięte jak poprzednio i zaklął w bezsilnej złości: nawarzyłeś piwa, to je pij. Oczekiwanie nie trwało długo. Z mgły wyłoniło się dwóch w niebieskich kurtkach. Najbliższy wyciągnął czarny lejek, od którego ciągnął się, nie wiadomo dokąd, długi i elastyczny przewód i przyłożył lejek do czoła Małego. Drugi czymś ostrym rozciął mu koszulę i przyłożył drugi lejek do piersi. Zaszczowało powietrze, poczuł ukłucie.

— Ostrożniej! — krzyknął Mały.

Niebieskoskórzy popatrzyli po sobie i zaświergotali po ptasiemu — ćwir, ćwir, w ich oczach błysnęło zdumienie. Ale nie zaprzestali swego zajęcia, wyciągnęli skądś długi, biały płat materiału i nakryli nim Małego. „Jak po nieudanej operacji” — pomyślał. Ale operacja dopiero się zaczynała.

Początkowo Mały nie czuł niczego. Wokoło cisza i pustka, tylko lejki z przewodami paskudnie ściągnęły skórę i gdzieś niezbyt głośno huczały ni to silniki, ni to wentylatory. Nagle wydało mu się, że ktoś podsłuchuje jego myśli. Mały przestraszył się i zastygł, próbując przeanalizować to wrażenie. A nieznanym podsłuchiwanym myśli, jakby nawet zachęcał: „Nie bój się. Myśl, myśl, nie będę ci przeszkadzał”. „Majacze” — przeraził się Mały.

Ale to nie było majaczenie. Ktoś czy coś rzeczywiście wsłuchiwał się w świadomość Małego, zupełnie jakby przez system neuronów mózgu jechał jakiś maleńki, mądry krasnoludek i zbierał całą informację, zgromadzoną przez inżyniera w ciągu trzydziestu lat jego życia. Zbierał wszystko, niczym nie pogardził — ani wątpliwościami, ani żalem, ani bólem, ani

radością. Mały zrozumiał, co to takiego. Zetrą wszystko do czysta — wiedzę, pamięć, przyzwyczajenia, skłonności — i wymodelują nowego człowieka. Obojętne jakiego, ale na pewno nie Małego — zabijaki, sceptyka, dobrego kumpla i inżyniera, jakiego nie znajdzie — się w całym Zarządzie Służby Kosmicznej.

Szarpnął się na swym „łóżu operacyjnym” — Zaciski nie wytrzymały, puściły, ścierając do krwi skórę na przegubach. Usiadł gwałtownie, zerwał z piersi i czoła idiotyczne lejki, poruszył nogami — były już wolne. Zeskoczył na podłogę, rozejrzał się. Nie było już „stołu”, rozpląły się w różowej mgielce lejki z przewodami, tylko na podłodze poniewierało się zmięte prześcieradło — całun. Kopnął je i nagle się uspokoił: sam jesteś winien, bądź ostrożniejszy. Rozejrzał się wokoło: wszędzie taka sama mgła — czyż nie wszystko jedno, dokąd pójdzie! — i zagłębił się w tę kłębiącą się mgłę.

Teraz stał w dużej sali podobnej do hangaru albo poczekalni na jakimś ziemskim kosmodromie. Tylko zamiast kanap i foteli, na których drzemia podróżni, ciągnęły się szeregi „stołów operacyjnych”, wiszących, jak wszystko tutaj, bez żadnej podpory. Na każdym z nich spoczywało martwe ciało Hedończyka, połączone długimi, czarnymi przewodami z czerwoną, świecącą planszą pod sufitem. Plansza drżała lekko i pod wpływem tej wibracji przewody te zwijały się rytmicznie jak zmięje w terrarium. W sali nie było żywych ludzi, tylko zwłoki przysłane do przeróbki. Martwych ciał nie było jednak wiele. Mały zauważył, że co najmniej połowa „stołów” była pusta. Ale ci, u których trwało „pranie mózgow”, zachowywali się niespokojnie. To od jednego, to od drugiego odskakiwały lejki i kołyszac się, zawisały w powietrzu, „stoły” zaś unosiły się ku pułapowi, znikwały we mgle, a w chwilę później opadały na dół, już puste. Hedończyk przygotowany do dalszego cyklu regeneracji pozostawał gdzieś na górze.

„Ponure widowisko — uznał Mały — trzeba stąd zniknąć. Tak czy owak niczego nie zrozumieć”. Podeszedł do „stołu”, który był już gotów do podróży, bezceremonialnie przesunął martwego Hedończyka i usiadł obok.

Jazda w górę zakończyła się równie niespodziewanie, jak się zaczęła. Mały zeskoczył i zobaczył bezpośrednio przed sobą ciemną, półtorametrowej średnicy gardziel rury. Ciało Hedończyka przesunięte nie wiadomo jak i czym, ześlizgnęło się w otwór, a „stół” opadł w dół i zniknął.

„Raz kozie śmierć, innej drogi nie ma” — podjął decyzję Mały” i ruszył w ślad za Hedończykiem. Mimo swego prawie dwumetrowego wzrostu mógł, pochylony, iść zupełnie swobodnie, opierając się dłońmi o ścianki. Były one tak gorące, jakby rura była częścią jakiegoś systemu ogrzewania. Początkowo poruszał się bez trudności, ale później tunel pod ostrym kątem zaczął prowadzić pod górę i trzeba było gramolić się na czworakach. Małemu zdawało się, że wędrówka ta nie ma końca. W dalszym ciągu wokoło panowała całkowita ciemność, tłumiąca wszystkie odgłosy — nawet kiedy spróbował zastukać w ścianę, nie rozległ się żaden dźwięk. Wreszcie kąt nachylenia tunelu zmniejszył się nieco. Mały ruszył dalej i nagle jego ręka nie napotkała już żadnego oparcia. Silne pchnięcie w plecy rzuciło go gdzieś w dół. Długo spadał w ciemności, aż wreszcie wylądował na czymś miękkim i bardzo elastycznym.

„Jestem uratowany” — to była jego pierwsza myśl, a druga — to nieoczekiwane wdzierające się w świadomość obce pytanie: — Możesz myśleć?

— Oczywiście, że mogę — automatycznie odpowiedział Mały i natychmiast spytał zaskoczony: — A kto mówi?

— Czy nie wszystko jedno kto? Pytaj.

— Głos z mroku — uśmiechnął się Mały — a gdzie się właściwie znajdujesz? W Aorze?

— Nie, w Błękitnym Mieście. Tam, skąd mogę skontrolować wszystko, co dzieje się na tej planecie.

— Oczywiście — pomyślał głośno Mały. — Koordynator. Supermózg stworzony przez Nauczyciela.

- Nie jestem mózgiem. Jestem regulatorem.
- Maszyna?
- W twoim rozumieniu tak. Silnik życia.
- Wieczny silnik?
- Wieczne jest to, co nie ma końca. W przyrodzie wszystko ma swój koniec.
- A cykle nieśmiertelności?
- Nieśmiertelnymi są na razie tylko ci, których nazywacie Hedończykami. Ludzie są śmiertelni.
- A więc oznacza to, że Hedończycy nie są ludźmi?
- W pewnym sensie nie są. Jeżeli życie człowieka, na przykład twoje, przedstawić w formie wykresu o dwu koordynatach, to powstanie krzywa ze szczytem gdzieś w środku. Rozprostuj jej drugą część i poprowadź równoległe do osi odciętej, a otrzymasz wykres życia Hedończyka.
- Po co to wszystko?
- Co?
- Cykle. Powtórzenia. Sam przecież powiedziałaś, że w przyrodzie wszystko ma swój koniec.
- Nie wiem. To nie wchodzi w skład mojego zadania.
- Ale na czym to zadanie polega?
- Kierować. Regulować. Korygować ewolucję cykli, stabilność technologii, pilnować poziomu.
- Czego?
- Informacji.
- Zdobytej w bójkach albo bezpłodnym wysiłku wyobraźni, w bydlęcych zabawach albo nieokielzanych zachciankach?
- Masz rację. Informacja jest wszędzie. Wszystko, o czym się myśli i co się robi, zawiera informację.
- Ale informacja może być pożyteczna albo zbędna.
- Nie znam takiego podziału. Może być pełna lub niepełna.
- Na podstawie jakich kryteriów opracowana jest norma zasobu informacji?
- Kryterium jest jedno: wysiłek umysłowy.
- A tych, którzy nie uzyskali normy, do kotła?
- Do sal regeneracji. Całkowicie naturalny proces. Czyż nie usuwa się z mechanizmu detalu, który źle pracuje?
- Mechanizm to co innego, a ludzie to co innego.
- Dla mnie są to rzeczy identyczne. Jestem maszyną. Społeczeństwo to także maszyna, tyle że mniej doskonała.
- Wasze społeczeństwo owszem. Po co tyle kast, klanów, czy jak się tam one u was nazywają? Sirgowie, ksorowie, nadludzie, po co?
- Nie mogę wątpić w słuszność programu koordynującego moje działanie na tej planecie. Mogę wam tylko wyjaśnić to, czego nie możecie zrozumieć.
- Dlaczego magowie mogą znęcać się nad wolnymi?
- Podnoszą współczynnik nagromadzonej informacji.
- A nadludzie?
- Mają jeszcze wyższy współczynnik. Zwierzęca reakcja, zrozum mnie prawidłowo: zwierząt tu nie ma, używam tego terminu, ponieważ stosunkowo najdokładniej przekazuje znane wam pojęcie, dodaj do tego prędkość myślenia, umiejętność podejmowania najważniejszej decyzji, zwiększone wyczucie przestrzeni.
- No a sirgowie to też „wyczucie przestrzeni”?
- Sirgowie to osobna kasta. Jest ich mało i pełnią bardzo ważną rolę. Krótko mówiąc, są to

moje zdalne czujniki, powiedzmy, oczy i uszy. Dlatego też obdarzeni są wielką umiejętnością sterowania przestrzenią. Przestrzeń to zarówno zła, jak i dobra siła. Sam widziałeś, jak działa.

— Zabija.

— Tylko tych, którzy z lenistwa nie uzyskali niezbędnej normy informacyjnej. Jeżeli ktoś jej nie uzyskał, to znaczy, że należy przebudować jego mózg, zmienić kastę. Używając waszego określenia — wymagania jest kuracja.

— Barbarzyńska kuracja.

— Masz na myśli sirgów? Zakrzywienie przestrzeni jest humanitarne.

— Skąd wiedzą, kogo przerabiać?

— Wydaję rozkaz. Idealnie dokładny.

— Niezła dokładność! O mały włos sam nie trafiłem na „stół operacyjny”.

— Cały czas cię obserwowałem. Nie przeszkadzałem, ponieważ zostało to zaprogramowane. Mam pomagać wam poznać i zrozumieć stabilność.

— Niczego nie rozumiem. Nie wiem nawet, gdzie się znajduję i co będzie dalej.

— Zaraz się dowiesz. Nie bój się.

Obcy głos przestał rozbrzmiewać w jego świadomości i z rozplywającego się mroku zaczęła się wyłaniać sala z długim szeregiem foteli, podobnych do fryzjerskich. Na każdym z nich na wpół leżał rozebrany do naga Hedończyk, połączony tym samym fryzjerskim „hełmem” z ekranem, po którym przebiegały kolorowe linie, to krzywe, to wydłużone, to zygzakowate i faliste. Przy ekranach krzatali się ci sami niscy ludzikowie w niebieskich kurteczkach i ciemnych trykotach.

Mechaniczne pranie mózgow — pomyślał Mały na głos i wzdrygnął się.

— Ciebie też to czeka — powiedział ktoś z tyłu.

Nawet nie odwracając się wiedział, że Kapitan mimo wszystko go odnalazł. Małego tak to ucieszyło, że nie zmieszał się ani trochę.

— Jak tu trafiłeś?! — zawołał, obejmując towarzysza.

— Szkoda gadać — gniewnie odparł Kapitan. — Przecież znam cię, durniu, jak zły szeląg. Od razu zgadłem, co wymyśliłeś. A kiedy zobaczyłem w kabinie twój promiennik, to popędziłem natychmiast z powrotem. Ledwo zdążyłem na to uprzątnięcie nieboszczyków.

— No, a potem?

— Co potem? Przez salę ze „stołami”, przez rurę i tutaj.

— Głos słyszałeś?

— Żadnych głosów. Wszyscy tutaj są niemi. A bo co?

— Nic. Opowiem później. Chodź do wyjścia.

— A gdzie to wyjście?

— Znajdziemy.

Przeszli obok ekranów i foteli z wskrzeszonymi nieboszczykami, płynącymi jak na taśmociągu w zamgloną dal. Niebieskoskórzy przy ekranach nawet nie zauważyli Kapitana i Małego. Zachowywali się tak, jakby obok nich poruszali się nie ludzie, ale jakieś niewidzialne istoty. Obaj kosmonauci doszli wreszcie do ostatniego fotela, stanęli obok i w dalszym ciągu nie zauważeni przez nikogo błyskawicznie znaleźli się na dziecięcym placyku w Zielonym Lesie. Nadzy Hedończycy baraszkowali w nieważkości i ssali ciecze ze znajomych rureczek.

— No, taak — chrząknął Mały — a jak znajdziemy „Portosa”? Przecież został w Aorze.

— Zapomniałeś o teleportacji?

Teleportacja była jak zwykle niezawodna. Po chwili już zdejmowali z pojazdu pole ochronne.

— Do domu? — upewnił się Mały. — Pospacerowaliśmy i dość na dziś.

— Dość — przytaknął Kapitan. — Nawarzyłeś sobie piwa i będziesz je pił. Gwarantuję ci pake.

— Przebaczysz.

— A to niby dlaczego?

— Ale ja tu dowiedziałem się tego i owego.

I Mały prawie dosłownie przekazał Kapitanowi swoją rozmowę z Głosem w ciemności.

— Kto to był?

Mały tylko wzruszył ramionami.

— Koordynator?

— Nie wiem. W każdym razie przyznał się, że nie jest człowiekiem, tylko maszyną. Zresztą najważniejsze, że zdobyliśmy materiał do ostatecznej rozmowy z Nauczycielem.

— Materiał rzeczywiście mamy — przytaknął Bibl, kiedy wraz z Alikiem wysłuchali opowiadania o przygodach przyjaciół w Aorze — ale obawiam się, że w tej puszcze Pandory jest jeszcze wiele niewyjaśnionych i tajemnic.

— Jedna z nich już została wyjaśniona — zauważył Alik, przyglądając się sceptycznie ubraniu Małego — posiadacz takiego stroju powróci na Ziemię jako niekwestionowany dyktator mody męskiej.

CZEŚĆ TRZECIA
BŁĘKITNE SŁOŃCE

ROZDZIAŁ I

KAPITAN GNIEWA SIĘ. JESZCZE JEDEN „SEZAM”.

Zatrzymali się dwadzieścia metrów przed miastem.

— Tutaj się rozstaniemy — powiedział Kapitan — mam nadzieję, z nie na długo.

— Jeżeli nie wrócić do jutra, pojedziemy po was „Portosem” — burknął Mały.

— Nie rób paniki.

— Cała ta heca mi się nie podoba. Dlaczego nie bierzecie „Portosa”. W razie potrzeby mielibyście i pojazd, i twierdzę.

— Pojazd tamtędy nie przejedzie, a twierdza nie będzie potrzebna.

— Wierzysz Nauczycielowi?

— Wierzę.

— To niech Bibl pójdzie pierwszy. Ty nie masz prawa ryzykować życia.

— Zgadzam się — przytaknął Bibl.

— Pozwólcie mnie — wtrącił się Alik, bez cienia nadziei, że go wysłuchają.

— Pomilczmy chwilę — zaproponował Mały.

Zapadła cisza. W głębi duszy wszyscy, oprócz Kapitana, zgadzali a z Małym: „Portos” w niczym nie przeszkadzał. Ich zdaniem, Kapitan upierając się przy pieszej przechadzce niepotrzebnie zwiększył ryzyko wyprawy.

Dowódca uśmiechnął się.

— Minęliśmy granicę — powiedział, wskazując jaskrawe odbłaski czarnym szkliwie pustyni. — I mimo to wszyscy żyjemy.

— Na razie — westchnął Mały. — Chodź, Alik. Nie żegnamy się.

Gramy — pomyślał Kapitan. — Wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy się boimy. Ale z »Portosa« mimo wszystko trzeba było zrezygnować. Na zaufanie trzeba odpowiedzieć zaufaniem”. Jeszcze raz przyjrzał się panoramie miasta. Z niewielkiej odległości przekształcała się ona w całkowicie niepojęty chaos form geometrycznych. Widoczności nie ograniczała ani mgła, ani pyłowe wichry. „Kolorowy nonsens — tak określił to Dok. — Miasto innego świata, być może, innego wymiaru, a mimo wszystko miasto”.

Po raz pierwszy miasto pojawiło się dziś rano, na drugi dzień po ich powrocie z Aory. Był to dzień pełen zamętu. Do obiadu spali, wypoczywając po bezsennej nocy, potem przez kilka godzin opowiadali i dyskutowali, przygotowując na Ziemię raport o zagadkach Hedony i znów do późnej nocy rozmyślali i dyskutowali. Hipotezy powstawały i były odrzucane, jak mylne odpowiedzi na pytania krzyżówki. Wymarłe zwierzęta z okresu jurajskiego? Dinozaury? Nie pasuje. Za mało liter. Pterodaktyl? Za dużo liter. Resztki jedzenia. Jakiego jedzenia? Pierwszego czy drugiego dania? Skorupka jajka? Nie pasuje. Ogryzek? Za mało liter.

Czy ich pobyt na Hedonie nie zmieniał się w taką beznadziejną krzyżówkę? Jaki jest ustrój na Hedonie? Może oświecony absolutyzm? Mózg to król, a Koordynator to władza wykonawcza? Może dyktatura? Czyja? Jakiejś elity technokratycznej? Przecież techniki nie ma. Ani jednego urzędu. Ani przycisków, ani wyłączników. Anarchia? Podobieństwa owszem są. Ale przecież jakaś organizacja państwowa mimo wszystko istnieje. Nie w Aorze, ale gdzieś obok. A i w Aorze również wszyscy podporządkowują się testom, każdy może robić, co mu się żywnie podoba, ale informacje gromadzić musi. Bo jak nie, to do przeróbki, na taśmę regeneracyjną. Nie, anarchii nie ma: i literki nie te, i znaczenie nie pasuje.

— A jeżeli to dyktatura telepatyczna — wysunął sugestię Alik. — Mózg działa na psychikę, a Koordynator utrzymuje porządek.

— Nie, Alik — Kapitan odrzucił tę hipotezę — porządek panuje tylko w salach regeneracji. Ale to porządek taśmy, automatycznych działań, automatycznie sterowanych. Człowieka montują jak samochód, z części. Przywracana jest praca serca, potem oddychanie, krwiobiegi,

przemiana materii. Słyszałeś o tym, co robią z pamięcią. To nie ład, a nieład, marsz wstecz, upuszczony kamień Syzyfa.

— Ilu mieszkańców ma Aora? — zainteresował się Bibl.

— Około trzech milionów, jeżeli wierzyć Nauczycielowi.

— A więc trzy miliony dyktatorów. Nie mamy materiału porównawczego.

— Mamy — powiedział Mały. Nikt go nie zrozumiał.

— Sanatorium w Dubrowniku.

Kapitan aż gwizdnął z podziwu: ciekawa analogia!

— O co chodzi? — zdziwił się Alik.

— Sanatorium z automatyczną obsługą. Personelu nie ma. Ani sprzątaczek, ani salowych. Całe zaopatrzenie skomputeryzowane. Podyktujesz w „wejściu”, otrzymasz w „wyjściu”. Jeżeli zechcesz, dostaniesz płetwy do nurkowania, jeżeli zechcesz, befsztyk z cebulką. Całkowita swoboda. Tylko nie można naruszać przepisów. Ale przecież i w Aorze są przepisy. Dziwaczne, ale są.

Kapitan zamilkł zauważywszy uśmiezek Bibla.

— Zapomniałeś o czymś, Kapitanie.

— O czym?

— O obsłudze technicznej. Za ścianami sypialni, za pulpitemi komputerów, przy tackach automatów kelnerskich, przy blokach aparatury rejestracyjnej. A przecież ta obsługa techniczna, to są ludzie! Obliczeniowcy, programiści, dyspozytorzy, regulatorzy taśm podawczych, po prostu mechanicy, majstrowie. Oni wcale nie są antagonistami kuracjuszy. Znajdują się w tej samej klasie społecznej. A w Aorze?

Kapitan zamyślił się.

— Nie wiem.

— Taka obsługa jest i w Aorze. Jej funkcjonariuszy widzieliście w salach regeneracji. Co o nich możecie powiedzieć?

— Dokładni, zdyscyplinowani — Kapitan zaginał palce — wymusztrowani.

— Przez kogo?

— Tego też nie wiem.

— Może jednak są to roboty?

— Nie sądzę. Jest w nich, pomimo ich automatyzmu, coś nieuchwytnie ludzkiego.

— Skoro tak, to jaka istnieje klasowa współzależność pomiędzy nimi i Aoryjczykami? Eksperymentatorzy i króliki doświadczalne, jak przypuszcza Alik, czy panowie i słudzy? Ludzie wywodzący się z różnych gatunków biologicznych, różnych cywilizacji, czy po prostu z dwóch klas — uciskanej i uciskającej? Antagoniści czy sojusznicy, przyjaciele czy wrogowie?

Kapitan znowu się zamyślił.

— Nieroby i pracusie — powiedział Mały. — Tylko to na razie wiemy. Pozostałe sprawy to ciemna magia.

— A może cywilizacje te są równoprawne? — zasugerował Bibl.

— Nauczyciel mówił tylko o jednej, konsumpcyjnej — przypomniał sobie Kapitan i zasepił się. — A może dalibyśmy spokój tym hipotezom? Kilku niewiadomych w tym równaniu jeszcze nie znamy. A więc zacznijmy jutro „rano. Od Błękitnego Miasta albo Nirwany.

Pierwsze ukazało się miasto.

Alik oznajmił o tym, wpadając do pokoju z maszynką do golenia w rękę. Paliło zwykłe rude słońce, ale błękitne już je dopędzało, mijając granatowe. Każdego ranka kolejność ich wschodów się zmieniała, i do tej pory Kapitanowi ciągle nie starczało czasu na to, aby wyliczyć ich orbity. A zresztą teraz interesowała go zupełnie inna sprawa.

Był to ten sam pamiętny widok, jaki ukazał się z tego samego okna podczas pierwszego dnia ich pobytu na stacji. Znane i nieznanne bryły geometryczne spłaszczone, rozciągnięte, przekrzywione, pogniecione. Wszystko to pstrzyło się, mieniło wszystkimi barwami widma,

gdzieniegdzie zastygało, obnażając bezkształt i brzydotę, gdzieniegdzie poruszało się, wiło. Barwy stawały się jaskrawe, to znów z wolna matowiały. Po pewnym czasie ten chaos przestawał drażnić. W niezwykłych załamaniach i krzywiznach pojawiał się swoisty rytm architektoniczny, fascynujący i przyciągający spojrzenie. Tym razem miraż był bliżej, w odległości około pół kilometra, i wcale nie drżał, ani nie rozpływał się. Dok się nie omylił: to było miasto! Obce, niezemskie, wcale nie baśniowe, ale swą niewiarygodnością zapierające dech w piersi.

— Szykować „Portosa”? — zapytał Mały.

— Po co? To przecież dwa kroki. Dojdziemy piechotą.

— A osłona energetyczna?

— Zdjęta. To nie zwykłe łącze, ale zbliżenie faz.

Kapitan zrezygnował i z ziemskiej broni. Wzięli tylko „bicze” i paralizatory. Mały posepniał coraz bardziej. Gorąco pragnął pójść zamiast Bibla, ale kolejności pilnowano skrupulatnie. W równym stopniu przestrzegano zasady: dwóch na wyprawie, dwóch na stacji. Zresztą nie było powodów do niepokoju. Tylko własna nieostrożność, ryzykanctwo czy nieprzemysłane działanie mogły spowodować jakieś zagrożenie. Wszystko, co zdarzy się w trakcie wyprawy, może i powinno być przewidziane.

Kapitan i Bibl szli w milczeniu, nie mogąc oderwać wzroku od niezwykłego miasta. Strzelało wysoko w górę, ale właściwie nic nie sugerowało podziału na piętra. Tylko na różnych poziomach, a było ich dosyć dużo, Bibl doliczył się ponad szesnastu i dał spokój — miasto przecinały płaszczyzny, po których poruszały się jakieś nie określone mechanizmy o konturach zamazanych prędkością ruchu. Niekiedy płaszczyzny zakrzywiały się, tworząc coś na kształt stadionów, przeciętych zygzakami wież telewizyjnych albo dźwigów bramowych promieniujących czymś podobnym do światła neonowego. Wszystko to przypominało nie tyle miasto, co fabrykę o nieznanym przeznaczeniu i fantastycznej technologii. Można było nawet zidentyfikować hale produkcyjne z tablicami świetlnymi, gigantyczne pulpity jeszcze bardziej gigantycznych maszyn matematyczno–liczących, wachlarze rur, pędzące pionowo i na ukos wielkie winda — podobne kształty i dziwne spiralne taśmy przesywające wszystko na wskroś. Jednego nie można było odnaleźć w tym pseudoprzemysłowym bałaganie — domów, mieszkań, pięter, okien, choć i one czasami były kreślone wiązkami błyskawic na mętnawoniebieskim tle nieba albo pojawiały się w grze kolorowych plam na pionowych płaszczyznach siecznych. Błękitnawa szarość, zmętniała ultramaryna, dziesiątki odcieni rozcieńczonego indygo błądziły gdzieś na wysokościach, przekazawszy wszystkie pozostałe barwy niższym poziomom miasta. W jego kształtach, i tych nieruchomych, i w tych przelewających się i migoczących — nawet uważny obserwator nie odnalazłby naturalnej barwy drzewa czy metalu. Nigdzie. Zamiłowanie Hedony do jaskrawych barw i tu dawało znać o sobie: wszystko mieniło się i połyskiwało jak szkiełka w dziecięcym kalejdoskopie. Zaledwie przed chwilą na dziesięciometrowej wysokości przesunęła się niebieska rura wyrzucając różnokolorowe, dziwacznie powygniatane płaszczyzny, kiedy nagle na jej miejscu zaczęła pęcznieć pomarańczowa kula. Pokryła się liliowymi plamami, najeżyła się wiązką strzał uderzających o czarną ścianę, strzały rozsypały się w iskry, iskry rozbłysnęły w gwiazdy, a gwiazdy znowu złyły się w pomarańczową kulę, która stopniowo wyciągnęła się w niebieską rurę. Chwilami wydawało się, że ta ruchoma geometria miasta nie posiada materialnych granic, lecz jest wykreślona tylko światłem i kolorem. Nawet z bliska nie można było się zorientować, co powstaje w tych zaczarowanych, widmowych halach: przedmioty — fantomy czy ich dziwacznie zabarwione cienie.

Kapitan i Bibl już od kilku minut stali w milczeniu tuż przy samej granicy miasta, o ile można było tak nazwać to ściankę, to schody, to pstro zabarwioną siatkę, to wiązki włócznie podobnych do tyczek z włókna szklanego, strzelające u góry zielonymi iskrami. Obaj kosmonauci zupełnie nie zwracali uwagi na ten diabelski taniec barw i kształtów. Myśleli o

gospodarzach miasta, których za chwilę mogą spotkać na różnobarwnych, spiralopodobnych taśmach, które z bliska okazały się ruchomymi chodnikami — ni to trotuarami ulicznymi, ni to wewnętrznymi ciągami komunikacyjnymi hal fabrycznych, czy też samobieźnymi podstawami gigantycznych pulpitów sterowniczych jakichś maszyn. Najprawdopodobniej właśnie te „ulice” widzieli Mały i Alik, mknąc „Portosem” poprzez rozrzedzoną materię miasta i identyfikując pulpity jako „domy”, a płaszczyzny jako „dworce”

Kapitan i Bibl znaleźli się w lepszym położeniu: mogli obserwować „ulice” i ludzi z bliska i z nieruchomego punktu.

Ludzie byli tacy sami jak ci, których Kapitan widział w salach regeneracyjnych Aory — ubrani w czarnoniebieskie trykoty i nieco bardziej jaskrawe niebieskie kurteczki, łudząco podobne do kombinezonów turystów lub kosmonautów. Zdumiewał niebieski kolor nie osłoniętych części ich ciała. Jedni mieli skórę nieco bledszą, inni znów intensywnie zabarwioną. W jakiś sposób podobni byli do północnoamerykańskich Indian, z tą różnicą, że byli o wiele niżsi, no i nie czerwonoskórzy. Siedzieli, stali, poruszali się, sunęli na chodnikach, ale zawsze pojedynczo, nigdy w grupach, nawet nie po dwoje czy troje. Ten brak wzajemnych kontaktów Kapitan zdążył już zauważyć w salach regeneracyjnych. Nie porozumiewali się ani telepatycznie, ani słownie — to już zostało sprawdzone. Może ich praca nie wymagała wzajemnych kontaktów, może były one zabronione w czasie pracy.

— W jaki sposób będziemy się z nimi porozumiewać? — zapytał nagle Bibl.

Kapitan wzdrygnął się, myślał przecież o tym samym.

— Nie wiem — odparł powoli i z wahaniem. — Może wszelkie formy porozumienia są wzbronione tylko w salach regeneracyjnych. Nie wierzę, aby istniało społeczeństwo pozbawione jakichkolwiek wzajemnych kontaktów. Przecież uczą się nawet głuchoniemi.

— A może ci też są głuchoniemi? Tego na dobrą sprawę nie możemy wykluczyć.

Kapitan wzruszył ramionami.

— To tylko ułatwi sprawę.

— A jeżeli to roboty?

— Nie wierzę.

— Mam na myśli bioroboty. Istoty wyhodowane w probówkach na podstawie określonych norm. Przecież to możliwe. Na Ziemi dawno już opracowano metody produkcji, ale projekt zarzucono, ponieważ był bezużyteczny. A tu zasadność użycia biorobotów jest wyraźna i bezpośrednia.

Kapitan nie zrozumiał, dlaczego wyraźna, dlaczego bezpośrednia?

— Pamięta pan porównanie do sanatorium? Gdzie znajduje się aparat zakulisowej obsługi; ci wszyscy supermechanicy, syntetyzatorzy, telekinetycy, dyspozytorzy łącz przestrzennych? Tutaj, Kapitanie.

— Ale dlaczego uważa pan, że to są roboty?

— A któż lepiej niż ci milczący i pokorni niewolnicy może obsłużyć Pański raj konsumpcyjny?

— Nie, nie zgadzam się — zaproponował Kapitan. — Raj obliczony jest na czasokres zbliżony do wieczności, a filary te mogą zwietrzeć i skruszeć. Hedończycy nie stykają się z obsługą i w ogóle do obsługi tej techniki musieliby mieć o wiele bardziej rozwinięty intelekt. Mózg nie dzieli się z nikim swą wiedzą, a Koordynator jest po prostu supermaszyną. Ale zawsze, szczególnie w wycinku czasowym bliskim wieczności, mogą zaistnieć sytuacje wymagające decyzji, które podjąć może tylko człowiek. Niech pan się nad tym zastanowi, Bibl. Mogę się założyć, że spotkamy tu ludzi, a nie roboty.

Podeszli do chodnika, który zakręcał wzdłuż skraju czarnej pustyni. Równa, bez szwów i połączeń, taśma nieco przypominała bieżnię.

— Wychodzimy na „ulicę” — uśmiechnął się Kapitan. — Jeszcze jeden „sezam”.

ROZDZIAŁ II

JAK POLECIEĆ W DIABŁY. NIE NARKOZA, LECZ DOPING.

„Ulica”, niezbyt szeroka, podobna do starego moskiewskiego zaułka, natychmiast skierowała się w głąb architektonicznego bezkształtu. Trudno było utrzymać się na nogach ulica uciekała spod nóg jak pokład okrętu w czasie sztormu, a po bokach widać było zamgloną nieco grę światła. Różnobarwne wiązki to tryskały nagle jak fontanny w Peterhofie to zwijały się w spirale, których końce pod różnymi kątami i na różnych poziomach przecięte były nieruchomymi płaszczyznami. Wydawało że są one cieniutkimi warstewkami plastiku lub metalu i jedynymi materialnymi elementami tego barwnego szaleństwa.

Często w wiązках światła ukazywali się ludzie. Ich ciemnoniebieskie kurtki to pojawiały się, to ginęły, kiedy poruszali się wzdłuż i w poprzek świetlnych potoków na swych pionowych czy poziomych ruchomych chodnikach. Kapitan ani Bibl nie mogli porównać tego do czegokolwiek na Ziemi, nie istniały żadne punkty odniesienia. Nawet plastycy–ilustratorzy fantastyki naukowej nie stworzyli niczego podobnego, ich pomysłowość ograniczała ludzka wyobraźnia. Ale wyobraźnia, która stworzyła tu otaczające ich środowisko materialne, nie była ludzką, zrodziła nie fabrykę czy laboratorium przyszłości, lecz niesamowity zamęt w którym rwała się, spłaszczała i topniała materia życia.

Ich chodnik zrównał się z płaszczyzną, która nieruchomo, bez jakichkolwiek podpór wisiała tym samym na poziomie, i Kapitan, bez rozbiegu, skoczył na jej plastikową krawędź. Chodnik natychmiast uniósł się w górę, jakby poziom, na którym się znajdował, zależał od ciężaru ciała ludzkiego i płaszczyzna z Kapitanem opadła w dół, w dziurę powietrzną Bibl, bez namysłu, podążył za Kapitanem. Nie chcąc zgubić towarzysza w odmętach żywej, oszalałej geometrii, musiał skakać już z wysokości dwu metrów.

- A gdybym nie skoczył? — zapytał.
- Ściągnąłbym cię za nogę.
- Nie zdażyłbyś.
- Nauczymy się.

I Kapitan, bez uprzedzenia, ponownie przeskoczył na przesuwający się obok chodnik. Ruchoma taśma natychmiast opadła w dół i Bibl musiał wyciągać Kapitana z głębin.

— Trzeba się nauczyć — powiedział Kapitan twardo — bo będziemy jak dzieci w zaczarowanym zamku.

— Z tą różnicą, że zamki budowano z kamienia, a to?

— Z kwantów, fotonów i elektronów. Materiał zresztą nienowy. Jak się przypatrzymy uważniej, to będziemy mogli się zorientować.

Bibl rozejrzał się wokoło. Najpierw pobieżnie, tak jak patrzy się zapoznając się z otoczeniem po raz pierwszy, potem jeszcze raz, powoli i uważnie, rejestrując wszystkie istotne szczegóły. W grze światła i barw, którą tak sprytnie stosowali gospodarze tego świata, widać było nieruchome konstrukcje o różnych kształtach i najwidoczniej o różnym przeznaczeniu. Jedne z nich piętrzyły się jak ażurowe wieże. Zamiast wysięgników wytryskiwały z nich strumienie wielokolorowej, płynnej albo gazowej materii, w której można było dostrzec tańczące, wirujące przedmiociki o dziwnych kształtach, wyraźnie zrodzone w wyobraźni specjalisty–topologa. To wydłużały się, to kurczyły, to znowu zlewały się z sąsiednimi, podobnymi do plam rozpluwającego się w wodzie nadmanganianu potasu albo kropli atramentu. Niżej maszty te łączyły się z równomiernie rozjaśniającymi się i gasnącymi płaszczyznami podobnymi do ekranów telewizorów plus minus sześć metrów po przekątnej. W rozbłyskach tych płynęła ta sama kolorowa, gazopodobna, ciągliwa materia, która chwilami zastygała na moment, ukształtowana w znajome plamy przypominające brzeg kolorowej koszulki z Aory, to znów cień dzbana czy pucharu.

Wszystko to odbywało się w absolutnej ciszy. Nawet ludzie w niebieskich kurtkach, przesuający się po prostych i falistych przekątnych, również poruszali się całkowicie bezszelestnie jak kapłani dziwaczego boga, którzy w czasie nieobecności wiernych zajmują się prozaicznym sprzątaniami świątyni. Po co to wszystko? Dlaczego? Jaka technika kieruje tym bezsensownym i jaka nauka tworzy i karmi tę technikę? I czy ziemski człowiek może tu cokolwiek zrozumieć, znaleźć jakąś logiczną, techniczną czy znaczeniową prawidłowość?

— Spróbuję — pomyślał głośno Bibl, odpowiadając na swoje własne nieme pytanie.

— Co? — zapytał Kapitan.

— Wyjaśnić to. Jak pan sądzi, Kep, gdzie się obecnie znajdujemy?

Kapitan bezradnie rozłożył ręce.

— W syntetyzatorze. Te połyskujące dyski na masztach to rejestrator życzeń. Kolorowa mieszanina to strumienie pierwotnej materii życia. Ekran światła — tablice materializatorów. Tam właśnie realizowane są myślowe zamówienia ze światów zielonego i granatowego słońca. Wiązki i spirale to reagenty telekinezy.

— A ludzie?

— Personel techniczny. Kontrolerzy, mechanicy, dyspozytorzy, sterującymi procesami telekinetycy.

Kapitan zamyślił się.

— Strumienie pierwotnej materii życia. Jak to należy rozumieć?

— Nie związane molekuly, z których można tworzyć dowolne struktury przedmiotowe, organiczne i krystaliczne.

— Gdzie?

— Mówiłem już w materializatorach, przestrzeniach ograniczonych tylko polami siłowymi.

— A po co je barwią?

— Najprawdopodobniej silniki i pędniki procesów sterowanych reagują na barwę.

Kapitan popatrzył na Bibla tak, jakby był on fragmentem tego właśnie świata.

— Czytałem gdzieś — powiedział — że w każdym człowieku żyje poeta. Poeta umiera, a człowiek żyje dalej. Pan jest anomalią, poeta przeżył.

— Ale hipoteza pierwsza klasa, prawda? — roześmiał się Bibl i rozejrzył się jeszcze raz, jakby chcąc sprawdzić słuszność swojej koncepcji.

Zrobił krok do tyłu, nie zdając sobie sprawy, że stoi na skraju płaszczyzny — zmylił go przesuający się tuż obok chodnik — i poleciał w dół. Upadł, ale natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Skacz! — zawołał Kapitan, wyciągając rękę.

Bibl nie zdołał się jej uchwycić. Chodnik zdążył przelecieć do przodu; jakieś półtora metra. Kapitan pobiegł wzdłuż nieruchomego skraju płaszczyzny, licząc na to, że dopędzi kolegę, ale chodnik nagle zakręcił w prawo i zniknął za krawędzią poziomą. Kapitan bez wahania skoczył w dół, na sunącą taśmę, ale ta nie wiadomo dlaczego, odbiła go, jak batut, i cisnęła nim na krawędź innej płaszczyzny. Kapitan pomyślał, że wrócił na tę poprzednią, i pobiegł wzdłuż skraju w ślad za uciekającym; chodnikiem, ale natychmiast zatrzymał się. „Pejzaż” był zupełnie inny, równie bezsensownie ukształtowany i zabarwiony, ale całkowicie odmienny konstrukcyjnie. Zorientowawszy się w sytuacji Kapitan znowu skoczył na ruchomą „ulicę”, ta znowu odbiła go, ale tym razem utrzymał się, opadłszy na czworaki. Ten chodnik był już inny, szerszy i ciemniejszy, przypominający swą barwą jesienną, zasypaną pożółkłymi liśćmi ścieżkę. Poprzedni, bladoróżowy, przepadł gdzieś razem z Biblem.

Kapitan zaczął nadśluchować, ktoś wołał nad nim, za krawędziami dwóch przecinających się pod ostrym kątem płaszczyzn — przejść po nich mógł tylko cyrkowiec.

— Jestem tutaj! — krzyknął Kapitan, ale Bibl nie odpowiedział albo nie usłyszał, albo jego głos został stłumiony przez kolorowe, gazopodobne potoki.

Kołysząc się i sprężynując, chodnik skoczył pomiędzy biegnące naprzeciw taśmy z ludźmi w

niebieskich kurtkach. Płynęli oni na spotkanie razem z tablicami świetlnymi pełnymi kłębiącej się, kolorowej abrakadabry. Kapitan trącił jednego z nich w ramię, ręka nie dotknęła kurtki odrzucona uderzeniem niewidocznej, ale wyraźnie elastycznej przegrody podobnej w dotyku do silnie napiętej gumy. Pole siłowe? Trącił drugiego, ręka napotkała tę samą niewidzialną zasłonę. Czyżby każdy z siedzących na taśmie znajdował się pod nieprzenikliwą kopułą siłową? Najwidoczniej w ten sposób, poprzez spotęgowanie izolacji każdego stanowiska roboczego, zapewniono maksymalną dokładność pracy.

Zagłębiając się w rozmyśleniach, Kapitan o mały włos nie zleciał z chodnika, który zakręcał w tym miejscu tak ostro, że trzeba było się położyć, by nie zostać wyrzuconym na sąsiadującą krawędź płaszczyzny.

— Jestem pod panem, Kep — usłyszał z głębin opadającego w dół, kolorowego kanionu.

Chodnik przeskakiwał nad nim jak ruchomy most, a na płaskim „brzegu” podobnym do nieomalowanego arkusza blachy cynkowej, stał Bibl, wymachując rękami:

— Niech pan skacze!

Kapitan skoczył, ale chybił i został podchwycony przez inny chodnik, który najwidoczniej wyskoczył mu na spotkanie z tego właśnie kanionu. Teraz ażurowe konstrukcje opadały w dół, ich geometria uległa zniekształceniu, a połyskujące dyski rozsypały się w mgławice, podobne do dalekich gwiazd, widzianych z okien kosmolotu. Gdzie jest Bibl? Dopiero co był na dole, ale Kapitan przeleciał obok i Bibl powinien być gdzieś nad nim, na krawędzi płaszczyzny, która mignęła mu przed oczyma. Może ten ratujący go w biedzie chodnik ją dosięgnie?

Bibl! — zawołał Kapitan. Jego głos zabrzmiał głucho i cicho. Najprawdopodobniej fale dźwiękowe były wytłumiane w tym splocie płaszczyzn i chodników napęczających jedne na drugie jak nitki w kłębku.

Na ściany albo raczej na to, co można by uznać za ściany, Kapitan nie patrzył — pokrywały je kolorowe amorficzne kształty. Mignął podświetlony od wewnątrz sześcian, za nim drugi i trzeci, z przemieszczającymi się w ich wnętrzu figurkami. „Klast” — Kapitan przypomniał sobie hedońskie szachy. Któż w nie tu gra? I natychmiast domyślił się: nikt. W tym miejscu są tylko odbierane myślowe rozkazy z zewnątrz i telekinetycy przekazują przesunięcia, które wynikają z toku gry. Chodnik nagle skoczył do góry i Kapitan znowu zobaczył Bibla.

— Hej! — krzyknął Bibl. — Kep, tutaj!

Ocynkowana płaszczyzna napływała skosem z góry na dół i wyciągnięta ręka Bibla pomogła zachować równowagę. Obydwaj westchnęli z radością i ulgą.

— Odsuńmy się od brzegu — zaproponował Kapitan — dopiero tu przekonałem się w sposób brutalny i naoczny, co to znaczy polecieć w diabły.

Odchodząc od krawędzi spojrzeli po sobie. I znowu „pejzaż” zadziwił ich swymi na nowo przekształconymi formami architektonicznymi. Żadnej gry światła, żadnej oszalałej, kolorowej geometrii już nie było. Światło padające ze zmętniałego sufitu — „nieba” oświetlało równomiernie długą salę, przypominającą opustoszałą ulicę zasnutą poranną, zimową mgłą. Po bokach ciągnęły się szare „ściany”, podobne do domów z jednym tylko szeregiem nisko osadzonych iluminatorów — „okien”. „Okna” zapalały się i gasły w sposób pozornie niewytłumaczalny, ale jak się to później okazało, z całkiem zrozumiałą prawidłowością. Obok tych „okien” powoli przesuwawa się taśma chodnika, nie szersza od normalnego trotuaru maleńkiej uliczki. Na taśmie, w równych odstępach, umocowane były stoliki podobne do pulpity dyrygenckich, a za każdym stolikiem czy to w kucki, czy na ledwo widocznym krześle, siedział człowiek w niebieskiej kurtce. Kiedy zrównał się z oświetlonym „oknem” — iluminatorem, wyjmował coś z niego, stawiał to na stole i płynął dalej obok zgaszonych „okien”, aż do następnego oświetlonego, powtarzał tę samą operację i znowu powtarzał ją przy następnym oświetlonym, minawszy uprzednio ponad dziesięć wygaszonych.

Po raz czwarty czynność ta się nie powtórzyła, albo Bibl i Kapitan jej nie widzieli: chodnik z niebieskoskórymi zniknął we mgle. Identyczna ruchoma taśma pełzła i po drugiej stronie ulicy,

ale w przeciwnym kierunku.

— Rozumie pan coś z tego, Kep? — spytał Bibl.

— Jakiś rodzaj pracy.

— To nie praca.

— Więc co?

— Wciąż się zastanawiam. Coś mi świta.

Co mu świtało, Kapitan dowiedział się chwilę później.

— To obiad, śniadanie albo coś w tym rodzaju — powiedział Bibl.

— Z okien?

— Oczywiście: „okna” to właśnie okienka automatów kelnerskich.

Świeci się, to znaczy, że danie gotowe. Człowiek zabiera je i zjada, przejeżdżając obok wygaszonych okien. Zapalają się one dopiero dla nadjeżdżających klientów, a potem znowu gasną, nim automat nie poda następnego dania. Dania są, jak widać, trzy albo cztery. Jesteśmy w ich stołówce, Kep.

Kapitan skrzywił się z niedowierzaniem.

— Obawiam się, że to tylko hipoteza.

— No to sprawdźmy.

Podeszli do miejsca, w którym chodnik wypełzał do sali, i wyprzedzając nie spieszących się niebieskoskórych, zajęli dwa krzesła–niewidki. Już pierwsze oświetlone okno potwierdziło przypuszczenie Bibla: w jego wnętrzu unosiła się, bez żadnego widzialnego podparcia, przezroczysta miseczka z ciemnozieloną masą. Kapitan bez namysłu zabrał miseczkę. Okno natychmiast zgasło, a następnie zapaliło się już dla Bibla, który powtórzył czynność Kapitana. Zielona masa okazała się gęstą galareta z wetkniętą w nią szeroką łopatką. Nie przypominała łyżki, ale służyła najwidoczniej do tych samych celów.

— Spróbował pan, Kep?

— Tylko trochę, na koniec języka. Niezłe. Przypomina kisiel z agrestu.

Nieprzewidziane wtargnięcie Ziemiań nie wywołało popłochu. Nawet ich nie zauważono. „Obiad” podawany był z absolutną precyzją. Następne okno obdarzyło ich miską z brązową masą: przypominało to dobrze odparowaną fasolę po gruzińsku, tyle że bez przypraw. W trzecim oknie otrzymali kulki, zupełnie bez smaku, które topniały w ustach jak lody. I wreszcie jakiś płyn, przypominający coca–colę. Potem w stanie szczęśliwej sytości Kapitan i Bibl popłynęli siedząc za pustymi już pulpitami. Nakrycia natychmiast gdzieś zniknęły, nawet nie brzęknawszy. Okien już nie było, ale krzesła usypiająco kołysały jak hamaki. Ile minut i sekund trwał ten błogostan, żaden z nich nie wiedział, ale zakończył się prozaicznie i nawet, można rzec, bezceremonialnie: „krzesła” podskoczyły i miękkim pchnięciem wyrzuciły obu Ziemiań na podłogę drugiej sali. Majaczące z przodu niebieskie kurtki skoczyły na krzyżujące się chodniki i zniknęły za krawędziami płaszczyzn. To samo zrobili i ci, którzy podążali za Kapitanem i Biblem. Nikt się do nikogo nie odezwał, nie padło ani jedno słowo, całkowity brak kontaktu — i w sali pozostali tylko Kapitan i Bibl.

Nie była to w gruncie rzeczy sala, lecz skrzyżowanie ruchomych „ulic” — dróg, rozbiegających się w trzech kierunkach. Właściwie wcale się nie krzyżowały, a przebiegały na różnych poziomach jedna nad drugą, nigdy jednak nie znajdowały się poniżej wzrostu człowieka. Dzięki temu można było swobodnie przejść pod nimi.

— Dokąd teraz? — zapytał Kapitan, zaciskając pięści. — Czuję w sobie tyle energii, że mógłbym góry przewracać.

— A pomyślał pan, Kep, skąd ta energia się wzięła? — wtrącił Bibl. — Wymaglowało nas przecież zdrowo jak na wirówce. A przed chwilą o mało się nie zdrzemnęliśmy na tych krzeselczkach. Chce pan wiedzieć dlaczego? Dzięki jedzeniu.

— Syntetyki — Kapitan machnął ręką. — Wolałbym szaszłyczek. Karski.

— Niech pan nie narzeka. Pierwsze danie: galaretka, wywołuje ostre uczucie głodu. „Fasola”

je gasi, wypełniając żołądek. Rozpływające się kulki wywołują uczucie rozkosznej sytości, a „coca-cola” skłania do drzemki. Potem dają nam krzesłem w siedzenie i wyrzucają na chodnik — aparatura i pulpity nie mogą się na nas doczekać. A my, pełni szczęścia, z zapalem ruszamy do pracy. Dobrze pomyślany obiad.

— Jednego tylko nie rozumiem — ciągle jeszcze zdumiewał się Kapitan — dlaczego tutaj karmią zupełnie inaczej niż w Aorze. I budowa karmników jest inna, i menu też niepodobne. Ale sens pozostaje ten sam, jedzenie. Stymulator działania.

— Inna technologia — stwierdził Bibl. — Tutejsze lepo czy jak to tu zwą, to po prostu stołówka, a w Aorze to także miejsce gromadzenia jednostek info. Tutaj elementarne, mechaniczne podawanie pokarmu, tam królestwo telekinezy i inwencji. I stymulatory też są różne. Tam do irracjonalnego i bezsensownego działania, coś w rodzaju narkozy, tutaj do działania rozumnego i ukierunkowanego, można powiedzieć — doping.

— A podłoga się trzęsie — zauważył nagle Kapitan.

— Tak, wibracja. Dokądś nas popycha.

— Znowu? — skrzywił się Kapitan. — Dość już mam tego królestwa głuchoniemych. Żeby choć jeden zechciał nas dostrzec.

— Niech się pan obejrzy — powiedział Bibl.

Migoczące kolorowe płaszczyzny zwięzały się, tworząc ciemny otwór.

W jego środku stał człowiek w niebieskiej kurtce i dawał jakieś znaki.

— Mam wrażenie, że to do nas.

— Chyba tak.

Podeszli. Człowiek czy raczej człowieczek, o wzroście nie przekraczającym półtora metra, położył dłoń na sercu — gest rozumiały dla każdego humanoida. Kapitan i Bibl zrobili to samo. Człowieczkowi rozświeciły się oczy, wielkie i wypukłe. Czarna źrenica wypełniała całą prawie płaszczyznę tęczówki, tak że trudno było określić kolor oczu. We wszystkich pozostałych szczegółach człowieczek również nie był podobny do Hedończyków. Nie tylko rysami twarzy, o charakterystycznym orlim nosie i niebieskoblękitnym kolorze skóry, ale także jakimś mętym, białawym odcieniem cery. „Żyją jak w więzieniu, bez dostępu świeżego powietrza” — pomyślał Kapitan i przestraszył się: czy tamten przypadkiem nie odebrał jego myśli. Ale niebieskoskóry nie sprawiał wrażenia, że cokolwiek pojął. Raczej nic do niego nie dotarło, bo cała jego postawa wyrażała tylko wyczekiwanie.

— Witaj — powiedział Kapitan po rosyjsku i powtórzył to samo po angielsku.

W odpowiedzi człowieczek wydał dźwięk, którego absolutnie nie można by powtórzyć, podobny do ptasiego świergotu czy klekotania. Kiedy spostrzegł, że go nie zrozumieli, wskazał na czarny otwór.

— Zaprasza — stwierdził Bibl. — No i co, Kep?

— Przyjmujemy.

ROZDZIAŁ III

NA ARENIE CYRKU. LATAJĄCY TALERZ.

Widniejąca z przodu ciemna przestrzeń coraz bardziej rozstępowała się i rozjaśniała. Odwołując się do ziemskiej terminologii Bibl mógłby nazwać to miejsce cyrkową areną o bladocytrynowych ścianach i niezbyt wysokim, liczącym zaledwie kilka rzędów amfiteatrze, rozniebieszczonym siedzącymi ramię przy ramieniu ludźmi w niebieskich kurteczkach. Poprzez przyciemnioną, jakby zasnutą chmurami kopułę przeświecało błękitne niebo.

Arena była maleńka, cztery razy mniejsza od normalnej i amfiteatr, siłą rzeczy, mógł pomieścić zaledwie kilkudziesięciu widzów, którzy cierpliwie oczekiwali na rozpoczęcie występów. Nic na niej nie było, oprócz dwóch wiszących bez żadnej podpory, obrotowych, przezroczystych foteli. W nich właśnie posadzono ziemskich gości, plecami do siebie, ale w taki sposób, że mogli rozmawiać odwracając się ku sobie razem z fotelami umocowanymi na bezszelestnych łożyskach. Miejsca wskazał im ten sam człowieczek w towarzystwie dwóch asystentów, którzy przyłączyli się do niego z trybun i byli doń podobni jak dwie krople wody. Zresztą, gdy Bibl i Kapitan rozejrzeli się uważnie, zauważyli, że również i pozostali widzowie zapelniający trybuny maleńkiego amfiteatru byli do siebie tak podobni, jakby matka natura wykonała ich według jednego wzorca. Inna rzecz, że być może działała tu ta sama nieumiejętność odróżnienia rysów twarzy przedstawicieli innych ras, jaką odznacza się większość Europejczyków. Zresztą również i czerwonoskórzy Hedończycy w granatowych i błękitnych kąpielówkach początkowo wydawali się Ziemianom identyczni i dopiero później, w Aorze, okazało się, że ta jednolita na pozór masa w istocie składa się z wielu całkowicie odrębnych osób.

Na głowy obydwu gości założono przedmioty przypominające hełmy ściśle przylegające do skroni i potylicy. Ani Kapitan, ani Bibl nie zaprotestowali, przyjazny wygląd ich towarzysza rozwiewał wszelkie obawy. Potem niebieskoskóry odszedł na bok i trzykrotnie powtórzył coś, czego ani intonacji, ani brzmienia nie byli w stanie uchwycić. W ślad za nim tę samą dźwiękową abrakadabre, chórem, ale cicho, powtórzyli wszyscy siedzący na trybunach. I dziwna rzecz, goście wszystko rozumieli, jakby ten niezwykły zespół dźwięków wypowiedziano, skandując, po rosyjsku:

— Wy nazywać rzeczy widzieć je oczyma myślą.

— Zrozumiał pan coś, Kep? — zapytał Bibl.

— Sylabizując, ale zrozumiałem. Telepatia?

— Nie, to nie telepatia. Myśl dociera z trudnością i jak pan powiedział, „sylabizując”. Według mnie to wielokrotnie wzmocnione obce pole emocjonalne. Słyszał pan, jak wszyscy powtarzali to samo. Coś w rodzaju emocjonalnego echa. A hełmy przekazują to bezpośrednio do mózgu.

— Czego oni od nas chcą?

— Właśnie tego, co do nas dotarło. Niech pan powie dowolne słowo, jednocześnie wyobrażając sobie w myśli jego desygnat. Chcą poznać nasz język. Zresztą może ja spróbuję.

Bibl przekreślił fotel na niewidzialnych łożyskach tak, że siedział teraz twarzą do trybun, i powiedział powoli i wyraźnie, dobitnie akcentując słowa:

— Głowa, twarz, oczy, nos, usta, ciało, ręce, nogi... Chodzić, leżeć, latać, skakać, pić, jeść, spać, bić się... Wszystko to staram się sobie wyobrazić — dodał, zwracając się do Kapitana — ale w jakich obrazach mam na przykład pokazać im takie pojęcia, jak „myśleć”, „rozumieć”, „decydować”, „zgadzać się”, albo, powiedzmy, „tak”, lub „nie”, „dobrze” i „źle”, albo po prostu przeczenie przed każdym rzeczownikiem i czasownikiem?

Kapitan roześmiał się:

— Przecież znaleźliśmy się tu niczym klauni na arenie. A więc będziemy robić tak jak oni.

Zagramy scenkę. Ja, założmy, będę pokazywać, że nalewam z butelki do szklanki, a pan będzie rozkładać ręce, kręcić głową — jednym słowem, wyraźnie okazywać, że pan nie rozumiał, mówiąc przy tym: „Nie rozumiem, nie!” Powtórzmy tę scenkę kilkakrotnie. Później pokażę to po raz trzeci, tym razem krzycząc, rozdrażniony: „Rozumiesz?” Pan podskoczy, zadowolony, i również krzyknie: „Tak, tak! Rozumiem. Zrozumiałe!” Zaczynamy. Tylko poważnie.

No i odegrali to z pełną powagą, bez pośpiechu, wypowiadając słowa wyraźnie, nie połykając ani jednej głoski. A po zakończeniu przedstawienia Kapitan, zwracając się do widzów, zapytał głośno:

— Zrozumiałe?

— Zrozumiałe — nad podziw wyraźnie, bez cienia obcego akcentu, odparła po rosyjsku cała sala.

— A więc, rozumiecie? — spytał ponownie Kapitan.

— Rozumiemy, rozumiemy.

— Tak czy nie?

— Tak, tak!

— Nauka w ekspresowym tempie — uśmiechnął się Kapitan i powiedział do Bibla półgłosem: — Zaczynamy drugą lekcję. Najpierw wyjaśnimy znaki: ja, ty, on, my, wy, oni. Prościutkie.

Wyjaśnili.

— Jeszcze jedna scenka. Robię kilka kroków, pan stoi. Mówię: „Ja idę, on nie idzie”, akcentując „nie”. To samo z czasownikiem: „jeść” i „pić”. A teraz zwracam się do audytorium: „Nie rozumiecie?”

— Rozumiemy — chórem odparła sala.

— Jednego nie pojmuję — szepnął Kapitan do Bibla — w jaki sposób oni tak łatwo sobie to wszystko przyswajają?

— Po pierwsze, emocjonalne echo. Po drugie, hełmy. Widzi pan, oni wszyscy są również w hełmach. Należy przypuszczać, że niezbyt dokładnie odgadliśmy ich przeznaczenie. Najprawdopodobniej wzmacniają one również sens wypowiadanego słowa i bezpośrednio przekazują obraz. Nazwijmy to umownie: cyberpatia.

Cy–ber–patia — powtórzył wyraźnie ich znajomy, siedzący nie opodal, w pierwszym rzędzie. — „Nie hełmy” niezrozumiałe, „tak hełmy” zrozumiałe. Tylko hełmy. Bez nich nie można.

— Przecież nie wyjaśniliśmy im słów „tylko” i „nie można”. I odmiany zaimków też ich nie uczyliśmy — zdziwił się Kapitan.

Zamiast Bibla odpowiedział człowieczek w niebieskiej kurtce.

— Wiele słów my rozumieć z rozmowy ty i on. — Wskazał kolejno ich obu. — Wy mówić więcej, my rozumieć więcej.

Kapitan gwałtownie odwrócił fotel w stronę Bibla.

— O, to rozumiem, to jest kontakt. Jeszcze trzy lekcje i uczniowie będą mogli zdawać maturę. Na piątkę. Wszystko będą mówić i wszystko rozumieć. Trzy lekcje — powtórzył, zginając palce. — Trzy!

— Jedna — zaoponował niebieskoskóry i sam z kolei zagiął jeden tylko palec. — Jedna. My rozumieć i słowa myśli. Mówić w myśli — widzieć. A my — rozumieć.

— Mają już teraz niezbędny zasób słów — powiedział Kapitan do Bibla — tylko dlaczego ta nauka jest jednostronna? Bez wzajemności.

— Najwidoczniej są bardziej od nas uzdolnieni lingwistycznie, no a poza tym język ich jest, jak sądzę, zupełnie dla nas niewymawialny i oni to zauważyli.

— Dziwny język. Albo przydechy, albo jodłowania. Jak u tyrolskich śpiewaków.

— Niech się pan uważnie wsłucha — powiedział Bibl rozglądając się po amfiteatrze. — Słyszysz pan? Zupełnie po ptasiemu. Jak w lesie. Kłaskają i poświsują.

Jeszcze raz spojrzął na otaczające ich fotele. Niebieskie kurtki siedziały cicho, jak grzeczne dzieci, nie kręcąc się i nie zmieniając miejsc. Teraz Bibl mógł już dostrzec pewne różnice w ich wyglądzie. Nie było tu tej jednolitej młodości, jaką widzieli w słoneczno — zielonej szkole — otaczały ich twarze młodzieńcze i dorosłe, niekiedy pomarszczone, a nawet i nie ogolone. Były również i kobiece — charakteryzował je nieco wydłużony owal twarzy, drobniejsze rysy i kokieteryjna różnorodność krótko przystrzyżonych, chłopięcych fryzur. Kim oni są? Jeśli przyjąć hipotezę Alika o rezerwatach, to gdzie te rezerwy się znajdują? Tu czy w Aorze? Jaka rolę spełniają nieroby — konsumenci z Aory i pracujący na nich mądry niebieskoskórzy obsługujący świetlne i kolorowe cuda techniki. Co prawda ci drudzy nie mają takich zdolności porozumiewania się, jakimi dysponują Hedończycy — telepaci z zielonej i granatowej fazy, ale to ograniczenie towarzyszy najwidoczniej tylko procesowi produkcji. A tutejsze procesy produkcji związane są z niesłychanie wysokim poziomem nauki i techniki. Z tego by wynikało, że gospodarze są tutaj, a nie tam, w promieniach innych pozornych słońc. Ci ludzie robią śmieszne błędy, ale czyż to nie zadziwiające, że ich słownik wzbogaca się szybciej niż słownik najdoskonalszego cybernetycznego tłumacza? A liczba błędów gramatycznych zmniejsza się odwrotnie proporcjonalnie do liczby nowych słów.

Rozmyślenia Bibla przerwał zaniepokojony szept Kapitana:

— Psst... Słyszysz pan? Zupełnie inny dźwięk. Zdaje się, że już nie jesteśmy w lesie, lecz w pasiece.

Z ciemnego przejścia, które łączyło tę salę ze skrzyżowaniem ruchomych taśm chodników, dało się nagle słyszeć niezbyt głośne, równomierne buczenie. Tak buczy albo zużyty mechanizm, albo zaniepokojony ul.

— Kłąć się na podłogę! — krzyknął do nich ich znajomy z pierwszego rzędu. — Nie mówić. Nie hałasować. Cicho.

Kapitan i Bibl wykonali polecenie.

A z przejścia na otwartą przestrzeń areny wypłynął powoli miedziany latający talerz. Zresztą, być może, wcale nie miedziany, a tylko błyszczący jak dobrze wyczyszczona i wypolerowana miedź. Bibl poruszył się i uniósł głowę. Talerz natychmiast skierował się w jego stronę i zawisł wysoko w powietrzu; niewielki, o średnicy około pół metra, wypukły tylko z jednej strony, co czyniło go jeszcze bardziej podobnym do talerza albo raczej do półmiska czy tacy. Z takim samym pszczelim buczeniem zaczął się opuszczać na arenę. Trzy metry, dwa, półtora... „Zaraz nas przydusi albo nakryje jak kołdrą” — pomyślał Bibl, wciskając się w plastik podłogi. Przez chwilę ogarnął go strach, ale talerz pokrzył nad nimi, znowu uniósł się w górę i kołysząc się w powietrzu, powoli popłynął nad amfiteatrem. Niebieskoskórzy milczeli w bezruchu, wciśnięci trwogą w fotele. Talerz zaś, po wykonaniu kilku kręgów i ósemek w zacichłej sali, tak samo powoli skrył się w ciemnym przejściu — . Jego pszczele buczenie było słychać nawet wtedy, kiedy zniknął z pola widzenia, aż wreszcie stopniowo ucichło.

— Nowe чудо — uśmiechnął się Bibl, wstając. — Co to było? Zgadł pan, Kep?

Kapitan zamyślił się chwilę.

— Przypomina latający lokator. Widocznie rejestruje jakieś uboczne szумы. Ktoś zauważył coś niezwyklego i zareagował.

— Koordynator — odparł, zbliżając się ich znajomy.

— Nie używaliśmy takiego słowa — odparł Kapitan, zaskoczony.

— Używaliście go tutaj. Niebieskoskórzy postukał się palcem w czoło. — A talerz to słyszeć i poznawać hałas. Wy mówić: obcy, niezwykle. A nie obcy i zwykłe — to cicho, hałasu nie ma. Ale my zebraliśmy się — hałas: ztsistzss... — Próbował naśladować ich poświstywanie.

— Czy to znaczy, że wam nie wolno rozmawiać? — Niteczka domysłu znowu zaczęła wymykać się Kapitanowi z rąk.

— Tam gdzie spać, można. Gdzie nie pracować, odpoczywać, śmiać się. W domu — dodał z

dumą jeszcze jedno przyswojone bez podpowiadania słowo.

— W domu, to znaczy gdzie?

— Tu, za ścianą. A ich dom — wskazał na ciemne przejście, wyraźnie mając na myśli swoich nie mogących porozumiewać się z Ziemianami rodaków — dalej. Tam gdzie takie chodniki. — Dotknął niebieskiego kombinezonu Kapitana.

Dlaczego więc wy jesteście tutaj, a oni tam?

— Dlatego, że oszukujemy Koordynator.

— Czyż można go oszukać?

— Wy widzieć talerz? On odejść. Nie zauważyć.

— Dlaczego i w jaki sposób go oszukujecie? — zapalił się Bibl.

— Trudno wyjaśnić. Jeszcze mało słów. Wy brać ze sobą hełmy. Do domu. Rozmawiać — nie zdejmować. Spać — nie zdejmować. Wróćcie — będziemy wiedzieć więcej.

— Jest nas czterech — Kapitan uniósł do góry cztery palce.

— Rozumiem. Brać ze sobą cztery hełmy. — W rękach rozmówcy pojawiły się jeszcze dwa nowe hełmy. — Wrócić wszyscy razem. Gdzie wasz dom?

Kapitan wyobraził sobie niewysoki, jakby przyplaszczony budynek stacji stojący na czarnym kamieniu pustyni. Znowu poświstywanie i zdziwione pytanie ich znajomego w niebieskiej kurteczce.

— Skąd?

— Z nieba — bez cienia uśmiechu odparł Kapitan, dość dokładnie odtwarzając w pamięci pojawienie się kosmolotu w blasku pięciu różnobarwnych słońc i jego lądowanie na lustrzanym kosmodromie.

I znowu po trybunach przeleciał ptasi szczebiot. Ale tym razem pytania nie padły. Dlaczego? Przestraszyli się, czy też mają się na baczności? Bibl zaczął już powątpiewać w słuszność swoich poprzednich poglądów na temat mieszkańców Błękitnego Miasta: że to oni właśnie są twórcami i gospodarzami cywilizacji na Hedonie. Strach i zaniepokojenie zupełnie nie świadczyły o wysokim społecznym poziomie życia. Czyż twórcy takiej technologii mogą lękać się przedstawicieli obcego rozumu? Dlaczego mieliby się ich obawiać? Może poświstywanie na trybunach świadczy wyłącznie o zwiększonym zainteresowaniu? Ale jeżeli się zastanowić, to czyż pojawienie się latającego talerza wywołało tylko zainteresowanie? Nie. Spowodowało paroksyzm przerażenia. Co ich tak przerażyło? Lokator ubocznych szumów, stwarzający niebezpieczeństwo wykrycia obecności ludzi, którzy wcale nie chcą być wykryci? I te słowa: oszukujemy Koordynator. A więc nawet jego niewyobrażalna, sprawność techniczna nie zabezpiecza go przed popełnieniem błędów: okazuje się, że można, a nawet trzeba go okłamywać. Jeżeli założymy, że Koordynator jest władzą lub narzędziem władzy, to oznacza to, że w społeczeństwie tym jest opozycja mniejszości wobec większości. Do jakich celów ona dąży i dlaczego powstała? W tym miejscu Bibl poczuł się całkowicie zdezorientowany. Któż więc jest gospodarzem Hedony i jakiż jest jej układ społeczny?

— A czy my możemy zobaczyć Koordynator? Odpowiedź padła z opóźnieniem i była jakaś niepewna:

— Pomyśleć. Nie dziś. Najpierw trzeba nauczyć się wzajemnie rozumieć. A teraz odejść. Kapitan znowu zagiął cztery palce. — Wrócimy we czwórkę. Jutro. Dobra?

— Dobra.

Bibl natychmiast zauważył, z jaką łatwością ich rozmówca przyswoił sobie kolokwialne formy wypowiedzi.

— Poczekaj... — zamyślił się Kapitan. — Najprawdopodobniej miasto znajdziemy bez trudu. Ale jak was w nim odszukamy?

Człowieczek w niebieskiej kurtce wskazał na cytrynową barwę ścian.

— Takiego koloru chodnik. Przyprowdzi was tutaj. Ja pokazać.

Pospieszył w kierunku ciemnego wyjścia z sali. Poczekali koło wielobarwnej płataniny

chodników, dopóki zza krawędzi płaszczyzny nie wyskoczył cytrynowożółty.

— Ten?

— Ten.

Dopóki chodnik płynął na jednym poziomie z płaszczyzną, Kapitan powiedział:

— Ja — Kep, Kapitan. On — Bibl. A ty?

Ich towarzysz znowu zaświergotał coś po ptasiemu.

— No, bracie, nie damy rady tego powtórzyć. Będziemy cię nazywać Druh. Pasuje, Bibl?

— Pasuje.

Kapitan mocno, po ziemsku, uścisnął mu rękę.

— Bywaj, Druhu. Do jutra — i zeskoczył na nabierający prędkości chodnik.

Bibl podążył za nim.

I ostatnią rzeczą, którą zobaczyli, była niebieska plama na krawędzi szarej, pochylej płaszczyzny.

ROZDZIAŁ TV

„SMOG” I REPELLER. LAS ATAKUJE.

Po pożegnaniu przyjaciół Mały i Alik w milczeniu ruszyli do domu. Nie mieli ochoty rozmawiać. Mogło się zdawać, że zdołali już przyzwycząić się do tych wędrówek parami. Stały się rzeczą zwykłą, bezpieczną, pewną, ale mimo to zawsze przy rozstaniach odczuwali lekki niepokój. Zwłaszcza dzisiaj. Nazbyt realne było te pseudomiasto, które wyrosło nagle przed stacją, zbudowane ni to z kolorowych tekturowych brył, ni to z barwionego szkła. Żart Guliwera w bajkowej Liliputii: usypał kilkupiętrowy stos z tłuczki szklanej. A w ogóle to nawet nie jakaś bajka, lecz diabli wiedzą co.

— Zniknęło — powiedział Alik.

— Co? — nie zrozumiał Mały.

— Miasto zniknęło — Alik odwrócił się i wskazał na milczący i pusty az po horyzont, znajomy krajobraz.

— Tak — mruknął Mały i splunął ze złością.

Aż do samej stacji nie obejrzał się już ani razu. Później, po przejściu korytarza, zatrzymał się przy schodach i zapytał raczej siebie niż Alika.

— No i co teraz będziemy robić?

— Ty jesteś starszy, no to rozkazuj — odciął się Alik.

— Sprzątanie zakończone, na obiad za wcześnie. A więc przypomnijmy sobie angielskie powiedzonko: mój dom moją twierdzą.

— Odbiło ci?

— Precyzuję zadanie. Zrobimy strzelnice, sprawdzimy broń, rozstawimy posterunki. Centralna baza na piętrze, w pokojach Kapitana. Tam będzie punkt obserwacyjny i skład zapasowej broni.

— Niczego nie rozumiem — stwierdził Alik.

— Z pomyślunkiem słabiutko. Pamiętasz Drugiego Pilota, który obecnie szczęśliwie, a w każdym razie miejmy nadzieję, że szczęśliwie, leci w domowe pielesze. Poprzednio znałem go jako człowieka, który miał postronki zamiast nerwów. Mógłby dać wyrwać sobie zęby metodą stosowaną za czasów Piotra Pierwszego i nawet by okiem nie mrugnął. A kogo zastaliśmy na Hedonie? Dziwaka, który pociął promiennikiem wszystkie ściany — i zewnętrzne, i wewnętrzne. A po co je tak ciął? Mania prześladowcza? Bzdura. Po prostu miał już doświadczenia ze spotkań z mirażami podchodzącymi pod samą stację. My takich doświadczeń jeszcze nie mieliśmy. Dlatego proszę słuchać i wypełniać rozkazy, kolego szeregowy.

— Naprawdę sądzisz, że może nam coś zagrażać tutaj, na terenie stacji?

— Powiedziałem: wykonać! — ryknął Mały. — Sprawdzisz wideoskop przy iluminatorze na górze, wszystkie zasięgi, żeby mi nigdzie przymgleń nie było, pełna ostrość. Ja tymczasem przyniosę z magazynu skrzynkę z granatami. Stacyjny odbojnik sprawdziłem już wcześniej, to superrepeller, zasięg od dziesięciu do dwudziestu metrów na pełnym obwodzie. Postawimy go na górnym podejściu.

— Dlaczego nie tutaj?

— Bo tutaj pokrywają się poziomy przesunięcia faz. Bądź co bądź Dok i Pilot nie bez powodu przenieśli się na piętro. A stawiać repeller przy oknie nie ma sensu. Tam jest szkło organiczne o wytrzymałości większej od stali. Niebezpieczeństwo może nam zagrażać tylko stąd — od strony schodów. Postawimy więc nasz odbojnik na górze, niech spróbują podleźć.

Alik popatrzył kątem oka na Małego: chory, czy co? Kto ma tu podłazić? Nieroby z Aory? Uczniaki z lasu? Przecież oddzielają ich nie tylko kilometry czarnych kamieni, ale i przegroda przestrzenna, osłona siłowa, przez którą nie można się przedostać bez specjalnych przyrządów.

— Osłona siłowa została usunięta — przypomniał mu Mały. — Kapitan i Bibl przekroczyli

granicę pomiędzy fazami i nawet okiem nie mrugnęli.

Alik, ciągle nie przekonany, w milczeniu poszedł schodami na górę. Rozkaz jest rozkazem. Starszy rozkazuje, młodszy wykonuje. Wideoskop przy oknie — iluminatorze, które jak balkon wisiało nad czarną pustynią, okazał się w zupełnym porządku: pełna ostrość i przy samym oknie, i przy linii horyzontu. Wszędzie widać było to samo czarne lustro, przypudrowane nieco matowym pyłem. Mały, również w milczeniu, przyniósł i postawił na stole skrzynkę z granatami gazowymi, a odbojnik-repeller, podobny do pyska buldoga z brązu, postawili na górnym podejściu spiralnych schodów.

Zdezorientowany Alik mimo wszystko zaryzykował i zapytał swego nierozmownego dowódcę:

— Po co nam granaty, jeżeli mamy promienniki?

— Nie byłeś w regeneracyjnych salach, a ja byłem — raczył wyjaśnić Mały. — Tam są tylko martwi, ale nie uszkodzeni. Mają ręce i nogi, nawet skóra jest cała. Zauważyłeś, jaką bronią się tu posługują? Albo wyłącznie zadającą ból, taką jak „bicz”, albo obezwładniającą, taką jak paralizatory. Paralizatorów nie mamy: zabrali je Kep i Bibl, „bicz” jest dobry do walki jeden przeciwko jednemu, przeciwko dziesięciu już się nie nadaje. A jeżeli będzie ich jeszcze więcej?

Mały szykował się do obrony nie tylko z prostej ostrożności. Słowa Kapitana o tym, że Koordynator usunął osłonę siłową pomiędzy fazami przekształconej przestrzeni, były wyraźnym ostrzeżeniem. Do tej pory łączniki międzyfazowe pojawiały się na drodze „Portosa” jako przypadkowy obłoczek, a teraz taki obłoczek — i to nawet nie obłoczek, a cała chmura burzowa — może powstać w granicach samej stacji, u jej progu, nawet w jej wnętrzu. Nieprzypadkowo Drugi Pilot ciął promiennikiem drzwi i ściany: tego się właśnie obawiał. Nie ma sensu objaśniać Alikowi tych wszystkich szczegółów, po co straszyc chłopaka.

Alik zrobił wszystko, co mu polecono, i stał przy oknie oczekując na dalsze rozkazy.

— Zerknij no na pustynię, synu — zaproponował Mały — może coś ci wpadnie w oko.

Alik przywarł do okularów wideoskopu i zaczął obracać pokrętłami. Pod samym horyzontem po prawej stronie pojawiła się mała, zielona trąba powietrzna. Sunęła na nich, powiększała się.

— Wykrakałeś — powiedział Alik.

— Co?

— Obłoczek.

— Granatowy?

— Nie, zielony.

— Tym gorzej. Chłopcy z lasu są bardziej niebezpieczni niż dorośli z miasta.

Obłoczek zbliżał się. Teraz już można go było zobaczyć i gołym okiem. Poprzez szklaną płytę okna widać było, jak na twierdzę Alika i Małego sunął... las. Właśnie las, a nie po prostu zielony stóg siana czy przymglony obłok. Przed lasem, wysoką, zwartą szczecina nacierały mchy koloru sałaty — przedpole drzewiastych, gęstych paprotników.

Odsłonięta przed ich oczyma faza zielonego słońca zbliżała się do czarnej pustyni. I to zbliżenie powinno było nastąpić gdzieś tuż — tuż przy stacji, nawet może na jej terenie.

— Jeżeli las nas ogarnie, to co będzie ze stacją? — spytał Alik. Nie odczuwał strachu.

— Bo ja wiem — wzruszył ramionami Mały.

— Połączenie faz w jednej trójwymiarowej przestrzeni — rozważał Alik — albo spowoduje wrastanie jednej struktury molekularnej w drugą, co grozi bóg wie jakimi konsekwencjami, albo jedna masa bez śladu wtopi się w drugą. Inaczej mówiąc, stacja zniknie w obu przypadkach.

— Ciekawe, dlaczego nie zdarzyło się to wcześniej — zamyślił się Mały. — Dlaczego stacja nie zniknęła, kiedy Pilot i Dok dostawali tu kota.

Tymczasem las przysunął się do samej stacji i zatrzymał się. Zielona przestrzeń przybrała kształt ściętego stożka, którego granice kończyły się daleko na horyzoncie. Teraz o jakieś dziesięć metrów od okna pięły się ku górze pokrzywione pnie paprotników, podobnych do

dziwaczych palm tropikalnych. Czarnego kamienia pod oknami już nie było: wysokim dywanem pokryły go szarozielone mchy.

— Dziwne — powiedział Alik — las i nie las. Byłem w naszym Mieszczorskim Rezerwacie i w amerykańskim Parku Narodowym. Tam jest żywy las.

— A tutaj jaki, martwy?

— Z takim jakimś trupim zaduszkciem. Ani ptaków, ani motyli. Pewnie mrówek też nie ma.

— Czyś ty na głowę upadł? — Mały uśmiechnął się ironicznie. — Przecież to syluryjski las. Popatrz, co się dzieje z drugiej strony — poleciał i wyszedł na schody. — Chodź no tutaj.

To co Alik zobaczył, gdy wybiegł na podest, było jeszcze bardziej niesamowite. Zniknęły zewnętrzne ścianki stacji, korytarz, nawet wypełniające go śmieci. Mchy rozciągały się aż do stopni, wystarczy jeden krok i można utonąć w szarym, włóknistym trzęsawisku.

— Obcięli kąt — orzekł Alik, oglądając w zamyśleniu to, co ocalało ze stacji — część ściany i korytarza po lewej stronie pozostały. Obcięte nierówno i granice cięcia się rozplývają. Jak we mgle.

— A w ogóle, czy to są cięcia? — powiedział z powątpiewaniem Mały i wrócił do pokoju.

Wyszedł z niego trzymając — w ręku promiennik. W oczach połyskiwały mu wesole iskierki. „Co się z nim dzieje — zdziwił się Alik — kielicha sobie strzelił, czy co?” Mały trzema skokami zbiegł po schodach i przejechał błyskawicą po mchach, które przybliżyły się do wewnętrznej ściany korytarza. Połyskliwa kosa natychmiast obcięła całą warstwę mchów, paląc ją jak zapalniczka papier. Mały szedł po korytarzu, a raczej po tym, co poprzednio było korytarzem otaczającym wewnętrzne pomieszczenia stacji i nie wypuszczając z rąk promiennika, kosił w dalszym ciągu. Po dziesięciu minutach między nim a lasem nie było ani skrawka mchu, oprócz maleńkiej wysepki pod samymi schodami, którą Mały z jakiegoś powodu pozostawił nietkniętą.

— Po co? — spytał Alik.

— Jeżeli wypadnie kogoś zrzucić na dół, to przynajmniej sobie kości nie połamię.

— Ale po co kosiłeś?

— Żeby nie podpełzali.

Nic jednak nie zakłócało niepokojącego spokoju lasu. I nikt nie podpełzł, ani nie pojawił się spoza drzewiastych gigantów, które obstały stację. Tylko z lewej strony widniał prześwit — rozpościerały się tam kudłate zarośla i trawiaste łysiny, a daleko, daleko za nimi piętrzył się ku słońcu eukaliptusowy Partenon.

— Daj no kilka granatów — powiedział Mały — zostanę tutaj. Jeżeli podejda bliżej, to postawię maleńką zasłonę gazową. Nie przedostaną się. A ty pomęcz się przy wideoskopie. Jeżeli coś zobaczysz, daj znak.

Alik nie liczył minut, które przesiedział przy wideoskopie — pięć, sześć czy kwadrans — gdy wreszcie na trawiastej łysinie za rozgałęzionymi pędami skrzypów mignęło kilka przebiegających gęsiego figur. Łatwo było je zauważyć: czerwonoskórzy, w samych tylko kąpielówkach, wyraźnie odcinali się na tle niebieskawej zieleni lasu.

— Idą! — zawołał do Małego przez otwarte drzwi.

— Dużo? — odkrzyknął tamten.

— Spójrz sam. Mamy jeszcze czas ich odpędzić.

Mały podszedł w chwili, gdy czerwonoskórzy wyskoczyli na długą, otwartą przestrzeń pomiędzy pięciometrowymi wachlarzami paprotników. To wstawali wyprostowani, próbując zorientować się w sytuacji, to przebiegali na czworakach, jak małpy, chowając się w kruchych, wysokich skrzypach. Było ich niewielu, około dwóch tuzinów (Alik w myśli już stosował hedoński system liczenia), ale tych dwudziestu czterech potężnych chłopaków, i do tego w coś jednak uzbrojonych, miało zbyt wielką przewagę nad obrońcami stacji.

— Od czego zaczniemy? — spytał Alik.

— Od granatów, rzecz jasna — wzruszył ramionami Mały. — Mógłbym ich promiennikiem

w dwie minuty wykosić i po jednym, i hurtem, ale cóż... przecież mimo wszystko to dzieci.

Wyszli obaj na podest schodów. Nie wypalona przez Małego wysepka mchów, szara, wysuszona od góry, zielonkaworuda i mokra od dołu przy ziemi, sterczała samotnie i niegościnnie. „Granatowi” i „błękitni” zbili się w stadko, zaskoczeni, ostrożnie ją obeszlili, nie mogąc pojąć, co się stało z mchami, po których pozostał tylko rudy popiół i pył.

— Nie widzą nas — szepnął Alik.

— Tym lepiej — uśmiechnął się Mały i cisnął kolejno jeden za drugim dwa granaty.

Dwumetrowa kielbasa dymu, czarna, jak wypełzająca z ładu anakonda, pęczniała i rozrastała się, ogarniając paprotniki i skrzypy. Ciężki zaduch unosił się ku górze — zaczynało od niego mdlić i boleć w skroniach. „Co oni tam ponapychali — skrzywił się Mały — śmierdzi jak w trupiarni latem”. Czerwonoskórych już nie było widać: krztusząc się od dymu i torsji zdążyli ukryć się w zaroślach. Jak do tej pory, jeszcze żadnemu nie udało się przedostać do schodów.

— Może uciekli? — pomyślał na głos Alik.

— Nie sądzę. Popatrz przez okno.

Wideoskop nie był potrzebny. Z wiszącego nad skrzypami i lasem okna widać było, jak czerwonoskórzy w kąpielówkach omijali rozpełzającą się, dymną kielbasę, usiłując przeskoczyć tam, gdzie dym rzedniał i rozplýwał się.

— Obchodzą! — krzyknął Alik. — Rzuć jeszcze granaty z lewej i z prawej. Znowu czarny, kleisty kisiel legł pomiędzy atakującymi i twierdzą.

Mały cisnął jeszcze dwa granaty. Teraz „smog” kłębił się koło schodów, sięgając aż po podest. Zakrywając oczy i usta chusteczką, dusząc się obrzydliwym zapachem „smogu”, Mały i Alik wycofali się do pokoju i zatrzasnęli drzwi.

— Wrócimy, kiedy się to świństwo rozproszy — zdecydował Mały — może do tej pory im też znudzi się ta zabawa.

— Wydaje mi się, że są niewrażliwi na zapach. Widocznie receptory węchowe mają niezbyt czułe.

— Według mnie, jeden z nich wymiotował — odparł Mały.

„Gracze” rzeczywiście nie mieli zamiaru przerwać oblężenia, okazując godne pozazdroszczenia cierpliwość i upór. Alik przez chwilę manipulował pokrętłami wideoskopu i udało mu się dostrzec czerwonoskórych rozciągniętych wzdłuż całej zasłony dymnej. Korzystając z doświadczeń poprzednich starć, atakujący wiedzieli, że prędzej czy później dym się rozproszy i dostęp do twierdzy będzie swobodny.

Mały otworzył skrzynkę, zajrzał do niej i gwizdnął lekko.

— Z takim zapasem „smogu” możemy utrzymać się do nocy, a w nocy wszystkie miraże wygasną.

— A jeżeli spróbują przedostać się mimo dymu? — zauważył Alik. — Chyba przekonali się, że jest nieszkodliwy. Może od razu palnąć ich odbojnikiem?

Mały nie odpowiedział i tylko znowu wyszedł na podest schodów. Oczywiście można rzucić jeszcze parę granatów. Ale metoda przewlekła i niezbyt pewna. Chyba Alik ma rację. Po lewej stronie dym zaczął osiadać i ataku należało oczekiwać właśnie z tej strony. Mały skierował podobny do pyska buldoga wylot repelleru i sprawdził przyciski. Nic nie nawalało. No, chodźcie tu, chłopięta!

— Lepiej kucnij — powiedział z tyłu Alik — i nie podpuszczaj ich zbyt blisko, bo mogą dosięgnąć paralizatorem.

Czerwonoskórzy, którzy, jak widać, zdołali już się oswoić z zapachem, przeniknęli przez czarną warstwę dymu i deptając rude strzępy spalonego mchu, przybliżali się skłębioną gromadą. Alik zaczął ich liczyć na głos, ale Mały gniewnie przywołał go do porządku.

— Milcz! Ważna jest odległość, a nie liczebność.

Teraz atakujących dzieliło od nich nie więcej niż dziesięć metrów.

Dziewięć... osiem... siedem... sześć... — liczył szeptem Mały. Przy słowie „cztery”

przycisnął klawisz spustowy odbojnika.

Potężny strumień powietrza, jak poryw huraganu, natychmiast odrzucił atakujących na dobre dziesięć metrów, a właściwie porzrzucał ich, jak ołowiane żołnierzyki, gdzie popadło. Jedni ugrzęźli w zaroślach, inni w nie wypalonych mchach, oszołomieni, może nawet przestraszeni: i w każdym razie pozbawieni poprzedniego zapachu bojowego.

— Pociągnij z prawej strony! — szepnął z tyłu Alik.

Mały skierował paszczę repellera w przeciwnym kierunku, odczekał, odliczając tylko ruchem warg, aż do momentu, w którym odległości zmniejszyła się do minimum i odrzucił drugą kolumnę atakujących. Tych było więcej i rażący efekt działania fali powietrznej był jeszcze silniejszy: nawet nie można było dostrzec, gdzie odrzucił ich cios odbojnika.

— Nie za mocno? — zapytał Alik z przestachem. — W ten sposób nie pozbierają kości.

— Pozbierają — machnął ręką Mały. — Wszędzie wokoło mają podściółkę, mchy i skrzypy. A jeżeli któryś nie wstanie, to tak czy inaczej, pójdzie na podziemny transporter do przeróbki.

— Spójrz! — zawołał nagle Alik.

— Co się stało?

— Las się wycofuje.

ROZDZIAŁ V PO BITWIE. WYJŚCIE JEŃCA.

Podmuch fali powietrznej odbojnika miał najwidoczniej również jakiś wpływ na międzyfazowe łącza, ponieważ zagrażający naszym bohaterom las zaczął się zmieniać dosłownie w oczach.

Najpierw schował swój długi, kosmaty język wysunięty w kierunku stacji, później powoli zaczął odpełzać w stronę horyzontu, ciągle najeżając się, aż do chwili, gdy skurczył się aż do rozmiarów unoszonego przez wiatr obłoczka, i wreszcie zniknął całkowicie, rozpląnawszy się w płaskiej, kamiennej czerni.

Wszystko to Kapitan i Bibl obserwowali lecąc na „pasach” w stronę stacji ponad czającymi się w nagrzanym powietrzu skrzypami i paprotnikami. Nie byli już świadkami zniweczonych przez ich przyjaciół knowań lasu, ale widzieli jego odwrót, chociaż nie mogli pojąć, skąd, na przykład, wzięła się ta dziwna kupa rudych łachmanów, otaczająca stację półkolem w dość dużej odległości. Wyglądało to tak, jakby ktoś spalił przed nią brudne szmaty, a później odmiótł je daleko, żeby nie przeszkadzały.

Bibl wylądował i podniósł coś niezrozumiałego i kruchego, coś, co natychmiast rozsypało mu się w rękach.

— To nie szmata, Kep — powiedział do nadchodzącego Kapitana. To jakieś rośliny. Chyba spalony mech.

Małego i Alikę znaleźli siedzących przy oknie w stanie całkowitej prostracji. Odwrót lasu obserwowali już stąd, ponieważ transformacja pejzażu przywróciła i korytarz z wszystkimi leżącymi w nim gratami i skrzynkami i zewnętrzną ścianę, zasłaniając w ten sposób wszystko to, co rozgrywało się za nią. A więc połączenie faz wcale nie likwidowało masy pochłoniętej substancji. To właśnie stwierdzenie kazało im pobiec do okna, a potem nastąpiła reakcja. Obydwaj padli w fotele i westchnęli z ulgą.

— Walczyliście? — spytał Kapitan. Zerwali się, uradowani.

— Poczekajcie — zatrzymał ich Kapitan. — Opowieści potem. Najpierw założcie hełmy. — Podał jeden Małemu, drugi Alikowi. — Wyjaśnienia również potem. Zapnijcie je tak, jak u nas. Nie zdejmujcie ich ani wieczorem, ani rano. Nawet na noc, w czasie snu. Te hełmy są bardzo wygodne, prawie się ich nie czuje.

Kiedy zakończono wymianę relacji, Kapitan podsumował całość:

— Bogaty dzionek. Zdjęta osłona siłowa z międzyfazowych łączy oczywiście może wywołać komplikacje, ale, jak wskazuje doświadczenie, jesteśmy lepiej uzbrojeni i przystosowani do obrony. A hełmy pomogą usunąć trudności w porozumiewaniu się z mieszkańcami Błękitnego Miasta. Teraz to jest najważniejszą rzeczą.

Alik wyraźnie się ucieszył. Jego przypuszczenia co do charakteru cywilizacji na Hedonie zostały wreszcie potwierdzone empirycznie. Gospodarze planety znajdują się nie w Aorze, lecz w Błękitnym Mieście. Twórcy technologii, której ludzki rozum nawet nie jest w stanie pojąć, cudów, w porównaniu z którymi biblijne cuda wyglądają jak dziecinne zabawy, prowadzą gigantyczny eksperyment nad pseudoludzkością, która została całkowicie uwolniona od wymogów racjonalizmu, pożytku społecznego, pracy i konieczności. Przecież ludzie na Ziemi również tworzą ogrody zoologiczne i małpiarnie, w których prowadzone są jakieś doświadczenia. Alik wysunął kiedyś taką hipotezę, a teraz uzyskała ona potwierdzenie w praktyce. Co prawda tutejszy ogród zoologiczny bardziej przypomina sanatorium dla nieuków i nierobów, ale w tym właśnie dają się dostrzec założenia eksperymentu. Człowiek, jako istota żywa, staje się w tym przypadku najcenniejszym materiałem, podobnym do pierwiastków transuranowych w reakcjach chemicznych. Ani w zielonym, ani w granatowym świetle nic człowieka nie kaleczy — ani technika, ani broń. Nie ma schodów, z których można by spaść;

pojazdów, które mogłyby przejechać, nie zabezpieczonego ognia, który może oparzyć lub spalić. Nie ma gdzie się utopić — nie ma ani rzek, ani jezior, istnieją wyłącznie podskórne zasoby wodne, a oceany znajdują się najwidoczniej w jednej tylko fazie, czasoprzestrzeni odseparowanej od eksperymentalnych. Tutaj nawet w dzieciństwie nikt nie wspina się po drzewach i ma skał ani urwisk, z których można by spaść. Chwilowo niejasny cel tego doświadczenia, powód, dla którego mieszkańcy Błękitnego stale je prowadzą, ale większość niewiadomych w równaniu Hedony została już znaleziona.

Wszystko to Alik spiesząc się i zachłystując, w obawie, żeby nikt mwi nie przerwał, konsekwentnie wyłożył swoim słuchaczom.

— Coś w tym jest — stwierdził Mały.

— Owszem, jest — powtórzył Kapitan — słuszne obserwacje i niesłuszna konkluzja.

— Dlaczego? — Alik rzucił się do ataku.

— Twoje równanie Hedony można by zapisać w następujący sposób: a — mieszkańcy Błękitnego Miasta, gospodarze planety, którzy prowadzą doświadczenie; b — mieszkańcy małpiarni, obiekt eksperymentu; c — 2 założenie eksperymentu: stworzenie jakiegoś homo sapiens, wolnego od więzów konieczności i pożytku społecznego, i d — cel eksperymentu znak zapytania. Czy tak?

— Przypuśćmy, że tak.

— Wszystkie wnioski są niesłuszne. Mieszkańcy Błękitnego Miasta są gospodarzami planety. Żadnego eksperymentu nie prowadzą. Mieszkańcy Aory nie są królikami doświadczalnymi, a sam eksperyment został przeprowadzony już wiele tysiącleci temu i przekształcił się w złożony do nieskończoności proces biologicznej nieśmiertelności i regularnej zmiany cykli życiowych. To właśnie jest celem doświadczenia, wszystko pozostałe to pochodne. Oprócz tego w równaniu nie został uwzględniony Mózg i Koordynator, ich wzajemne sprzężenia, brak kontaktów pomiędzy mieszkańcami Błękitnego Miasta, jego ustrój społeczny, istnienie opozycji, która nie wiadomo, dlaczego i jak powstała, nie wiadomo jakie cele stawia przed sobą i w jaki sposób funkcjonuje przy istniejącej technice wykrywania i tłumienia.

— Wydaje mi się, że opozycja dysponuje taką samą supertechniką samoobrony — wtrącił Bibl.

Kapitan nic nie odpowiedział. Uniósł się w fotelu, jakby szykując się do skoku i zaczął nadśluchować. W korytarzu na dole dały się słyszeć czyjeś kroki, potem odgłos padającego ciała i nieartykułowany, prawie zwierzęcy wrzask.

— Włącz światło na dole — rozkazał Kapitan siedzącemu przy pulpicie Małemu i wybiegł na podest, z którego Mały tak dzielnie odpierał nieprzyjacielskie kolumny.

Również i pozostali precyzyjnie przeszli przez drzwi, jeden za drugim. Jaskrawe światło luminoforów wydobywało z ciemności korytarza postać Hedończyka w błękitnych kąpielówkach. Leżał na brzuchu w łachmanach spalonych mchów, kopał nogami po podłodze, jak rozkapryszony dziecko i przeraźliwie wrzeszczał.

— Skąd on się tu wziął? — zdziwił się Kapitan.

— Nie zdążył wycofać się wraz z lasem — Mały wzruszył ramionami.

— Najwidoczniej gdzieś wlaź — wyjaśnił Alik. — Drzwi były otwarte, nasze granaty dymiły i śmierdziały, no i proszę, zabłądził, zgubił się, a może nawet stracił przytomność.

— Weźmy go na górę — zaproponował Kapitan — i spróbujemy się z nim dogadać.

Opierającego się zaciekle chłopaka z trudem wciągnęli po schodach do pokoju i rzucili na fotel. Wcisnął się w oparcie i zdumiony przypatrywał się otoczeniu. Jego spojrzenie, zaciekawione i złe, nie zdradzało jednak strachu.

— Gdzie jestem? — zapytał myślą i wszyscy go zrozumieli.

— U przyjaciół — powiedział Kapitan.

— A ja was znam — Hedończyk w dalszym ciągu uważnie się przypatrywał — o, tego i

tamtego. — Wskazał Małego i Alika. — Oni i wtedy dym puszczała.

— Jak tu trafiłeś? — spytał Mały.

— Dopadliśmy was jeszcze za dnia. Przed zachodem słońca. Czatowaliśmy za lasem, a tu nagle wasz czarny obłok. Upadłem. Trudno oddychać. Ledwo wypełzłem, jeden jeszcze obłok. Z boku dziura, miękko. Potem noc. Obudziłem się, pobiegłem. Ciemno. Lasu nie ma.

— Włazł do składu — powiedział Alik. — „Z boku dziura, miękko”. To drzwi i maty.

— Dlaczego brzęczycie? — spytał Hedończyk, ciemnoblonde bródka obramowywała jego twarz jak poświata.

— W porządku — powiedział Kapitan — my tak myślimy. Głośno. Dlaczego tak krzycałeś?

Chcę jeść. Rozkazałem — jedzenia nie ma. Rozkazałem jeszcze raz — nic. Rozzłościłem się.

Daj mu galaretki malinowej — powiedział Kapitan do Alika. Alik otworzył puszkę i podał ją czerwonoskóremu. Ten wyssał ją, nie odrywając od ust, rzucił na podłogę i natychmiast posłał myślowy rozkaz:

— Jeszcze!

Alik otworzył drugą puszkę. Hedończyk, warcząc, rozprawił się z nią równie szybko i zażądał trzeciej.

— Nie wiem, co oni tam jedzą — powiedział Kapitan — ale sądzę, że dwie puszkę mu starczą. Za dużo kwasu.

— Nie można — Alik pokręcił głową i rozłożył ręce. — Nie ma więcej. Nie można.

Hedończyk mrugał oczami, wyraźnie nic nie pojmując.

— Wiesz, co to takiego gra? — podpowiedział Bibl. — No więc przepisy gry nie pozwalają na więcej niż dwie puszkę. Zrozumiałeś?

Nikt się nie dowiedział, co Hedończyk zrozumiał, ponieważ w tej właśnie chwili zainteresował go pozostawiony na stole „bicz” Alika. Zastosowania tego przedmiotu nie trzeba mu było objaśniać. Natychmiast schwycił go i biała błyskawica uderzyła Alika po twarzy.

Alik krzyknął, przyciskając dłoń do oczu. Druga błyskawica sparzyła dłoń Bibla, który rzucił się Alikowi na pomoc. Hedończyk zarżał, wymachując swym połyskującym batem. Trzecie uderzenie przeznaczone było dla Małego, ale jego reakcja okazała się szybsza. Rzucił się pod nogi brodacowi w kąpielówkach i przewrócił go na podłogę. W tej samej sekundzie „bicz” był już w ręku Małego.

— Rogówka nie uszkodzona — powiedział Bibl po obejrzeniu oczu Alika — zareagowały tylko zakończenia nerwów. To wyłącznie broń za dająca ból — pomachał ręką w powietrzu — do tej pory pali.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytał Hedończyk.

Ten roześmiał się:

— Bić dobrze. Pali. Boli. Wesoło.

— Dobrze, powiadasz? — groźnie spytał Mały. — A kiedy ciebie biją? O, tak. — Jego potężna dłoń chlasnęła po owłosionym policzku. — Wesoło, co? — Drugie uderzenie rzuciło brodacza na ścianę.

— Zostaw go — powiedział Kapitan — przecież to głuptas.

A głuptas już ryczał, jak wychłostany chłopaczek, rozsmazując pięścią łzy po skudłaczonej brodzie.

— Będą z nim kłopoty — stwierdził Bibl. — Trzeba mu zrobić zastrzyk. Prześni całą dobę, a przez ten czas odnajdziemy gdzieś zielony miraż i podrzucimy ten skarb jego rodzicom.

— Taki świat nie ma prawa istnieć — warknął ze złością Alik, oczy go już nie bolały. — Nawet w stadzie wilków panuje większa przyjaźń a ci tutaj to jak pająki albo skorpiony. Trzeba ich wychowywać na nowo. Od tego momentu, gdy im zaczynają podawać smoczki z kaszką.

— Ich nie da się na nowo wychowywać — powiedział Kapitan — cykle biologiczne zostały

zaprogramowane całe tysiąclecia temu, na całe tysiąclecia w przyszłości.

— W takim razie trzeba zniszczyć ten program.

— Jak?

Alik milczał.

— Nie wiesz? Ja także nie wiem. I nie jestem jeszcze gotów do drugiego spotkania z Nauczycielem.

— Trzeba się stąd wynosić — stwierdził Mały. — Niczego ich nie nauczymy i sami także niczego się nie nauczymy... Zbyt zagmatwana jest ta ich nauka i nie wiadomo, gdzie początek, gdzie koniec nitki w tym kłębku.

Kapitan i Bibl popatrzyli po sobie: przecież oni wiedzieli więcej niż tamci. „Chyba mimo wszystko jeszcze za wcześnie wyciągać wnioski, Bibl” — powiedziało spojrzenie Kapitana. Bibl uśmiechnął się: „Mamy jeszcze jutrzejszy dzień”. A na głos powiedział:

— Dla mnie jeszcze nie całkiem jasna jest rola, jaką odgrywa tu Błękitne Miasto. A to, wydaje mi się, najważniejsze ogniwo w naszym Hedony.

— Dowiemy się jutro — podsumował Kapitan.

— Kto? — zaniepokoił się Alik.

— I ty również. Wszyscy czterej. Dlatego właśnie poleciłem, żeby nikt nie zdejmował hełmów aż do jutrzejszego spotkania. Oni tam nie posiadają zdolności telepatycznych i hełmy są niezbędne jako środek porozumiewania się. Pomagają im poznać nasz język. Nawet to, co teraz myślimy i co będziemy myśleć do dnia jutrzejszego, wszystko to utrwala, rozszyfrują i przekażą im nasze hełmy.

— Kolektor językowej informacji — uściślił Bibl.

ROZDZIAŁ VI W PLAZMOWEJ DŻUNGLI. DRUGI KRĄG CYWILIZACJI.

Cytrynowożółty chodnik miał ich doprowadzić do celu.

— Ten? — Alik zrobił krok do przodu i natychmiast cofnął się powstrzymany spojrzeniem Bibla.

— Nie, nie ten. Poczekamy.

Stali przy samej granicy Błękitnego Miasta, tam gdzie chodniki — „ulice” błyskawicznie zjawiały się i odpływały w kolorowy zamęt przedziwnych form architektonicznych. Miasto piętrzyło się ku niebu piramidą płaszczyzn, której szczyt, jak Ewerest, ginał w gęstej niebieskawej mgle. „Ulice”, które przepelzały u podnóża piramidy, nie miały wyraźnie zarysowanych granic. Na pierwszym planie widniała kolorowa taśma chodnika, bez zazębień i zgrubień, w dalszej perspektywie — ciemne otwory tuneli i połyskliwy taniec licha wie czego. Niektóre chodniki pełzły długo i powoli, omijając podnóże, inne wpadały do najbliższego tunelu albo jak węże wpełzały na wiszące bez żadnych podpór płaszczyzny poziomów. Wszystko wyglądało tak, jak wtedy, kiedy w tym samym miejscu, stali zamyśleni Bibl i Kapitan, z tą tylko różnicą, że teraz czekali na jeden jedyny określony chodnik — „ulicę”.

— Oto on — powiedział Kapitan.

Taśma o jadowicie cytrynowej barwie dość szybko podpełzła pod ich stopy. Kapitan wszedł na nią pierwszy, za nim drżący z ciekawości Alik, powolny Mały i zamykający pochód Bibl, który dwa razy uważnie popatrzył, zanim stąpnął na pełznący chodnik.

Tym razem plastik nie opadł pod ciężarem czterech ludzi, tylko ugiął się lekko. Ulica przepłynęła jakieś dwanaście metrów skrajem czarnej pustyni i zakreśliła w przejściu pomiędzy szklistymi „ścianami”. Za nimi w przezroczystych, nie stykających się ze sobą przestrzeniach, przelewało się coś najwyraźniej bardzo jaskrawego, ponieważ ciemne szkliwo „ścian” w niewielkim tylko stopniu tłumilo tę jaskrawość.

— Nie byliśmy tutaj, Kep — stwierdził Bibl — nie przypominam sobie tego koszmaru.

— Ja też.

— Plazma — pewnym głosem stwierdził Alik — najprawdopodobniej odprowadzona z plazmotronu do pułapek pola magnetycznego. W nich właśnie odbywają się różne procesy chemiczne.

— Dobry jesteś — pochwalił go Mały. — Nawet tu jest gorąco. A tam?

— Trudno powiedzieć. — Kiedy ma się do czynienia z plazmą, to temperatury rzędu milionów stopni są normalne nawet u nas na Ziemi. A są pewnie jeszcze wyższe.

„Gorącą ulicę” nie przeszli, lecz przebiegli, jakby nie wystarczała prędkość chodnika. Hedończyków nie było: najwidoczniej kierowali procesami plazmowymi za pośrednictwem pulpity zdalnego sterowania. Tymczasem „ulica” wyskoczyła na przestrzeń zapełnioną znaną już Kapitanowi i Biblowi feerią barwnej i świetlnej geometrii. Chwilami można było zobaczyć pracowników obsługi, jak nie zatrzymując się gnali parabolicznymi krzywymi nie wiadomo na czym i nie wiadomo dokąd. Bibl wyjaśnił swoją hipotezę o syntezie myślowych zamówień z granatowej i zielonej fazy i Alik dosłownie oszalał z zachwyty. Z płonącymi oczyma, zadzierając wysoko głowę cofał się coraz dalej, starając odnaleźć na powietrznych ekranach zarysy jakiegoś znajomego przedmiotów.

— Ostrożnie! — krzyknął Kapitan.

Ale było już za późno. Alik potknął się w momencie, gdy padało ostrzeżenie, i zniknął za spęczniałym skrajem cytrynowożółtej taśmy. Przyjaciele rzucili się na pomoc i gdy stanęli na brzegu, dostrzegli Alika jak wisiał w przestrzeni pomiędzy dwoma sunącymi z różną prędkością chodnikami. Zdażył schwycić się skraju górnego, a pod dolnym widniał tunel — studnia z migoczącymi skrzyżowaniami innych kolorowych, ruchomych taśm.

— Trzymaj się! — zawołał Kapitan, chwytając rękę Alika.

Ten zaś odparł zupełnie spokojnie:

— Jestem w nieważkości. Trzymam się brzegu bez wysiłku.

Rzeczywiście Alika udało się wyciągnąć bez trudu. Widocznie w razie nieprzewidzianego upadku w przestrzeni między taśmami zmieniały się warunki grawitacyjne i człowiek mógł łatwo wydostać się na potrzebny chodnik.

— Dlaczego nie zwróciliśmy na to przedtem uwagi, Kep? — Bibl przypomniał sobie ich własne upadki.

— Pewnie byliśmy zbyt zdenerwowani. Każdy z nas bał się, że zgubi partnera.

Mały natychmiast chciał powtórzyć doświadczenie Alika, ale Kapitan przywołał go do porządku: żadnych eksperymentów, nie jesteśmy na przechadzce. A tymczasem cytrynowa „ulica” znowu wpadła w tunel, tym razem nie tak wysoki i tryskający światłem jak galeria syntezy. Wręcz przeciwnie, było tu nawet dość ciemno jak w długich korytarzach staroświeckiego, taniego hotelu, albo na pokładzie spacerowym pasażerskiego liniowca w ciemny, dżdżysty wieczór. Podobieństwo do pokładu dodatkowo podkreślał długi szereg umieszczonych blisko siebie okien–iluminatorów, które pozwalały zobaczyć pogrążone w półmroku kajuty–koje. Alik wyprzedził całą procesję i wskoczył do jednej z takich kajutek. W pomieszczeniu tym natychmiast rozblysło mętne, migocące światło i wszyscy zobaczyli Alika leżącego na boku, na powietrznej poduszce, tak jak leży się w domu na łóżku czy tapczanie. I co najważniejsze, spał albo udawał, że śpi, cichutko posapując pod świetlnym ekranem w suficie.

— Wyłaż. Dosyć tych sztuczek — rozgniewał się Mały.

Alik spał. Chłodny strumień powietrza płynący z drzwi — iluminatora niósł znajomy zapach ozonu. Mały szarpnął śpiącego za nogę, ale Alik tylko podkurczył ją i spał dalej.

Sypialnie — stwierdził Kapitan. — Puste, bo wszyscy są w pracy. Interesował się pan, Bibl, gdzie nocują mieszkańcy miasta. Teraz wiadomo. Niezbyt komfortowo, ale pożytecznie. Mocny sen i naświetlanie ultrafioletowe.

— Skąd pan to wie?

— A zapach?

Bibl wciągnął powietrze nosem.

— Ozon, tak.

Alika wyciągnięto z klatki–komórki za nogi. Dopiero wtedy się obudził. „Nie bujasz?” — z powątpiewaniem spytał Mały. Ale Alik ziewał przeraźliwie. Rzeczywiście sprawiał wrażenie, że przebudził się po mocnym śnie, miał nawet ochotę na śniadanie. Ale Kapitan ponaglał. Któż mógł wiedzieć, ile czasu trwać będzie bieg ich cytrynowego chodnika i jakie cuda odsłonią się jeszcze przed nimi. Ale niczego szczególnego nie było. Ten sam, zwykły architektoniczny amorfizm, zamęt barw i sztuczki świetlne. Wszystko to nie wywoływało już zdziwienia, w każdym razie u dwóch uczestników ekspedycji. Pozostali również go nie okazywali. Alik odgadł metodę sterowania przyrodą w strefie zielonego słońca. Ich chodnik pędził po dnie głębokiego kanionu, którego rozchylające się ściany były tak niepodobne jedna do drugiej, jak strony podręcznika topologii do krajoznawczego filmu. Z jednej strony niewidzialnie sterowana świetlna igła kreśliła zmieniające się błyskawicznie trójwymiarowe formy, z drugiej — w równie cudowny sposób zmieniał się krajobraz, wyrastały i znikwały drzewa, kuliły się i rozrastały krzewy, zieleń trawy i liści błękitniała, granatowiała, przechodziła w szkarłat.

— O, Właśnie stąd przemieszczają syluryjskie mchy i sadzą eukaliptusowe aleje — zauważył Alik i zaczerwienił się, napotkawszy aprobujące spojrzenie Bibla. Domysł był słuszny, choć nie wyjaśniał, jaki pożytek mają z tego niebieskoskórzy, zapędzeni w bezleśne i pozbawione trawy plastikowe jaskinie Błękitnego Miasta.

— Może ktoś im rozkazuje?

— Kto i po co?

— Dość tych domysłów — zakomenderował Kapitan. — Myślę, że nasza podróż zbliża się ku końcowi. Poznaje pan, Bibl? — Wskazał przejście za wielokątnym i wielobarwnym przecięciem się takich samych ruchomych taśm chodnikowych.

W jego zamglonej głębi widniał idący im na przeciw człowieczek w lazurowej kurtce.

— Witajcie, wszyscy czterej — powiedział po rosyjsku z typowo moskiewską wymową — Kep i Bibl, Mały i Alik. — I, zauważywszy mimowolne zdziwienie gości, dodał od razu. — Nie dziwcie się, my już nauczyliśmy się waszego języka. Być może, będziemy jeszcze robić błędy gramatyczne, używać słów w niewłaściwym ich znaczeniu, ale o wiele rzadziej. Teraz już wiemy, kim jesteście, jakie są wasze cele i to, że Koordynator jest poinformowany o waszej obecności.

— Hełmy? — zapytał Kapitan.

— Hełmy — potwierdził ich znajomy.

— Ilu was jest?

— Czterech, tak jak was.

— Idealne warunki dla kontaktu. Równa liczba osób z obu stron, pokonana bariera językowa i wzajemne zainteresowanie — zauważył Kapitan i poszedł za niebieskim człowieczkiem. Jego śladem ruszyli pozostali.

Arena „cyrku” była ta sama, zniknął tylko amfiteatr zawężając przestrzeń do granic iluzorycznego pokoju ze stojącymi naprzeciwko siebie dwoma półkolami przezroczystych foteli. Otaczało ich wnętrze cytrynowożółtej kuli bez drzwi i okien — nie było widać nawet wejścia do ciemnego pasażu. Niewidoczne źródło nieco podbarwionego lazurem światła nie tylko nie drażniło, a raczej zdawało się tuszować natrętną jaskrawość wnętrza.

— Ja Druh — stwierdził ich znajomy, siadając. — Mojego imienia nie jesteście w stanie wypowiedzieć, ale ich będziecie mogli. — Wskazał po kolei na siedzących obok niego: — To Fiu, Si i Os.

„Zupełnie ptasie konsonanse” — pomyślał Alik, a Kapitan rzekł:

— Nasze już znacie. Ale właściwie nie rozumiem skąd. Czyżby hełmy nie były wyłącznie aparaturą lingwistyczną?

— Hełmy odbierają i przekazują zgromadzone przez was informacje. My je przesiewamy, wybieramy to, co istotne, i wprowadzamy do bloków pamięci.

— To znaczy, że wiecie o nas więcej, niż my o was. W takim razie to my będziemy zadawać pytania. Jakie są stosunki pomiędzy dwoma grupami humanoidów, tworzącymi cywilizację waszej planety?

— Żadne. Hedończyków, jak ich nazywacie, widzi niewielu z nas i tylko w salach regeneracyjnych.

— Co wiecie o Hedończykach?

— Niewiele. To, że są nieśmiertelni, a my nie. To, że nasza praca im służy, karmi ich, daje radość życia.

— Od dawna?

— Według naszego rachunku zaczęło się już drugie tysiąclecie.

— I nigdy nie obudziło się w was uczucie protestu?

— Przeciwno czemu? Wtrącił się Bibl:

— Przeciwno niewolniczemu, pasożytującemu społeczeństwu. Faktycznie możemy już mówić nie tyle o dwu biologicznie różnych typach człowieka, co o dwu grupach społecznych: twórczej, produkującej, i pasożytniczej, konsumującej. Czyżbyście nie znali takich pojęć, jak sprawiedliwość społeczna i protest społeczny?

Niebieskoscórzy poćwierkali cicho przez chwilę, a potem głos zabrał szczuplejszy, wyższy i o większej głowie niż jego współtowarzysze.

Mówił po rosyjsku tak samo poprawnie, jak pozostali, tylko wolniej i wyraźniej.

— Strona biologiczna jest tu ważniejsza od społecznej. Dążymy do tego samego celu, ale

osiągamy go innymi drogami. Cechą wspólną jest rozkoszowanie się życiem, różne natomiast jest pojęcie tej rozkoszy. My rozkoszujemy się samym procesem pracy, oni — jego wytworami. My i oni jesteśmy jak ścianki i dno jednego pucharu, jak dwa łuki tworzące krąg naszej cywilizacji.

— Łuki mogą być różne. Krótki dolny podtrzymuje długi górny. Proszę zdjąć górę — pozostanie podstawa. Ale jeżeli usunie się podstawę, — góra spadnie. Tak samo, jeżeli chodzi o przykład z pucharem. Jeżeli zetnie się górną część — otrzyma się dziurkę z brzegami, ale w części dolnej zawartość pozostanie. Bez Hedończyków istniałoby u was i życie, i radość pracy, i jej wytwory. Natomiast jeżeli odbierze się im waszą pracę — utracą wszystko: i radość życia, i samo życie. Czyżby taka myśl nigdy nie przychodziła wam do głowy?

Zapanowało milczenie — długie, i jak wydało się Alikowi, nasycone bardziej zaniepokojeniem niż zdumieniem. Potem rozległo się poćwierkiwanie, w którym słychać było nową, podnieconą nutkę i nieco później padła odpowiedź Fiu, w której Alik znowu uchwycił nie wahanie, ale przestach.

— Czy można zmienić niezmiennie i niewzruszone? Dlaczego więc nie pytacie nas o możliwości zgaszenia słońca albo założenia ogrodu na miejscu czarnej pustyni? Nigdy niczego od nowa nie analizowaliśmy i niczego nie rozbudowaliśmy. Otrzymaliśmy wszystko gotowe: gotową planetę, gotowe fazy przestrzenne, gotową technologię. Wymagało się od nas tylko działania według ustalonego programu i dokonywania zmiany pokoleń. Dopiero wy przynieśliście myśl o możliwości wprowadzenia jakiejś przemiany i aby ją rozważyć potrzebujemy nie tylko czasu, ale i odwagi i siły wyobraźni i logiki wywodów.

— Dobrze — zgodził się Bibl — zostawmy tę myśl na potem, niech dojrzewa i rośnie. Ale rodzi ona następną. Dlaczego oszukujecie Koordynator? Przecież to także jest forma protestu. Mówiąc wyraźnie, przecież to także jest próba zmienienia niezmiennego i niewzruszonego.

Tym razem Fiu odpowiedział zdecydowanie i bez ćwierkającego podpowiadania:

— Nie jesteśmy nieśmiertelni. Rodzimy się, starzejemy i umieramy, ulegamy wszystkim biologicznym zmianom organizmu. Ale każdemu z nas tuż po urodzeniu wszczepiana jest w mózg specjalna siatka elektrodowa, swoisty mechanizm łączności z Koordynatorem. Jest to stała, aktywna łączność od chwili narodzin aż do śmierci, łączność, która kontroluje procesy szkolenia i pracy, utrzymuje ustabilizowany poziom demograficzny. Posługuję się waszą terminologią i mam nadzieję, że mnie rozumiecie. To co nazywacie miłością, istnieje i u nas. Są pary, ale nie ma rodziny i potomstwa. Dzieci przychodzą na świat w specjalnych koloniach, rodzą je specjalnie zakwalifikowane do tego celu „matki”. Zapewne wiecie, że jądro dowolnej komórki ludzkiego organizmu zawiera wszystkie jego cechy dziedziczne? Takie jądro, obojętne — z krwi, skóry czy śluzówki — wydobyte z „ojcowskiej” komórki i transplantowane do organizmu „matki” zachowuje wszelkie cechy dziedziczne obojga „rodziców”. Jest to drugie zadanie elektrod w procesie stabilizacji poziomu demograficznego miasta. Trzecie — to określenie pułapu zdolności produkcyjnej. Jedni osiągają go w wieku lat czterdziestu, inni pięćdziesięciu — znowu posługując się waszą miarą czasu. Objawy starzenia są wyraźne: zmniejsza się szybkość reakcji, działania, stopień koncentracji. W takich przypadkach elektrody błyskawicznie przerywają funkcje życiowe organizmu i ciało idzie do atomowych dezintegratorów. Analogiczny finał następuje w razie nieszczęśliwych wypadków, jakie mogą się zdarzyć przy pracy w blokach teleportacji i reakcji plazmowej. Do sal regeneracyjnych kierowane są wyłącznie wyjątkowo cenne technologicznie egzemplarze.

— Egoistyczne, niemoralne, okrutne i nieludzkie — podsumował Kapitan.

Fiu zamrugał oczyma zupełnie jak człowiek i odparł niezdecydowanie:

— Większość waszych określeń jest dla mnie zrozumiała, oprócz ostatniego: nieludzkie. Ten właśnie stan rzeczy wywołał to, co nazywacie uczuciem protestu. Sto lat temu jeden z naszych medyków podczas ożywiania technika, który zginął w awarii, usunął mu część sieci elektrodowej. Łączność z Koordynatorem została zachowana, ożywiony mógl otrzymywać

polecenia i przekazywać nagromadzone przez siebie informacje. Ale jednocześnie uzyskał możliwość swobodnego wyboru i prawo do samodzielnych decyzji. Usunięte zostało również, uprzednio nieodwracalne, niebezpieczeństwo przymusowej śmierci. Teraz rozumiecie, co w jaki sposób doprowadziło do stworzenia opozycyjnej mniejszości, wprawdzie technicznie związanej z Koordynatorem, ale zachowującej tajemnicę swego wyzwolenia, i nie stłumioną swobodę woli.

Kapitan z trudem zachowywał spokój. Alik spostrzegł, jak jego pięści zaciskały się i rozwierały. Również i wszyscy pozostali byli oszołomieni tym spokojem i beznamiętnością, z jaką przedstawiono im obraz niczym nie zamaskowanego niewolnictwa, i to przedstawiono bez cienia wątpliwości w słuszność tego stanu rzeczy, bez gniewu i wyrzutów pod adresem ciemężycieli i bez żadnych nadziei na inną przyszłość.

— Już czas — stwierdził Kapitan — najwyższy czas zapoznać się wreszcie i z Koordynatorem.

ROZDZIAŁ VII

CZTERY DROGI W NIEZNANE. GRAWITACYJNY CIOS.

— Spotkanie zostało przewidziane — padła odpowiedź. — Ale przed spotkaniem każdy z was zobaczy to, co wyda mu się najciekawsze.

Wspólnej podróży nie planowano. Rozmowa ośmiu osób nieuchronnie spowodowałaby pojawienie się lokatorów i pól ochronnych. Jakich pól, Ziemianom nie wyjaśniono. Każdy z nich otrzymał niebieską kurtkę, aby „nie zwracać na siebie uwagi”, i wybrał sobie przewodnika: Kapitan — Druha, Bibl — Fiu, a Si i Os wyruszyli z Małym i Alikiem. „Zupełnie nie można ich odróżnić” — pomyślał Alik. Kapitan, który już przyjrzeć się im bliżej, zauważył, że pierwszy z nich był nieco ciemniejszy i kędzierzawy. Jak im wyjaśniono, mnogość bliźniaków była tu czymś normalnym. Wielokrotna transplantacja jąder komórkowych pobranych u jednego osobnika tworzyła ludzi o jednakowych cechach genetycznych. Wybór cech zależał od rodzajów pracy. Dla jednych najważniejsza była zdolność koncentracji uwagi, dla drugich — szybkość reakcji, dla trzecich — odporność na wysokie temperatury, dla czwartych zaś zdolność do przeprowadzania w pamięci skomplikowanych obliczeń matematycznych. Dla telekinetyków niezbędna była zwiększona energetyka myśli, dla syntetyzatorów umiejętność wyobrażenia sobie przedmiotu bez pominięcia żadnego wewnętrznego czy zewnętrznego detalu, dla dyspozytorów łącz przestrzennych — umiejętność jak najprecyzyjniejszego stykowania. Ale przy jednakowych cechach genetycznych, nawet w identycznych warunkach operacji bliźniacy wcale nie musieli być swymi identycznymi kopiami. Czasami nieuchwytnie różnice psychologiczne, różne znajomości i wpływy, indywidualne gusty tworzyły w istocie całkiem innych ludzi. Druh zupełnie nie był podobny do Fiu, nawet pomiędzy Si i Osem można było dostrzec różnicę. „Ciekawy naród — pomyślał Kapitan — w normalnych warunkach mógłby stworzyć interesujące społeczeństwo. Gdyby usunąć dobór genetyczny, wąską specjalizację, poczucie wtórności, to właśnie tutaj mogłaby powstać zdrowa, rozwijająca się cywilizacja”.

W milczeniu podeszli do znajomego skrzyżowania ruchomych „ulic”. Alikowi przypominało ono ogromną choinkę, tak gęsto spowitą w kolorowe serpentyny, że jej naturalna zieleń przestała już być widoczna.

Z bliska sploty te tworzyły geometryczną figurę o kolosalnych rozmiarach i niewiarygodnie dziwną w kształcie, której wierzchołek ginął w purpurowym mroku kopuły. Wszystko to ruszało się, zwijało, przeplatało, zakręcało.

— Omal nie zgubiłem Bibla w tej mieszaninie. Spadł na dolny chodnik, a ja goniłem go na górnym — przypomniał sobie Kapitan.

— Mogłeś nie dogonić — zauważył Druh — większość chodników ma jednostronną powierzchnię, połączenia mają skrócone płaszczyzny.

— Ależ tak, płaszczyzna Möbiusa — Kapitan palcami pokazał, jak tworzy się odpowiedni pasek. — Ile jest łącz na takim chodniku?

— Nikt nie próbował liczyć, to zbyt skomplikowane. Wszystkie wiadomości mają dyspozytorzy.

Zaciekawiony Alik obiegił wokół całego systemu splotów.

— Sprytne. Ale można chyba obliczyć kierunek i długość?

— Najwyżej w obrębie pięciu, sześciu porządków. Poza siódmym żaden komputer nie jest w stanie powiązać systemu. Sieć nadprzestrzenna. Tylko Koordynator może wyliczyć drogi wychodzące poza granice trójwymiarowości.

— Po co?

Znowu rozległo się poćwierkiwanie, a po chwili padła ostrożna, ale szczerza odpowiedź Fiu:

— Dla wyobcowania. Różne poziomy — różne porządki łączności. Mieszkańcy jednych

przestrzeni nie przenikają do innych. Nawet my nie znamy wszystkich poziomów miasta. A nam przecież wolno poruszać się bez wiedzy Koordynatora.

— Po co jest wam potrzebny ten superzłożony system łączy i poziomów, kiedy można pomyśleć, zrobić krok — i stanąć u celu, obojętne jak odległego.

— Teleportacja funkcjonuje tylko poza granicami Miasta — wyjaśnił Druh — tu znajdują się jedynie mechanizmy teleportacji. Chcesz zobaczyć? Niebieski chodnik. O, otóż i on.

I zniknęli na chabrowym strumieniu plastiku, który trysnął z góry śrubą wkręcił się pod nawisające skrzydło płaszczyzny. Bibl wybrał chodnik w kolorze trawy, który zabrał go do genetycznej piramidy — narodziny, niemowlęstwo, dzieciństwo i szkoła. Alike zainteresowały perspektywy wypoczynku Hedończyków — w pracy i po pracy, a Mały burknął:

Kaszka z mleczkiem. Konfiturki. Chciałbym zobaczyć coś, gdzie potrzebna jest odwaga, nieustrasżoność. Macie, na przykład, miejsca, w których może wystąpić lęk wysokości? Albo prędkości? Coś związanego z narażeniem życia? Niebezpieczeństwo? t

— Reaktor syntetyczny — lakonicznie odparł Os, a pąsowy chodnik popędził z nimi spiralą w dół.

— Górską kolejka — roześmiał się Mały.

Podrzucało ich, ołowianym ciężarem przygniatało do plastiku, zginało i wyprostowywało. Mały stał jak wkopany, a Os także nie reagował na cyrkowe sztuczki chodnika: najwidoczniej jego zmysł równowagi był do tego przystosowany. „Nie ma żadnego powodu do obaw — uśmiechnął się w myśli Mały — atrakcja z wesołego miasteczka”. Jednocześnie zapytał, dlaczego tak trudno jest obliczyć system sterowania tą huśtawką: przecież parametry są te same.

— Jakie? — spytał Os.

— Długość, szybkość, sprężystość, liczba zwiłków — zaczął Mały, alej Os mu przerwał:

— A dyskrecyjność samych połączeń, przejścia z przestrzeni trójwymiarowej w czterowymiarową, stopień zwinięcia i rozwinięcia styków, równoznaczność poślizgu? Jeszcze chcesz?

— Dosyc.

„Pejzaż” po bokach „ulicy” nie interesował Małego, pociągał go sam jej ruch podobny do wirażu samolotu. To już nie była zabawa, tylko próba woli i mięśni. Ten lot w szarą mgłę nie był przeznaczony dla mięczaków. Z każdą sekundą robiło się coraz ciemniej, temperatura wzrastała.

— Co to? — zachrypniętym głosem spytał swego ledwo widocznego w „smogu” towarzysza.

— Katalizator.

Jaki to katalizator, w jakim procesie uczestniczy, Os nie wyjaśnił, a Mały krępował się spytać. Tymczasem proces wyraźnie zmieniał swą istotę i charakter, palenie w nosie i uszach zniknęło, coraz bardziej występowały zarysy powstających we mgle przedmiotów: przezroczysty fotel wyskakujący bezpośrednio z pustki i zasłonięty różową kulą, pękaty dzban z wąską szyjką, rękojeść „bicza”, spodek czy popielniczka. Nie, chyba nie popielniczka, przecież nikt tu nie palił. Potem płynęły gigantyczne, przezroczyste sterowce, podobne do skrzepów płynnego ognia w czarnym niebie. Plazma czy gaz fotonowy? Prawdopodobnie plazma: płynne światło to raczej nieodpowiedni ośrodek dla operacji syntetyzujących. Zresztą, któż to może wiedzieć, tutejsza nauka i technika jest na poziomie przewyższającym intelektualne możliwości pilota-mechanika Wschodnioeuropejskiej Służby Kosmicznej. Ale gdzież jest to ryzyko, niebezpieczeństwo, czyhające na gapiów przy pulpitych? Przecież i u nich są gapie zakochani marzyciele, którzy muszą zajmować się pracą, odrywającą ich od marzeń, fanatycy opętani ideą, która rozprasza nawet tak wyćwiczoną uwagę. A może ich tu nie ma? Może zawsze czuwa Koordynator, nadzorując równie fantastyczną technikę bezpieczeństwa pracy?

— Ostrożniej — usłyszał Mały, i mocna ręka schwyciła go z tyłu za ramię. — Nie odchylaj się! Niebezpiecznie. Trzymaj się mocniej.

— Co? — nie rozumiał Mały.

Os nie odpowiedział. Chodnik nagle przekreśliło spodem do góry. „Ulica” zwięzła się tu do rozmiarów szybu windy pochylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Szybkość, jak wydało się Małemu, wynosiła chyba sto kilometrów na godzinę. Wiatr świszczał w uszach, jak przy jeździe na torze saneczkowym, z tą różnicą, że temperatura była jak w łaźni i zwiększała się z sekundy na sekundę. Nie tylko temperatura dawała się we znaki, ale i niewidzialny ciężar, który przyginał i wciskał w plastik podłogi. Mały miał ochotę się położyć, ale odpędził tę myśl. Nie mógł nawet zetrzeć spływającego mu do ust potu — unikał nieostrożnych ruchów. W czym jednak kryło się niebezpieczeństwo? Chodnik nagle skręciło na bok, potem do dołu i znowu przekreśliło poziomo, ale Mały nawet się nie zachwiał. Być może, panowały tu inne warunki grawitacyjne albo też przeciążenia, jakie powstały przy tej szybkości, pozwalały utrzymać się na nogach podczas tych ewolucji. Żar sięgał granic ludzkiej wytrzymałości. Małemu wydawało się, że przenika przez ściany płonącego domu. Przez chwilę coś zasłoniło mu oczy i zgasiło myśli. Omdlenie? I dopiero w tym momencie pojął, że małeńka, mocna ręka trzyma go jak stalowa, nie pozwalając upaść.

— Zegnij prawą nogę w kolanie, lewą cofnij do tyłu, będzie lżej — usłyszał.

Głos był dziwnie cichy w otaczającym ich bezdźwięku, który — zdawało się — głuszył wszystkie odgłosy mogące zrodzić się w tym huraganowym ruchu poprzez barwny mrok szybu. Mały jednak usłyszał i przykleknąwszy na jedno kolano zdołał utrzymać równowagę w chwili, gdy szyb znowu skręcił i zawiroowało nimi aż do bólu w skroniach. Po co to potrzebne? A przecież tą drogą poruszają się codziennie, co godzina, może nawet co minuta syntetyzatorzy, chwytacze, przestrzeniowcy czy jak ich tam zwa, tych cudotwórców niepojętej dla Ziemi techniki.

Wreszcie chodnik wypadł na niebieską przestrzeń i było to podobne do startu samolotu w czyste niebo. Równa, bez zamętu czy gry barw niebieska kopuła i złocista kula w dali, nie słonecznie złota, oslepiająco jaskrawa, lecz złocista jak kopuła cerkwi w niebieskiej mgiele.

Mocny chwyt na ramieniu Małego osłabł.

— Co to było? — spytał Mały.

— Przeszliśmy konwertor.

— Co?!

— Używam terminów, które są dla was zrozumiałe. Tak byście go scharakteryzowali przy naukowym opisie. Funkcja silnika i generatora. My mówimy prościej: wirnik. Część syntetyzatora.

Dalsze objaśnienia były dla Małego zbędne: i tak czuł się jak na tureckim kazaniu. Powiedział po prostu:

— Myśmy tamtędy tylko jechali. A kto jest w stanie pracować w tym wirniku?

— Najbardziej przystosowani. Do gorąca, do prędkości, wiraży.

— I spadają?

— Czasami. Niektórych ratują.

— A innych? Do atomowego dezintegratora?

Os przemilczał to pytanie. Złocista, odległa kula wisiała nieruchomo w niebieskiej mgiele jak miniaturowe słońce. Tak właśnie mogło wyglądać z pokładu przelatującego obok kosmolotu — trzeba by tylko zaczernić kopułę. Właśnie tam, do nakreślonego wzrokiem poziomu, unosił się ich kapryśny plastikowy chodnik.

— Koordynator? — spytał Mały, nie wiadomo czemu ścisząc głos. — A gdzie są chłopcy?

— Zaraz wszyscy się spotkacie. Czas i długość naszych dróg są zsynchronizowane.

Może tak właśnie było. Ale Alik, podobnie jak Mały, nie myślał o tej synchronizacji.

— Dlaczego przez cały czas suniemy pod górę?

Si odparł:

— Ponieważ trzeci porządek wycieczki osiągniemy dopiero na dwudziestym dziewiątym

poziomie.

— Dlaczego trzeci? A gdzie drugi i pierwszy?

— Drugi i pierwszy to porządki nocy. Pierwszy — sen, drugi — przebudzenie. Trzeci usuwa stres w czasie pracy.

Alik nie zaryzykował zadawania dalszych pytań o porządki i poziomy, tym bardziej że liczenie tych ostatnich było prawie niemożliwe. To pojawiały się, to znikwały w trakcie ich jazdy, nie przestrzegając żadnej kolejności, nie dając się porównać ani z podestami, ani z piętrami. Pojawiały się to jako przestrzeń ograniczona ekranami lub pulpitemi, to jako wnętrza napelnione gazem. Taki basen z przezroczystymi ścianami znaleźli i na dwudziestym dziewiątym poziomie — kolosalne akwarium z pomarańczową cieczą, wzdymającą się i opadającą pod uderzeniami mnóstwa ludzkich ciał. Alikowi wydało się, że jest na zawodach pływaków — akwalungistów, zabawiających się pod wodą nie wiadomo dlaczego zabarwioną minią. Nie mieli na sobie ani masek, ani akwalungów, ale żaden z nich nawet nie próbował się wynurzyć, aby zaczerpnąć powietrza. Byli albo amfibiami, albo pomarańczowe „coś” nie było cieczą. Alik mógłby to określić jako kolorowy „smog”, mieszaninę, zawierającą tlen atmosferyczny z rozpuszczonym w niej suchym pomarańczowym barwnikiem, najwidoczniej nieszkodliwym dla płuc. Ale za słuszność tej hipotezy nie mógł, oczywiście, zaręczyć.

Si zaproponował mu, żeby się rozebrał i przyłączył do pływaków. „Czy to bezpieczne?” — zapytał spojrzeniem Alik. „Całkowicie” — w ten sam sposób odparł Si. Błyskawicznie zrzucił ubranie i ze zdziwieniem obserwował manewry Alika. Szczególnie zaskoczyła go bielizna i skarpetki, ale nie zadał żadnego pytania. Si skoczył z nieruchomego skraju chodnika w pomarańczową mgłę i zawisnął, nie wykonując żadnych ruchów pływackich. Alik odważnie poszedł za jego przykładem i tracąc błyskawicznie ciężar, znalazł się w tej samej zawieszynie.

— Milcz, nie krzycz, nie pytaj — powiedział wygięty parabolą Si i Alik nieoczekiwanie poczuł, że ktoś go trzyma, nie pozwalając mu nawet poruszyć palcami.

Ta sama niewidzialna, ale wyczuwalna siła wygięła go nagle w łuk, przewróciła na plecy i przekreśliła łuk na drugą stronę tak, że aż chrupnęły kości. Alik zaczerpnął ustami powietrza — rzeczywiście otaczało go powietrze — i spróbował się wyprostować, ale natychmiast wygięło go najpierw na lewy, a potem na prawy bok. Ten niewidzialny „ktoś” wyraźnie nie liczył się z wytrzymałością ścięgien i mięśni i Alik nieomal chciał wyć z bólu, gdy rozciągnano go wzdłuż.

Nawet nie widział, co działo się z jego towarzyszem, tylko jeden raz mignął mu przed oczyma wygięty nieomal na podobieństwo koła Si.

— Boli — bardziej wyszeptał, niż krzyknął Alik, ale tortura w pomarańczowym „smogu” trwała dalej: Alika wyciągano, zginano, przekreślano, uciskano mu mięśnie brzucha i pleców, do momentu, kiedy wreszcie domyślił się, że jest to miejscowa „gimnastyka przemysłowa”.

Zakończyła się ona takim samym skokiem — tylko nie w dół, a do góry; Alika wyrzuciło miękko na brzeg „akwarium”, na którym, leżała jego odzież i z którego w tak nieprzemysłany sposób dał nurka w pomarańczową mgłę.

Żyjesz? — całkiem po ludzku uśmiechnął się Si, który ubierał się obok. — Mówiłem ci przecież, że to nie jest niebezpieczne.

— Nie mówiłeś, ale pomyślałeś.

— Nie doszło?

Alik ubrał się nie odpowiadając i czuł, jak jego rozdrażnienie znika, ustępując miejsca upajającemu uczuciu rześkości, lekkości, chęci robienia czegokolwiek, ruszania się, działania.

— Co to za basen? — spytał.

— Fotonowa kąpiel gazowa.

— Płynne światło — zorientował się Alik. — A co człowieka wygina w łuk?

— Masaż grawitacyjny.

Alik westchnął. Dowiedział się „co”, ale byłoby bezsensu zadawać pytanie „jak”. Co

zrozumiałaby mrówka, gdyby spytała człowieka, jak rozszczepia się atom? Jeszcze raz popatrzył na nagich ludzików, których wyginała i przewracała niewidzialna siła, i powiedział:

- Nawet tutaj nie porozumiewają się między sobą.
 - Bo nie trzeba. Popatrzyłbyś na nich po pracy.
 - Czwarty porządek? — skomentował złośliwie Alik.
- Ale Si nie zrozumiał ironii.

— Jeszcze zdążymy i do czwartego, i piątego. Pospiesz się.

Któryś z kolei poziom był podobny do hallu w porcie lotniczym. Podobnie jak i inne otwarte przestrzenie miasta nie miał wyraźnie oznaczonych granic. Po prostu ludzie, setki niebieskich ludzi w jednakowych kurtkach, siedziało, gdzie popadło, nie wiadomo na czym — mebli w ogóle nie było widać.

— Siadaj, gdzie chcesz — tam będzie fotel — odpowiedział Alikowi Si.

Tak też zrobił.

Coś pstryknęło i wszystko ucichło. Alik chciał zapytać Si, ale ten przyłożył palec do ust. Milczenie zagęszczało się, jak przed spektaklem, i spektakl ten nie dał na siebie długo czekać. Coś zacisnęło gardło, jak pętlą zatamowało oddech. Niezrozumiały smutek, żal bez powodu, ogarniały Aliką wypierając pozostałe odczucia. Oczy napełniły się łzami, nie mógł już, a zresztą i nie chciał ich powstrzymywać, czuł, jak łzy płynęły mu po wargach kropelkami słonego potu. Wycierając je zauważył, że Si również płacze, ale nie zdążył go spytać: nowy szok wstrzymał mu oddech. Łzy wyschły i smutek zniknął, jakby zdmuchnięty przez potężną falę radości — równie bezsensownej i bezpodstawnej. Ogarnął go śmiech. Aliką trzęsło, zwijało w drgawkach, do oczu znowu napłynęły łzy, w gardle drapało, ale tym razem ze śmiechu, histerycznego i nie dającego się powstrzymać. Nie mógł określić nawet w przybliżeniu, ile minut trwał ten paroksyzm, ale zakończył się on równie nagle, jak powstał. Tylko oddech stał się znowu swobodny, a myśli radosne. Odnosił wrażenie, jakby jego mózg wykapano w jakimś odświeżającym, odżywczym płynie. „Doładowują akumulatory emocji” — pomyślał i powiedział na głos:

— Zrozumiałem wszystko, Si.

— Zrozumiałem wszystko, Fiu — prawie w tym samym czasie stwierdził także i Bibl. Po prostu wyraził swe uczucia po obejrzeniu na ekranie lekcji matematyki dla czterolatek.

Obraz na ekranie był odbiciem rzeczywistości z tą tylko różnicą, że nie otaczającej ich, lecz oddalonej o dwa dziesiątki poziomów. Ekran nie był telewizorem, na dobrą sprawę nie był wcale ekranem — po prostu odległą rzeczywistość przybliżono nie uciekając się do żadnych optycznych sztuczek. Bibla nie wpuszczono do niej, aby nie zakłócił dziecięcego procesu myślowego. A był to proces skomplikowany i trudny, wymagał od dziecka odwagi myśli, zadziwiającej umiejętności szukania i odnajdywania nowego. Matematyczne funkcje i symbole, które używano na Hedonie, Bibl tłumaczył w myśli na rozumiały dla niego język ziemskiej matematyki. Był oszołomiony zakresem wiedzy, jaką dysponowali czteroletni ludzikowie w małych kurteczkach. Podczas gdy ich rówieśnicy na Ziemi poznawali zaledwie podstawy arytmetyki, oni już oceniali załamanie przestrzeni trójwymiarowej. Bibl rozumiał, że aby sterować skomplikowaną techniką Hedony, niezbędne jest odpowiednie przygotowanie, ale zaskoczyło go ograniczenie — nie zakresu wiedzy, ale dążenia do jego rozszerzenia. Nie rozproszył tych wątpliwości i Fiu, który wyjaśnił krótko, że obecny poziom informacji jest dany cywilizacji od początku jej istnienia i pozostaje niezmienny, jak ona sama.

- Nie zachęca się więc do dokonywania odkryć naukowych? — spytał Bibl.
- Wszystko, co było potrzebne, zostało już dawno odkryte.
- I żadne zagadki w przyrodzie nie istnieją?
- Wymagające rozwiązań, które mogą wzbogacić ludzki umysł? Nie.
- Po raz pierwszy ci nie wierzę, Fiu.

— Dlaczego?

— Czy jest to rzeczywiście twoje zdanie, czy też powtarzasz to, czego was uczą w szkole?

Fiu nie odpowiedział. „Jeszcze jeden szok psychologiczny” — uśmiechnął się w myśli Bibl.

...A gdzieś na innym poziomie miasta, przy świetlnych tablicach, które z równym powodzeniem można by nazwać przestrzennymi wideoskopami lub demonstracyjnym wakuem — Bibl pomysłowo nazwał je odbiornikami życzeń — Druh wyjaśnił Kapitanowi mechanizm teleportacji. I Kapitan, nawet nie myśląc o możliwości synchronizacji z rozmową Bibla, zadał swemu rozmówcy równie drażliwe pytanie:

— Ogólnie rzecz biorąc, wszystko jest jasne. Oprócz jednego. Dla kogo?

— Nie rozumiem.

— Komu służy to cudo techniki? Wam?

— Jest piękne samo w sobie. Pozwalamy, aby myśl, tylko myśl władała ruchem w przestrzeni.

— Owszem, pozwalacie, ale nie waszej myśli i nie w waszej przestrzeni.

— W pewnym sensie masz rację. Ale samo sterowanie tak doskonałą techniką nie może nie sprawiać rozkoszy.

— Posługujcie się więc jej rezultatami. O ile dobrze zrozumiałem, zakrzywiacie przestrzeń, zbliżacie obiekty, tworzycie styk. No to wchodźcie, gdzie się wam podoba.

— Nie można. Dyspozytorzy łącz przestrzennych nie mogą wychodzić na linię styku. Krzywa powinna przejść obok. Najmniejsze odchylenie i następuje cios grawitacyjny.

— Spróbujemy.

— Co?

— Połącz te dwa zielone punkty. — Kapitan spojrzał na tablicę. — Wydaje mi się, że szukają się nawzajem.

— Nic prostszego. Patrz na pasemko u góry, na pionowe kolorowe paski. To nie widmo, lecz formuła. Kolejność pasków powinna pozostać stabilna. Teraz zbliżaj. Niedobrze.

— Dlaczego?

— Szew czernieje. Niedokładny styk. Rozłączam.

— Łączyłem po krzywej.

— Tak właśnie trzeba. Po prostej nie można — możesz dotknąć linii łącza. No!... Zbyt wolno. Szew znowu brudny. Popatrz.

Druh błyskawicznie połączył dwie zielone plamy. Gdzieś w zielonym świetle ktoś gdzieś wszedł, czy skądś wyszedł. Druh wyjaśnił:

— O tak. Powtórz. Tylko nie zapominaj o formule łącza.

Kapitan odnalazł dwie sunące granatowe plamy. „Aora” — pomyślał i popatrzył na prążkowane pasemko. Wydało mu się, że jeden pasek jakby nasuwał się na drugi. Ni to niebieski zmniejsza powierzchnię szarego, ni to szary wypiera niebieski. „Poczekaj” — usłyszał, ale nie mógł już powstrzymać myśli. Plamy połączyły się i nagle coś ugodziło go w oczy. Miliony iskier i mrok. Studnia bez dna. A on sam leci w dół bezdźwięcznie i bez końca. Żadnego bólu. Tylko uczucie spadania, jak przy spadochronowym skoku z opóźnieniem. I wreszcie wstrząs, coś ugina się pod nim, układając go na rozciągniętym, miękkim aksamicie. Czuje już swe ciało, skórę, naczynia krwionośne, powieki. Powieki unoszą się lekko, przepuszczając wąskie pasemko światła. Pasemko rozszerza się i oślepiająca białość zalewa świat. Jak mleko wylane z butelki na czarny stół. A on znowu się porusza, tym razem poziomo, również na czymś białym i w białym tunelu, nie wiadomo dlaczego przypominającym mu sale regeneracyjne. A może rzeczywiście jest w tych białych podziemiach?

Chce zapytać towarzyszących mu maleńkich ludzi w znajomych kurteczkach. Jego wargi poruszają się, ale pytanie zamiera, nie wypowiedziane, gdy dobiega go cichy szept:

— Milcz. Nie teraz. Nie ruszaj się.

Kapitan nie zdołał uchwycić momentu, w którym jego pozioma pozycja nagle zmieniła się na pionową. Nie poczuł ani wstrząsu, ani napięcia mięśni, ani ciężaru, ani ruchu wirowego, tylko nagle spostrzegł, że niebieski, plastikowy chodnik spiralnie uniósł go w górę. Podobnie w kabinie samolotu moment oderwania się od ziemi dostrzega się dopiero wtedy, kiedy widzi się uciekający w dół krajobraz. Tu natomiast uciekały w dół słońce naprzeciwko chodniki, płaszczyzny sieczne i styczne, poziomy z ich niepojętą maszyną.

— Co się stało? — wykrztusił z trudem pytanie, adresowane do swego, nie zdradzającego niepokoju, towarzysza.

— Grawitacyjny kollaps — odparł Druh tonem człowieka, który rozmawia o pogodzie. — Zniekształciłeś formułę.

— A co potem? — spytał zachrypniętym głosem Kapitan.

— Jak zwykle. Reanimacja.

No i o co tu więcej pytać, o jakie szczegóły, o których niebieskoskóry nawet nie uznał za stosowne wspomnieć. Zresztą Kapitanowi pozostało jeszcze jedno, zupełnie neutralne pytanie:

— Dokąd jedziemy?

— Już przyjechaliśmy.

ROZDZIAŁ VIII

ROZMOWA Z KOORDYNATOREM. PRZED OSTATNIM ZWIADEM.

Niebieska mgiełka wypełniała owal podobny do ziemskiego stadionu piłkarskiego. Na jego brzegu rozciągała się jak bieżnia niczym nie ogrodzona, nieruchoma czarna taśma. Gdy podeszło się bliżej i spojrzano w dół, niebieskie głębiny dotykały jedna drugiej jak odbicie w lustrze. W środku wisiała złota kula o średnicy około pięćdziesięciu metrów, lekko podświetlona z wewnątrz. Jeżeli patrzyło się na nią długo i uważnie, zaczynała pulsować wielobarwnie i jaskrawo, tak jak wszystko w tym mieście. Sprawiało to wrażenie, jakby poprzez złocistą błonkę przeświecały inne barwy. Alik natychmiast wysunął przypuszczenie, że Koordynator myśli, a światło i barwa jest odbiciem powstawania i ruchu skojarzeń myślowych, ale ani koledzy, ani ich przewodnicy nie podzielali jego koncepcji. Tylko Kapitan powiedział surowo:

— Odejdź od brzegu. Jak spadniesz, to się nie pozbierasz.

— Zupełnie niegroźne — zaprzeczył Fiu — to strefa nieważkości. Niebieska mgiełka to skoncentrowany gaz-przekaznik. Jedyne źródło łączności Koordynatora z otaczającym światem.

Rzeczywiście, w niebieskawej przestrzeni otaczającej kulę nie było widać żadnych rur, przewodów i nici. Nic nie łączyło jej z czarnym chodnikiem. Wisiała nieruchoma, ale żywa i wydawało się, że mimo swych rozmiarów jest lekka, leciutka.

— A więc on nas nie słyszy? — spytał Kapitan.

— Nie.

— W jaki sposób możecie się z nim porozumiewać?

— Przez sieć elektrodową.

— To znaczy, że my jesteśmy pozbawieni tej możliwości?

— Dlaczego? Możecie porozumiewać się z nim bezpośrednio poprzez gaz-przekaznik.

— Za pomocą hełmu?

— Nie. Telepatycznie. Ale weźcie pod uwagę, że nie jest to Mózg, lecz jedynie doskonała maszyna, która myśli i działa tylko w granicach wprowadzonego do niej programu. Luźne skojarzenia myślowe albo decyzje, których nie przewiduje program, nie są rozpatrywane. Na wasze pytanie Koordynator może odpowiedzieć wyłącznie w tym wypadku, jeżeli jego pamięć zawiera niezbędne elementy takiej informacji.

— Czy on wie, że jesteśmy tutaj?

— Od pierwszej chwili.

— Mówię o rozmowie, która ma nastąpić.

— Tak.

— Temat rozmowy nie został ograniczony?

— Nie.

— A więc zaczynajmy. Koordynatorze, słyszysz mnie? — głośno rzekł Kapitan, zwracając się bezpośrednio do złotej kuli.

W błękitnej ciszy nie rozległ się żaden głos, ale w świadomości każdego z naszych bohaterów ukształtowała się odpowiedź.

— Słyszę.

— Poznaliśmy wszystko oprócz świata liliowego słońca. Kiedy go zobaczymy?

— Jutro.

— Czy wszystkie światy mają jednakowe objętości i powierzchnie?

— Światów nie ma. Jest przestrzeń, którą możemy zmieniać.

— Jedna przestrzeń, ale pięć słońc?

— Słońce też jest jedno. Pozostałe są tylko jego odbiciami w atmosferze zamkniętych objętości, gdzie deformacja przestrzeni przechodzi w sferę innych wymiarów.

— A więc zielony świat to nie cała planeta?

— Nie. Aora również jest tylko ograniczoną, deformowaną przestrzenią. I Błękitne Miasto, za którego granicami jest tylko czarny kamień i pył. Ogrzewa je nie odbite, lecz prawdziwe słońce, które wschodzi i zachodzi nad pustynią.

— Dlaczego więc nie przekształcicie pustyni w oazę?

— Planeta jest zamknięta dla przybyszów z kosmosu.

— Ale pozostawiono im przynętę pod postacią brodatych niemowlaków.

— Przez tysiąc lat łącza osłabły i zamknięcie przekształconych przestrzeni utraciło spoistość. Zresztą mirażę też są zamknięte.

— My przeszliśmy.

Replika Kapitana nie była sformułowana jak pytanie i dlatego odpowiedź nie padła. Wtedy zadał je w inny sposób:

— Miraż miasta był otwarty. Dlaczego?

— To nie był miraż. Kiedy pozwolono wam wejść w przestrzeń Błękitnego Miasta, została ona połączona z przestrzenią pustyni.

— Na rozkaz Nauczyciela?

— Tak.

— W jaki sposób rozkaz został przekazany? Przecież niebieski gaz znajduje się tylko w tym basenie.

— Myśl Nauczyciela przenika przez dowolny, materialny ośrodek. Jej siła energetyczna równa jest zwielokrotnieniu jednoczesnych i identycznych sygnałów różnych myślących osobników.

— Jakim więc sposobem przekazujesz w odpowiedzi twoją informację?

— Nie wiem.

— Czy oznacza to, że nie znasz schematu swojej własnej konstrukcji?

— Tak.

— Jak więc sterujesz miastem?

— Sygnałów jest zbyt wiele, żeby o nich opowiadać. Na każdy sygnał z zewnątrz daję sygnał z wewnątrz. Tak jak nakazuje program.

— Czy można go zmienić?

— Oczywiście.

— Czy kiedykolwiek go zmieniano?

— Nigdy.

Kapitan nagle zdał sobie sprawę, że nie ma już więcej pytań. Dokładnej informacji o swojej pracy Koordynator nie mógł udzielić: nie miał odpowiedniego przygotowania technicznego. Wdawać się zaś w filozoficzne dyskusje z maszyną byłoby, na dobrą sprawę, niedorzecznością. Ale Bibl mimo wszystko zdecydował się:

— Pozwoli pan, Kep... — I w stronę złotej kuli: — Jakie są stosunki pomiędzy dwoma zamieszkującymi planetę narodami?

— Naród jest jeden, różne są tylko gatunki biologiczne.

— Jaki jest łączący je ustrój?

— Nie wiem.

— Czy można scharakteryzować go jako niewolniczy?

— W mojej informacji nie ma takiego terminu.

Alik, którego z jakiegoś powodu drażniła zwiększająca się częstotliwość pulsowania kuli, która jakby potwierdzała jego domysły, nie wytrzymał.

— O czym tu mówić?! — krzyknął. — Sami już wiemy, bez tej bani, jaki tu u nich jest ustrój. I nie trzeba o niego pytać, ale go zmieniać.

— Nie gorączkuj się — z sympatią uśmiechnął się Kapitan i dodał: — W jednym masz rację, dalsza rozmowa jest bezprzedmiotowa. Poprosimy naszych przyjaciół, żeby odprowadzili nas

do wyjścia i umówimy się, z którym z nich pójdziemy w ten ich liliowy, niezakłócony spokój.

— A więc, powiadasz, trzeba zmieniać. — Kapitan mrugnął do Alika podczas obiadu na stacji, prawdziwego obiadu z konserwowanego mięsa i makaronu z sosem chili. — A co masz zamiar zmieniać?

Alik nie zmieszał się. „Naiwne pytanie” — odpowiedziało jego wyzywające spojrzenie.

— A co zmieniają rewolucje? Ustrój. System sił produkcyjnych i stosunków produkcyjnych. Charakter więzi społecznych. Ich przekłętą stabilizację życia.

— Założenie słuszne. A jaka recepta?

— Z dwóch warstw cywilizacji stworzyć jedną.

— Jak? Na przykład zniszczyć Aorę?

— Jeżeli trzeba będzie, to zniszczyć. Z tych dwóch narodów tylko jeden ma perspektywy rozwoju. A drugi... Pewien mądry człowiek w przeszłości dobrze powiedział: „Jeżeli wróg się nie podda, należy go zniszczyć”.

— Ale jeżeli się podda, to co? Wszystko ma zostać po staremu? Karm, obuwaj, ubieraj, pakuj do Nirwany, a potem ożywiaj? Zniszczyć, powiadasz? Kto się tym zajmie? My? Bronią jądrową, promiennikami zlikwidujemy deformowane przestrzenie Aory i Zielonego Lasu? Wypalimy eukaliptusowe aleje i gołe dzieciaki w niebieskich kąpielówkach? A poza tym, czy jesteś zupełnie pewien, że zaraz po naszym pierwszym uderzeniu nie nastąpiłyby kontratak.

Wszyscy popatrzyli na Biblę. Socjolog, skarbnica prawniczej mądrości, uniwersalny umysł, cóż on powie?

— Instrukcje nie zabraniają nam uczestniczenia w społecznych przewrotach po stronie uciskanych klas czy narodów, ale przecież nie widzieliśmy tutaj nawet cienia przygotowania do takiego przewrotu. Niezupełnie rozumiemy mieszkańców Błękitnego Miasta. Nie są ani głupszy, ani mądrzejsi od nas, oni po prostu inaczej myślą. Bardziej intensywnie, szybciej. Chwilami nawet nie mogą się dostosować do biegu naszych myśli. Ty i Alik — zwrócił się do Małego — czy dużo rozmawialiście ze swoimi towarzyszami?

— Prawie wcale — odparł Alik — Od czasu do czasu parę słów.

— A dlaczego? Uważacie, że nie było o czym? Przypuszczam, że trudno im było dostosować się do waszego rytmu myśli: jest dla nich zbyt powolny. Zwróciliście uwagę na ich poćwierkiwanie? Może każdy wydawany przez nich dźwięk to nie sylaba, czy słowo, a cały zbiór obrazów i pojęć? Zauważyliście, z jaką dokładnością i szybkością opanowali oni cały system naszego języka! Myślicie, że tylko dzięki hełmom? Po prostu ich mózg jest inaczej skonstruowany. Oni, na przykład, obywają się bez analizy: odbierają myśli albo pojęcia całościowo, od razu. Fiu, jak spostrzegłem, nawet starał się zbadać nasze zdolności analityczne i jak sądzę, uda mu się to całkowicie.

— A może oni reedukują i Hedończyków? — zapalił się Alik.

Bibl roześmiał się. W tej jednej, bardzo chłopięcej, replice Alika zniknęła nagle cała jego naukowość. Ale przecież Bibl nie chciał go urazić. Nawet nie próbuję zgadywać, kiedy to nastąpi. Spróbuj podliczyć na komputerze w telegabinie. Tylko operuj nie latami, lecz stuleciami — ułatwisz pracę i sobie, i maszynie. Przecież to gatunki różniące się nie tylko społecznie, ale i biologicznie. Konik polny i mrówka są sobie bliżsi niż Hedończyk i niebieskoskóry. Ale jednocześnie są oni tak dopasowani, że trudno zaprzeczyć istnieniu wprawdzie sztucznej, ale harmonijnej wspólnoty. Co na to powiedzą moi oponenty? Jakaż, u diabła harmonia! Po prostu jeden z niezliczonych technokratycznych wariantów, nic więcej. Coś z oligarchii kapłańskiej, coś z prymitywnego hedonizmu z jego obowiązkowym „wszystko dozwolone”, coś z arystokracji intelektualnej, opartej na pracy ni to robotów, ni to cyborgów, ni to po prostu sztucznie wyhodowanych ludzi — nawet nie w probówkach, nie według wzorców, ale bądź co bądź w sposób ukierunkowany, planowo, z wyregulowanym poziomem demograficznym. O tym wszystkim setki razy pisali i futurologi, i fantaści, ale nawet w

realnej kosmicznej praktyce ludzkość zna już coś podobnego. I mimo wszystko stwierdzam, że Nauczyciel stworzył unikalny model cywilizacji, doskonały technicznie i oryginalny biologicznie. Obydwa cykle — śmierć bez żalu i nieśmiertelność bez obojętności nie mogą nie zainteresować futurologów. A jednocześnie cywilizacja ta jest antyhumanistyczna i społecznie niebezpieczna. Przecież twórcom udało się rzecz najtrudniejsza: utrzymać swój status quo przez miliony lat. W tym nie podlegającym ewolucji społeczeństwie nie może być rewolucji bez interwencji z zewnątrz. Nawet całkowite zniszczenie siatki elektrodowej nie uwolni „niebieskich kurtek” od ich euforycznej pańszczyzny.

— Trzeba odwrócić proces — powiedział Mały — niech pracują sami dla siebie.

— Przecież o tym właśnie mówiłem: jest Błękitne Miasto... — zaczął Alik, ale Kapitan przerwał mu, nie surowo, ale zdecydowanie:

— Jest jeszcze i Aora, i Zielony Las. Jest również liliowy świat. Dlatego też wstrzymajmy się z wywodami. Ustalę następujący plan dnia...

CZĘŚĆ CZWARTA
LILIOWE SŁOŃCE

ROZDZIAŁ I

ZNOWU KOORDYNATOR. PIĘĆ STOPNI SZCZĘŚLIWOŚCI.

Następny dzień rozpoczął się od spotkania z Fiu na progu Błękitnego Miasta.

— Tym razem idziemy prosto do Koordynatora.

— A dlaczego nie od razu do Nirwany?

— Dowiedziecie się wszystkiego. Trzymajcie się mocno.

Wskoczyli na niebieski chodnik, który wkręcał się śrubą w purpurową mgłę z taką samą prędkością, z jaką wczoraj przelatowali obok dyspozytorzy łączy przestrzennych.

— Jedziemy pod górę? — spytał Kapitan stojącego przed nim Fiu.

— U nas nie ma „pod górę” czy „z góry”. Po prostu przenosimy się z jednego poziomu przestrzennego na drugi.

Złota kula Koordynatora, wisząca w swym niebieskim akwariu, pojawiła się po dwu, trzech minutach. Po następnych trzech minutach podeszli do niej przez czarną galerię.

Kapitan obejrzał się. Fiu już nie było.

— Gdzie on przepadł?

— Kto?

— Fiu.

A czy jest nam potrzebny? — wrzucił ramionami Mały. — Porozmawiamy i bez niego. Pytaj.

— O co?

— O Nirwanę, o cóż innego! Jak tam trafimy, co zobaczymy? Kapitan skierował pytanie w niebieską przestrzeń. Złota kula milczała przez kilka sekund, grając odcieniami swej mieniącej się powłoki. Potem w świadomości każdego rozbrzmiało:

— Fiu odprowadzi was do bezpośredniej śruby!

— Śruby? — spytał Kapitan. — Jakiej śruby?

— Wy nazywacie ją chodnikiem albo taśmą. Śruba to nasz termin.

— Ale Fiu zniknął.

— Pojawi się, kiedy będzie trzeba. Nie słyszę twego pytania, ale wszyscy chcecie, abym opowiedział wam o tym, co nazywacie Nirwaną.

— Nie mylisz się.

— Śruba zaprowadzi was do przestrzeni, podobnej do krateru. Zejdziecie z kręgu w centrum. To koniec i początek śruby. Jeżeli jej nie opuścicie, zawiezie was z powrotem. Ściany krateru mają pięć odcieni liliowego, od biadolila do ciemnofioletowego. Pięć stopni szczęśliwości. Najciemniejszy z nich to sny, jasny — ataraksja. (Alik usłyszał — „trans”, Mały — „próżnia”). Pomiędzy nimi, w miarę nasilania się barwy, znajdują się wspomnienia, pragnienia, wyobrażenia. Wszystko rozumiałe?

— Nie wszystko. Sny to rozumiałe. Takie jak w życiu.

— Niezupełnie. Tylko szczęśliwe. Ale tak samo zamglone, różowe i błękitne. Bez końca i początku.

— A wspomnienia?

— Odtworzenie przeszłości. Człowiek znowu przeżywa najszczęśliwsze dni w swoim życiu. Potem zapomina i przeżywa znowu. I tak do końca stopnia.

— Pragnienia?

— W gruncie rzeczy są to marzenia, ponieważ w swojej istocie marzenia są pragnieniami. Człowiek pragnie zemścić się na kimś, kto go skrzywdził, lecz nie może: krzywdziciel jest od niego znacznie silniejszy. Tak jest w rzeczywistości. Ale tu pragnienia zawsze się spełniają. Człowiek chce zostać nadczłowiekiem; wolny — władać swym ciałem jak ksor; mag — posiadać siłę sirga. Wszystko to się spełnia, zostaje zapomniane i ożywa znowu.

— Ale przecież u podstaw wyobrażeń również leżą pragnienia. Po co więc było tworzyć inny stopień?

— Nie wiem. Stopień jest inny. Materializacji ulega to, czego pragnie się teraz, w danej chwili. Nie poprawia się przeszłości, ale tworzy przyszłość, wciela się w życie wymyśl, realizuje hipotezę.

— Nawet naukową?

— Każdą.

Kapitan zamyślił się wyobrażając sobie, jak można zmaterializować ideę.

— Niech go pan zapyta o trans — szepnął Alik. Kapitan tylko ręką machnął: potem, potem.

Zmieniająca się gra odcieni złotej powłoki świadczyła, że kula z napięciem „wysłuchuje się”, starając się uchwycić przewodnią myśl swych rozmówców, że jej rozmowa z nimi jeszcze nie została zakończona.

— W jaki sposób następuje przejście z jednego stopnia do drugiego?

Za pośrednictwem teleportacji? — zapytał Kapitan.

— Teleportacji na życzenie w Nirwanie nie ma. Przesuwamy ludzi po zakończeniu cyklu, tak jak z Zielonego Lasu do Aory. Otwieramy pole ochronne, rozgradzające stopnie.

— A w jaki sposób my się będziemy poruszać?

— Rozdzielcie się na dwie pary, uzgodnicie czas zgodnie z waszymi ziemskimi przyrządami, rozejdziecie się, a potem znowu spotkacie w kraterze. Pola ochronne przepuszczają was reagując na ciepłość waszych ciał.

Kula umilkła.

I natychmiast pojawił się Fiu. Podszedł niezauważenie jak kot.

— Gdzieżeś przepadł? — spytał Bibl.

— Nie miałem prawa uczestniczyć w rozmowie — odparł zagadkowo Fiu. — Mógłbym pozostać niezauważonym, ale nie było takiej potrzeby. Idziemy — zakończył całkiem po ziemsku.

Alik zamykał pochód, widząc idących z przodu jak przez mgłę. Gwałtowne wiry chodnika, mówiąca bez słów złota kula, pływająca w błękitnej mgielce, przecucie jeszcze bardziej zadziwiających wrażeń — wszystko to przyćmiewało spojrzenie i zapierało dech w piersi. Dlaczego Fiu milczy, nie odpowiada na pytania Kapitana, dlaczego skromnie usuwa się w cień wskazując na liliowy chodnik przy następnym splocie dróg? Dlaczego wszyscy idą gęsiego, kładąc dłonie na ramionach tych, którzy stoją przed nimi? Znowu lot pod niebo? A może nie pod niebo? Chodnik rzeczywiście wwierca się w kolorową masę, ale trudno określić kierunek ruchu. Do góry czy w dół? A może poziomo — jak nóż wcinający się w dopiero co wyjętą z lodówki kostkę masła? Plastikowa podłoga kołysze się i podskakuje, pochylając się na zakrętach. W głowie kręci się jak na karuzeli. Mały coś krzyczy... nie słyhać. Co to? Śruba zwalnia bieg. Bładoliliowa przejrzystość zastępuje gęstą fioletową mgłę. — Przyjechaliśmy — stwierdził Kapitan.

Na jego twarzy zastygł wyraz nie ukrywanego rozczarowania. Złota kula nie oszukała ich. Rzeczywiście znajdowali się na dnie krateru o gładkich ścianach z nieokreślonego tworzywa. Ściany rozchodziły się Pięcioma krawędziami ściętej piramidy o rozmaitych odcieniach liliowej barwy i rozmytych granicach. Nad jednolicie liliowym amfiteatrem nieruchomo wisiało na niebie takiego samego koloru słońce. Trudno było wyobrazić sobie coś równie nudnego i smętnego. Nawet pustynia z jej zapyłonym połyskiem sprawiała mniej przygnębiające wrażenie.

„I chroń mnie od ducha próżniactwa, smętku, obojętności i pustosłowa” — w pamięci Kapitana wypłynęły słowa starego psalmu czy modlitwy. Duch próżniactwa i smętku. Nawet średniowieczny asceta religijny nie byłby zachwycony takim krajobrazem.

— I to ma być kolor szczęśliwości? — spytał z szyderstwem.

— Może damy sobie spokój i wrócimy? — Mały skinął głową na wirujący w centrum krąg.

— Ostatni krąg piekieł — uśmiechnął się Bibl — mimo wszystko trzeba go przejść. Rozdzielimy się, Kep. My zapoznamy się ze wspomnieniami i pragnieniami. Sny, jak przypuszczam, są nam niepotrzebne, a Mały z Alikiem zbadają wyobrażenia. Alikowi ich nie brakuje. Spotkamy się tutaj mniej więcej za godzinę. Złota bania — to określenie Alikowi się udało — proponowała, aby ustalić czas opierając się na naszych ziemskich przyrządach. — Popatrz na zegarek: — U mnie jest dziesiąta rano.

Bibl i Kapitan przecięli krater. Do najbliższej ściany, biegnącej pod kątem w górę, ku podobłocznym wysokościami, było nie więcej niż trzydzieści metrów. Ale mimo jaskrawości jej nasyconego fioletu znowu nie mogli określić, z jakiego tworzywa ją wykonano: ściana rozsunała się przed nimi jak kurtyna, a wyciągnięte ręce napotkały tylko powietrze. Zresztą nie to przyciągnęło ich uwagę. W przejściu, które pojawiło się w ścianie, odsłonił się przed nimi niezwykle i oryginalny widok,

Rozszerzając się ku górze przewróconym i rozciętym pionowo stożkiem, w trochę przyćmionym świetle niezbyt jaskrawego słońca, piętrzyły się przezroczyste, szkliste poziomy, prawie niewidzialne na większej wysokości. Nawet z bliska trudno się było zorientować, co to takiego. Ale jeżeli przypatrzyło się im uważnie, można było dostrzec niby szklane, zamknięte prostopadłości o objętości jakichś czterech metrów sześciennych, zawierające ludzkie ciała rozpostarte nieruchomo w powietrzu. Dzięki miedzianemu odcieniowi skóry od razu można było rozpoznać Hedończyków, którzy w porównaniu z małymi mieszkańcami Błękitnego Miasta wydawali się prawie olbrzymami. Przy jednakowej budowie ciała tylko brodate, obrośnięte twarze pozwalały z daleka odróżnić mężczyzn od kobiet, a policzyć ich było prawie niemożliwe.

— Około stu tysięcy — stwierdził Bibl.

— Skąd to wzięłeś? — z powątpiewaniem zapytał Kapitan. — Z sufitu?

— Ależ skąd. Proste obliczenie. Ilu z trzech milionów dojrnie do Nirwany? Jedna piąta, może jedna szоста, nie więcej. Należy założyć, że jakieś pół miliona. A ile jest stopni? Pięć. A więc tutaj jest ponad sto tysięcy. Chyba niewiele się pomyliłem.

Nagle ciała zaczęły się poruszać. Wyginały się, przewracały, wymachiwały rękoma i nogami, wykręcały się dziwnie, składały się wpół i znowu prostowały. Kapitan przypomniał sobie opowiadanie Alika o gimnastycznych ćwiczeniach w fotonowym gazie i wyjaśnił:

— Grawitacyjny masaż. Niszcząc świadomość, w taki właśnie sposób podtrzymują sprawność mięśni. Najprawdopodobniej to samo ma miejsce i na ostatnim stopniu, kiedy świadomość całkowicie się wyłącza. Inaczej niemowlaki z Zielonego Lasu okazałyby się półtrupami.

W obrazie tysięcy wijących się ciał było coś z ilustracji Gustawa Dore do „Boskiej Komedii”. Raz już pokazywano im takie realne piekło Dantego na planecie DZ w gwiazdozbiorze Cefeusza, wykorzystawszy w tym celu książkę zabraną przez Bibla. Ale tam miało to przerazić przybyszów, podczas gdy tutaj w obrazie kopiującym Dorego nie było niczego strasznego.

— Wspomina pan, Kep? — domyślił się Bibl. — Może pan skorzystać z wolnych kabin, przeznaczonych zapewne dla następnych z pierwszego stopnia szczęśliwości.

Kapitan popatrzł na rząd pustych szklanych skrzynek i uśmiechnął się:

— Byłoby co wspominać, prawda, Bibl? Niekoniecznie straszne chwile. Były również szczęśliwe dni w naszym życiu. Tylko czy warto ożywiać to, co umarło dawno i bezpowrotnie.

Przeszli obok pustych kabin w kierunku najbliższej liliowej ściany. Wijące się ciała znowu zawisły nieruchomo.

— Ciekawe, jak ich odżywiają i przekazują informacje? — zainteresował się Bibl. — Nie widać ani rurek, ani przewodów. Przy tej technice mogli wykombinować systemy bezprzewodowe. Zresztą to nieistotne.

Święty wierzchołek przewróconego stożka przeszli w ciągu kilku minut. Liliowa ściana

rozchyliła się, jak przy wejściu, i znowu ręce napotkały tylko powietrze. A widok, który rozpostarł się przed ich oczyma, dokładnie przypominał ten, który widzieli przed chwilą. Takie samo mnóstwo brązowych ciał w szklistych kabinach uciekających w górę przewróconą połówką stożka, liliowe słońce nad głową i rozplływający się mrok znikających przegródek.

— Stopień niespełnionych pragnień — zamyślił się Bibl. — Pobity „biczem” słabeusz bije siłacza. Mag staje się ksorem, a ksor przeradza Się w sirga. A może coś pomyliłem: w każdym razie marzenia pasożytów nas nie interesują, Kep. Chciałbym zaryzykować. Miałem w młodości jedną małą koncepcję, której nie można było sprawdzić. — Zrzucił kurtkę i wskoczył do najbliższej skrzynki. Szkło, czy coś innego, przepuściło go, tak jak otwierają się drzwi do pokoju. — Niech się pan nie boi! krzyknął, układając się w przestrzeni. — W ostateczności proszę mnie wyciągnąć za nogi po dziesięciu minutach.

Wszystko to rozegrało się tak szybko, że Kapitan nawet nie zdążył otworzyć ust. Usiadł w pojawiającym się nie wiadomo skąd, charakterystycznym dla Hedony fotelu, i z niepokojem spoglądał na zawieszzonego w powietrzu Bibla. Bibl był spokojny, nieruchomy i milczący.

Minęło pięć minut, sześć... dziewięć. Bibl wciąż wisiał, nie dając znaku życia, wyciągnięty w swoim przezroczystym pudełku. Kapitan denerwował się. Podszedł bliżej. Dziesięć minut. Przesunął ręką poprzez szkło — które okazało się zupełnie nie szkłem, ale może zagęszczonym powietrzem lub polem ochronnym o nieznanym charakterze i mocy — trudno byłoby zastanawiać się, czy posiada ono masę — i schwycił Bibla za nogi. Ciało towarzysza wysunęło się na podłogę lekko, zupełnie jakby utraciło swą normalną wagę i Bibl ocknął się kłęcząc na swojej rzuconej na podłogę kurtce.

— Nieźle — powiedział. — Myślałem, że nigdy już nie wrócę.

— Skąd?

— Długo by opowiadać — westchnął Bibl, ubierając się. — Pomówimy o tym po powrocie na stację. Jakże to wszystko było realne! Nie miało nic wspólnego ze snem.

Kapitan nie nalegał. Zapytał tylko:

— Gdzie to było? Na Ziemi czy w kosmosie?

— Na Ziemi. — Bibl znowu westchnął. — Dziwne. I straszne. Bardzo straszne. Wie pan co, trzeba poszukać chłopców. Dobrze, że mnie pan na czas wyciągnął. Żeby tylko i ich nie trzeba było skądś wyciągać. Takie eksperymenty to igranie z ogniem!

Przejście na następny „stopień” było takie samo, jak poprzednie. Nieprzezroczysta ściana o nieokreślonej masie, mgła czy kurtyna, wszystko identyczne. Ale widok, jaki ukazał się przed nimi, był już inny.

W takim samym stożku, na takich samych powietrzno-szklanych poziomach, znajdowały się tysiące takich samych nagich ciał. Ale nie wisiały one rozpostarte nieruchomo na zagadkowej pustce. Gestykulowały, siedziały, leżały, poruszały się z miejsca na miejsce, przypominając tłum; na dużym dworcu albo na nadbrzeżu, kiedy przybija transatlantyk. Był jednak pewien szczegół, który zakłócał to podobieństwo. Nie liczebność tych krzątających się w powietrzu tłumów, nie wzrastająca z każdym poziomem liczba osób i nawet nie brak odzieży — takie zgromadzenia] można zobaczyć i na plażach — nie, uderzał brak kontaktu, całkowity brak porozumienia jednego człowieka z drugim. Każdy z nich istniał i ruszał się sam dla siebie, nikt nie potraçał drugiego, zupełnie jakby] każdego z nich chroniła jakaś niewidzialna powietrzna przegroda. Zderzając się, odskakiwali od siebie, jak dziecinne samochodziki w lunaparkach, odskakiwali nie dotykając się nawzajem, jakby odrzucał ich niewidzialny, powietrzny zderzak.

— Rozumie pan coś z tego? — spytał oszołomiony Bibl.

— Szukam Małego i Alika — tylko do takiej odpowiedzi ograniczył się Kapitan. Nie miał ochoty myśleć o tym szaleństwie.

Małego i Alika odnaleźli, przeszedłszy kilkadziesiąt metrów. W swoich niebieskich kurtkach kontrastowali z otaczającymi ich nagimi ciałami. Znajdowali się oni, najwidoczniej, w jednej nieoddzielonej przestrzeni, ponieważ poruszali się zgodnie, nie odpychając się, nie przechodzili

obok siebie obojętnie i nawet rozmawiali, choć w świątynnej ciszy stożka nie było słycać ich słów. Wyglądało to, jakby odgrywali jakąś pantomimę: gdzieś szli, coś oglądali, Mały podskakiwał, próbując uchwycić coś w powietrzu, Alik przebiegał kilka metrów i wracał, pokazując coś, co przyniósł, chociaż niczego nie było widać — tylko powietrze i nie zwracający na nich uwagi czerwonoskórzy ludzie.

— Pantomima — zauważył Bibl — i to na określony temat. Tylko sens niejasny.

— Wcale go nie będziemy wyjaśniać — stwierdził Kapitan i ruszył pomiędzy krzątającymi się w pobliżu Hedończykami, którzy nie rozstępowali się, ale i nie przeszkadzali mu w przejściu.

Bibl ruszył jego śladem. To samo. Szedł naprzeciwko ludziom, a oni cofali się, zbaczali, nie widząc go. Kapitan tymczasem złapał już za kołnierz Małego, który stał ze szklistym wzrokiem lunatyka.

— Niech pan bierze Aliką, i do wyjścia. Nie będzie stawiał oporu. Jeszcze jest w transie — powiedział Kapitan i popychając Małego, wyszedł na wolną przestrzeń koło liliowej ściany.

Dopiero tutaj spojrzenie Małego ożywiło się.

— Kep? — zdziwił się. — Ty tutaj?

— A kto? Zgłupiałeś, czy co?

— Można zgłupieć.

Alik również się ocknął. Spojrzał wokoło, poznał kolegów, i coś zbliżonego do uśmiechu wykrzywiło mu wargi.

— Halucynogenne powietrze — westchnął. — Widzieliśmy z Małym takie rzeczy...

„Takie rzeczy, takie rzeczy” — Mały zaczął go przedrzeźniać. — Wpakowałem się w twoją zabawę i po co?

— Może powiesz, że to nie było ciekawe? Przecież obaliliśmy teorię Einsteina. Przeszliśmy pętlę. Wyobrażacie sobie, co może się stać, jeżeli Prędkość cząsteczek elementarnych przekroczy prędkość światła?

— Poczekaj, chłopie — przerwał mu Kapitan. — Bibl też widział to i owo. Opowiecie w domu. Trzeba się spieszyć. A na ostatnim stopniu, jak myślę, nie mamy nic do roboty. O, już i Fiu się objawił.

Śruba krateru wyniosła Fiu na powierzchnię. Jak poprzednio był niewzruszony, cichy i nie zdradzał zaciekawienia. Wyprowadzając gości na skraj czarnej pustyni, dawał im ostatnie wskazówki:

— Z Nauczycielem spotkacie się tak, jak się umówiliście. Tylko nie zdejmujcie hełmów podczas rozmowy. To dla nas nadzwyczaj ważne. Wiele dyskutujemy i myślimy o waszych słowach.

— A jeżeli już się nie zobaczymy? — zapytał Kapitan.

— Musimy się zobaczyć. Przecież jest sposób, wystarczy tylko nas wezwać.

— Hełmy?

— Hełmy. Sygnał zostanie przyjęty o dowolnej porze.

ROZDZIAŁ II

OPOWIADANIE BIBLA. W ŚLAD ZA ALICJĄ.

Pierwszy opowiadał Bibl.

— Kiedy przeszliśmy przez drugą salę, nie myślałem o eksperymencie. Nie podniecały mnie marzenia magów i sirgów. Ale, najwidoczniej, jednakowa dostępność, zagadkowość otwartych drzwi w nieznane, nasunęły mi jedną koncepcję. Właściwie przypomniały mi ją — po raz pierwszy pomyślałem o tym jakieś dziesięć, dwanaście lat temu. Jeszcze nie pracowałem w Służbie Kosmicznej, prowadziłem wykłady i pisałem książki — no, po prostu zajmowałem się tym, czym zazwyczaj zajmują się młodzi, dobrze zapowiadający się naukowcy. Nie miałem wtedy jeszcze ani jednego siwego włosa, ani specjalnych niepokojów, czy zmartwień, ot dwanaście godzin pracy i zagwarantowane prawnie życie na luzie w czasie kolejnego weekendu.

To było w lecie — w czerwcu czy w lipcu. Już w piątek wieczorem zaczyna człowieka ogarniać chęć wyruszenia na brzeg morza, czy nad jakieś jezioro. Właśnie w jeden z takich piątków zadzwonił do mnie Oleg, Mały go pamięta, wtedy jeszcze pasjonował się bezśmigłowymi helikopterami.

„Jedźmy do Roberta — zaproponował. — Ma dom w Mieszczorze. Nie w rezerwacie, lecz obok, w wiosce. Jedzie się parę minut, a przyjemności całe trzy dni: w poniedziałek przecież nie masz wykładów. U Roberta wszystko jest, jak trzeba: stół i domek — pomnik starej architektury drewnianej, kupa nowych obrazów na kolejną wystawę i żadnych kobiet, oprócz gospodyni. Pójdziemy na ryby, poopalamy się, zagramy roberka. Ja, ty, on i Hofman ze służby zdrowia”.

— A co to takiego roberka? — spytał Alik.

— Była kiedyś taka gra — odpowiedział Mały — teraz już zapomniana.

— Do Roberta dostaliśmy się śmigłowcem w ciągu pół godziny — kontynuował Bibl. — „Pomnik dawnej architektury drewnianej” okazał się normalną, rosyjską chatą, jedną z niewielu, jakie ocalały w wiosce. Dobę spędziliśmy nad Czarnym Jeziorem w rezerwacie, a pod wieczór w niedzielę siedliśmy do roberka. Przyznam się szczerze, że nie bardzo lubiłem w ten sposób zabijać czas, ale przecież trudno mi było wykręcać się od gry, skoro się już na nią zgodziłem.

Siedzieliśmy w dużym, na wpół pustym pokoju, oklejonym jadownicie zielonymi tapetami. Robert domyślił się, że trzeba je poprzykrywać, porozwieszał więc gdzie tylko można swoje obrazy malowane w stylu późnego impresjonizmu, który wtedy zaczynał wchodzić w modę. W kącie stały byle jak złożone blejtramy i zwinięte w rurkę płótna, a przy oknie, bezpośrednio na tapetach, wymalowane były wąskie drzwi — zrobione „pod drzewo”, czerwono-brązowe, z oczkami sęczków na framugach, nawet z nierównymi zaciekami farby. Wydawało się, że nie zdążyła jeszcze wyschnąć, lekko połyskiwała jak żywica na sośnie. Jakże myląca może być niekiedy gra światła: moja dłoń napotkała tylko szorstką warstwę olejnej farby na gładkiej powierzchni zielonych tapet.

„To także na wystawę? — spytałem z ironią. — Do działu fresków i witraży?”

„To nie ja — odparł obojętnie Robert. — Zostało po poprzednim lokatorze”.

„Też malarz?”

„Nie, uczony. Zdaje się, że fizyk. Pracował w jakimś instytucie, a tu — wypoczywał. Oczywiście, po swojemu: pół na pół z nauką. Tutejsi mówili, że ciągle szukał drzwi do antyświata”.

„No i znalazł — roześmiał się Oleg — zupełnie niezłe, tyle że się nie otwierają”.

„Dlaczego nie otwierają się? — Robert mówił poważnie, tylko oczy mu się śmiały. — Raz się otworzyły”. „Kiedy?”

„Kiedy się zdecydował popatrzeć na ten swój antyświat”.

„No i co zobaczył?”

„Nie wiem. Nikomu o tym nie opowiadał”.

„Gadanie”.

„Być może — Robert wzruszył ramionami i dodał niechętnie: — Zginął w katastrofie lotniczej trzy miesiące temu”.

Zamilkliśmy. Karty zostały rozdane. Popatrzyłem: blotki. Pas, powiadam, a z głowy nie wychodzi mi dopiero co usłyszana historia. Dziwny przypadek uczonego, który otworzył i zamknął okno do antyświata. Anegdotka wymyślona przez miejscowego dowcipnisia albo sprytną gospodynię letniska: przecież pokój z tajemnicą. Wart jest więcej. A jeżeli gospodyni nie skłamała? Może uczonego rzeczywiście otworzył te narysowane drzwi? I jak otworzył? Kluczem? Bzdura. „Co się z tobą dzieje?” — spytał Robert. „Zaintrygowaneś mnie tymi drzwiami. Nie bujałeś?” „Wersja gospodyni — obraził się malarz. — Chcesz, to wierz, nie chcesz, nie wierz”. „A co ona mówi?” Robert odłożył karty i zamyślił się.

„Lokator tego dnia nigdzie nie wychodził, z samego rana zamknął się na klucz, rozmawiał sam z sobą, a potem ucichł. Gospodyni woła na obiad, a on milczy. No to ona swoim kluczem otworzyła drzwi, patrzy, a w pokoju nikogo nie ma”. „Może wyszedł przez okno?”

„Wątpliwe. Okna wychodzą na podwórko. Od razu by zobaczyła”. „Gdzie się więc podział?” — pytam.

Robert tylko ręce rozłożył. Dziwna sprawa, powiada. Okazuje się, że gospodyni znowu zajrzała do pokoju. A on tam we własnej osobie. „Co z panią się dzieje, wygląda pani tak, jakby pani ducha zobaczyła!” A ona do niego: „Nie wstyd to panu starej kobiecie takie figle płać. Gdzie się pan, mój drogi, schował?” A on się uśmiecha. „Nigdzie, powiada, na spacer poszedłem”. — „Przez okno?” — pyta gospodyni, a ten się już śmieje. „Po co?” — powiada. — „Przez drzwi”. I pokazuje na ścianę, na której narysowane są drzwi. „Te?” — pytam.

„Niezupełnie. Tamte były bledsze. Tylko kontur zaznaczony. Ni to węglem, ni to atramentem. Potem je poprawiłem, żeby lepiej wyglądały”.

Robert zamilkł. Trudno było zgadnąć, żartował, czy też rzeczywiście wierzył w historię otwierających się drzwi w ścianie, za którą — wszyscy o tym wiedzieli — szumiał wilgotny od rosy ogródek i widniała wydeptana w trawie ścieżka, którą sami szliśmy jakieś pół godziny temu.

Właśnie przypomniła mi się ta historyjka i moja natrętna myśl: o wellsowskiej furteczce w ścianie, za którą znajduje się przymglony kraj dzieciństwa, niewyraźny świat bajek i mitów, nie podporządkowany trzeźwym ortodoksom i oschłym ludziom. I kiedy przechodziliśmy z panem, Kep, koło tych szklanych czy nieszklnych pudełek, nagle się zdecydowałem: zaryzykuję! Może właśnie teraz podarują mi to wejście do antyświata i będę w stanie powtórzyć doświadczenie nieznanego uczonego z Mieszczory. Skoczyłem do pudełka — pamiętam pański zaskoczony wyraz twarzy, Kapitanie — wyciągnąłem się wygodnie w powietrzu: wiszę, nie spadam. Zamknąłem oczy i natychmiast, bez zaćmień i niejasności, zobaczyłem wszystko takie, jakie było wtedy: pokój z jadowitozielonymi tapetami, bohomy Roberta na ścianach i brązowo żyłkowane drzwi w ścianie. Już przestałem być Bibelem z Hedony, żyłem tylko tą niespokojną chwilą.

„Co na stole?” — usłyszałem głos Hofmana.

„Siódemka i dziewiątka”.

Odsunąłem krzesło i wstałem.

„A ty dokąd?” — pytają mnie.

„W antyświat” — odpowiadam.

„Ukłony dla dziewczyn z antyświata”.

„Nie omieszkać przekazać” — śmieję się i lekko popycham drzwi tam, gdzie narysowana jest klamka. Drzwi, a może mi się to tylko wydało, poddały się naciskowi i zupełnie jakby ktoś

mnie popchnął z tyłu, zrobiłem krok do przodu, odczuwając ten nieprzyjemny chłodek w żołądku, jaki zawsze pojawia się w chwili, gdy winda gwałtownie opada w ciemny szyb. Pomyślałem sobie, że właśnie wszedłem do takiej ciemnej i pustej windy, a może po prostu przymknąłem ze strachu i zdziwienia oczy: moje ciało niewytłumaczalnie lekko przeszło przez ścianę, zupełnie jakby rzeczywiście otworzyły się drzwi do drugiego pokoju. A przecież wiedziałem, że żadnych drzwi za tymi bazarowymi bohomazami na tapetach nie było.

Otworzyłem oczy, odwróciłem się i popatrzyłem na siebie. Drzwi, jak drzwi. Halucynacja. Chłopaki za stołem siedzą przy kartach. Przetarłem oczy, podszedłem do stołu i usiadłem.

„No i jak tam w antyświecie?” — spytał Oleg.

„Nie najgorzej — mówię — tylko ciemno i cicho”.

„I drzwi się otwierają?”

Nie odpowiedziałem. Przecież wiedziałem, że popchnąłem narysowane drzwi i one się otworzyły. Otworzyły się i zatrzasnęły, kiedy przekroczyłem wyrysowaną framugę. Myśl o halucynacji odrzuciłem: nie jestem zarejestrowany u rejonowego psychiatry. Wszystko wokół mówiło, że była to tylko gra wyobraźni, chwilowa luka w świadomości, sen na ja wie. Wszystko — i krzew dzikiej róży za oknem, i kapryśna gra światła na Podłodze, i dudniący baryton Hofmana: „Na waleta weźmiemy, ale dziewiątkę trzeba będzie oddać”, i podziwkiwanie naczyń w połowie domu, którą zajmowała gospodyni, wszystko to upewniało mnie, że otoczenie się nie zmieniło. Ale coś mnie jednak powstrzymywało, niepokojącym dysonansem wdzierало się w znajomy obraz letniego podmoskiewskiego poranka. W żaden sposób nie byłem w stanie pochwycić owego „czegoś” — i mimo woli byłem rozdrażniony, jak człowiek przypominający sobie zapomnianą melodię. Ta drażniąca melodia lgnęła do mnie, brzęczała jak uprzykrzony komar i... nagle zadźwięczała, napełniając cały pokój ogłuszającym dźwiękiem.

Przypomniałem sobie: w tamtym pokoju były inne tapety.

I natychmiast wszystko umilkło, jak film, w którym niezręczny kinomechanik wyłączył dźwięk. Bezdźwięcznie poruszało się wahadło starego zegara ściennego, bezdźwięcznie otwierały się i zamykały usta Olega, bezdźwięcznie kołysała się firanka w oknie, i kosmaty trzmiel, tak samo bezdźwięcznie obijał się o ścianę, oklejoną innymi tapetami.

Tamte były jaskrawozielone ze wzorkiem w złociste rumianki i z nierównym szlaczkiem pod sufitem. Przyjrzałem się im i zapamiętałem je wtedy, gdy stałem przed narysowanymi drzwiami, powtarzając bajkowe „Sezanie, otwórz się!”. I „sezam” mnie nie zawiódł, rzeczywiście przeszedłem do antyświata oklejonego z czterech stron brudnoróżowymi tapetami. Wszystko inne było, jak dawniej i wszystko to było tak nieprawdopodobne, że mimowolnie roześmiałem się głośno.

— Co się z panem dzieje? — spytał Hofman.

Dźwięk włączył się znowu. Znowu mogłem słyszeć i mówić. A jeżeli siedzący za stołem nie są wcale tymi, z którymi rozmawiałem za narysowanymi drzwiami? Jeżeli razem z tapetami zmieniły się również ich imiona, upodobania i zawody? Pytał mnie Hofman i od niego rozpocząłem mój sprawdzian.

„Drobiazg — powiadam — zakłuło w sercu. Wszystko w porządku... doktorze”.

Ale myślę: zaraz się zdziwi i powie: „Co pan, oszalał? Jakiż ze mnie doktor?” Milczę, czekam. On zaś leniwie, wcale się nie dziwiąc, wyjmuje z kieszeni ten swój przyrząd i mówi: „Zaraz sprawdzimy, co to za klucie. Niech pan da rękę”.

Aha, myślę, nie omyliłem się: to Hofman i zawód ma ten sam. Robert chyba też: leżące w kącie płótna i blejtramy potwierdzają to. Tylko mniej obrazów na ścianie.

Hofman przyłożył ten swój aparat do mego przegubu, potem do piersi, najpierw z prawej strony, potem z lewej i wyraźnie zaskoczony, powiedział:

Pan, przyjacielu, okazuje się, jest fenomenem. Serce ma pan nie z prawej strony, ale z lewej”.

Odpowiedziałem, że to właśnie jest normalne, co wywołało ogólny śmiech i sarkastyczną uwagę Hofmana na temat mojej, łagodnie mówiąc, skłonności do żartów. Zamilkłem, pojawił się, że mimo wszystko to ja jestem nienormalny w tym cholernie normalnym świecie, w którym prawe stało się lewym, a lewe prawym. Jak odbicie w lustrze. Tylko to ja sam jestem tym odbiciem, a mój lustrzany oryginał znajduje się w analogicznej sytuacji: musi się tłumaczyć tym samym ludziom, przy tym samym stole, na tym samym miejscu. Po prostu zamieniliśmy się miejscami w dwóch identycznych w każdym szczególe bytach. W jednej i tej samej przestrzeni, ale po przeciwnych stronach zwierciadła. Nawet czas biegnie u nas tak samo.

„Która godzina? — pytam.

„Piętnaście po ósmej”.

Co do minuty. Czyż mogło być inaczej? Dwa filmy wydarzeń są identyczne w każdym kadrze. Jednocześnie wstaliśmy od stołu, jednocześnie otworzyliśmy drzwi, jednocześnie przeszliśmy przez czarne „nic”, zero-przejsście, czy jak tam to zwać. W tym łańcuchu logicznym brakowało jeszcze jednego ogniwa.

Powoli wstałem z krzesła.

Tamten, najprawdopodobniej, również wstał, napotykał zdziwione spojrzenia kolegów.

„Znowu do antyświata?”

„Dlaczego anty? Do swojego świata”.

On, zapewne, również to powiedział, również niespiesznie podszedł do ściany, pogłaskał chropowatą powierzchnię tapet, popchnął drzwi i skoczył w pustkę.

W tym momencie, zupełnie jak dziecko, zamknąłem oczy i usłyszałem gniewny głos Roberta:

„Co się tak miotasz tam i z powrotem? Jeżeli nie chcesz grać, to powiedz”.

Bajka się skończyła. Cudowny kraj Za Lustrem pozostał za ścianą, oklejoną jadowicie zielonymi tapetami. Alicja wróciła do siebie, zamykając za sobą cudowne drzwi.

A może drzwi wcale nie było? Może to wszystko tylko mignęło w mojej wyobraźni i rozwiało się jak dym z papierosa? Zresztą i to można sprawdzić. Jeżeli światy lustra są rzeczywiście identyczne, to nietrudno się domyślić, o czym mówił mój „anty-ja” kilka minut temu.

„A więc gdzie mam serce? — powiadam. — Po lewej, czy po prawej stronie?”

Oleg wymownie nakreślił kółko na czole:

„Znowu o tym samym. To już nudne”.

Ukradkiem obejrzałem pokój i odniosłem jakieś dziwne wrażenie. Coś się w nim przez te kilka minut zmieniło. Wyglądało na to, że ubyło płócienną kację, pojawiły się sztalugi z nie wykończonym pejzażem, i zielone tapety jakby wyblakły. Popatrzyłem na drzwi, na zagadkową „furtkę w ścianie” i poczułem, że opada mi szczeka. Drzwi nie były wymalowane „pod drzewo” z oczkami sęczków na framugach, lecz tylko nakreślone węglem na zielonych tapetach.

„Robert — powiedziałem, rzucając karty — czyś ty nie pomalował tych drzwi?”

„Ciągle się do tego zabieram — uśmiechnął się — ale czasu mi nie starcza”.

„Trzech miesięcy?” — spytałem nie bez ironii.

A on odpowiada:

„Jakich miesięcy? Dopiero tydzień temu wynająłem tę chatę”.

Niczego nie byłem w stanie zrozumieć. Nabierają mnie, czy... czy to jeszcze jedno Zalustrze z tymi samymi osobami. Przypomniałem sobie prostą sztuczkę, którą nieraz wykonywałem w dzieciństwie. Stawiało się dwa lustra jedno przed drugim i powtarzały nawzajem swój obraz dziesiątki razy. Jeżeli patrzyło się dość długo, dziesiątki przekształcały się w setki, w połyskujący korytarz odbić, w którym, być może, nie wszystkie były do siebie podobne. W każdym wypadku zmęczone oko czegoś nie mogło dostrzec, coś opuszczało. Czy nie zdarzyło się to właśnie teraz?

Zdecydowałem się sprawdzić. Spytałem Olega:

„Jesteś w gruncie rzeczy fizykiem?”

„Dlaczego w gruncie rzeczy?”

„Nie czepiaj się słów — powiadam. — Istnieje hipoteza o lustrzanej symetrii praw przyrody?”

„Coś w tym rodzaju. Prawa się nie zmieniają, jeżeli zamiast samego siebie weźmiemy swoje lustrzane odbicie. Ale dlaczego cię to interesuje? j Przecież jesteś socjologiem?”

Nie odpowiedziałem mu, tylko pytałem dalej:

„Jeżeli jakieś zjawisko istnieje w naszym świecie, to czy możemy teoretycznie przyjąć jego odbicie w lustrze jako istniejące samodzielnie?”

Oleg uśmiechnął się pobłaźliwie:

„Jeżeli opuścisz w teatrze lustrzaną kurtynę, to otrzymasz dwie widownie, przy czym każda z nich będzie uważać tę drugą za swoje odbicie”.

„A gdy ustawię kilka zwierciadeł, to uzyskam kilka odbić?”

„Ile tylko zechcesz. Pod dowolnymi kątami, nawet skrócone i asymetryczne. Przejście od jednego do drugiego, jeżeli wymyślisz coś takiego, możesz nazwać złożoną inwersją”.

„Kończcie tę gadaninę — przerwał Robert — fantasta może się przespacerować do swoich dziewczyn z antyświata. Rozdawaj, Hofman”.

Wolno poszedłem w stronę tajemniczych drzwi na brudnych tapetach. Co je otwiera? Wiara w Niezwykłe? Śmieszne pragnienie czynienia cudów? Hipnoza czy telepatia? A może ich mechanizm nastawiony jest na moje biopole? Albo jestem po prostu chory i potrzebna mi pomoc okulisty lub psychiatry? Nie wiem i nie podejmuję się tego rozstrzygać.

Pograżony w takie myśli szedłem, wiedząc, że idę śladem mego poprzednika. Przeszedł za Alicją całą krainę cudów, a ja jestem dopiero na początku drogi. Ile światów luster będę musiał jeszcze minąć, zanim nie odnajdę swego — jedyne i неповtarzalne. Idę i myślę: przecież wreszcie znalazł swój, a więc znajdę i ja. Otworzyłem znowu skrzypiące nie istniejącymi zawiasami, nigdy nie istniejące drzwi, stąpnąłem w mrok i okazało się, że klęczę koło szklanego pudełka na Hedonie.

— A więc „stopień” zadziałał. Mag stał się sirgiem — stwierdził Kapitan.

— Nie wiem, kto kim. Jedno jest pewne: opanowali całkowicie mechanizm materializacji wspomnień i wyobrażeń. Zdziwiający realizm. W najdrobniejszym szczególe.

— Z nami było tak samo — powiedział Alik.

ROZDZIAŁ III

CO ROBILI MAŁY I ALIK. PĘTLA.

Z Małym i Alikiem działo się, co następuje:

Najpierw ich zdziwiły, a nawet rozśmieszyły nagie ciała wiszące w powietrzu jak jabłka na drzewie. Ale potem zaczęli się nudzić.

— Wymyślmy coś, dobrze? — zaproponował Alik.

Mały ziewnął.

— Co?

— Może jakiś problemik rozwiążemy w nowy sposób?

— Jaki?

— Powiedzmy, poprawkę do teorii Einsteina.

— Zgłupiałeś?

— A dlaczego by nie? Załóżmy, że są cząsteczki, których prędkość przewyższa prędkość światła. Co?

— Co „co”?

— W czasie praktyki pracowałem w Ameryce przy jednym akceleratorze — wyjaśnił zamyślony Alik. — Ulokowany był na skalistym terenie w małym nadmorskim miasteczku. Nowe założenia konstrukcyjne, szczególnie w zakresie przyrostu pola magnetycznego i częstotliwości pól elektrycznych, pozwalały doprowadzić jego moc do niesłychanej jeszcze do niedawna energii trylionów wolt i jednocześnie bardzo zmniejszyć jego rozmiary i wagę. W porównaniu ze swymi gigantycznymi przodkami, ten z łatwością można było ustawić na boisku hokejowym. Teraz mamy podobny na Wałdaju. Właśnie tam można osiągnąć już nie „pod”, ale nadświetlne prędkości.

— Do tej pory ich nie osiągnięto.

— Wyobraź sobie, że pracujemy przy takim akceleratorze. Tylko uważnie śledź moją myśl. Mam jeden mały pomysł wspólnego projektu. Znasz tę aparaturę? Możesz sobie wyobrazić?

— Załóżmy.

— No to wyobrażaj sobie. Noc. Jesteśmy razem na sobotnioniedzielnym dyżurze przy pulpicie. Ja, powiedzmy, jestem fizykiem eksperymentatorem, mam obserwować kaprysy materii przy prędkościach podświetlnych, a ty jesteś inżynierem mechanikiem, który kontroluje działanie całej aparatury zespołu. Jasne?

Światło zgasło i zapaliło się znowu, przesunawszy i czas, i przestrzeń. Teraz byli obaj przy głównym pulpicie akceleratora, sterującym prędkościami cząsteczek elementarnych. Normalne prędkości podświetlne już nie zadawały eksperymentatorów i próbowali oni, jak do tej pory bezskutecznie, przekroczyć ograniczoną przez Einsteina wartość trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Zaledwie trylionowe części tej minimalnej w naszej codziennej praktyce jednostki czasu oddzielały wskaźniki prędkości od tej ostatecznej granicy, za którą przedrostek „pod” przekształcał się w „nad”. Takie przekształcenie, jak do tej pory, jeszcze nie miało miejsca, ale jeden z twórców akceleratora był niewzruszenie przekonany, że wreszcie ono nastąpi. Odkrył już sześć nowych cząstek elementarnych, które oznaczył dużą literą „T” z numerem porządkowym od jednego do sześciu, ale wszystko to były cząsteczki epoki podświetlnej. Nowa, poszukiwana cząsteczka T powinna pojawić się poza jej obrębem, kiedy to drżące wskazówki liczników prędkości przekroczą upragnioną granicę. W tym też celu tej nocy z soboty na niedzielę jeszcze bardziej zwiększono moc akceleratora.

Wszystko biegło normalnym torem. Mały i Alik nigdy nie pracowali w Służbie Kosmicznej, nigdy nie byli na Hedonie i nie znali innych obowiązków oprócz tych, które spełniali podczas dyżuru. Jak zawsze brzęczał zespół automatycznych przyrządów, i jak zawsze w klimatyzowanym powietrzu sali gromadziła się nuda. Cudu nie było.

— Wcale go nie będzie — stwierdził Mały, po dokonaniu kolejnego obchodu automatyki. — Nie wierzę w poprawki do Einsteina.

— A tachion? — spytał Alik. — Gdzie jest ten twój tachion?

— Nie mój, lecz Geralda Feinberga. Przepowiedział jego ruch z prędkością nadświatłą ze czterdzieści lat temu.

— Przepowiedział, to nie znaczy, że odkrył.

— Neptuna też najpierw przepowiedziano, ale nie odkryto. Pomiedzy planetą a cząsteczką elementarną nie ma w danym przypadku różnicy: obie zostały uznane za istniejące, zanim zostały odkryte.

Mały, nawet nie odpowiadając, zagłębił się w rozwiązywaniu zadania szachowego — mata w dwóch ruchach. Alik leniwie go obserwował: Mały nagle zaczął wiercić się na krześle, zerwał się, upuścił króla na podłogę, powoli postawił go z powrotem, posiedział nad szachownicą i wstał z westchnieniem.

— Również istnieje, ale nie odkryty — powiedział.

— O czym mówisz? — spytał Alik.

— O decydującym ruchu. Przyszło olśnienie i zgasło, jak żywot twojego tachiona. Trylionowe części sekundy. Może dlatego, że oczy mi się kleją.

— Napij się piwa.

— Ciepłe piwo piję tylko na polecenie lekarza. — Mały z obrzydzeniem popatrzył na plecaki, rzucone koło pulpitu. Po zakończeniu dyżuru planowali wycieczkę na brzeg morza. — Najprawdopodobniej w projektowaniu akceleratora brali udział chorzy na wrzody żołądka i abstynenci.

— Dlaczego?

— Bo nie przewidzieli lodówki na piwo i kanapki. Lepiej pójde napić się wody.

Sennie poszedł do znajdującego się w końcu sali pomieszczenia, w którym przychodzący byli poddawani działaniu oczyszczającego strumienia powietrza. Tam znajdowała się również umywalnia z zimną i gorącą wodą. Po minucie Mały wyskoczył jak z procy, przeciął salę i przestawił jakieś figury na szachownicy.

— Eureka! — zawołał zwycięsko i natychmiast wyjaśnił Alikowi: — Króla, który mi upadł; postawiłem nie na „f” lecz na „g”. Pomyliłem się, przyszło olśnienie! Tachion został odkryty.

— I dlatego zapomniałeś zakręcić kran w umywalni — powiedział Alik.

Poprzez ciche brzęczenie pracującej aparatury dobiegł szum płynącej wody. I nagle coś się stało.

Jakby, właśnie jakby — obaj nie mogli być tego całkiem pewni — nieco przygasły lampy, nieco przesunęły się zarysy otoczenia, niby odbite w lustrze, które zadrżało. Zrobiło się nieco goręcej, jakby przerwany został dopływ chłodnego powietrza.

Wszystko ucichło. Już nie jakby, a rzeczywiście umilkły przyrządy, ustała wibracja, salę wypełniła złowieszczą cisza. Obydwaj wsłuchiwali się w nią długo, nie wierząc własnym uszom, nie wierząc i nie rozumiejąc.

— Słyszysz cokolwiek? — spytał Alik.

— Nic.

— Nawet ta twoja woda już nie cieknie.

Mały bez słowa, dwumetrowymi krokami pomknął do sąsiedniego po mieszczenia. Alik, pozostając nieco w tyle, pospieszył za nim.

Wystarczyły im trzy sekundy na to, żeby zobaczyć cud.

Woda płynęła, jak poprzednio grubym, przezroczystym strumieniem, ale zupełnie bezdźwięcznie. Czy rzeczywiście płynęła? Po prostu od kranu do muszli ciągnął się gładki, nadtopiony sopel. Może po prostu zamarzała? Najprawdopodobniej o tym samym pomyślał i Mały. Ostrożnie — i nie dotknął jej palcami, pomacał tak, jak maca się coś twardego, a nie płynnego, i uderzył kantem dłoni. Strumień nie usunął się, nie rozbił, nie bryzgnął, ale zachował

swą przezroczystość i nieruchomość. Mały obejrzał się zdetonowany i coś powiedział. Alik nie usłyszał jego głosu. Nie rozległ się ani jeden dźwięk. Mały tylko poruszał ustami.

— Lód? — spytał Alik.

I również nic nie usłyszał. Mały chyba jednak zrozumiał, ponieważ poruszając wargami wyraźnie i z pauzami, tak jak w niemym filmie, odpowiedział:

— Nie wiem.

„Ogłuchliśmy, czy co?” — pomyślał znowu Alik i wskazał na uszy. Mały tylko wzruszył ramionami i z kolei wskazał na strumień — sople: o, to jest ciekawsze.

Wtedy do eksperymentu przyłączył się Alik. Dotknął strumienia dłonią: gładki, śliski, ale nie do tego stopnia chłodny, żeby uznać go za lód. Szarpnął go rękami — nie przesunął się ani milimetr. Spróbował zakręcić kran — bezskutecznie: zerwany gwint albo zaklinowało pokrętko. W tym samym momencie przypomniał sobie o scyzoryku w kieszeni, otworzył ostrze i z rozmachem rąbnął nim po zastygłym, nieprawdopodobnym strumieniu. Scyzoryk odskoczył jak od żeliwnej balustrady, a na szklistym soplu nie pojawiło się nawet zadrapanie. Nie poddał się również próbom przewiercenia go ostrzem, zadrapania czy ścięcia strużyny. Albo nie była to woda, albo zaszło coś, co zmieniło jej strukturę.

Nawet nie próbując mówić, Alik wrócił do pulpitu. Mały w milczeniu ruszył za nim. I nagle powiedział wyraźnie i słyszalnie:

— Jakoś lżej oddychać, prawda?

— Aha — machinalnie przytaknął Alik i dopiero teraz uzmysłowił sobie, że dźwięk i słuch wróciły.

Rzeczywiście łatwiej tu oddychać niż w umywalni.

— Iść też było trudno — dodał — coś przeszkadzało.

— Jakby przeciwny wiatr — potwierdził Mały.

Zrobił kilka kroków w stronę ściany, kilka razy westchnął i bezdźwięcznie poruszył ustami.

— Nie słyszę — oznajmił Alik i pokazał na uszy. Mały podszedł bliżej i krzyknął:

— A teraz słyszysz?

— Nie wrzeszcz.

— Przecież tam — wskazał na miejsce, w którym znajdował się przed chwilą — również wrzeszczałem.

Alik zamyślił się.

— Coś tłumi dźwięk. Trzeba popatrzeć, gdzie. Pójdziemy sobie naprzeciw spiralą, oddalając się od środka. Co dwa kroki odzywamy się do siebie.

Już pierwszy sprawdzian wykazał, że dźwięk rzeczywiście wygasa gdzieś poza granicami stosunkowo niewielkiej, kilkudziesiąt metrów liczącej przestrzeni, przy czym wygasa nie stopniowo, a od razu, jakby odcięty niewidzialną i nieprzenikliwą dla fal dźwiękowych przegrodą. W odległości pięciu, a niekiedy dziesięciu metrów od pulpitu można było rozmawiać, lecz kiedy zrobiło się krok do tyłu, natychmiast zmieniało się w aktora niemego filmu. I od razu trudniej było się poruszać i oddychać, zupełnie jakby naprzeciw wiał nieodczuwalny, ale silny wiatr.

— Rozumiesz coś z tego? — spytał Mały. — Co wytwarza tę granicę? Przecież istnieje. I nie tylko dla fal dźwiękowych. Widzisz ten kawałek papieru? Rzuciłem go godzinę temu, kiedy rozwijałem kanapki. Leży akurat na granicy. Zwróciłem na niego uwagę jeszcze w czasie sprawdzianu. A teraz popatrz.

Podszedł do rzuconego papieru i dotknął jego brzegu zwróconego w stronę ściany. Papier nie przesunął się z miejsca, nawet nie drgnął.

— Jak z żelaza. Nie sposób go zgiąć — uśmiechnął się Mały. — A teraz popatrz tutaj.

Dotknął drugiego, bliższego brzegu. Papier odpadł jak odcięty brzytwą, równo i bez postrzępień.

Druga połowa pozostała za niewidzialną granicą w tym samym położeniu.

Alik milczał. Mogło się wydawać, że doświadczenie z kawałkiem papieru nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Myślał o czymś innym, najwidoczniej ważniejszym. Mały, nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ramionami i jeszcze raz obszedł pulpity sterownicze, potem usiadł i zrzucił na podłogę figury szachowe.

— Cała automatyka wysiadła — powiedział. — Całe zdalne sterowanie. Zupełnie. Praktycznie biorąc akceleratora już nie ma. — Milczał przez chwilę i rzucił w przestrzeń. — I jeszcze jedno: prądu nie ma, a jednak lampki się świecą.

— Nie widzę w tym żadnej sprzeczności — odparł Alik.

— Światło bez prądu?

— Ruch każdej masy, w najkrótszym, zbliżonym do zera ułamku sekundy jest przez nas odbierany jako stan spoczynku. Wszystko jakby się, zatrzymało, w tym również i światło. Ale my je widzimy.

— Twój zbliżający się do zera ułamek sekundy zbliża się już do jedynki. — Mały demonstracyjnie postukał palcem po szkiełku zegarka. — Zegareczek idzie. Cyka.

— Ale nie tam — zagadkowo stwierdził Alik, wskazawszy głową w głąb sali.

— A gdzie? W innym świecie?

— W innym czasie.

Mały wstał i podszedł do pulpitu, za którym siedział Alik.

— Czy ty przypadkiem nie oszalał?

Alik nie odpowiedział, tylko wskazał niewielki cyferblat, na którym wskazówka lekko drżała na drugiej podziałce od zera. Mały wiedział, że zero na tym liczniku oznaczało prędkość światła, a podziałki — trylionowe części sekundy. Wskazówka, która zazwyczaj zatrzymywała o jedną, dwie podziałki przed zerem, teraz minęła je, minąwszy to, czego, minąć nie można było. „Pod” przekształciło się w „nad”.

— Prędzej niż światło — prawie nabożnie wyszeptał Mały, co już samo przez się było dla niego czymś niezwykłym. — A więc to prawda! Teraz będzie odnaleziony nie tylko T.

Alik w dalszym ciągu w zamyśleniu patrzył na drżącą wskazówkę.

— Nie wiem — odparł niepewnie. — Może „bariera świetlna” to granica z „dwoma stronami”? Może to już prędkość ujemna? Może prędkość nie wzrasta, ale maleje w miarę oddalania się od bariery?

Prawdę mówiąc, Mały niczego nie zrozumiał. Zapytał tylko:

— Dlaczego wszystko się zatrzymało?

— Wyjaśniłbym to tak... — Alik uważnie dobierał słowa. — Mówiąc w uproszczeniu: czas to linia prosta, powiedzmy, w kartezjańskich koordynatach. Na barierze świetlnej, z niewiadomych przyczyn, czas jakby się zakrzywił tworząc pętlę, odrostek od ogólnej prostej. Ta pętla zaczyna się i kończy na wykresie w jednym punkcie, w jednym momencie. No i teraz właśnie obserwujemy ten moment, mgnienie, chwilę, nazywaj to, jak sobie chcesz, jednym słowem, kwant czasu.

— Kwant to nie moment.

— Przecież mówiłem w uproszczeniu: i o wykresie, i o kwancie. Chodzi tu o najmniejszą jednostkę. Umownie: okres, który potrzebuje światło, aby pokonać średnicę jądra atomu. Albo jakiś inny okres, skąd mogę wiedzieć! Można tu przyjąć i setne, i tysięczne części tej długości. Okazało się, że czas, który jeszcze przez Łobaczewskiego uważany był za miernik wszelkiego ruchu, jakby zamierał, przybliżając się nieskończenie blisko do zera. Oto, dlaczego wszystko się zatrzymało — dla nas, oczywiście, tylko dla nas! — prąd w przewodach, wiązki protonów w akceleratorze, no i twoja woda w kranie. Po prostu: zatrzymał się czas, zatrzymał się ruch.

— Przecież my się poruszamy i nasz czas także biegnie...

— Gdzie? W cząsteczce naszego czasu, w tej właśnie pętli. Z jakichś przyczyn, wynikających z pracy akceleratora, oderwaliśmy się od podstawowego czasu i poruszamy się w swoim. Będzie to trwało dopóty, dopóki pętla się nie zamknie, nie wróci do tego samego

momentu, w którym się zaczęła. Ale jaki jest jej okres — godzina, doba, stulecie, tego określić nie potrafię. Zresztą, nawiasem mówiąc, geometryczne, przestrzenne parametry naszej pętli pokrywają się z tą częścią akceleratora, której z jakichś powodów proces nie objął.

— Przecież możemy żyć i poruszać się również i poza jego granicami? Wygląda na to, że wnosimy wraz ze sobą nasze własne pole czasowe i przestrzenne, które nazwałby temporalnym, słowem, cząsteczkę naszej czasoprzestrzeni, która funkcjonuje opierając się na własnych prawach. Nie podejmuję się określić ekstremów tego pola: najprawdopodobniej określane są one naszymi parametrami — wzrostem, pojemnością klatki piersiowej, napięciem mięśni, wagą, wilgotnością skóry.

— Ale jak możemy oddychać w ośrodku pozbawionym powietrza?

— Dlaczego pozbawionym? Przechodzimy przezeń w okresie najmniejszej prędkości poruszania się jego wyładowanych cząsteczek. Mówiąc w uproszczeniu, po prostu rozsuwamy je, a gigantyczna różnica prędkości stykających się przy tym cząsteczek powietrza nie może nie odnawiać masy spoczynku. Wymiana tlenowa jest minimalna, ale mimo wszystko pozwala oddychać.

— Jesteśmy mocni, a z wodą nie możemy sobie dać rady.

— Przecież siła nie zależy od czasu. W przeciągu dwóch, trzech wyciśniesz sztangę, ale wykonuj tę czynność godzinę, to co ci z wyjdzie? Podchodziliśmy do zastygłego strumienia z miarami czasu, a należałoby przezwyciężyć spójność jego cząsteczek.

Mały pojmował Alika z trudnością. Niełatwo mu było ogarnąć złożoność, w dodatku tak dziwnie przesuniętych, wzajemnych stosunków czasu i przestrzeni.

— Coś w rodzaju przecinających się czasów? — spytał.

— W pewnym stopniu, tak. Ale w granicach pętli.

— A wokoło w mieście?

— To samo. Miasto to drobna część przestrzeni świata, a kwant czasu to cały wszechświat zamknięty w najmniejszej chwili. Cud Jozuego i tyle.

Alik żartował z poszarzałą, jakby zakurzoną twarzą. Małemu zrobiło się go nawet żal i zapytał z niezwykłym u niego ciepłem w głosie:

— I długo tak pociągniemy, stary?

— Co mamy — piwo i kanapki? No to sobie policz.

— A czy w mieście nic się nie znajdzie?

Mały powiedział to machinalnie, bez zastanowienia. Alik tak to też zrozumiał. Tylko zapytał, zamyślony:

— W mieście? Ale jak wyjdziemy? Chyba tylko wtedy, jeżeli gdzieś jest otwarte okno.

— A w umywalni? Zapomniałeś?

Z otwartego okna umywalni wydostali się na asfaltową dróżkę, która prowadziła do bramy na ulicę. Na szczęście brama była otwarta i duża ciężarówka jak żelazny mamut zamarła na podjeździe. Mały zastukał w okienko koło kierowcy, ale ten nawet nie drgnął.

— Daj spokój — powiedział mu do ucha Alik. — On cię nie widzi.

Nikt ich nie widział, ale oni mogli zobaczyć niedzielny poranek miasta. Był on podobny do migawkowej fotografii, na której utrwalono jeden moment życia. Wyciągnęły się z balkonu ręce dziewczyny wytrzepującej prześcieradło. Wydęło się, jak żagiel i zastygło razem z nią. Na skrzyżowaniu, przed kolumną samochodów na poduszkach powietrznych płonęło czerwone światło. Kiedy zmieni się na zielone? Przechodni nie było, tylko chłopczyk, chyba dziesięcioletni, skoczył z krawędzi chodnika na jezdnię, próbując schwycić wypuszczoną z rąk i już uciekającą w górę nitkę balonu. Był to drugi cud, jaki zobaczyli po tej zeszkłonej wodzie. Chłopiec wisiał w powietrzu z podkurczonymi kolanami i wyciągniętą do góry ręką, nie opadając i nie unosząc się. Jego niebieskie oczy, żywe, nawet niesenne, zarejestrowały tylko jedno — żarliwe pragnienie schwycenia wymykającego się koniuszka nitki. Tylko centymetr, nie więcej, dzielił ją od wyciągniętych palców. A jeszcze wyżej wisiał fioletowy balon,

podobny do pąku fantastycznie wielkiego tulipana, który jednak nie rozwinął się w tej bezwietrznej, niemej ciszy. Ominęli w milczeniu żywy posąg lecącego chłopca, bojąc się go dotknąć, a Mały złapał koniec nitki i pociągnął ją do stołu. Balon stawiał opór, ale opuścił się, tylko nitka okazała się twarda i nie dająca się zgiąć jak stalowy pręcik. Mały położył ją pod kątem do trotuaru w taki sposób, że balon znalazł się przed twarzą chłopca tak, żeby ten mógł go schwycić w chwili, gdy czas ruszy ze swego martwego punktu. Ale czas się nie poruszył i balon znowu zastygł, nie kołysząc się na swej, teraz leżącej ukośnie nitce–druciku.

— Dlaczego? — spytał Mały.

Alik go nie usłyszał, ale pytanie zrozumiał i odpowiedział znowu przyłożywszy usta do ucha kolegi.

— Rozmawiać będziemy tylko wtedy, kiedy nasze pola temporalne będą się stykały i fale dźwiękowe nie wygasną. Zrozumiałeś? A balon opuścił się dlatego, że nie ma spójności z otaczającym go ośrodkiem i siła naszych mięśni wystarczy, żeby go przemieścić.

Mały krzyknął mu w ucho:

— A więc wystarczy jej, żeby przemieścić parę butelek oranżady!

— Możliwe. Ale skąd?

— Choćby z kawiarni naprzeciwko. Już jest otwarta, w każdym razie drzwi. I nawet chleb przywieźli.

Przy wejściu do kawiarni na przeciwległej stronie ulicy rzeczywiście stała ciężarówka z chlebem. Kilka otwartych skrzynek było już ustawionych na chodniku. Niedaleko, z taką samą skrzynką na plecach, zamarł bezsensownie wyciągnąwszy nogę człowiek w białej kurtce kelnera.

— Nie próbuj go popchnąć albo zdjąć skrzynkę — uprzedził Alik.

— Po co? Wezmę po prostu to, co mi jest potrzebne. Przecież nie możemy zdechnąć z głodu z powodu tej katastrofy kosmicznej.

Isć było trudno, zupełnie jak pod górę pod wiatr, ale Małego to nie zrażało. Przebiegł ulicę i wziął z otwartej skrzynki bułkę. Kiedy Alik podszedł do niego, Mały oglądał ją uważnie i ze zdziwieniem, jak rzadki eksponat muzealny.

— No i co? — poruszył ustami Alik.

Mały zamiast odpowiedzieć, postukał bułką o ściankę skrzynki. Dźwięku nie usłyszeli. Potem dźgnął ją palcem, ale na jej rumianej skórce nie pozostał nawet żaden ślad.

Alik bezdźwięcznie kłapnął zębami, jakby podpowiadając koledze następną czynność. Mały ostrożnie uniósł bułkę do ust, spróbował ją ugryźć i z wściekłością cisnął ją na ulicę. Normalnie znalazłaby się na przeciwległej stronie, ale teraz, zupełnie jak zahamowana, zawisała w powietrzu jakies półtora metra od niego.

Potem krzyczeli sobie nawzajem w ucho, śmiesznie przekręcając głowy.

— Dlaczego nie spada?

— Grawitacja to też ruch.

— Ale dlaczego zatrzymała się tak blisko?

— Na więcej nie starczyło ci siły.

— Dobrze, że zęba nie zламаłem.

— Gdybyś żył z prędkością światła, miałbyś wrażenie, że jest tylko odrobinę czerstwa.

— A więc, według ciebie, z oranżadą też się nie uda?

— Jak otworzysz butelkę?

— Wezmę kamyk, taki dwudziestokilogramowy i łupnę.

— Może uda ci się ją rozbić, ale nie wypijesz.

— Mogę wyssać.

— No to przypomnij sobie strumień — sopol w umywalni. Dużo byś mógł z niego wyssać?

— Wiesz co — nie powiedział, ale wychrypiał Mały — jeżeli mamy zdychać, to lepiej w domu!

Wrócili do dyspozytorni akceleratora oddychając ciężko jak alpinisci na ostatnich metrach podejścia. Mały ledwo wystękał:

— Ale dróżka!

— Droga długa jak kwant — uściślił Alik.

Mały sięgnął w milczeniu do plecaka, wyciągnął piwo, kanapki, i wszystko to zostało zlikwidowane natychmiast i bez namysłu. Bo czy owak głód zawsze zjawia się bez zapowiedzi.

Był to ostatni aforyzm wypowiedziany tego niezwykłego poranka przez Małego. I nagle znowu coś się zdarzyło, ale nie od razu uzmysłowił sobie, co to takiego.

Cicho, ukradkiem włączyły się przybory. Martwy, znajomy huk wpływał do sali, jak szum przyboju do pokoju nadmorskiego hotelu.

Alik machinalnie spojrzął na wskazówkę licznika prędkości. Znowu tkwiła przed zerem.

Poprzez normalne tło dźwiękowe wyraźnie przebijał się odgłos, szum płynącej z kranu wody.

— Wiesz, stary, mam wrażenie, że mimo wszystko przeskoczyliśmy te pętlę — powiedział Alik i poprzez kłębiącą się nad nim liliową mgłę zobaczył twarz Bibla.

ROZDZIAŁ IV

POJEDYNEK. NIE MA LILIOWEGO SŁOŃCA.

Zdarzyło się to przy drugim śniadaniu, po tym, jak Alik przekazał na Ziemię kolejny komunikat.

— Diabli wiedzą, co to takiego! Dziurawimy przestrzeń laserem, nauczyliśmy się odbierać i przyjmować fotonowe telegramy, a kawę parzymy tak samo, jak sto lat temu: ekspres, palnik i mleko skondensowane — filozofował.

— A ty byś chciał jak w Aorze — złośliwie dorzucił Mały — raz, dwa, przekręciłeś się na brzuch, kichnąłeś, i gorąca kawa pod samym nosem.

— Stop — zarządził Kapitan — cisza!

Wszyscy zamilkli, wpatrując się w jego napiętą twarz. Zaciśnął zęby, jego twarz zastygła. Oczy patrzyły przed siebie. Przysłuchiwał się czemuś.

— Tak — powiedział, nie zwracając się do nikogo. — Zrozumiałe. Tylko Bibl i ja. Powtarzam: pojazd zostawimy na otwartym miejscu w polu ochronnym. Wchodzimy i wychodzimy, dając myślowy rozkaz. To wszystko. — Popatrzył na zaskoczone twarze kolegów. — Mały, szykuj „Portosa”, jadę razem z Biblem. A ty i Alik ochraniać stację, wszystko może się przydarzyć.

— Przecież nic się nie stało, kiedy byliśmy w Nirwanie — z niezadowoleniem zaprotestował Alik.

Mały delikatnie stuknął go palcem w tył głowy:

— Rozkazy wykonuje się bez dyskusji. Dla mnie, na przykład, wszystko jest jasne. Kapitan jedzie dlatego, bo jest Kapitanem. Bibl, bo jest socjologiem. A technik i fizyk Nauczycielowi nie są potrzebni.

— Kto przekazywał? — spytał Bibl.

— Fiu.

— Dziwne, że nic nie usłyszeliśmy. Każdy z nas ma założony hełm.

— Rozkaz za pośrednictwem promienia psi, nastrojony na określone częstotliwości mózgu — pomyślał na głos Alik. — Hełmy to urządzenie nie tylko tłumaczące, ale i przekazujące. Zresztą do rozmowy z Nauczycielem nie będą potrzebne.

— Fiu prosił, żeby ich nie zdejmować. Najprawdopodobniej pełnią jeszcze funkcje rejestrujące.

Później, już w „Portosie”, kiedy Kapitan i Bibl jechali poprzez czarną pustynię w poszukiwaniu łączy z przestrzenią zielonego słońca, z kt rej mogli przejść do Nauczyciela, Bibl milczał, niechętnie odpowiadając na pytania Kapitana. Wreszcie Kapitan nie wytrzymał:

— O czym pan tak ciągle rozmyśla?

— Takie tam głupstwa — odparł Bibl.

— A jednak?

Bibl uśmiechnął się:

— Dlaczego w rzeczywistości to Mały bezapelacyjnie komenderuje Alikiem, a w zmaterializowanym, fantastycznym epizodzie z pętlą czasu bez sprzeciwu podporządkował się Alikowi? Czy zwrócił pan uwagę, Kep, że go nawet nie poprawiał w czasie opowiadania?

— Bo przecież Alik to wszystko wymyślił.

— Gdyby tylko Alik! Ale przecież i wyobraźnia Małego podłączyła się synchronicznie do jego wyobraźni — nawet w detalach. Jakby się z nią złąła. Mały, który nigdy przedtem nie pracował przy akceleratorze, zmaterializował w pamięci wszystko to, co mu podpowiedział Alik. Jakąż; techniką musi rozporządzać cywilizacja, żeby tak sterować psychiką człowieka!

— A my jedziemy zdemaskować tę cywilizację.

— Wysoki poziom cywilizacyjny nie jest adekwatny do poziomu techniki — podsumował

Bibl.

Musiał powtórzyć te słowa już w czasie rozmowy z Nauczycielem. Wszystko, co miało miejsce przed tą rozmową, zajęło zaledwie pół godziny. Wkrótce znaleźli miraż. Przepłynęli nad mchami, wydostali się, na wydeptaną łysinę pomiędzy niskimi, powykrzywianymi krzewami, włączyli osłonę „Portosa”.

— Sprawdzimy teleportację — uśmiechnął się Kapitan i wszedł w białą salę, w której wisiało akwarium z mętną masą w nieruchomym płynie. I natychmiast obok zjawił się Bibl. Popatrzyli na siebie z uśmiechem: teleportacja działa! Ale natychmiast myśli stłumiła obca wola: „siadajcie, poczekajcie, dopóki nie zapoznam się ze zgromadzonymi przez was informacjami. Siedli w fotele, do których już zdążyli się przyzwyczaić.

Po kilku minutach, właśnie minutach, nie godzinach milczenia ten ktoś się odezwał. Nie potrzebował zbyt wiele czasu na to, aby dowiedzieć się, co zobaczyli, o czym mówili i myśleli w czasie swego zaznajamiania się z Hedoną.

— Znam każdy wasz krok i każdą waszą opinię — „usłyszeli” tak jak przednio bezdźwięczny „głos” — ale wszystko to jest beznadziejnie Powolne, zbyt powolne, aby szybkość mojego myślenia mogła prześledzić wszystkie etapy waszego rozumowania. Uważacie, że moja cywilizacja jest martwa?

— Tak — odparł ostro Bibl — martwa. To co stworzyliście na planecie, to lenistwo materii, entropia. W waszych zdeformowanych przestrzeniach jest tyle samo życia, ile w metanowych jeziorach i bryłach zamrożonego wodoru, jakie widzieliśmy w kosmosie po drodze na Hedonę.

— Co to znaczy: martwe i żywe? Życie tutaj, tak jak wszędzie, to tylko jeden z wariantów istnienia materii. Pozostaje pytanie, który wariant należy uważać za idealny.

— Załóżmy, że tutejszy. Spróbujmy przyjąć taki pogląd. Wasz świat jest rozumny, stabilny, dzięki stałości cykli życiowych i jego dwoistej strukturze organizacyjnej, wolny od kaprysów przyrody, od dyktatury techniki, jakichkolwiek ograniczeń, oprócz tych, które zapewniają drogę do Nirwany. Z żadną z tych tez nie może pogodzić się nasz ziemski umysł. Ani z rozumnością waszego świata, ani z jego wolnością i zapewnianym przezeń szczęściem.

— Proszę sprecyzować.

— Rozumność każdego świata określona jest drogami doskonalenia rozumu, jest stałym i nieprzerwanym procesem. Zatrzymaliście go. Odrzuciliście rozum jako podstawę cywilizacji.

— Zmieniliśmy go na wyobraźnię. Odczytałem w waszej świadomości znajomą myśl: rozum idzie do prawdy długą i krętą drogą, wyobraźnia łatwo wdziera się na wierzchołek góry. Tylko wyobraźnia może podpowiedzieć, jak odkryć ideał, to, czego jeszcze nie ma, ale co być powinno.

Bibl uśmiechnął się. Rzeczywiście myślał o tym, że w filozofii Hedończyków wyobraźnia przeciwstawiona jest rozumowi.

— Wyobraźnia to jeden z komponentów rozumu — kontynuował nie wypowiedzianą myśl. — Utożsamiliście wyobraźnię z tworzeniem mitów. Ty, który znasz wyższe formy myślenia, powinieneś rozumieć, że jego mitologiczna forma jest najbardziej prymitywną formą świadomości, w której człowiek czci siły, z którymi sam się utożsamia. Wasz mit usuwa zagadnienie osobistej odpowiedzialności, prawdziwego wyboru, tworząc standardy zachowania, które wyłącznie trzeba bezmyślnie realizować. Mówicie: „Wszystko dozwolone”, ale jednocześnie pętacie człowieka jeszcze bardziej bezmyślnymi zakazami niż u nas na Ziemi. I najstraszliwszy zakaz to zakaz wiedzy, jej rozwoju i doskonalenia. Każdy może stworzyć sobie własne wyobrażenia otaczającego go świata, nie odwołując się do wiedzy, którą nie dysponuje. Ale przecież tylko wiedza może dać mu nie iluzoryczną, ale prawdziwą informację o świecie, pod którego niebem żyje.

— A po co mu ona? Każda nauka wywołuje tylko zaburzenie myśli i uczuć, a my kształtujemy pogodę ducha i przekonanie o swojej słuszności, wysoką ocenę samego siebie i wysoki pułap dążeń.

— Do czego?! — zawołał gniewnie Bibl, zdumiony filozoficzną ograniczonością Nauczyciela, i natychmiast pomyślał, że techniczne kwalifikacje umysłu twórcy cywilizacji na Hedonie mogą nie być proporcjonalne do jego zasobów wiedzy filozoficzno-społecznej. — Dążeń? Pytam: do czego? Do idiotyzmu Aory? Tępych rojeń Nirwany? Ogłupiającego nieróbstwa waszych Hedończyków? Nic dziwnego, że w świecie, który hołduje podobnym dążeniom, ani myśl, ani rozum, ani prawda nie cieszą się uznaniem.

— W waszym społeczeństwie — „usłyszeli” w odpowiedzi Kapitan i Bibl — kierują się zasadą: od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy. Ale przecież praca to źródło niewoli. W takim społeczeństwie nikt nie jest wolny.

— Jak wiadomo, człowieka ukształtowała praca — pouczająco powiedział Bibl. — Najlepsze umysły na Ziemi w ciągu dwóch tysięcy lat marzyły o szczęściu i doskonaleniu się, jakie daje praca. Nie wymieniam nazwisk, nie znacie ich, ale to, co oni twierdzili, odnosi się do każdego społeczeństwa w dowolnym zakątku galaktyki. Każda praca jest szlachetna. Przecież to, co w naszym świecie jest najpiękniejsze, zostało stworzone mądrą ręką człowieka i wszystkie nasze myśli, wszystkie idee wynikają z procesu twórczego. Nie będę powtarzać, że są to prawdy, które zna każda istota rozumna. Nie wątpię, że tak było i z tobą. Ale prowadząc śmiały, choć wątpliwy eksperyment, zbudowałeś model społeczeństwa o innej strukturze społecznej: część ludzi została uwolniona od pracy i właściwie ta część przestała być ludźmi, zeszała do poziomu dobrze wytresowanych zwierząt, które uważa się za biologicznych przodków człowieka. Innym zaś zaszczepiono rozkoszowanie się pracą, niewiele różniące się od narkotycznych upojeń Nirwany. I w jednym i w drugim przypadku regulatorem sposobu bycia jest mit.

Szara bryłka komórek nerwowych zawieszona w akwarium przesłała swój bezdźwięczny odzew. Przy dużej dozie wyobraźni można w nim było nawet „usłyszeć” ironię.

— Czy praca, którą, jak mówisz, tak zachwycają się na Ziemi, nie jest dla człowieka źródłem rozkoszy?

Tym razem rozgniewał się Kapitan.

— Tak, jest — oświadczył. — Ale nie ogłupiająca i beztreściowa, wymagająca równie ogłupiającego wypoczynku. Taka praca na Ziemi wykonywana jest przez maszyny. Nie wiem, dlaczego nie zrobiono tego tutaj. Przecież nawet tam, gdzie wymagane są najwyższe kwalifikacje, nikt niczego nie tworzy, nie ulepsza, nie doskonali. Wykluczyliście wszelką twórczość, stłumiliście myśl wynalazczą, każdą próbę wymyślenia czegoś nowego, ulepszenia, zmiany. Wszystko jest stabilne, niezmiennie i niewzruszone. I mimo wszystko to praca Błękitnego Miasta jest podstawą i fundamentem waszej cywilizacji. Jeżeli się go zniszczy, rozpadnie się i Aora, i Nirwana. Rozsypie się w nicość cała dwuwarstwowa konstrukcja waszego idealnego świata.

Tym razem akwarium nie przekazało repliki. Mózg milczał, jedynie gdzieś wyraźnie widać było pulsowanie. Być może, przesuwają się w nim daleko wyprzedzające ludzką myśl szeregi asocjacji, rozważając i oceniając sądy Ziemian. Kapitan i Bibl popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Co to takiego? Koniec rozmowy? Ale długo wyczekiwana odpowiedź doszła wreszcie do ich świadomości w lakonicznym sformułowaniu:

— Bez Aory i Nirwany nie potrzebuję Błękitnego Miasta. To jeden ze składników technosfery mojego świata.

— Jeżeli zniknie ziemski technosfera — odparł Kapitan — człowiek ją zrekonstruuje. Czy Hedończyk może zrobić to samo?

— Nie.

— Ale przecież można go nauczyć konstruować, budować, robić odkrycia.

— Nie. Cykle nauki są stabilne i niezmiennie.

— A psychika? Myśl? Poszukiwanie?

— Byt żywej materii został zaprogramowany na wieki.

— Więc powtórzę myśli Bibla. W waszym świecie nie ma więcej życia niż w zamarzłym amoniaku na martwych planetach.

— Przemyślę wasze opinie i jeżeli uznam je za słuszne, dowiecie się o tym nie ode mnie.

Mózg zamilkł i natychmiast obaj Ziemianie bez uzgadniania i wahania, poruszani obcą, choć nieodczuwalną wolą, wyszli z białej piany sali na wydeptaną w niskich zaroślach łączkę, na której stał ich pojazd.

Łączę z czarną pustynią znaleźli po dziesięciu minutach i dopiero wtedy Kapitan ostrożnie zapytał:

— No i jak?

— On myśli sto razy szybciej od nas — odparł Bibl.

— I co z tego?

— Być może informacja została już przekazana Koordynatorowi. Mam na myśli poprawki do programu.

— Jakie?

— Wynikające z naszej rozmowy. On nie będzie się łudzić, ani oszukiwać, ani pocieszać iluzjami. — Bibl mówił zagadkowo, jakby niechętnie.

— Nic nie rozumiem — powiedział Kapitan. — Co pan ma na myśli?

— Obawy — Bibl bardzo blisko przysunął usta do ucha sąsiada. — A co się stanie, jeżeli zgodzi się z naszą oceną jego dzieła?

Kapitan zamyślił się.

— Trudno przewidzieć. To nie jest ludzki mózg. Nawet nie mózg geniusza. To supermózg.

— Wniosków, oczywiście, przewidzieć nie można. Ale można snuć przypuszczenia. Jeden z wariantów: zniszczyć stację i nas, bo nasze; świadectwo może mieć dla niego niepożądane skutki. Ale osobiście niewierze w takie rozwiązanie. Tak postąpiłby umysł niski, tchórzliwy, niedoskonały. Bardziej niebezpieczne jest coś innego: może zniszczyć siebie i swoje dzieło.

— Razem z nami?

— Być może, jeżeli mu się nie przeszkodzi.

— Kto?

— Choćby my. Kapitan chrząknął.

— A więc trzeba się pospieszyć.

Stacja już była blisko. Po kilku minutach na jej tle ukazały się figurki biegnące na spotkanie „Portosa”. Kapitan zatrzymał maszynę:

— Co się stało?

— Liliowe słońce zgasło — oznajmił Mały.

ROZDZIAŁ V

KONIEC NAUCZYCIELA. MYŚLOWY ATAK.

Liliowego słońca rzeczywiście nie było. Rozrzucone łukiem od horyzontu do zenitu, odchylając się w bok od palącego słońca pustyni słabo świeciły granatowe, niebieskie i zielone, przypominające uliczne, karnawałowe lampiony, zapalone w dzień.

— Koniec Nirwany — powiedział Bibl.

— Może zgasło tylko odbite słońce — pomyślał głośno Kapitan. — Nie; wiem, jaką rolę grają te słońca w zamkniętych przestrzeniach światów.

Bibl spojrział na zegarek.

— Minęło trzydzieści osiem minut od chwili naszego wyjścia. Zniszczyć przez ten czas cały świat bez śladu to zadanie, któremu, jak sądzę, nie podołalaby nawet ich technika.

— Dlaczego zniszczyć? Po—o co? — zapytał, jękając się, Alik. Ani on, ani Mały niczego się nie domyślali. Bibl przedstawił im swoją hipotezę:

Zniszczenie Aory też nie wymaga długiego czasu. Zielone słońce zgaśnie później, ponieważ związany z nim świat stanowi zbyt wielką masę żywej materii. — Błękitne Miasto zostawią na koniec — Tam bowiem znajduje się mechanizm likwidacji. Najpierw zagładzie ulegną ludzie, potem maszyny. Następnie poziomy, chodniki i kabiny regeneracyjne. Na zakończenie samolikwiduje się Koordynator. Coś w rodzaju żądła skorpiona.

— A nasza stacja?

— Zaraz się dowiemy. W każdym wypadku, spróbujemy. Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Nauczyciela. Dopóki zielone słońce nie zgasło całkiem.

Łącze znaleźli w tym samym miejscu. Zielona plama mgły z rozplywającymi się brzegami. Przeszli je tak samo, jak pół godziny temu. Na wszelki wypadek włączyli deflektor, ale wskazówka indykatora, która sygnalizowała opór pola, stała w miejscu: energetyczne przegrody już nie działały.

Jechali milcząc, w napięciu, skoncentrowani. Tylko Alik się gorączkował:

— Nie rozumiem, dlaczego to robi. Szok nerwowy czy też słabość ducha.

— On nie ma duszy.

— No to woli. Woli oporu, walki. Bardziej logiczne byłoby zniszczyć nas.

— Bardziej logicznie dla umysłu ludzkiego — wtrącił Bibl. — Ale to nie umysł. To worek z informacjami. Nowa informacja, którą wprowadziło nasze działanie, sprawiła, że poprzednia stawała się logicznie bezwartościowa, niszczyła przekonanie o doskonałości modelu. A skoro nie ideał, to błąd. Naprawić błędu nie można, program nie przewidział poprawek. Ale uwzględnił prawdopodobieństwo błędu i samolikwidacja, być może, była zaprogramowana. Potrzebny był impuls. I myśmy go dali.

Kapitan zatrzymał „Portosa”. Wszystko było jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że w białą mgłę weszło nie dwóch, lecz czterech. Wydawało się, że w jej wnętrzu nic się nie zmieniło. Pośrodku ciągle wisiała przezroczysta bryła akwarium i szara grudka, podobna do gigantycznej galaretowatej meduzy, była widoczna chyba jeszcze wyraźniej. Jednakże Kapitan zauważył różnicę. Akwarium wydawało się bardziej przezroczyste i szara grudka opuściła się niżej na dno, jeżeli dnem można by nazwać jego dolną, przezroczystą płaszczyznę. Już nie poruszała się i nil pulsowała.

— Płyn został wypuszczony — stwierdził Kapitan, podchodząc bliżej! Mały i Alik, którzy po raz pierwszy znaleźli się w tej białej kipieli, rozglądali się wokoło nic nie rozumiejąc.

— To on? — spytał Alik, wskazując galaretowatą masę. — Nauczyciel?

— To co było Nauczycielem — powiedział Bibl. — Odżywczego płynu I już nie ma. Teraz niszczą całą jeszcze zachowaną żywą i martwą materię.

— Kto niszczy?

— Maszyny. Doczekały się swojej chwili. Trzeba się stąd wynosić, dopóki działa teleportacja.

Teleportacja działała. Pojazd czekał z włączonym silnikiem, łączyli znaleźli natychmiast. Czarne lustro pustyni otwierało drogę do Błękitnego Miasta.

— Granatowe również gaśnie — powiedział Mały, spojrzawszy na i niebo.

Granatowe słońce rzeczywiście już zbladło. Mętny, ultramarynowy; krąg rozpuszczał się powoli w błękitnym niebie. Poniżej, na przecinającym zenit łuku, pozostały tylko dwa niewygasłe pozorne słońca — zielone i niebieskie. „Jeszcze pół godziny” — pomyślał Bibl spojrzawszy na zegarek. Program likwidacji hedońskiego modelu świata działał z bezlitosną konsekwencją. Zniszczenie przestrzeni Zielonego Lasu zajmie nie mniej niż godzinę, a może nawet więcej — objętość żywej masy była zbyt wielka. Czy w mieście zdają sobie z tego sprawę? Trzeba natychmiast porozumieć się z Fiu albo z Druhem. Ale jak mają się porozumieć, jeżeli spotkanie takie nie było przewidziane? Może wypróbować emocjonalne echo?

— Słuchajcie. Wezwijmy razem Fiu albo Druha. Lepiej Fiu. On wie więcej. Wywołujemy wszyscy razem.

Fiu zgłosił się od razu. Jego ptasi głosik zapiszczał w hełmach.

— Jestem gotów.

— Nauczyciela już nie ma — powiedział głośno Kapitan. — Najprawdopodobniej na jego rozkaz Koordynator wypuścił z pojemnika odżywczy płyn. Mózg zginął.

— Przewidzieliśmy tę możliwość — natychmiast rozległa się odpowiedź Fiu. — Słyszeliśmy waszą rozmowę z Nauczycielem. Wiele nowego, wiele myśleć.

— Myśleć należy o jednym — jak ocalić Błękitne Miasto. Obecnie Koordynator niszczy planetę. Nirwana została spalona, rozpylona albo starta. Liliowe słońce zgasło. Teraz gaśnie granatowe. Za nim zniknie zielone Jeżeli jest możliwość powstrzymania Koordynatora, nie zwlekajcie. Macie niewiele ponad godzinę ziemskiego czasu.

— Mogę w przeciągu dwóch minut spalić Koordynator. Promiennik mam ze sobą w wozie — wtrącił się Mały.

— Nonsens — przerwał mu Kapitan. — Koordynator nie powinien być zniszczony. Jeszcze się przyda ludziom.

— Wiemy o tym — znowu odparł Fiu. — Czekamy na was w „cyrku”. Spieszcie się. Przy wejściu do miasta spotka was Druh.

Dotarcie do Błękitnego Miasta zajęło mniej niż pięć minut. Wyłaniało się stopniowo, ukazywało się jak fotograficzny obraz w wywoływaczu, w błękitnej mgielce nad czarną pustynią: najpierw mętny, z rozmytymi konturami, później, kontrastowo i żywo; wyraźnie i stereoskopicznie. Ale cała ta geometryczna gmatwanina płaszczyzn i uskoków, przemieszczonych poziomów i tęczy chodników ulic nagle zmniejszyła się do wymiarów maleńkiej plamki — ludzika w lazurowej kurteczce, oczekującego ich przy znajomej granicy.

Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie zatrzymali pojazdu i nie podeszli blisko. Jego twarz, zazwyczaj żywa, przyjaźnie uśmiechnięta, teraz była nieruchoma jak maska i tylko ta nienaturalna nieruchomość zdradzała uczucia, jakie go ogarniały. Nie wyrzekł ani słowa, tylko wskazał ręką przesuwający się obok chodnik i ruszył po nim, nie oglądając się wstecz. Czterej Ziemianie podążyli za nim, nie pytając o nic. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Alik, obejrzawszy się za siebie, był dysk zielonego słońca, który zaczynał już mętnieć po brzegach.

Zeszli przy skrzyżowaniu „ulic” — chodników, przed znajomym wejściem do „cyrku”, w którym cicho poćwierkiwały dziesiątki, a może i setki prawie niemożliwych do odróżnienia ludzików w kurteczkach. Ziemianie, ubrani w takie same kurtki, odróżniali się od nich jedynie wzrostem. Wreszcie na centralnym placu pojawili się: Fiu, Si i Os, jednakowi jak bliźniacy. „Dlaczego czterech? — pomyślał Alik. — Pewnie dlatego, że towarzyszyli Ziemianom w czasie ich pierwszej przechadzki po mieście. A może dlatego, że nauczyli się naszego języka.

Przewodnicy, tłumacze. Allach wie...” Alik nie zastanawiał się nad tym zbyt długo, uderzyła go całkiem inna atmosfera sali, sprawiająca wrażenie jednej, jedynej, napiętej do granicy wytrzymałości struny. Jeżeli napiąć ją jeszcze trochę, pęknie. Nikt się nie uśmiechał, nie witał. Twarze, podobnie jak twarz towarzyszącego im w milczeniu Druha, również Przypominały maski ulepione z plasteliny.

— Mamy mało czasu — stwierdził Kapitan. — Liczy się każdy ułamek sekundy. Czy wyjaśnienia są potrzebne?

— Nie — Fiu pokręcił głową.

— Co wiecie?

— Izolowane przestrzenie są mechanicznie przekształcane. Materia się rozpada. Mechanizm zniszczenia jest automatyczny.

— Możecie go wykryć?

— Nie.

— Działać na odległość?

— Nie. Mechanizm jest regulowany przez Koordynator.

— Czy możemy porozumieć się z Koordynatorem?

— Z tego powodu?

— Tak. Otrzymać informację o miejscu, w którym znajduje się interesujący nas mechanizm, o jego skali i działaniu.

— Jeżeli pytania te nie są przewidziane w programie, odpowiedzi nie będzie.

— Szkoda — powiedział Mały. — Na wszelki wypadek mimo wszystko wziąłem ze sobą promiennik.

Ciche pogwizdywanie z amfiteatru zwróciło uwagę Fiu. Posłuchał przez chwilę i rzekł:

— Sale regeneracyjne są puste. Taśma zatrzymana. Reanimatory wyłączeni.

— Co to znaczy „wyłączeni”? — spytał Kapitan. — O ile dobrze rozumiem, mówisz o ludziach.

— Zdjęci z posterunków i przeniesieni do swych komórek. Tak nazywacie pomieszczenia, w których żyją.

Nowe pogwizdywanie z amfiteatru i kolejne lakoniczne doniesienie Fiu:

— Całkowicie wyłączone zostało sterowanie przyrodą i klimatem w izolowanych przestrzeniach — i cykle laboratoryjne, i przekształcanie pejzażu. Częściowo przeszkodziliśmy już temu pozostawiając naszych ludzi na swoich miejscach. Ale mechanizm zniszczenia jest automatyczny, znikną Hedończycy i otaczająca ich przyroda.

— A więc kolej na Błękitne Miasto?

— Najprawdopodobniej.

— Jeżeli zniszczymy Koordynator, to czy zdołacie opanować choćby podstawy sterowania miastem? Na przykład transport, aprowizację, łączność. — Kapitan nie ukrywał już niepokoju.

— Nie wiem, czy można zniszczyć Koordynator — zamyślił się Fiu i jego wypowiedź od razu straciła precyzję i pewność. — Ale pytani powinno być postawione inaczej. Czy zostanie powstrzymany proces niszczenia wszystkiego co żywe i martwe na planecie, jeżeli zniszczony zostanie Koordynator? Odpowiedź: nie wiem.

— Jedyną szansą ocalenia jest więc wprowadzenie nowych elementów do programu?

— Tak ale nie wiemy, w jaki sposób.

Każde wspaniałe odkrycie zawsze poprzedza nieoczekiwana, rozjaśniająca wszystko myśl. Właśnie taka myśl zaświtała Biblowi w tej strasznej chwili.

— Mam propozycję — powiedział po prostu. — Czym jest Koordynator? Maszyną działającą według wprowadzonego uprzednio programu. Przez kogo? Nauczyciela i jego grupę. Czy z biegiem czasu program ten był przekształcany, uzupełniany? Myślę, że tak. Wiemy o stałej wymianie informacji pomiędzy Koordynatorem i supermózgiem, który wchłonął całą sieć neuronową twórców tej cywilizacji. Czy było ich wielu? Najprawdopodobniej mniej, niż tu

obecnych. To nasuwa pewien pomysł: co będzie, jeżeli każdy z nas w tej samej jednostce czasu prześle Koordynatorowi identyczny rozkaz myślowy? Powstanie potok informacyjny o prawie takiej samej albo nawet większej sile energetycznej, który, być może, będzie w stanie zastąpić falę myślową supermózgu. Zastosowaliśmy już coś podobnego wzywając was. Swego rodzaju emocjonalne echo. Niechaj będzie nim rozkaz dla Koordynatora: zatrzymać zniszczenie! Proszę przetłumaczyć. Fiu wydał kilka urywanych treli. Wszystko umilkło.

— Zestroić się — powiedział Bibl.

Fiu przetłumaczył.

— Przygotować się.

Fiu przetłumaczył.

— Już!

W odpowiedzi nie rozległ się ani jeden dźwięk. Tylko głowy wszystkich zwróciły się jednocześnie w tym samym kierunku. „Zatrzymać zniszczenie!” — bezdźwięcznie rozkazywał jednolity potok myśli.

Kilka sekund, a może nawet minut trwała prawie kosmiczna cisza. Tylko dalekie, ledwo słyszalne brzęczenie „ulic” — chodników przywoływało do rzeczywistości.

I nagle jakby pękła zbyt mocno napięta struna, zniknęło napięcie: wszyscy wokoło rozluźnili się i Fiu, zdejmując hełm, całkiem ludzkim gestem wytarł pokryte kroplami potu czoło.

— Sygnał został przyjęty — powiedział. — Zniszczenie zatrzymane. Koordynator podporządkował się.

— Ale przecież wiedział o śmierci mózgu — zawołał Alik — przecież to na jego sygnał automatyczne urządzenie wypuściło odżywczy płyn z akwarium.

— Koordynator to maszyna — powtórzył Bibl — maszyna zaprogramowana na podporządkowanie się potokowi myślowemu o określonej mocy energetycznej. Koordynator nie rozważa, lecz działa. Tak jak przypuszczałem, eksperyment udał się. Otrzymałście sygnał zwrotny? — pytanie było już adresowane do Fiu.

— Tak — potwierdził Fiu.

— Słyszeli wszyscy?

— Wszyscy.

— Oprócz nas.

— Przecież my myślimy szybciej — powiedział Fiu. — Inne częstotliwości, inne fale. Zniszczony został cały materialny świat w fazie liliowej i granatowej oraz częściowo w zielonej.

— Co ocalało?

— Tylko nie zamieszкана, zalesiona część. Ale przecież mamy możliwość ją rozszerzyć i przebudować. Wszystkie systemy laboratoryjne i automatyka sterowania są w naszych rękach.

— Chwilowo jeszcze cały wasz park supermaszyn będzie musiał pracować na jałowym biegu — zauważył Kapitan — będzie regulować mechanizmy teleportacji i telekinezy, które są już zbędne poza granicami miasta, a wewnątrz miasta są bezużyteczne, tworzyć pramaterię do wytwarzania przedmiotów, których wy sami nie możecie wykorzystywać a których już nikt nie zażąda, będziecie jeździć na chodnikach tai i z powrotem odczuwając całą bezmyślność tych wędrówek. Nie można od razu rozbić konstrukcji i mechaniki Koordynatora, no i, oczywiście, rozbijając ich nie trzeba: przecież w swoim czasie przydadzą się i wam. Ale mimo wszystko nie radzę zdawać się na Koordynator. Przyglądajcie się sami. Uczcie się. Umieśćcie swoich ludzi we wszystkich kluczowych punktach kierowania. A przy okazji, w jaki sposób rozróżniacie ich specjalności?

— Według koloru włosów i oczu. Syntetyzatory to bruneci, łącznościowcy siwi, technicy natury rudzi. W podgrupach według koloru oczu: fizycy przestrzeni są czarnoocy, chemicy produktów spożywczych mają oczy zielone.

— Bydłęcy sposób — westchnął Kapitan. — W przyszłości musicie się nauczyć rozróżniać

ludzi w inny sposób. Musicie nauczyć się wielu rzeczy.

Zająknął się i pomyślał o paradoksalności sytuacji, w jakiej znalazło, się to nowo narodzone społeczeństwo. Wszystko, czym władza, nie należy do niego. Musi ono w nowy sposób pracować, wychowywać i przygotowywać zmianę, poznawać i przeobrażać świat, przekształcać pracę w twórczość i zmusić Koordynator do służby ludziom: jako potężną, ale posłuszną im maszynę cybernetyczną. Nie, nie można teraz pozostawić tej maleńkiej ludzkości bez rady i pomocy. Ich misja na Hedonie nie jest jeszcze zakończona, przybiera tylko inną skalę i formy. Kapitan popatrzył na figurki w błękitnych kurteczkach i w oczach najbliższej siedzących odczytał nadzieję i prośbę.

— Nie bójcie się — oświadczył — najważniejsza rzecz została zrobiona: stworzony został supermózg, zbiorowy mózg wszystkich tu obecnych, który potrafił podporządkować sobie maszynę. Niech ten zbiorowy mózg będzie władzą waszego społeczeństwa, jego radą naczelną. A wy wybieriecie w radzie organ roboczy, komitet, zajmujący się bieżącymi problemami. Z tym właśnie komitetem będziemy się spotykać. Wy myślicie szybciej i szybciej dacie sobie radę z trudnościami, nasze sugestie mogą tylko wam w tym pomóc. W rozbitym pucharze waszej cywilizacji zachowała się rzecz najważniejsza — jego zawartość, a naczynie sami musicie ulepić, takie, jakiego będzie wymagać życie.

Różowym chodnikiem wrócili do „Portosa”. Nikt ich nie odprowadzał.

— Zwołajcie pierwsze posiedzenie rady — powiedział Kapitan.

ROZDZIAŁ VI. POLE AKUSTYCZNE. OD CZEGO ZACZAĆ?

Nie rozmawiali o minionych zdarzeniach. Kiedy wracali do stacji, Kapitan wydał polecenie: żadnych pytań, rozważań, gadaniny, po obiedzie spać I chociaż krytyczne chwile już dawno minęły, nie dawał wciągnąć się do dyskusji. Dlatego też jedli obiad w milczeniu, niechętnie żując pospiesznie odgrzane konserwy. Tylko lody w zamrożonych tubkach wprowadziły pewne ożywienie.

— Nie lubię w tubkach. Przeżytek minionego wieku — z niezadowoleniem skrzywił się Alik.

— Mnie podczas upałów wszystko jedno, byle dużo — powiedział Mały, ziewając przeraźliwie.

— Mielicie iść spać! — przypomniał Kapitan. — Kończyć jedzenie i marsz do łóżek.

Mały posłuchał, lecz Alik, który już wstał z za stołu, zaryzykował pytanie:

— A może wysłalibyśmy radiogram na Ziemię? Przygotuję tekst.

— Nie potrzeba — uciął Kapitan. — Spać!

Alik posłuchał wzburzony i zły. Kapitan zachowuje się jak kapral. Alik nigdy nie widział kaprala — wojska już dawno nie było, ale zapamiętane z książek zwroty zapadają w pamięć mocno i na długo. Rzucił się na łóżko, lecz monotonne chrapanie Małego, dobiegające spoza uchylonych drzwi, nie pozwalało mu się skoncentrować. Nirwana. Pętla. Szara grudka na tle pustego akwariium. Emocjonalne echo. Coraz bardziej chciało mu się spać. Może Kapitan nalegał nie bez racji? Alik ziewnął szeroko i zasnął po dziecięcemu łatwo i spokojnie.

— Wszyscy na pokład! — obudził go Mały.

— Co się stało? — Alik jeszcze niezupełnie się obudził.

— Wieczorna herbata i kolejna narada.

Alik przypomniał sobie wszystko i rozżościł się. Czy Kapitan ma prawo wtrącać się w prywatne życie załogi? Dlaczego Alik i Mały nie mają prawa rozważyć tego, co się zdarzyło i prosić Bibla o wyjaśnienia? Dlaczego Kapitan wysyła wszystkich spać jak pięcioletnie dzieci?

Wypił w milczeniu swój kubek indyjskiej herbaty, nawet nie podnosząc wzroku na Kapitana. A ten oczywiście zauważył to:

— Gniewasz się? Na kogo, synu? Na mnie?

— Zgadł pan, Kapitanie — Alik wreszcie odważył się na otwartą walkę — na pana. Nie jesteśmy na statku ani na wachcie. Tylko dlatego pozwolę sobie powiedzieć wszystko, bez względu na subordynację. Nie interesuje się pan zdaniem załogi, Kapitanie. Wydając polecenie: „Żadnych rozważań nad tym, co się zdarzyło, żadnych pytań. Spać!”, nie wyjaśnił pan, jakie nadzwyczajne okoliczności wywołały taką konieczność, dlaczego w biały dzień trzeba było kłaść się do łóżek i komu mogły zaszkodzić przyjacielskie rozmowy o tym, co się zdarzyło. Nie wyjaśnił pan również dziwnej, z mojego punktu widzenia, odmowy wysłania na Ziemię radiogramu o wydarzeniach już całkowicie jasnych i określonych. Odpowie pan: nad rozkazami się nie dyskutuje, tylko się je wypełnia. Ale samo wypełnianie to za mało. Konieczne jest również zrozumienie rozkazu i szacunek dla niego. W danym przypadku nie było ani jednego, ani drugiego.

Tyrady Alika wysłuchano, nie przerywając mu: Bibl uważnie, ale bez zainteresowania, Mały z obojętną miną: „Chciałbym mieć twoje zmartwienia”, a Kapitan z uśmiechem, raczej dobrodusznym niż surowym.

— No cóż, jasne — odparł — lepiej późno niż wcale. Przyznam, byłem kategoryczny: nie doradzałem, lecz rozkazywałem. Wyjaśnienia wywołałyby niepotrzebne protesty i sprzeciwy, takie, jakich wysłuchaliśmy. Spytam tylko, czy zasnęliście od razu po położeniu się do łóżek?

— Natychmiast — odparł Bibl.

— Nawet nie pamiętam, jak znalazłem się w łóżku — przyłączył się Mały.

Alik milczał, opuściwszy oczy: jego rozmyślania w łóżku też chyba nie trwały zbyt długo.

Kapitan uśmiechnął się:

— A przecież to właśnie przewidywałem. Poranne wydarzenia — gasnące słońca, śmierć Nauczyciela, emocjonalne echo i nasz udział w myślowym wezwaniu Koordynatora, nie mogły nie wywołać przeciążenia naszego układu nerwowego. Konieczne było odprężenie i uzyskaliśmy je. A teraz o odmowie wysłania komunikatu na Ziemię. Przecież to laserogram. Dziurawienie przestrzeni kosmicznej laserem wymaga ogromnej ilości energii, a my wciąż jeszcze jesteśmy ograniczeni zasobami energetycznymi i niewystarczającą mocą aparatury. Alik wie o tym doskonale, ale uważa, że wydarzenia na planecie wszystko już wyjaśniły, i wysłałby mniej więcej taki komunikat: „Technokratyczna dyktatura na Hedonie zniszczona. Władza w rękach wolnych wybrańców narodu. Zapewnione przyjacielskie kontakty. Czekamy na polecenia”. Czyż nie tak, Alik?

Alik milczał. Najprawdopodobniej taki właśnie tekst przedstawiłby Kapitanowi.

— Nie uważam, że taki komunikat odpowiadałby prawdzie, a tym bardziej był na czasie. Po pierwsze, nie dyktatura technokratyczna, lecz władza superkomputera w Błękitnym Mieście, która zresztą jeszcze nie jest zniszczona. I wcale nie trzeba jej niszczyć, tylko podporządkować woli i rozumowi człowieka. Po drugie, żadnych poleceń chwilowo nie oczekujemy. Sami się zorientujemy. A kiedy się zorientujemy i rzeczywiście będą konieczne polecenia i żądania, żądać i polecać będziemy my; w Służbie Kosmicznej na Ziemi wiedzą o tym i rozumieją to. Oto dlaczego nie zgodziłem się na propozycję Alika.

Alik słuchał otworzywszy szeroko oczy. Jego gniew i zakłopotanie zostały już stłumione przez pragnienie zadawania pytań, zakazanych do wieczornej rozmowy.

— Jednego tylko nie rozumiem — zaczął, gdy tylko zamilkł Kapitan — dlaczego Nauczyciel zdecydował się zniszczyć wszystko to, co stworzył, po jednej i to niezbyt długiej rozmowie z wami. Przecież to nie był zwykły mózg, lecz supermózg. Nie miał żadnych wątpliwości co do słuszności waszej oceny, nie wysuwał żadnych kontrargumentów, nie podjął próby obrony swego dziecięcia? Przecież nawet zwyczajny, nie genialny, ale po prostu przekonany o swojej słuszności człowiek nie od razu zgodzi się z wami, jeżeli go nie przekonacie. Odpowiedział mu zamyślony, jak zwykle nieco apatyczny, Bibl:

Człowiek, owszem. Ale Nauczyciel to nie człowiek. To wyabstrahowany rozum o tak wysokim poziomie myślenia, że nawet nie można go zestawić z ludzkim. Myślał setki razy szybciej niż my i zdążył przemyśleć, wiele razy przemyśleć, jak powiedziałeś, to co od nas usłyszał. Dlaczego zgodził się z nami, choć przekonywaliśmy go niezbyt gorąco, dlaczego nie bronił swego dziecięcia? Ależ po prostu dlatego, że zrozumiał, od razu zrozumiał, że to my mamy rację, a nie on. Człowiek, nawet podświadomie przekonany, mógł jeszcze dyskutować, oponować, protestować, wysuwać kontrargumenty. Ale Nauczyciel był pozbawiony takiego emocjonalnego aparatu, nic na niego nie wywierało presji, oprócz, być może, więzi z cywilizacją, która go zrodziła; ta naga w swojej czystości myśl w minimalnych ułamkach sekundy wszystko rozważyła, oceniła, zestawiła i zgodziła się z nami.

— Mówi pan: superrozum — wybuchnął Alik — ale czy zniszczenie planety było przejawem rozumu?

— Myślę, że decyzja zniszczenia planety nie należała do superrozumu, lecz do Nauczyciela—człowieka. Gdzieś na dnie tego szarego worka z informacjami drzemała pamięć człowieka genetycznie związanego z technokratyczną i z jakiegoś powodu wygasłą cywilizacją. Na jej technicznej podstawie zbudował swój pasożytniczy model. I właśnie ta dawna J pamięć podpowiedziała mu decyzję, w momencie gdy przekonał się o bezowocności swego tworu. A w „niebieskie kurtki” nie wierzył, uważając ich za warstwę usługową, tak jak pomocniczy jest układ krążenia, odżywiający wysoko rozwinięty układ nerwowy. My byliśmy po prostu bardziej dalekowzroczni. W dwuwarstwowym modelu Nauczyciela znalazły się zarodki społeczeństwa,

które może się rozwijać samodzielnie i i samodzielnie doskonalić. Słyszeliśmy już pierwszy krzyk noworodka, widzieliśmy jego pierwszy krok w przyszłość. Teraz stoi przed nami inne zadanie... — Bibl zastanowił się chwilę. — Pomyślmy, od czego zacząć?

Ekran wideoskopu, który pozwalał obserwować otoczenie stacji bez „martwych pól”, zmętniał nagle. Mglista zasłona wzdymała się i opadała jak źle napięty żagiel. Ale najciekawszy był nie optyczny, lecz akustyczny cud.

Ekran przemówił. Właściwie powtórzył mechanicznym, monotonnym głosem ostatnie słowa Bibla:

— Od czego zacząć?

Siedzący przy stole zamilkli, ze zdziwieniem popatrzyli po sobie i spojrzeli na niewidzialnego rozmówcę spoza ekranu.

— Może to echo? — wysunął sugestię Mały.

— Nie, to nie echo — zazgrzytał ekran — to my pytamy. Wysłuchaliśmy waszej rozmowy i czekamy na radę. My rzeczywiście nie wiemy, od czego zacząć.

— Fiu? — spytał Kapitan. — Jest tu i Fiu.

— Jak się wam udało przekazać dźwięk? Przecież hełmy nie są do tego przystosowane.

— Utworzyliśmy zdalne pole akustyczne. Metoda stałych impulsów z automatyczną korekturą.

— Za pomocą Koordynatora?

— Nie, sami.

— Zawsze byłem zdania, że tutejsi chłopcy dadzą sobie radę bez niańki — stwierdził Mały.

— Czego chcecie? — spytał Kapitan.

— Rady, od czego zacząć? Zaraz. Natychmiast.

— Dlaczego zaraz i natychmiast? Czy nie lepiej byłoby odłożyć rozmowę do jutra? Moglibyśmy wszystko przemyśleć i przygotować się.

— Już myśleliście. I nie raz, wiemy. A z Nauczycielem rozmawialiście bez przygotowania. Najlepsze idee zawsze rodzą się od razu.

— Nie zawsze — uśmiechnął się Kapitan — i nie zawsze są najlepsze. Ale jeżeli chcecie, możemy zacząć. Kolejno. Od Alika. Alik, rozumiesz?

Różowawa zasłona mgły zachęcającego drgała. „Jak żywa” — pomyślał Alik, potrząsnął głową i powiedział bez zająknięcia jak na egzaminie:

— Od czego zacząć? Od wyzwolenia się spod władzy Koordynatora. W jaki sposób? Bardzo prosty. Jeszcze jeden myślowy atak i otrzymacie od Koordynatora pełne informacje o liczebności mieszkańców, o strukturze poziomów, sekcji czy sektorów, jak się tam one u was nazywają. A następnie, po ustaleniu liczby ludzi, którym nie usunięto jeszcze elektrod, należy przeprowadzić tę samą operację, jaka już was wyswobodziła, przeprowadzić ją metodycznie, bez pośpiechu i bez ukrywania się, w salach regeneracyjnych, które staną się waszą kliniką, szpitalem, w których leczyć będą wszystkich, wszystkich, a nie wybranych. Leczyć, a nie kierować do atomowego dezintegratora. Nauczcie się szanować człowieka, jego życie i wolność, pracę i odpoczynek. Przy okazji, o odpoczynku. Być może są tacy, którym podoba się ta bydlęca tortura śmiechu, a więc zachowajcie ją dla jej zwolenników. A innym dajcie wolny wybór form wypoczynku, rozrywki. Dajcie ludziom widowiska dostępne dla nich, ale rozwijające ich intelekt, a nie tłumiące go. Nie wiecie, co to takiego ziemskie kino czy telewizja, ale spróbujcie wykorzystać waszą technikę do przetwarzania myślowych obrazów we wzrokowe, a wtedy wyobrażane może stać się widzialnym. A jeszcze lepiej będzie, jeżeli wyślecie kogoś spośród tych, którzy znają nasz język, na Ziemię pierwszym przybyłym tu kosmoletem. Najlepiej Si lub Osa albo obu razem. Obejrzą i zapoznają się ze wszystkim na miejscu i zapamiętają to, co przyda się wam najbardziej.

— Dobrze, Alik — pochwalił go Kapitan i spytał: — Czy są pytania?

— Słuchamy — metalicznie odezwał się ekran.

— W porządku — odparł Kapitan. — Teraz ty, Mały.

— Ja? — spytał Mały. — A czegoż mam ich uczyć, skoro dysponuj taką techniką? Niech ją wykorzystują dla siebie. Telekineza. Teleportacja. Idź tam, gdzie masz ochotę, zamiast tłuc się na trzęsących chodnikach. I rejestratory życzeń niech odbierają te życzenia tu, na poziomach. Żądaj, czego chcesz, ubieraj się, jak chcesz, nie w takie same kurtki jak w koszarach. I jedzenie nie koszarowe, lecz według recept z Aory.

— I bójki — wtrącił ironicznie Kapitan. — Chcesz „bicz”, proszę bardzo, tłuczcie się nawzajem po pyskach... Nie, na realizację hasła „według potrzeb” jeszcze za wcześnie. W sprawie odzieży — zgoda, nie podoba się komuś niebieska, niech nosi zieloną, ale odzież robocza powinna być wygodna i prosta. Może odmienna dla przedstawicieli różnych zawodów — to na pewno lepsze, niż hodowanie blondynów albo brunetów. Ale korzystanie z techniki bez ograniczeń, to rzecz chwilowo jeszcze nie dla nich. Trzeba najpierw wyzwolić świadomość, wychować pełnowartościowego, rozumnego człowieka, bo inaczej nawet się nikt nie zdąży obejrzeć, jak z niebieskiej kurtki wylezie Hedończyk. Mimo wszystko wolność, przyjacielu, to uświadomiona konieczność. Uważam, że wiele elementów tutejszej techniki trzeba będzie na razie wyłączyć. Niej wiem, czy mnie właściwie rozumieją...

— Rozumieją — potwierdził ekran.

— Tym lepiej. Usuńcie granice przestrzenne i otaczajcie miasto zielonym pierścieniem. Niech dzieci mieszkają w lesie i oddychają ozonem.

— Jednocześnie przemodelujcie cały system rodzenia i wychowania dzieci — wtrącił Bibl.
— Zaprzeście przeszczepu klitek i fabrycznej produkcji sobowtórów według z góry określonych wzorców.

— A czy u was nie ma bloków macierzyńskich? — zapytał ekran.

— Dzieci rodzą się i wychowują w rodzinie.

— Nie rozumiemy. Co to takiego rodzina?

— To rodzice dziecka, ojciec i matka, dzieci i wnuki. Dajcie każdej kobiecie radość macierzyństwa i świadomość odpowiedzialności za wychowanie dziecka, dopóki z pomocą jej nie przyjdzie szkoła. Przenieście wszystkie szkoły do lesistej strefy, tak jak robili to Hedończycy. Ale cały system oświaty musi być przekształcony. Nie mity o świecie, lecz poznanie świata. I nie tylko sterowanie techniką, ale zrozumienie techniki, jej źródeł, struktury jej możliwości.

— Kto da nam tę wiedzę, Koordynator? — spytał ekran.

— Nie — odparł Kapitan. — Koordynator powinien zostać posłusznym narzędziem waszej woli i rozumu. To mądra i pewna maszyna z wielkim zasobem zgromadzonych informacji, ale mimo wszystko tylko maszyna, automatyczne urządzenie regulujące, jakie u nas nazywamy komputerem. Powinniście poznać wszystko to, co wie Koordynator i zmusić go, by robił to, co umie. Proces trudny i długi, ale na tym polega wasze bodaj najgłówniejsze zadanie. I przy rozwiązaniu go jesteśmy z wami. I to nie tylko my czterej. Na nasze wezwanie przybędą z Ziemi inni, którzy pomogą wam stać się gospodarzami waszego świata, stworzyć kadry własnych uczonych, inżynierów i wychowawców nowego pokolenia. Na tym, jak myślę, możemy w chwili obecnej zakończyć.

I ekran zgasł, a właściwie zbladła i rozpląnęła się pulsująca na nim różowa błonka.

Akustyczne pole Hedony wchłonęło wszystko, co zostało tu powiedziane.

— A więc, pozostajemy na Hedonie, Kapitanie? — ostrożnie upewnił się Alik.

— Takiej ciekawej pracy chyba nie odstępimy innym — powiedział Kapitan i zwracając się do siedzących obok Bibla i Małego, dodał: — Liczę na was, ziomkowie.

— A ja? — przestraszył się Alik.

— Ty zostaniesz wraz z nami do pierwszej ziemskiej ekspedycji, a potem wyruszysz na Ziemię razem z Osem i Si, pokażesz im wszystko, co trzeba, i wrócisz wraz z nimi, jeżeli zechcesz. A teraz, mam nadzieję, zrozumiałeś, dlaczego przed kilkoma godzinami odmówiłem

wysłania komunikatu na Ziemię. Wtedy jeszcze nie nadszedł czas. A teraz już nadszedł. Dyktuję.

— Może włączyć zapis magnetofonowy? — spytał Alik.

— Nie trzeba. Pisz. „Raport szósty. Dwuwarstwowa cywilizacja na Hedonie przestała istnieć...” Przekreśl „na Hedonie”: wiadomo, gdzie. „Po naszej drugiej rozmowie z Nauczycielem, w której udowodniliśmy mu brak perspektyw, bezmyślność i nieludzkość jego pasożytującego nieśmiertelnego gatunku...” Stop! Wykreśl wszystko od słów „brak perspektyw i bezmyślność”: długie i napuszone. Napisz tak: „...udowodniliśmy niemoralność jego eksperymentu, Nauczyciel odebrał sobie życie, uprzednio programując w Koordynatorze zniszczenie wszystkiego, co żyje na planecie. Zniszczono wszystko, oprócz naszej stacji, Błękitnego Miasta i części zalesionej przestrzeni. Myślowy atak stu pięćdziesięciu wolnych mieszkańców miasta zgodnie z naszymi zaleceniami...” Poczekaj. Przekreśl „zgodnie z naszymi zaleceniami”, to nie takie istotne. A więc „myślowy atak” i tak dalej do „miasta... powstrzymał zniszczenie, zmieniając program. Władzę objął komitet i sądząc na podstawie przeprowadzonych już rozmów, istnieje szansa stworzenia tu modelu społeczeństwa socjalistycznego. Natychmiast wysyłajcie nie jedną, lecz kilka ekspedycji. Potrzebni są matematycy, elektrycy, cybernetycy, biologowie, nauczyciele i lekarze. Będziemy uczyć i uczyć się sami. Chwilowo wszystko”. Ostatnie przekreśl.

EPILOG

PÓL ROKU PÓŹNIEJ. I WIELKIE ODLEGŁOŚCI ZMNIEJSZAJĄ SIĘ.

Minęło pół roku od powrotu Alika na Ziemię. Pół roku na Ziemi, pół roku na Hedonie. Ile w drodze, nieważne. Może miesiące, może dni. Nie będziemy zajmować się relatywistycznymi obliczeniami. A nuż Einstein się pomylił.

Dla nas ważne jest coś innego. Nie wiadomo, czy myśl może opuszczać granice planety i czy mieszkańcy różnych systemów gwiazdnych mogą porozumiewać się ze sobą nawzajem. Nie mówimy: niemożliwe, mówimy: nie wiadomo. A więc lepiej założyć, że dwóch przyjaciół, nawet rozdzielonych kosmicznymi dalami, może w tej samej chwili myśleć o sobie, rozmawiać ze sobą, opowiadać sobie o tym, co przeżyli i widzieli.

O drugiej w nocy, kiedy Si i Os przed powrotem na Hedonę śpią bez snów w hotelu przy kosmoporcie, Alik nie może zasnąć. Siedzi na balkonie i wpatrując się w gwiazdy rozsypane na czystym, lipcowym niebie, prowadzi długą, bezdźwięczną rozmowę z Małym. A Mały, który dopiero co powrócił z Błękitnego Miasta, powiedzmy, tuż przed zachodem jedyne, nie pozornego słońca, leniwie odpoczywa na elastycznym „hamaku” grawitacyjnym i w myśli zwraca się do Alika.

...U nas ciągle pośpiech, nie ma kiedy tęsknić, ale ciebie, chłopie, brak mi od czasu do czasu. Chciałoby się pogadać, bo i jest o czym. Przyjedziesz — nie poznasz niczego, nawet niebo jest inne. Na nim tylko jedno słońce — normalne, a po pozornych nawet śladu nie ma. Zgasili nawet błękitne, uznali, że niepotrzebne. Miasto stoi teraz jawnie, nie chowa się w mirażu: już mu swoje słońce nie jest potrzebne, tym bardziej że to i tak nie było słońce, lecz po prostu latarnia w przestrzennym lustrze, kaprys tutejszej optyki. Wyprostowali przestrzeń, to i lustro przestało być potrzebne. Mamy teraz już tylko jedno słońce i niebo.

A od miasta do naszej stacji został przeprowadzony ruchomy chodnik, ciemnowiśniowy. Budowaliśmy go razem z „błękitnymi kurtkami”, tymi, którzy u nich te „ulice” kontrolują, a właściwie, nie budowaliśmy, tylko montowaliśmy z gotowych płyt. Przesuwa się bez udziału silnika, poruszany sprężonym powietrzem, ale w jaki sposób ta pneumatyka pracuje, tego jeszcze nie pojąłem. O, tutaj wszystkiego tak od razu się nie pojmie, trzeba się całymi latami uczyć. Ale system teleportacji na razie zamrozili. Dlaczego, tego, prawdę powiedziawszy, nie wiem. Albo trudno było ją przestawić na potrzeby miasta, albo uznali, że na to jeszcze za wcześnie. Mam wrażenie, że nie obyło się tu bez Bibla. Pewnie myślisz, że tak jak poprzednio otacza nas pustynia. A właśnie że nie, trochę ją odsunęli. Tutejsi technicy natury przelączyli swoją aparaturę i sadzą zielony pierścień wokół miasta. W jaki sposób sadzą? Najpierw zdalnie topią czarny kamień. Blisko podejść nie można, bo spali. Później, również zdalnie, układają warstwę gruntu. Skąd ją biorą, nie wiem: może z pramaterii, jak te elementy chodnika. A potem już gotowe drzewa z tego uniwersalnego materiału: duże, pięciopiętrowe paprotniki i mchy wysokości człowieka najlepiej się przyjmują. Pomiędzy stacją i miastem rośnie teraz las, a ja sobie siedzę w mchach i trochę się opalam — a to dzięki temu, że szefa w pobliżu nie ma...

...Ech Mały, Mały, piekielnie lubię naszą Ziemię, ale na Hedonę mimo wszystko mnie ciągnie. Jutro rano startujemy, a na razie odpoczywam i męczę się na tarasiku hotelu, i zadzieram głowę ku niebu. Która z tych gwiazd jest tym jedynym słońcem Hedony? Co u was? Si i Os obok w pokoju śpią jak zabici. Zdziwiająca jest ich umiejętność wyłączania się i włączania — zupełnie, jakby mieli jakiś samoregulator. I chyba jeszcze dziwniejsza jest ich zdolność rozumienia wszystkiego, nie tylko spraw technicznych. Początkowo trochę oszołomiła ich nasza krzątanina i towarzyskość, uliczny chaos i różnorodność środków transportu, a później szybko zorientowali się we wszystkim i przywykli. Ocenili błyskawicznie i nasze rozrywki, w szczególności kino i telewizję, ale jakoś tak na swój sposób, widocznie przede

wszystkim zainteresowała ich możliwość przekazania w sposób wizualny rzeczywistego strumienia życia, tworzenia dokumentacji. Zapoznali się z miejscowościami wczasowymi, przede wszystkim z nadmorskimi plażami. Myślę, że wkrótce takie same plaże, jachty i łódki pojawią się na Hedonie. Wiesz, Mały, sądzę, że również z tego skorzystamy: nieźle byłoby sunąć pod żaglem, pełnym wiatrem po ich chabrowym oceanie, co?

Jest nas tu teraz, oprócz mnie, sześciu: trzech przybyli jeszcze w czasie twego tu pobytu — matematyk, biochemik i elektronik. Wieczorami trochę rozrabiamy, ale jak na razie nie kłócimy się. Elektronik, nawiasem mówiąc, jest twoim rówieśnikiem, ale nie lubię go: zbyt pewny siebie i zdążył się nam już wszystkim uprzykrzyć swoim kryształofonem. Dźwięk, zapis — wspaniale, ale repertuar! Czyżby taką muzyką się tam u was pasjonowali? Nie rozumiem tego, widać nasze gusty są zacofane w porównaniu z Ziemią. A nasi tutejsi przyjaciele w ogóle ziemskiej muzyki nie uznają, mają inaczej skonstruowany narząd słuchu.

Teraz codziennie rano wędrujemy do nich jak do roboty. Łykniemy szklaneczkę cziczi — i na chodnik. Zwróć uwagę: cziczi, a nie czaczy.. To nie wódka, lecz niemowlęca odżywka z Zielonego Lasu. Pompują nam tę cziczę na stację takimi samymi bezrurowymi powietrznymi przewodami — coś w rodzaju rzadkiego kisielu z pigwy, starcza tego na pięć godzin, jak doładowanie akumulatora. Jemy, gdzie popadnie. Ja u transportowców, Kep i Bibl w szkole podobnej do wyższej szkoły pedagogicznej; jeden wykłada mądrości socjologiczne, drugi astronomię: wszystko o wszechświecie, od Kopernika do Diraca. Gdzie się pęta elektronik, chwilowo nie wiem, a biochemik mówi, że z ich pramaterii sam wkrótce będzie formować dowolne struktury. Ale, prawdę mówiąc, robimy słabe postępy: jeszcze zbyt wiele tajemnic kryje przed nami ich technika...

...Dopiero co wystartował kolejny transportowiec na Księżyc, a na nasz odlot trzeba jeszcze długo czekać. No i czekam i doczekać się nie mogę, a moi niebiescy Indianie jeszcze by sobie z przyjemnością pomieszkali na Ziemi. I to jeszcze z jaką przyjemnością! Pytam ich wczoraj: co się wam najbardziej spodobało na Ziemi? Rodziny, powiadają. Dobrze jest mieszkać razem ze swoimi dziećmi w swoich komórkach. Nie w komórkach, powiadam, a w mieszkaniach, powtórzcie. Powtarzają i cieszą się. A w jednym domu — hotelu dla młodych małżeństw zostali cały tydzień. Wszystko ich zachwyciło — i pralnia chemiczna, i zwykła, i fryzjer, i sala telewizyjna. Tylko do stołówki chodzili z obawą: do tej pory nie zdołali się jeszcze przyzwyczaić do naszego jedzenia. Jedzą tylko i wyłącznie manną kaszę, a mięsa czy ryby nawet nie tkną. Dziwaczny naród, chociaż mądry. Wszystko chwytają w lot, nie trzeba im nic wyjaśniać. Ale jedna rzecz mnie dziwi: nie znają nostalgii, o Hedonie nie wspominają, w każdym razie w rozmowach ze mną.

...Teraz słońce wisi nad skrajem nieba, tuż przy horyzoncie, zaraz się schowa i zapadnie noc, tak jak u nas w tropikach. Zjemy kolację, pogadamy — i spać. Zupełnie jak w domu. Od samego początku stacja z tym całym swoim balaganem, rupieciami, straszliwie zagraconymi korytarzami pociągała nas mimo wszystko jakąś niedostrzegalną, ale już dającą «e odczuć domową przytulnością, A teraz, zupełnie jak inżynier z fabryki, spieszę tu z pracy do domu. Wystarczy przymknąć oczy, westchnąć i już ci się wydaje, że wszystkie trudności masz za sobą.

A trudności mamy dużo. Nie wiem, czy damy sobie radę. Kep jest jednak przekonany, że tak. Wierzy, że pomogą nam cybernetycy, którzy przybędą z kolejną ekspedycją. Pamiętam, jak sprzeczałyśmy się, jeszcze przed twoim wyjazdem, co będzie dla nas najtrudniejszą przeszkodą. Wydawało mi się, że najwięcej kłopotu sprawią różnice psychologiczne. Przecież nasze podobieństwo zewnętrzne jest zupełnie powierzchowne — psychicznie różnimy się bardzo. A ty się z tym nie zgadzałeś, powiedziałeś: „Najtrudniejsza sprawa to Koordynator”.

I miałeś rację. Z Koordynatorem do tej pory nie możemy sobie dać rady — czasem się udaje,

a czasami wszystko idzie na opak. Uwzględnia nowe elementy programu: przewody z cziczą przeciągnąć do stacji, posadzić lasek — proszę bardzo, ale od dawnych nie odejdzie ani na jotę. Sale regeneracyjne jeszcze do tej pory nie zostały przebudowane, nie mamy gdzie prowadzić operacji usunięcia elektrod. W przeciągu pół roku operowano nie więcej niż setkę, i to z trudem: to przewody zawodziły, to zwierciadła gasły. A tu trzeba wykonać nie setkę, ale milion operacji.

Swego czasu elektronika zaciekawiała konstrukcja Koordynatora. Normalne naukowe zainteresowanie, żadnych zamachów na program. Ale Koordynator nie odpowiada. Wtedy obmyśliliśmy razem z elektronikiem eksperyment: otworzyć złotą banię od zewnątrz i posondować wnętrze. Byliśmy pewni, że Koordynator nie będzie reagować — program badania, rzecz jasna, nie przewidywał żadnych zamachów na jego trwałość i całość. „Niebieskie kurtki”, nawet ci najwybitniejsi, nie mogli się zdecydować — dawał o sobie znać balast tysiącletniego posłuszeństwa. Wtedy we dwójkę opuściliśmy się prosto na złotą powłokę. Ani gorąca, ani zimna — normalny metal bez nitów i szwów. Delikatnie rozpruwam powierzchnię promiennikiem i usuwam krążek o grubości milimetra i średnicy jakichś dwudziestu centymetrów. Pod złocistą powierzchnią — płatanina niepojętych połączeń. Ustawiamy sondę wizyjną z jednej strony, akustyczną z drugiej, włączamy zapis. Pracuje. Elektronik zadowolony: żadnych cudów. Normalny system monokrystaliczny na zdwojonych elementach. Zespawałem dziurkę silingenem — a tu monokrystaliczny ogłasza strajk. Przez cały tydzień nie mogliśmy się dogadać z Koordynatorem. Zbieramy całą radę, aby przeprowadzić myślowy atak i w odpowiedzi otrzymujemy ultimatum: żadnych eksperymentów z sondami, bo w przeciwnym razie nastąpi całkowity brak kontaktu. Czekamy na cybernetyków, może razem znajdziemy sposób na poskromienie tej nieposłusznej bani. Kep ma nadzieję, że taki sposób znajdziemy.

...Zbliży się poranek. Na czarnym niebie gdzieś na skraju świata pojawił się paseczek zorzy. Jakże przyciąga w chwili rozstania to szkarłatne pasemko, wilgotny oddech trawy, nad którą wisi taras, zapach ściętych wczoraj róż.

I mimo wszystko wracam do was, moi drodzy, jak żołnierz z przepustki — do szeregu, pod broń.

Jestem ambitny, ale nie zadufany w sobie. Oczywiście, dacie sobie radę i beze mnie. Ale na pewno się przydam. Wiem, że Kep wzywa cybernetyków — przybędą później, z następną ekspedycją. Ale przecież i ja studiowałem cybernetykę w Ameryce, choć jestem zarejestrowany w Służbie Kosmicznej jako fizyk łącznościowiec. Mam taki maleńki pomysł, jak poskromić Koordynator, kiedy się zbuntuje. Już to omawiałem z jednym z naszych wybitnych cybernetyków, którzy przechodzą teraz przygotowania do lotu. Fajny facet z Nowosybirskiego miasteczka akademickiego, bardzo śmiesznie mówi: każde zdanie zaczyna od słów: „jestem pewien”. „Jestem pewien, powiada, że to nie mózg, lecz mono — krystaliczny albo neutronowy system z ograniczonym programem. Samodzielnie nie myśli, ale warianty oblicza szybciej niż człowiek. I niewątpliwie posiada urządzenia samoobrony. Jestem pewien, że zbuntuje się, jeżeli zaczniecie wprowadzać sondy albo stosować inne sposoby oddziaływania mechanicznego”, Objaśniłem mu swój pomysł częściowego usunięcia starego programu i wprowadzenia elementów nowego. „Jestem pewien, powiada, że powinno się udać!” Trzeba tylko w niektórych blokach temperaturę obniżyć do zera absolutnego, a wtedy opór zniknie. Potem usunąć kontury niepotrzebnych albo zakłócających wspomnień i uprościć łączność asocjatywną — i wtedy, jestem pewien, że się uda. Przyjadę, to spróbujemy. Powiadają, że nauka zna wiele różnych sposobów.

I zmniejszają się wielkie odległości, kiedy wzywa daleki przyjaciel. Tak albo bardzo podobnie brzmią słowa jednej starej, zapomnianej piosenki. Zmniejszają się, Mały. Wszystkie. Nawet kosmiczne.